

WILLIAM WHARTON

NIEDOBRE MIEJSCE

**TYTUŁ ORYGINAŁU A HARD PLACE
PRZEŁOŻYŁ PAWEŁ KRUK**

*Większość z nas w alchemii swojego życia
dochodzi do takiego miejsca,
w którym pojawia się możliwość
przetopienia żelaza oczekiwań
na srebro decyzji.
Niewielu się to udaje.*

Ta książka nie zostałaaby wydana, gdyby nie poświęcenie: Williama du Aime, mojego syna i osobistego redaktora. Doceniam jego nieustające i uporczywe wysiłki.

William Wharton
2 sierpnia 1998

Chciałbym również wyrazić wdzięczność i uznanie Rosalie Siegel, mojej przyjaciółce i agentce, która pracuje ze mną od ponad dwudziestu lat.

A także całej mojej rodzinie, w szczególności zaś żonie — za to, że wybrali się ze mną w tę długą podróż.

W.W.

1961
ROK, KTÓRY ODWRÓCONY DO GÓRY NOGAMI
WYGLĄDA TAK SAMO

I chyba nikt tego nie zauważył

ROZDZIAŁ 1

CLYDE

Wreszcie znajduję miejsce do parkowania. Pochylam się nad kierownicą i patrzę na wąską, nędzną ulicę. Nic specjalnego. Biorę z siedzenia otwartą kopertę i po raz kolejny próbuję odczytać adres. Na początku jest dwójka, ale kolejna cyfra może być jedynką, siódmką albo czwórką.

Im dłużej się zastanawiam, tym bardziej chybiony wydaje mi się cały ten pomysł: zamiana naszego domu na mieszkanie, którego nigdy wcześniej nie widzieliśmy. Biencourt mówił, że mieszkanie jest na parterze i ma ogródek. Dom z numerem 24 znajduje się po drugiej stronie ulicy i wygląda na jakiś sklep. Dalej jest 23, a obok ciemnozielona drewniana furtka w kamiennym murku. Nie ma na niej żadnego numeru ani dzwonka. Pukam kilkakrotnie, ale nic się nie dzieje. Naciskam klamkę i otwieram furtkę bez problemu.

Za murem ciągnie się wąski ogródek z kawałkiem lichego trawnika pośrodku, kilkoma krzewami i drzewami rosnącymi wzdłuż tylnej ściany. Po lewej stronie widzę drzwi z napisem CONCIERGE. Na drzwiach nie ma dzwonka, a ich szklaną część przesłaniają delikatne białe zasłonki. Pukam.

Z oficjalnej koperty z pieczęcią uniwersytetu wyjmuję list i klucze; klucze chowam do kieszeni. Wąskim betonowym chodnikiem nadbiega czarno-biały piesek i obwąchuje moje nogi. Pukam jeszcze raz i próbuję ułożyć w głowie kilka sensownych słów. Wciąż nie potrafię sklecić po francusku zrozumiałego dla innych zdania. Wreszcie ktoś rozsuwa nieznacznie zasłonki, rozlega się szcęk przekręcanego zamka i drzwi otwierają się do połowy. Pies wchodzi do środka.

Z wnętrza wychyla się drobna, przygarbiona kobieta i mówi coś do mnie. Pokazuję jej list. Spogląda na kopertę, mrużąc oczy, cofa się do środka i z ciemnego, okrągłego stołu bierze okulary. Porusza ustami, a ja zastanawiam się, co on napisał. Kobieta zerka na mnie dwukrotnie, uśmiecha się i zdejmuje okulary. Odpowiadam uśmiechem. Pokazuje na klucz w drzwiach i wzrusza ramionami, unosząc ręce. Wyjmuję z kieszeni trzy klucze zawieszzone na kółku. Dozorczyni zaczyna mówić szybciej, na co ja znowu się uśmiecham. Wreszcie zamyka drzwi na klucz i mija mnie, idę więc za nią.

Rozglądam się po podwórku. Kilka rachitycznych drzew zieleni się w zaułkach, jakie tworzą brudne ściany z cegły. W tyle stoi dwupiętrowy żółty budynek, którego okna zakrywają ciężkie drewniane żaluzje. Kobieta zatrzymuje się przy drzwiach i pokazuje na staromodną kłódkę. Wpasowuję do niej najmniejszy klucz i przekręcam go. Gdy kłódka otwiera się z trzaskiem, wysuwam ją z zardzewiałego skobla i wkładam największy klucz do dziurki o bardzo osobliwym kształcie. Przekręcam go i pcham drzwi, ale nic się nie dzieje. Przekręcam go w drugą stronę i napieram jeszcze raz; nic. Zrezygnowany cofam się. Dozorczyni przekręca klucz dwukrotnie w lewo i popycha drzwi. W środku jest ciemno i unosi się zapach dusznego powietrza i dywanów.

Kobieta podchodzi do frontowej ściany i rozsuwa ogromne zasłony, otwiera środkowe okno i podnosi drewnianą żaluzję tak wysoko, jak może. Smugi światła przecinają obłoczki kurzu z zasłon. Okna, wysokie na jakieś dwadzieścia stóp, zaczynają się mniej więcej trzy stopy nad ziemią i sięgają aż do sufitu. Dozorczyni przemierza pokój, otwiera jakieś drzwi i mówi coś do mnie, pokazując na prawo. Jest tam umywalka i wpuszczona wanna z szarego marmuru, nieduża i prawie kwadratowa. Po lewej stronie znajduje się mała kuchnia. Kobieta wraca do drzwi wejściowych, nie przestając mówić. Daję jej pięć franków. Uśmiecha się i wsuwa pieniądze do

kieszeni fartucha. Jakby sobie coś przypomniała, znowu wchodzi do kuchni. Pokazuje na dwie czarne skrzynki. Domyślam się, że chodzi o gaz i elektryczność. Naciskam przełącznik światła, ale nic się nie dzieje. W jaki sposób, do cholery, uda mi się włączyć coś takiego! Wreszcie moja przewodniczka wychodzi, a ja zamykam za nią drzwi.

Pokój jest duży, na ścianach wisi mnóstwo obrazów. Od kiepskich surrealistycznych kompozycji przedstawiających dryfujące kieliszki koktajlowe do pseudoabstrakcji poprzecinanych krzywymi w kształcie litery S. Wszystkie oprawione są w ciężkie ramy i pokrywają wysokie ściany niemal po sufit. Po lewej stronie od wejścia znajduje się balkon, na który wiodą strome schody z poręczą. Teraz widzę, że całe mieszkanie składa się z tego pokoju, kuchni i balkonu.

Podłoga na górze jest wystarczająco solidna, by utrzymać ustawione pośrodku ogromne łóżko przykryte narzutą z białego ałasu. Stoi tam też coś, co przypomina toaletkę. Jest jeszcze mnóstwo miejsca na drugie łóżko. W drugim końcu pokoju widać małe drzwi z kluczem w zamku. Okazuje się, że prowadzą na wąski, wyłożony glazurą chodnik. Za nim znajduje się kolejne małe podwórko.

Wracam na oględziny mojego nowego królestwa. Dywany zostały zwinięte. Pod oknami stoi duże, czarne drewniane biurko. Naprzeciwko niego, między dwiema szafkami, stoi duża sofa. Dookoła rozstawiono kilka krzeseł z nadmiernie wypchanymi skórzanymi siedzeniami. Schodzę po stromych schodkach, prawie jak po drabinie. Pod balkonem stoi ciężki, ciemny stół z jadalni i krzesła. W kuchni widzę tylko małą, przenośną trzypalnikową kuchenkę gazową, lodówkę i mały zlew; okazuje się, że jest tylko zimna woda. Nad zlewem i kuchenką wiszą półki. Kuchnia może mieć około dwudziestu stóp długości i nie więcej niż pięć szerokości. Można oprzeć się o tylną ścianę i dotknąć zlewu. Wychodzę i szukam jeszcze jakichś drzwi. Wreszcie znajduję nieduże wejście na tej samej ścianie co kuchnia, w kącie pod balkonem — prowadzi do staromodnej toalety. U góry wisi duży zbiornik, jest też zardzewiały łańcuch. Podnoszę deskę i widzę, że w muszli jest tylko brązowawa woda. Pociągam za łańcuch i spuszczam wodę; słysząc gulgotanie, a potem kapanie wody wypełniającej ponownie zbiornik. Przynajmniej działa.

Zastanawiam się, co powie Nina. Nasz własny dom, na uboczu, ale przynajmniej wygodny. Wracam do głównego pokoju i podnoszę żaluzje w pozostałych oknach. Niezłe światło. Mógłbym umieścić sztalugi i farby pod ścianą przy oknie. Rozglądam się jeszcze raz; teraz mieszkanie wygląda inaczej. Wychodzę i zamykam drzwi na klucz. Dozorczyni patrzy przez zasłonki, gdy mijam jej drzwi.

Siedząc już z powrotem w naszym wozie campingowym, wyjmuję mapę i próbuję określić drogę powrotną do hotelu. Jednokierunkowe ulice wcale mi tego nie ułatwiają. Znajduję Raspail i przesuwam palcem aż do rue Fleurus. Wszystko będzie dobrze, jeśli tylko się nie pomylę przy skrzyżowaniu ulic Raspail i Montparnasse. Uruchamiam silnik i szukam 'miejsca, w którym mógłbym zawrócić.

Nasz camper jest poręczny, ponieważ można w nim spać i w ogóle mieszkać, ale trudno się nim poruszać po tak dużym mieście jak Paryż. Mam wrażenie, że nie obowiązuje tu pierwszeństwo przejazdu. Wciskam się powoli, wrzucam trójkę i tak dojeżdżam do Montparnasse'u i dużego skrzyżowania. Czerwone światło. Między drzewami widać Raspail. Na lewo, po przeciwnej stronie ulicy widzę Dôme, a jeszcze bliżej kawiarnię Coupole.

Zmienia się światło i przejeżdżam. Nigdzie nie widziałem tak dużych skrzyżowań jak w Paryżu; wydaje się, że w jednym miejscu zbiega się dziesięć albo i więcej ulic. Raspail po drugiej stronie jest przedzielona szpalerem drzew. Jadę, licząc kolejne przecznice, aż wreszcie znajduję Fleurus.

Hotel jest taki sobie, ale mamy duży pokój na parterze. Personel mówi trochę po angielsku i

nawet podgrzewają butelkę dla niemowlaka. Nie mogę znaleźć miejsca do parkowania, więc skręcam w przecznicę. Wybraliśmy ten hotel między innymi dlatego, że znajomi, którzy mieszkali w nim wcześniej, wspominali, że w pobliżu jest park, w którym mogą bawić się dzieci. Pewnie Nina jest tam teraz.

Znajduję wreszcie miejsce do parkowania na następnej ulicy. Wciąż nie wiem, kiedy parkuję w dozwolonym miejscu, a kiedy nie. Zamykam samochód i sprawdzam brezent, którym przykryte są duże walizki na dachu — nasi przyjaciele stracili wszystko w zeszłym roku; byli na urlopie naukowym i musieli wrócić do domu. W końcu ubijam tytoń w fajce i ruszam w kierunku parku. Nina nie lubi, kiedy palę przy niemowlaku; dlatego kurzę teraz. Nie paliłem od chwili naszego wyjazdu z domu.

Liście na drzewach właśnie zaczynają żółknąć. Tu i ówdzie widać tylko jedną żółtą gałąź na tle ciemnej zieleni; gdzie indziej zbrązowiały same krawędzie liści. Pośrodku szerokiej alejki przede mną tryska kolumna wody. Park rozciąga się aż do szarej budowli zadaszonej kopułą, która przypomina waszyngtoński Kapitol. Na lewo widać czerwone pola kortów tenisowych otoczonych sznurkową siatką. Obserwuję grających: wszyscy ubrani na biało.

Dochodzę do szerokich schodów prowadzących w dół, do ogrodu, który otacza staw z fontanną pośrodku. Nigdzie nie widzę Niny. Wokół stawu biegają dzieci i popychają patykami żaglówki, ale nie dostrzegam wśród nich Marka. Jest tu więcej młodych ludzi, niż widuje się zwykle w parku. Schodzę po stopniach i idę szeroką żółtą ścieżką biegnącą dookoła fontanny. Niektóre dziewczęta są naprawdę wspaniałe, nawet z tymi dziwnymi fryzurami i makijażem. Co jakiś czas któraś spogląda na mnie. Lekki, chłodny wiatr niesie wodną mgiełkę z fontanny.

Sprawdzam jeszcze raz. Nie ma tam Niny. Może trzeba było przebrać niemowlaka i zabrała go z powrotem do hotelu. Gdy jestem już na szczycie schodów, odwracam się ponownie. Po lewej stronie wznosi się budynek z zegarem, który wygląda na renesansowy. Jest już po wpół do czwartej; wracam do hotelu. Poczekam tam na nią, jeśli jeszcze jej nie będzie. I tak chciałem skończyć lekturę interesującej książki.

W poprzek ścieżki przelatują brązowe liście. Dzieciaki biegają, tocząc przed sobą kółka. Przypomina to scenki sprzed ćwierć wieku. Znowu zapalam fajkę. Przede mną spaceruje młoda para. Ona głaszcze go po plecach, on pochyla się i całuje ją w ucho. Śmieją się, a potem ona unosi twarz do pocałunku, rozchylając usta. Całują się, nie przestając iść. Mijam ich, wychodzę przez bramę i przechodzę na drugą stronę ulicy. Postanawiam kupić paczkę papierosów; na żółtej markizie sklepu przede mną widzę napis TABAC. Na chodniku wystawiono kilka stolików i krzeseł. Wchodzę do środka. Za szklanym oknem po lewej stronie, przy metalowym kontuarze siedzi kobieta. Przed nią leżą paczki papierosów. Wskazuję jedną, a ona popycha paczkę przez półksiężyc wycięty w szklanym przepierzeniu. Daję jej pięć franków. Reszta zsuwa się w lśniący krater pod szkłem.

Gdy wracam do hotelu, nasze klucze wciąż wiszą na haczyku. Otwieram drzwi; nie ma nikogo. Siadam przy oknie, na krześle z kwiecistym obiciem, i wydaję książkę z walizki. Jest to powieść Colette o Paryżu.

ROZDZIAŁ 2

ALICE

Podchodzi do mnie pani zbierająca opłaty za krzesła, więc wyjmuję z torebki czterdzieści centymów. Zatrzymuje się przy mnie i pokazuje na bloczek z papierowymi biletami. To musi być parszywe zajęcie, ona jednak zawsze uprzejmie prosi o pieniądze. Chodzi od krzesła do krzesła wokół basenu; czasem ludzie po prostu wstają i odchodzą, jakby jej nie widzieli.

Dzisiaj zajęłam jedno z krzesełek średniej ceny, z poręczami. Kobieta daje mi bilet, a ja wkładam go do wiaderka Aarona. Mały lubi bawić się w konduktora i dziurkować bilety.

W tej chwili Aaron stoi po przeciwnej stronie basenu i czeka na swoją łódkę. Wynajęcie ich kosztuje franka za godzinę, ale to świetna zabawa. Wyjmuję z torebki książkę z Alliance Française; niebieska okładka prawie odpadła. Zajęcia na moim nowym kursie zaczynają się o ósmej trzydzieści i trwają do dziesiątej trzydzieści, a Ben powiedział, że zajmie się Aaronem rankami, kiedy będę na kursie. To pora dnia, kiedy światło jest najlepsze; ale tylko o tej porze były jeszcze wolne miejsca. Aaron biegnie zdyszany w moją stronę.

— Mamusiu, mamusiu, mamusiu!

— Tak, słucham. O co chodzi, tylko nie krzycz, proszę.

— Mamusiu, znalazłem chłopczyka, który mówi po amerykańsku.

Biegnie z powrotem. Zamykam książkę i obserwuję, jak obiega „basin”, chwytając za rękę jakiegoś małego chłopca w zielonej bluzie, z piłką baseballową w ręku. Chłopiec próbuje dotrzymać kroku Aaronowi, a kiedy stają przede mną, cofa się nieco i kładzie kciuk do ust.

— Cześć, jak masz na imię?

— Mark.

Wrywa dłoń z uścisku Aarona; wygląda na jakieś cztery lata, chyba jest trochę młodszy od Aarona.

— Czy jest z tobą mama?

Rozglądam się, by sprawdzić, czy ktoś nam się przygląda. Chłopczyk patrzy do tyłu, a potem w kierunku wózka z kucykiem; widzę młodą kobietę z niemowlęciem w spacerówce, która patrzy niespokojnie.

Zbieram torebkę, plastikową torbę z zabawkami, wiaderko z piłką podaję Aaronowi. Potem biorę go za rękę i ruszam w tamtą stronę.

Kobieta dostrzega nas, gdy jesteśmy jakieś dziesięć kroków od niej. Jest szczupła i ładna, włosy w odcieniu ciemniejszym od kasztanowego ma zaczesane do tyłu. Zbladła, jakby się przestraszyła, ale uśmiecha się do mnie. Jej synek podbiega i wtula się w jej spódnice.

— Cześć, mam nadzieję, że nie martwiłaś się o Marka — zagajam rozmowę. — To mój synek go porwał. Aaron ma tak niewiele okazji pobawić się z kimś, kto mówi po angielsku, że po prostu przytłacza wszystkich.

Ponownie się uśmiecha i zerka przez ramię. Niemowlę bawi się gumową zabawką na półeczce wózka.

— Och, nic nie szkodzi. Mark jest taki dziki, ponieważ jesteśmy w Paryżu dopiero drugi dzień.

Podchodzi do mnie i przysuwa puste krzesło. Ma duże dłonie jak na taką szczupłą dziewczynę.

— Usiądź, proszę.

Pochyla się i podnosi z ziemi zabawkę. Siadamy obie. Chłopcy wrócili biegiem nad „basin” i

teraz Aaron wychyla się, by wyciągnąć łódkę.

— Nie boisz się, że wpadną? Przez całe popołudnie strasznie się niepokoiliam i próbowałam trzymać Marka z daleka od wody.

— Och, nie, tam nie jest głęboko, a poza tym przez te siedem miesięcy nie widziałam, żeby ktokolwiek wpadł do wody. Francuzi nie pozwoliliby, żeby stało się coś takiego.

Uśmiecha się: zmęczony uśmiech okolony cienkimi ustami. Ma ładne zęby.

— Tutaj wszystkie dzieci są tak wystrojone. Jak matkom udaje się utrzymać je w czystości? Mark wygląda jak sierota.

Patrzy prosto na mnie. W jej łagodnym spojrzeniu widać lekkie zmartwienie.

— Wiem, jak się czujesz. Przeżywałam podobne męki na początku naszego pobytu tutaj. Ben śmiał się ze mnie, ale ja czułam się zupełnie nie na miejscu, nawet wtedy, gdy rano odprowadzałam Aarona do szkoły.

— Wciąż nie wiem, jak to robią Francuzki, ale już przestałam z nimi rywalizować. Trzeba po prostu pogodzić się z myślą, że istnieją pewne różnice kulturowe, i żyć z tym.

Kładę na wózku małego gumowego słonia, którego niemowlę zrzuciło na ziemię.

— Czy to chłopczyk?

— Tak, jeszcze jeden.

Ociera mokrą bródkę niemowlaka ślimakiem zawiązanym wokół jego szyi.

— Ile ma?

— Wczoraj skończył osiem miesięcy.

— Ojej, duży jak na swój wiek.

Wyciągam palec, a niemowlę chwyta go i próbuje włożyć sobie do ust.

— Dzielna jesteś, skoro zdecydowałaś się na podróż z takim maleństwem. Myślałam, że ja robię nie wiadomo co, przyjeżdżając tutaj z Aaronem, kiedy miał zaledwie trzy lata. Czy twój mąż jest w wojsku?

— Och, nie, mój mąż jest malarzem. Jesteśmy tutaj na rocznym stypendium z Uniwersytetu Marylandu. Uczy tam.

— Naprawdę? Mój mąż też jest malarzem. W Filadelfii mieliśmy galerię. Jak nazywa się twój mąż, może znam jego prace?

— Och, Clyde przede wszystkim uczy. Do tej pory miał tylko jedną wystawę, w uniwersyteckiej galerii.

Czuję, że jest zażenowana.

— Dlatego przyjechaliśmy tutaj. Chce się skupić na malarstwie, nazywa się Clyde Dudley. A ja jestem Nina.

— Ja jestem Alice, a mój mąż to Ben Stein.

— Ben Stejn, naprawdę? — Odchyła się do tyłu z wyrazem przyjemnego zdziwienia na twarzy. — To mogło się zdarzyć tylko w Paryżu. Poczekaj, aż powiem Clyde'owi. W zeszłym roku redagował dla University Press broszurę poświęconą współczesnym malarzom i był w niej twój mąż. Próbował nawet namówić członków rady, żeby kupili jeden z jego obrazów do stałej ekspozycji, ale nie chcieli. Sądziłam, że Ben Stein jest o wiele starszy, że to ktoś taki jak Picasso. Wiesz, o co mi chodzi. — Jej twarz pokrywa się rumieńcem.

— Wiem. Pewien mężczyzna, który kupił obraz Bena, myślał, że on nie żyje; chyba był rozczarowany. A Ben ma dopiero czterdzieści siedem lat, ale maluje od trzydziestu. W wieku dziewiętnastu lat miał swoją pierwszą wystawę. Jestem jego drugą żoną. Pobraliśmy się pięć lat temu.

Znowu wygląda na zażenowaną. Ludzie zwykle tak reagują.

— Ben ma dwie starsze córki, dwanaście i czternaście lat — kończę wyjaśnienia. — Do

naszego powrotu mieszkają z jego matką.

Nie ma powodu, żebym opowiadała jej wszystko o nas. Szukam wzrokiem Aarona: razem z Markiem, po drugiej stronie basenu, popycha łódkę. Mark wyrwa mu patyk i Aaron biegnie dookoła basenu w moją stronę. Kończył się czas wypożyczenia łódki.

— Chyba chłopcy mają już dość. Widziałas ten plac zabaw tam? Kosztuje pięćdziesiąt centymów i dzieci mogą bawić się na huśtawkach, zjeżdżalniach i wszystkim, co tam jest.

Przybiega Aaron, żeby poskarżyć się w sprawie patyka.

— Aaronie, idź po łódkę. Idziemy na plac zabaw.

Małec natychmiast zapomina o swoim problemie i biegnie z powrotem, by wyciągnąć łódkę, która podskakuje na wodzie przy brzegu basenu. Mark podaje mu patyk. Zanoszą żaglówkę do mężczyzny przy wózku i wracają biegiem.

— Gdzie idziemy, mamusiu? Przyszedł tatuś?

Nina wyjmuje chusteczkę z kieszeni żakietu i ociera pot z czoła synka.

— Chcesz, żebym ci pomogła z wózkiem, Nino?

— Dam sobie radę, Alice. Przyzwyczyłam się, a poza tym nie jest ciężki. — Nachyla wózek, by zakręcić, i ruszamy. Po chwili spogląda przez ramię. — Umówiłam się z mężem, że spotkamy się przy fontannie albo w hotelu. Tu go chyba nie ma więc pewnie pójdzie do hotelu i tam zaczeka. I tak nie wróci przed szóstą. Poszedł obejrzeć mieszkanie.

— Naprawdę...? Mieszkanie? My z Benem szukamy już od lipca. Jeśli znajdujemy mieszkanie, na które nas stać, to okazuje się, że jest gdzieś na obskurnych peryferiach albo jest za małe i niewygodne. Nie ma szans na znalezienie czegoś sensownego. Jak wam się udało? Mówisz po francusku?

— Och, nie. Uczyłam się francuskiego przez cztery semestry, ale wciąż nie rozumiem ani słowa. Wszyscy mówią tak szybko. Pomagał nam człowiek, który pracuje na romanistyce na uczelni i mówi po angielsku. Zamieniliśmy nasz dom na jego mieszkanie. Jeszcze go nie widzieliśmy. Mam nadzieję, że będzie w porządku. Uczy tutaj na Sorbonie, a teraz jest na Uniwersytecie Marylandu na stypendium Fullbrighta.

— Pewnie mieszkanie w ładnym miejscu. W jakiej *arrondissement* znajduje się to mieszkanie?

— Clyde sprawdzał na mapie i mówi, że to niedaleko stąd, w bok od boulevard Raspail.

Wymawia Raspail z angielska.

— Naprawdę macie szczęście. Szósta Arrondissement jest najlepsza. Ile pokoi?

Gdy patrzy na mnie, między jej brwiami pojawia się głęboka linia.

— W tym kłopot. Właściciel jest kawalerem, dlatego jest to tylko jeden duży pokój z kuchnią i wanną. Jest tam oddzielne pomieszczenie do spania, ale nie wiemy, jak ono wygląda. Mam nadzieję, że jest w porządku. Nie potrafiłabym mieszkać długo w hotelu.

Obraca wózek i pomagam jej wciągnąć go po schodach. Odpoczywamy chwilę na szczycie schodów. Chłopcy biegną do przodu — Aaron zna drogę na plac zabaw.

— Macie szczęście. Nie wyobrażacie sobie, jak trudno znaleźć jakieś lokum, jeśli się nie ma dużo pieniędzy.

To jedna z najpiękniejszych pór dnia. Niebo różowieje, podczas gdy powietrze zdaje się błękitnieć. Takie złudzenie optyczne. Idziemy ścieżką między drzewami. Mijamy teatrzyk, w którym odbywają się przedstawienia kukielkowe: dochodzimy do karuzeli. Dają franka mężczyźnie i chłopcy wdrapują się na skaczące konie. Nina zdążyła już znaleźć dwa krzesła i opuszcza hamulec wózka.

— Zapłacę za krzesła i będziemy kwita. — Uśmiecha się i otwiera torebkę.

— Płaciłaś przy fontannie?

Odpowiada uśmiechem i skinieniem głowy.

— W takim razie nie musisz płacić drugi raz. Bilety są ważne przez cały dzień.

Kładę zabawki pod moim siedzeniem i wiem torebkę na poręczy.

Twarz Niny rozjaśnia uśmiech.

— Zabawna sytuacja. Tam wcześniej. — Pokazuje ręką w kierunku fontanny i pochyla się, by poprawić kurtkę niemowlaka, która zrolowała mu się na plecach. — Tamta malutka starszuszka przyszła z biletami. Domyśliłam się, że chodzi jej o opłatę za krzesło, i byłam na tyle przytomna, żeby zapytać: *Combien?* Wtedy ona mruknęła coś, co zabrzmiało jak: „trzydzieści franków”. Za pokój w hotelu płacimy tylko czterdzieści franków i nie wiedziałam, co zrobić. — Uśmiecha się i opowiada dalej, ale teraz mówi z zamkniętymi oczyma: — Otworzyłam torebkę, chociaż wiedziałam, że nie mam tyle pieniędzy. Wysypałam drobne na rękę, żeby jej pokazać, że nie mam więcej. Nie wiedziałam, co zrobić. — Dopiero teraz znowu patrzy na mnie. Brwi ma ściągnięte, a oczy wesołe. — I wtedy ta miła starowinka wskazała dwie małe, brązowe monety. Dałam je jej, a ona wręczyła mi bilet. Naprawdę, nigdy nie zrozumieję, o co chodzi z tymi pieniędzmi. — Nagle zrywa się z miejsca i rzuca przez ramię: — Popilnuj chwilkę niemowlaka, dobrze?

Podchodzi do poręczy ogrodzenia. Aaron wisi na linie i kręci się wokół własnej osi, a Mark siedzi na ziemi pod drążkiem z linami do wciągania się i płacze. Na widok mamy wstaje i biegnie do niej. Nina wraca po chwili.

— Nic się nie stało. Po prostu kręcił się za szybko i się przestraszył. O czym to mówiłyśmy? Ach, tak, o pieniądzach.

Przesuwamy krzesła dalej od drzewa. Miło jest siedzieć w ciepłe popołudniowe słońca. Zaczynam opowiadać jej naszą historię z francuskimi pieniędzmi.

— Wiesz, kiedy nie mogliśmy znaleźć nic do wynajęcia, Ben uznał, że może kupno małego mieszkania byłoby dobrą inwestycją. Zaznaczyliśmy w „Le Figaro” kilka ogłoszeń, które wydały nam się interesujące, i zaczęłam dzwonić. Już sama rozmowa przez telefon we Francji jest trudna, nawet jeśli doskonale rozumiesz francuski, ale gdy zaczęli podawać mi szczegóły dotyczące cen, to już była zupełna klęska. Czasem podawali je w starych frankach i wtedy brzmiało to jak „quatrevingtquin — ze mille”, a czasem w nowych; wtedy słyszałam „neuf mille” albo „neuf cent mille”. Kazałam im czekać i zapisywałam sobie wszystko na kartce, próbując to rozgryźć. Zawsze okazywało się za dużo, ale nigdy nie miałam pewności i pytałam Bena, gdy wracał do domu. To było naprawdę zabawne. Wciąż szukamy mieszkania, a ja ciągle uczę się francuskiego, żebym w końcu mogła połapać się w tym wszystkim.

— Naprawdę myślisz, że kupicie mieszkanie? To brzmi fantastycznie. Kupujecie cały budynek czy jak?

Popycha wózek w przód i w tył, by zabawić niemowlę. Chłopcy znowu huśtają się na linach.

— Ależ nie. Większość mieszkań w Paryżu to mieszkania spółdzielcze, coś w rodzaju długoterminowej dzierżawy. Kupujesz mieszkanie iłożysz na utrzymanie całego budynku. Strasznie skomplikowane, ale chyba działa. Mam tylko nadzieję, że coś znajdziemy.

— Czy warto kupować mieszkanie, jeśli nie zamierzacie tutaj zostać? A może chcecie zostać?

— Ben mówi, że zostaniemy tutaj, dopóki nie uznamy, że czas wracać. Nasz pobyt w Paryżu jest czymś w rodzaju opóźnionego miodowego miesiąca. Ben sprzedał swoją galerię w Filadelfii, więc mamy dość pieniędzy, jeśli nie będziemy szaleć. Gdybyśmy kupili mieszkanie, latem mogłyby przyjeżdżać dziewczynki.

Nie wiem, dlaczego aż tyle jej o nas opowiadam.

— Ben czuje, że coś się skończyło w jego malowaniu. Twierdzi, że w domu zaczynał się powtarzać. A teraz nie wiadomo. Wydaje mi się, że zmierza dokądś, ale nie wie jeszcze dokąd. Na razie głównie kopiuje w Luwrze i zajmuje się rytownictwem. Wciąż powtarza, że musi się

nauczyć w pełni wykorzystywać farbę.

— Ojej, Clyde na pewno chętnie by z nim porozmawiał. Może spotkamy się, jak tylko zainstalujemy się w naszym mieszkaniu.

— Świetnie. — Nie chcę mówić więcej. Ben przeważnie trzyma się z daleka od artystów. Mówi, że za bardzo balansują na krawędzi życia. — A gdzie teraz mieszkacie, Nino?

— W małym hotelu niedaleko stąd. — Rozgląda się na boki i pokazuje w górę rue Fleurus. — Kilka przecznic dalej.

— Jak się nazywa ten hotel?

— Hotel Little czy jakoś tak. Potrafię znaleźć drogę, ale zupełnie nie mam głowy do zapamiętywania nazw. Właściwie powinnam już wracać, bo Clyde zacznie się niepokoić.

— Założę się, że to jest Hotel Litre. No, to jesteśmy właściwie sąsiadami. Nasz *pension* znajduje się niedaleko, tam gdzie rue Fleurus przecina rue d'Assas. Ja też muszę już iść. Pójdziemy razem?

— Byłoby mi miło.

Wołamy chłopców, którzy bawią się w berka, biegając wokół nas. Wreszcie udaje nam się ich złapać i otrzepać z piasku. Chcą jeszcze pojeździć na *carrousel*, ale Nina martwi się, że się spóźnią. Aaron wyjaśnia Markowi, jak łapie się kółka za pomocą małego *bâton*.

Słońce zeszło bardzo nisko; jest już po szóstej. Za pół godziny strażnicy z Ogrodu zaczną wyganiać wszystkich. Latem park był otwarty do ósmej. Codziennie zamykają go trochę wcześniej. Idziemy jedną z bocznych ścieżek.

— Nie wybiegajcie za daleko do przodu, zaczekajcie na nas! — woła Nina przytłumionym głosem.

Należy do tego rodzaju ludzi, którzy nie potrafią tak naprawdę krzyknąć. Myślę, że nie potrafi też śpiewać.

— Aaron, weź Marka za rękę i poczekajcie przy bramie.

Wiem, że można mu już ufać na ulicy. Jest bardzo dumny z tego, że potrafi zachować ostrożność. Doganiamy chłopców przy bramie. Późnym popołudniem ruch tutaj jest bardzo duży. Rue Guyneme prowadzi prosto do rue Bonaparte, zatłoczonej ulicy biegnącej w stronę rzeki. Biorę Marka za rękę. Wreszcie przez chwilę nic nie jedzie, więc przebiegamy na drugą stronę. Twarz Niny wyraża niepokój.

— Tutejsi kierowcy w ogóle nie zwracają uwagi na pieszych. Przechyliła wózek do tyłu przed krawężnikiem.

— Ben mówi, że nigdy mu nie przeszkadzało, iż nazywa się go pieszym, ale przez te ostrzeżenia tutaj, przy przejściach, „Attendez, pietons”, czuje się w jakiś sposób upokorzony.

— Mieszkacie w pokoju na parterze z dużymi oknami?

— Tak.

— Nasi przyjaciele też w nim mieszkali. Mieli dwójkę dzieci, siedem i jedenaście lat. Chyba zawsze dają ten pokój rodzinom z dziećmi.

— Są mili. Starają się pomóc. Wczoraj wieczorem dziewczyna podgrzała nawet butelkę dla niemowlaka.

Wchodzimy do hotelu. Nina ustawia wózek w holu i wyciąga dziecko.

— Ciekawe, czy Clyde już jest. Nie widziałam nigdzie naszego samochodu.

Podchodzi do recepcji. Krępy, ciemnowłosy mężczyzna spogląda znad gazety.

— Nie ma klucza, więc pewnie już wrócił. — Odwraca się do mnie. — Proszę, Alice, wejdź na chwilę. Chcę, żebyś poznała Clyde'a.

— Dobrze. Ale tylko na chwilę.

Idziemy długim, wąskim, nie oświetlonym korytarzem, aż wreszcie otwiera drzwi po prawej

stronie. Chłopcy wbiegają za nią, ja wchodzę na końcu. Pokój jest duży, z czterema wąskimi łózkami ustawionymi pod ścianą. Komoda i toaletka stoją po drugiej stronie. Z krzesła przy oknie podnosi się lekko łysiejący młody mężczyzna o jasnych włosach. Przechodzi nad otwartymi walizkami leżącymi na podłodze i podchodzi do nas.

Jest wyższy od Bena, ale nie wysoki; ma na sobie białą koszulę z odpiętym kołnierzykiem i poluzowanym krawatem. Zatrzymuje się przy toalecie, wytrzępuje do popielniczki popiół z fajki i chowają do kieszeni. Przypomina typowego amerykańskiego młodzieńca około trzydziestki. Podchodzi z wyciągniętymi ramionami i bierze niemowlę od Niny. Podnosi je nad głowę i huśta w przód i w tył, po czym siada na skraju łóżka z dzieckiem na kolanach. Nie wiem, dlaczego mam wrażenie, że robi to wszystko na pokaz, choć niby zachowuje się naturalnie.

— Clyde, chciałabym, żebyś poznał Alice. Alice, to jest Clyde.

Podchodzi i podaje mu rękę. Zapominam, jak dziwny musi się wydawać Amerykaninowi taki gest. On jednak szybko się orientuje i mocno ściska mi dłoń. Uśmiecha się nad głową niemowlęcia.

— Miło cię poznać. Jesteś pierwszą osobą z Ameryki, jaką poznaliśmy w Paryżu.

— Clyde, nie zgadniesz, kim jest jej mąż. — Twarz Niny wygląda bardzo ładnie w słabym świetle. Odwraca się i patrzy na mnie. — To jest Alice Stein, a jej mąż to Ben Stein.

— Naprawdę, Ben Stein? — Kładzie chłopczyka obok siebie na łóżku. — Słyszałem, że jest w Paryżu; miałem zamiar go odszukać.

Clyde wstaje i wyjmuję fajkę z kieszeni. Na chwilę wkładają do ust, ssie i chowa z powrotem. Mam wrażenie, że jest miękki, choć nie gruby. Rozstawia szeroko stopy i wsuwa ręce do kieszeni.

— Bardzo bym chciał obejrzeć coś, co robi twój mąż. Moglibyśmy się kiedyś spotkać?

— Na pewno, jak tylko się wprowadzicie.

Nina wzięła dziecko z łóżka i zmienia mu pieluchę. W pokoju rozchodzi się drażniący zapach mokrych pieluch zamkniętych w plastikowym pojemniku. Odwraca głowę.

— Clyde, jak tam mieszkanie? Podoba ci się? — W ustach trzyma agrafki. — I co?

On drapie się po głowie i uśmiecha z zakłopotaniem.

— Nie jest to właściwie to, co mieliśmy w domu, ale myślę, że na razie wystarczy. Musisz je sama zobaczyć, Nino. Mieszkanie wygląda zupełnie inaczej niż wszystko, co oglądałaś do tej pory.

Podchodzi do okna i uchyla zasłony, by wyjrzeć na ulicę.

— Problem w tym, że wyłączone są gaz i prąd — mówi dalej, rozmasowując plecy. Nie mam pojęcia, gdzie trzeba pójść, żeby znowu je włączyli; nie rozumiem, co mówi dozorczyńni. — Przysiada na krześle z rękoma na kolanach.

— Znowu bolą cię plecy, Clyde? — Nina przyciska nogi do łóżka, by uchronić niemowlę przed stoczeniem się na podłogę. Stoi z dłońmi opartymi na biodrach. Jej głos wyraża współczucie, ale i nutę irytacji.

— Tak, pewnie nadwerżyłem je wczoraj przy wyciąganiu walizek z samochodu. Ale nie jest tak źle. — Pochyla się do przodu na krześle. — O Boże, a było już tak dobrze od początku lata, nawet przy dźwiganiu w czasie wyprowadzki.

Podchodzi do niego i nie spuszczaając dziecka z oczu, przesuwa dłońmi w górę i w dół jego pleców.

— Boli cię w tym samym miejscu? — Obraca się trochę i przyciska dłoń mocno do jego krzyża.

— Tak, tutaj, nisko, z prawej strony, tak jak poprzednio. Czuję, że powinnam już iść; i tak dochodzi siódma. Aaron i Mark weszli pod łóżko i zachowują się coraz głośniejsz.

— Pójdziemy już. Jeśli chcesz, to pomogę ci pozłatwiać te rzeczy jutro. Mój francuski nie jest zbyt dobry, ale myślę, że będę mogła ci pomóc.

— Naprawdę, Alice? Czujemy się tutaj jak dzieci w lesie, a poza tym Clyde'owi nigdy nie przychodziło łatwo załatwianie podobnych spraw.

— Jasne, chętnie pomogę. Kiedy możemy się spotkać?

— Kiedy tylko ci pasuje.

— Niech pomyślę. Już wiem. Przyjdź po mnie do Alliance Française o wpół do jedenastej, to zabierzemy Aarona z *pension*. Potem będę miała czas aż do dwunastej trzydzieści.

— To bardzo miło z twojej strony, Alice. — Clyde pochyla się do przodu z łokciami opartymi na kolanach. — Czy możesz mi powiedzieć, jak dostać się do tego coś–tam–Française?

— Alliance Française. Bardzo łatwo. Wiesz, gdzie jest boulevard Raspail?

Clyde odpowiada skinieniem głowy.

— W takim razie skręcasz w lewo i to jest po tej samej stronie ulicy, mniej więcej w połowie drogi przed następną przecznicą. Na pewno znajdziesz. Spotkamy się przed wejściem, przy kiosku z gazetami.

Wykonuje ruchy dłonią, jakby wodził palcem po mapie.

— Powiniennem znaleźć. Będę o wpół do jedenastej, dobrze? — Dźwiga się z krzesła.

— Och, nie wstawaj.

Macha ręką, by pokazać, że wszystko w porządku, i podchodzi na sztywnych nogach. Rzeczywiście wygląda trochę blado. Podaje mi rękę.

— Jeszcze raz dziękuję, Alice, i nie mogę się doczekać chwili, kiedy poznam twojego męża.

— Cieszę się, że cię poznałam, Alice — mówi Nina. Dzięki tobie miałam pierwszy wspaniały dzień w Paryżu. Zanim się pojawiłaś, tam w parku, czułam się dość żałośnie.

Jeszcze raz wszyscy ściskamy sobie dłonie i zbieram moje rzeczy. Aaron wciąż chowa się pod łóżkiem.

— Chodź, kochanie, musimy iść.

— Ojej, mamusiu, chcę się jeszcze pobawić.

— Jutro zobaczysz się z Markiem. Tatuś czeka pewnie w pensjonacie.

Wysuwa się powoli spod łóżka.

— Chodź, kochanie — powtarzam trochę zniecierpliwiona. — Już prawie siódma, a chciałam cię jeszcze wyszorować przed kolacją. — Łapię go za rękę i stawiam na nogi. — A zatem jeszcze raz do widzenia. Do zobaczenia jutro.

Wychodzę na szarzejącą o zmierzchu ulicę. Przechodzimy szybko na drugą stronę, a potem przez duże drzwi do pensjonatu. Zapalam światło, przyciskając *minuterie*, i zaczynamy wspinaczkę przez cztery wysokie piętra do naszych pokoi. Aaron wchodzi dzielnie, przesuwając dłonią po poplamionej tapecie marmurkowej. Otwieram drzwi kluczem i przechodzę przez mały przedpokój do głównego pokoju. Ben siedzi przy oknie i czyta książkę.

— Ben, przepraszam, że tak późno. Poznałam w parku miłą kobietę i poszłam z nią do jej hotelu.

Zdejmuję żakiet i rozpinam ubranie Aarona. Ben zagina róg strony i zamyka książkę.

— Tak myślałem. Nie martwiłem się. Właśnie zastanawiałem się nad jakąś wymówką dla pana Le Granda.

Pan Le Grand jest zniewieściałym osobnikiem, który prowadzi nasz pensjonat. Aaron wyskakuje ze swojej kurtki tak szybko, że wyciąga rękawy na lewą stronę. Ben zatrzymuje go.

— Cześć, dobrze się bawiłeś?

— Tak, znalazłem w parku prawdziwego amerykańskiego chłopca, ma tyle lat co ja i mówi po amerykańsku. — Aaron wije się i wrywa, aż wreszcie siada na kolanach taty. — A jego tato też

jest malarzem. Fajnie, co? Może on jest moim bratem. Ben spogląda na mnie. Podchodzę i całuję go w czoło.

— Zgadza się. Uczy na Uniwersytecie Marylandu. Ma bardzo miłą żonę, ładna i młoda. Mają dwóch chłopców; młodszy ma dopiero osiem miesięcy.

— Jaki on jest? — Ben zawsze wyczuwa unik z mojej strony. — Zaczekaj, aż Aaron pójdzie spać.

Ben kiwa głową.

— Chodź tutaj, małpko. Czas zmyć z ciebie trochę brudu, zanim pójdziemy na kolację. Nalewam wody do bidetu.

— Ben, rozbierz go, a ja pójdę po piżamę, dobrze?

Wychodzę do przedpokoju i otwieram kluczem drzwi do naszej garderoby, połączonej z pokoikiem, w którym śpi Aaron. Okno wychodzi na szyb wentylacyjny, więc zwykle jest tam ciemno. Zapalam światło i wydaję czystą piżamę, a brudną rzucam na stos rzeczy przygotowanych do prania. Czas na kolejną wizytę w pralni samoobsługowej. Gdy wracam do dużego pokoju, od razu zauważam różnicę w oświetleniu: ten z kolei jest bardzo widny, nawet wieczorem. Ma cztery okna balkonowe sięgające aż do sufitu. Aaron biegnie do mnie na golasa. Biorę go na ręce i niosę do bidetu. Francuzi pewnie używają go do innych celów, ale bidet to przede wszystkim doskonała wanna dla dzieci. Aaron siedzi z nogami szeroko rozstawionymi i przeprowadza badania; odciąga napletek i ścisza. Klękam i szoruję mu plecy myjką.

— Znalazłeś dzisiaj coś ciekawego?

Ben bierze gazetę z obramowania marmurowego kominka. Rano zaznaczyliśmy numery, pod które miałam zadzwonić. Opiera się o gzyms i obraca się w stronę okna. Dzięki odbiciu w lustrze widzę go od przodu i z tyłu. Jego duża twarz o indiańskich rysach wyglądałaby raczej ponuro, gdyby nie uśmiech jego miękko zarysowanych ust i oczy pełne zrozumienia.

— Kochanie, proszę, zapal światło; zepsujesz sobie oczy. A poza tym nie widzę, gdzie mam myć.

Podchodzi do przełącznika przy drzwiach i zapala górne światło.

— Jedyne ciekawy adres to ten przy Notre-Dame des Champs. Trzy pokoje, łazienka i kuchnia, i tylko na trzecim piętrze, ale chcą sześćdziesiąt tysięcy franków.

— Ile metrów kwadratowych?

— Chyba siedemdziesiąt.

— To dużo pieniędzy, ponad dwanaście tysięcy dolarów, ale może warto to obejrzeć, żebyśmy mieli pojęcie, co można kupić za takie pieniądze.

— Umówiłem się, że przyjdę obejrzeć je jutro o trzeciej.

Kończę myć Aarona. Pocieram nadgarstkiem swędzący nos, po czym wyciągam korek i wypuszczam wodę. Aaron wkłada palce do otworu. Stawiam go i owijam w ręcznik, po czym przenoszę go na łóżko, gdzie zostawiłam piżamę, i energicznie wycieram. Nauczył się szczerkać zębami i lubi udawać, że jest mu zimno. Wkładam mu górę piżamy, zdejmuję z jego nóg ręcznik i naciągam spodnie. Aaron biegnie przez pokój i wskakuje na Bena. Tata obejmuje go ciasno ramionami, a on wyswobadza się stopniowo, wkładając mu, jak zwykle, dwa palce do ust. Patrę na zegarek: dwadzieścia po siódmej. Wycieram ręce i masuję twarz szorstkim ręcznikiem. W małej łazience w rogu pokoju zaciągam zasłonkę i włączam światło nad umywalką. Zaczęsuje włosy do tyłu i ponownie ściągam je w kucyk, po czym gaszę światło i wracam do pokoju. Ben i Aaron leżą nieruchomo. Oczy mają zamknięte. Z komody między oknami wydaję szlafrok Aarona: jest żółty w szare pasy z nie strzyżonego materiału, a Aaron wygląda w nim jak miniaturowy zawodowy boksera.

— Hej, idziemy; już prawie wpół do ósmej.

Ben bierze go na ręce i rusza do drzwi.

Schodzimy do jadalni piętro niżej. Stoły są już w połowie zajęte. Uśmiechamy się do tych, którzy patrzą na nas, i zajmujemy nasze miejsca. Ben siada na samym końcu tyłem do okna, a ja pod ścianą. Wyjmuję serwetkę Aarona i mocuję mu ją pod brodą. Mały ma specjalne podwyższone krzesło. *Hors d'oeuvres* czekają już na stole. Tym razem jest to jakiś *pâte* z trzęsącą się zieloną galaretką na wierzchu. Ben spogląda na mnie i ochoczo zabiera się do jedzenia. Aaron nie chce nawet tknąć swojej porcji i wcale go za to nie winię. Ben sięga po talerz Aarona i pałaszuje dalej. Nie może znieść, gdy coś się marnuje. Ja dłubię w swojej galarecie: jest odrażająca.

Przez pomalowaną na kolor bladożółty jadalnię ciągną się dwa długie stoły, przy których może zasiąść około dwudziestu pięciu osób. Zamiast żelaznego psa, jak u nas, na gzymsie stoi marmurowy lew. Sala byłaby całkiem przytulna, gdyby nie dwie neonowe lampy zawieszono wysoko na suficie, które rzucają na wszystko upiorne niebieskawe światło. Bez względu na to, ile osób znajduje się w jadalni, i tak zawsze wydaje się pusta. Staje się bardziej przytulna dopiero wtedy, gdy po kolacji obłoki papierosowego dymu przesłonią ogromne połączenie białego sufitu, tylko że wtedy śmierdzi.

Monsieur Le Grand zaczyna kursować posuwistym krokiem do kuchni i z powrotem; odnosi brudne naczynia i przynosi nasze *entrée*. Zwykle ubiera się w jedwabne koszule, najczęściej żółtozielone, mocno rozpięte, spod których wystają kępki siwiejących włosów.

— Alice, chcesz, żebym to skończył?

Monsieur Le Grand nie zaczyna obsługiwać żadnego z nas, dopóki nie skończymy wszyscy troje.

— Nie, Ben, dam radę.

Nalewam sobie trochę wina. Jest cierpkie i pomaga mi pozbyć się uczucia kleistości w ustach.

Monsieur Le Grand podpływa do nas i stawia trzy talerze. Stek z frytkami; najlepsze danie z całego tygodnia. Ben zabiera się do swojego, a ja kroję na kawałki połowę steku Aarona. Mały zaczyna jeść frytki, biorąc po jednej i maczając w soli, której mu nasypałam na talerz. Porcje są małe, ale jedzenie smaczne.

Ben nalewa sobie wina i jednym haustem opróżnia kieliszek do połowy. Zjadł już połowę swojego steku, a ja wciąż żuję pierwszy kęs. Zagaduję go, żeby zmusić do wolniejszego jedzenia.

— Jak tam praca dzisiaj, kochanie?

— W porządku. Skończyłem trzeci kamień i pracowaliśmy nad tuszami. Ci faceci naprawdę znają się na swojej robocie. Czasem, gdy chodzi o dobieranie kolorów, czuję się przy nich jak dzieciak. To prawdziwi fachowcy.

Wsuwa do ust kolejny kawałek mięsa odwróconym widelcem, który trzyma w lewej ręce. W prawej wciąż trzyma nóż. Ben przejął europejski styl jedzenia w pośpiechu. Bardzo mu się podoba efektywność takiego sposobu spożywania posiłku.

— O co chodzi, Ben? Jesteś jakiś podkręcony. Przez długą chwilę patrzy mi prosto w oczy.

— Człowiek cały dzień siedzi na ławce, próbując dopasować kamienie, a potem objąć je myślą jednocześnie. — Milknie i zaczyna żuć. — A potem kolor. — Nadziewa na widelec trzy frytki. — Chyba nie jestem stworzony do takiej dokładnej pracy. Czasem mam ochotę rzucić to wszystko i wziąć się do rzeźbienia czegoś prawdziwego. Myślałem, że kopiowanie to coś trudnego, ale te litograficzne bzdury doprowadzają mnie do szału. — Połyka jedzenie i dopija wino. — Ma to też i swoje dobre strony; zmusza mnie do myślenia. Boże, ale byłem rozpuszczony. — Nalewa mi wina i napełnia ponownie swój kieliszek. — Piekielnie żałuję, że nie poświęciłem więcej czasu takim sprawom, kiedy byłem młody. Czasem chciałbym wszystko potłuc i składać od nowa. To, co dotąd robiłem, to zwykła chlapanina. A myśleliśmy, że jesteśmy

tacy wspaniali.

Rozmawiając, przez cały czas je i popija wino. Moja mama chyba by umarła, gdyby go widziała. Wciąż się dziwię, że mnie to nie przeszkadza. Jakbym patrzyła na jedzącego konia.

— Powinnaś zobaczyć twarze tych facetów, gdy nieraz wy — chłapie mi się trochę tej packi. Są mistrzami w swoim zawodzie, ale to tak, jakby zaprząć rasowego konia do wozu z lodem. Wstyd. Są zadowoleni, kiedy wiem, o jaki kolor mi chodzi i mam go już do trzeciej próby.

Aaron zaczyna się wiercić i zsuwa się pod stół. Pojawia się monsieur Le Grand i zabiera talerze.

— *Qu'est-ce que je vous donne, madame Stein?*

Wymawia moje nazwisko, wydając dźwięk przypominający szarpanie gumowej opaski. Aaron wystawia głowę nad krawędź stołu.

— *Gâteau sec et une banane.*

Zawsze zamawia to samo. Monsieur Le Grand układa wąskie wargi w uśmiech, przekrzywiając głowę. Ben zamówił *gruyere*, a ja jabłko. Gdy monsieur Le Grand stawia przed nami desery, Ben kładzie trochę musztardy na brzegu swojego talerza, odkrawa kawałek żółtego sera, macza w musztardzie i wsuwa go do ust razem z kawałkiem chleba. Aaron pogryza cztery ciasteczka na przemian z bananem. Dzielę moje jabłko na cztery części i usuwam z nich pestki. Francuskie jabłka nie należą do najlepszych, przynajmniej nie te podawane w pensjonacie.

— Ben, obiecałam tej młodej parze, którą dzisiaj poznałam, że pomogę im przy przeprowadzce. Słabo mówią po francusku, a mają się wprowadzić do mieszkania przy Raspail. Mają wyłączone gaz i światło i nie wiedzą, co trzeba zrobić, żeby znowu im je włączyli. Popilnujesz Aarona jutro rano po moich lekcjach?

— Oczywiście. I tak chciałem go zabrać do zoo. Mieszkanie? Od jak dawna są tutaj?

— To ich pierwszy dzień. Mieszkanie należy do przyjaciela z jego szkoły, Francuza. Zamienili się na domy, czy coś w tym rodzaju. — Położę spać Aarona. Zostaniesz czy też pójdziesz na górę?

— Przyjdę na górę za pół godziny, dobrze? Możesz się zdrzemnąć, gdy Aaron zaśnie. — Nalewa sobie jeszcze wina.

Biorę Aarona na ręce. Z każdym dniem staje się coraz cięższy. Zabieram klucze. Powietrze w korytarzu wydaje się czyste i chłodne. Z kuchni uśmiecha się do mnie zmęczona madame Le Grand. Nie zamykam drzwi na zamek, tak by Ben mógł wejść, gdy wróci. Pakuję Aarona do łóżka w małym pokoju, całuję go na dobranoc, zdejmuję buty i kładę się w ciemności na łóżku w dużym pokoju.

Ben siedzi na krawędzi łóżka; pocałował mnie przed chwilą i pogładził moje czoło; dziwne, że tak ciężko pracujący mężczyzna może mieć takie delikatne i wrażliwe dłonie.

— Masz ochotę na spacer, kochanie, czy wolisz już się położyć?

Powieki opadają mi ciężko; jest mi wygodnie i ciepło. Przyciągam do siebie jego głowę. Jesteśmy już małżeństwem od ponad pięciu lat, a on za każdym razem reaguje już przy pierwszym dotyku.

— Zaraz będę gotowa, Ben. Po prostu rozkoszuję się ciszą i spokojem.

Całuje mnie pod uchem, wstaje i podchodzi do umywalki; parkiet skrzypi pod jego nogami. Wciera zimną wodę w twarz i włosy. Nigdy nie widziałam, żeby używał grzebienia. Szukam stopą butów, wstaję i przeciągam się. Ben podchodzi do mnie, obejmuje mnie w pasie i podnosi do góry. Patrzę za okno — po drugiej stronie parku widać rześkie oświetlony Panteon.

— Chodźmy nad rzekę. Jest pogodna noc, a ja chciałabym zobaczyć oświetloną Notre Dame.

Idę poprawić włosy przy umywalce, zerkam jeszcze tylko na Aarona: śpi twardo. Gaszę

światło i schodzimy na dół. Państwo Le Grand będą nasłuchiwali.

Samochody suną, mrugając żółtymi światłami przy przecnicach. Dzięki temu miasto spowija aura tajemniczości; nawet pojazdy wydają się romantyczne. Idziemy do bramy parku. Ogrodzenie wokół Ogrodu Luksemburskiego ma jakieś piętnaście stóp wysokości i spiczaste zakończenia u góry. Metalowe pręty wyrastają z betonowego murka o wysokości około dwóch stóp. Aaron uwielbia chodzić po nim, trzymając mnie za rękę. Teraz biorę za rękę Bena.

Przecinamy rue Vaugirard. Tutaj ruch nie jest zbyt duży. Budynek seminarium z prawej strony wydaje się całkowicie opuszczony. Zastanawiam się, jaka jego część jest wykorzystana. Na ulicę wylewa się woda z małej fontanny obok budynku. Skracamy za róg i wychodzimy na place St-Sulpice. Grupka dzieci bawi się jeszcze przy fontannie; betonowe lwy wydają się ogromne w świetle lamp. Ben osłania dłonią oczy i zagląda przez szklane drzwi do wnętrza galerii.

— Tyle ich jest w tym pieprzonym mieście.

Idziemy dalej ulicą. Po chwili Ben przerywa milczenie. — Jaki jest ten facet, którego poznałaś dzisiaj? W pierwszej chwili nie wiem, kogo ma na myśli.

— Och, ten młody malarz, Clyde. Próbuje poskładać wszystko.

— Wydał mi się jakiś miękki. Przystojny i dość męski, ale może trochę maminsynek. Miły i naprawdę chce się z tobą spotkać. Trudno powiedzieć, ale nie wygląda na kogoś, kto by potrafił malować.

Mijamy sklepione przejście, które prowadzi przez Institut de Mazarin. Budynek jest w trakcie czyszczenia: połowa lśni żółtą nagością w świetle reflektorów, druga połowa jest wciąż szaroczarna. Kopułę okalają rusztowania; umieszczony pod nią zegar pokazuje za pięć dziesiątą.

— Wielu chłopaków po college'ach ma głowy pełne własnych teorii, Alice. Musi być im trudno malować czysto, jeśli wokoło tyle nonsensu.

Ben naciska guzik sygnalizacji. W tym miejscu pojazdy płyną nieprzerwanie. Zmienia się światło i ruszamy szybko. Kiedy biegniemy, Ben trzyma mnie pod łokcie. Lubi biegać.

— Mam nadzieję, że będę mogła im jutro pomóc. Czasem Francuzi są bardzo nieprzyjemni w najprostszych sprawach.

Wychodzimy na Pont des Arts i siadamy na ławce zwróconej w górę rzeki, w stronę wyspy. Mój wzrok przyciąga bujna zieleń drzew na cyplu LeVert Galant. Wzdłuż rzeki wieje lekki wiatr. Ben spogląda za rzekę, na Notre Dame. Widać oświetlone wieże na tle nieba.

— To zabawne, jak bardzo pomaga takie banalne światło; można by się spodziewać, że wyjdzie z tego blichtr, a tak nie jest. Zbyt mocno tkwi w swoich czasach, by cokolwiek mogło ją zranić.

Ot, takie sobie ważne stwierdzenie. Nie trzeba nawet wierzyć w to, co mówi.

Pod mostem pojawia się światło *Bateau Mouche*, gdy statek przepływa pod nami; na jego zadaszonym szkłem pokładzie widać jedzących ludzi. Słychać też cichą muzykę. Biało niebie — skie oczy światła statku i cichy, sterylny szum wody mają w sobie coś groźnego.

Idziemy dalej wzdłuż mostu.

— Chryste, Alice, chcę wreszcie dokonać czegoś ważnego. Tymczasem za każdym razem, gdy zaczynam się czemuś przyglądać, okazuje się, że to dzwoneczki i świecidełka. Można oszaleć. Przez cały czas boję się, że nawet jeśli to znajdę, okaże się, że nie jest nic warte. Tak jakby to było przede mną, a ja bałbym się spojrzeć.

Schodzimy z mostu po schodach i skręcamy w kierunku Pont Neuf. Ściana Luwru, podobna do więziennego muru, jest oświetlona. Jej widok jest znośny tylko dzięki zieleni oświetlonych drzew wzdłuż rzeki.

— Ktoś kiedyś dozna olśnienia i to będzie to. Coś, co zmienia ludzi. A nie tylko interpretacja tego, co się wydarzyło. Cholera, mam nadzieję, że dożyję tej chwili. Artyści znowu będą coś

znaczyć. A niech to; chciałbym być tą osobą. Czuję się taki skrępowany, za każdym razem, kiedy spotykam innego artystę albo choćby słyszę o nim, zastanawiam się, czy to nie on, i jestem zazdrosny. Może to nawet ten facet, którego poznałaś dzisiaj. Kto wie? — Ben kopie kilka opadłych liści.

— Szkopuł tkwi w tym, że niewielu ludzi próbuje. Wszyscy są cholernie zajęci powtarzaniem, że jedyną ważną rzeczą jest to, że nic nie jest ważne.

Gdy mijamy *pissoir*, uderza w nas ciężki, piźmowy zapach.

— Znam ten wyścig szczurów. Jeśli to ma tak wyglądać, w takim razie lepiej w ogóle dać sobie spokój. Obrazowanie na płótnie znaczenia nieważności przypomina wylewanie wody z łodzi sitem; człowiek ma wrażenie, że coś robi. Niech mnie szlag, jeśli będę dłużej marnował czas w taki sposób. Lepiej rozejrzeć się za czymś innym, zabrać się do polityki, pracy społecznej czy nawet nauki. Boże, jakie to zniechęcające.

Skręcamy na Pont Neuf. Po lewej stronie znajdują się moje ulubione budynki w Paryżu — kilka domów mieszkalnych wzniesionych na wyspie; idealne miejsce.

— Zejdźmy do parku i popatrzmy na zakochanych.

Ciągnie mnie po kilku stopniach prowadzących na platformę, na której Henryk IV jedzie pod prąd na kamiennym koniu. Schodzimy po stromych schodach za pomnikiem. Czytałam w przewodniku, że wszystko tutaj zbudowano z kamieni pochodzących z Bastylli. Wciąż roznosi się tu woń rozpaczy, starego moczu i nie tylko. Na samym dole obracamy się i patrzymy na park — jedyny otwarty po zapadnięciu zmroku. Światła reflektorów oświetlają drzewa i trawniki. Latem schodzą się tu młodzi ludzie z różnych stron świata. Grają na gitarach, bębnach i tańczą na schodach albo dalej na cyplu. Męczy mnie obserwowanie ich, podobnie jak w czasach szkolnych, kiedy próbowałam być dziewczyną z college'u, zdobyć chociaż jednego mężczyznę. Wszystko było takie szalone. Mimowolnie zaglądam w oczy tutejszych dziewcząt w poszukiwaniu tego beznadziejnego wyrazu wiecznej nadziei.

Wchodzimy do parku przez małą żelazną bramę. Po prawej stronie wznosi się góra piachu, w którym czasem pozwalałam bawić się Aaronowi po kilku godzinach spędzonych w Luwrze. Obserwujemy wtedy przepływające łodzie i jest wesoło, tylko że potem Aaron jest bardzo brudny.

Ścieżka biegnie elipsą wokół trawnika pośrodku parku. Na ławkach siadają starszuszki i zakochani. Patrę na dziewczyny i zastanawiam się, czy rzeczywiście są tak bardzo podniecone, jak wyglądają. Trudno mi uwierzyć, żeby to było możliwe w miejscu publicznym. Ben wciąż powtarza, że chciałby spróbować pieszczot w takim miejscu; pewnie by nas aresztowali.

Park jest mały, więc znowu dochodzimy do bramy.

— Chodźmy na cypel, Alice; byłem tam kiedyś i odkryłem coś ciekawego.

Stąpając po nierównych kamieniach pasa okalającego park, docieramy na koniec Cite. Jesteśmy sami.

— Patrz, Alice, jeśli staniesz tutaj i skupisz się tylko na wodzie i zewnętrznej stronie murku, doznasz fantastycznego uczucia, jakbyś spadała do tyłu. — Ben stoi nieruchomo wpatrzony w wodę. — Trochę trudniej jest w ciemności. Nie, teraz też tak było, ale już po wszystkim. Naprawdę dziwne uczucie.

Przyciąga mnie do siebie. Stawiam stopy na betonowej krawędzi i patrę w dół. To tutaj tego lata widziałam kilka szczurów. Staram się skoncentrować, ponieważ Ben nalega, ale nic nie czuję.

— Pewnie za bardzo się opieram albo nie potrafię się skupić. — Patrę jeszcze chwilę w wodę, lecz rozpraszają mnie jakieś odgłosy. — Wystarczy, Ben. Wracajmy, robi mi się zimno.

Ben obraca mnie w miejscu i idziemy na drugą stronę parku. Wychodzimy po schodach na

poziom ulicy. Odgłosy ruchu ulicznego przypominają życie po śmierci.

— O rany, Alice, szkoda, że dzieciaki tego nie widzą... spodobałoby im się. Ostatnim razem były jeszcze za małe, a Greta tak chorowała, że nie miałem ochoty na żadne przyjemności.

To jedna z tych spraw, o których Ben nie rozmawia ze mną zbyt wiele. Opowiedział mi całą tę historię, zanim poprosił mnie o rękę, ale w ciągu ostatnich pięciu lat tylko dwa lub trzy razy wspomniął o Grecie. W milczeniu dochodzimy do świąteł.

W czasie drugiej wojny światowej Ben nie chciał iść do wojska z powodu przekonań religijnych, dlatego został przydzielony do szpitala psychiatrycznego gdzieś na północy stanu Nowy Jork. Greta pracowała tam jako pielęgniarka. Pobrali się po wojnie. Ben opowiadał, że zawsze była spięta i nerwowa, ale po urodzeniu Selmy zupełnie się załamała. Wyszła ze szpitala dopiero po sześciu miesiącach, a niemowlęciem musiała się opiekować matka Bena. Lekarze doradzali zmianę otoczenia, więc przenieśli się do Meksyku i przez rok mieszkali nad jeziorem, na przedmieściach Guadalajary. Stan zdrowia Grety poprawił się i można się było z nią o wiele lepiej porozumieć. Niedługo po powrocie okazało się, że znowu jest w ciąży. Tym razem spędziła w szpitalu niemal rok i tam urodziło się dziecko. Także i wówczas matka Bena zabrała do siebie niemowlę, a Ben sprowadził się do niej z powrotem.

Ben opowiadał, że Greta wróciła ze szpitala odmieniona. Mówiła monotonnym głosem, ledwo otwierając usta. Wydawało jej się, że trzyma coś w ramionach. Wodziła za czymś oczami, nie poruszając głową, jak jaszczurka. Doktor zalecił jeszcze jedną podróż, dlatego przyjechali do Paryża, ale sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót. Wrócili więc do domu, a potem ona zniknęła. Po trzech dniach Ben znalazł ją pod łóżkiem. Weszła tam, zażywając wcześniej zbyt dużo pigułek nasennych. Benowi wydawało się, jak mi mówił, że osiwił w ciągu pół roku.

— Alice, chodźmy do Boul Mich na lody.

Przechodzimy przez ulicę na drugą stronę mostu. Ben wie, jak bardzo lubię lody. Po lewej stronie migocą światła odbite w rzece, z prawej zaś dobiega nas odgłos pędzących samochodów. Spoglądamy przez ulicę na Laperouse, gdzie można wydać sto czterdzieści franków na jeden posiłek. Budynek jest dość tosty z frontem pomalowanym na brązowo. Przez otwarte okna widać w środku wszystkich tych wystrojonych ludzi obsługiwanych przez kelnerów we фракach. Białe obrusy, refleksy ze sreber i luster mieszają się z żółtymi światłami, kontrastując z szarością okolicznych budynków i niebieskoczarnym tłem nieba.

Dochodzimy do place St-Michel. Duża, oświetlona fontanna wyrzuca strugi srebrzystej wody spod stóp anioła i z pyska smoka.

— Gdzie chcesz usiąść? Tutaj czy dalej, na Boulevard?

— Chodźmy tam, gdzie mają takie dobre lody po tej stronie Chiny. Nie trzeba tam tyle stać i łatwiej o miejsce.

Światło zatrzymuje samochody na skrzyżowaniu w górze ulicy przy Boulevard, więc przebiegamy szybko, gdyż od rzeki jadą już następne. Wchodzimy na wzgórze. Zawsze mam wrażenie, że wszyscy idą w przeciwną stronę; jakbym płynęła pod prąd.

— Zaczekaj chwilkę, Alice.

Ben wchodzi do *pissoir*. Oglądam buty na wystawie. Szkoda, że Francuzi nie dbają o potrzeby kobiet tak bardzo, jak troszczą się o mężczyzn. Mija mnie przystojny młody mężczyzna; zerkam w jedną i w drugą stronę, udając, że czekam na kogoś. Idzie dalej. Gdy Ben wychodzi, biorę go pod rękę.

— Ile podrywek?

— Tylko jedna. — Zaniedbujesz się.

— To ty jesteś coraz szybszy.

— Dzisiaj nie było kolejki.

Ben prowadzi mnie przez przejście dla pieszych w kierunku stolików kawiarni. W drugim rzędzie z tyłu jest jeden wolny. Wolimy siadać tutaj. Gości z pierwszych rzędów zawsze nagabują handlarze dywanów, żebracy i wędrowni aktorzy. Z tyłu można równie dobrze obserwować przechodzący tłum, a jest bardziej przytulnie. Podchodzi kelner.

— *Quelles glaces avez-vous?*

Ben mówi z okropnym akcentem. Zawsze pyta w ten sam sposób, choć wie, że oboje chcemy lody czekoladowe. Kelner zaczyna wymieniać kolejne smaki monotonnym głosem, wpatrzony w przechodniów ponad głową Bena.

— *Deux glaces au chocolat, s'il vous plaît.*

Czuje, jak Ben kładzie dłoń na moim kolanie pod stołem. Przykrywam ją moją.

Kelner przynosi szklankę wody, a w niej dwie łyżki, oraz dwie porcje sorbetu, każda z gałką lodów czekoladowych. Na wierzchu każdej porcji sterczy trójkątny wafel. Używam go zamiast łyżeczki, odgryzając po kawałku. Ben woli łyżeczkę. Kelner wsuwa *addition* pod pucharek Bena. Lody są dobre jak na Paryż, ale to zaledwie namiastka Bryerly's czy Supplée, jakie sprzedają w Filadelfii. Francuskie lody są zbyt lodowate.

Przed nami płynie tłum. Widzę, że Ben próbuje jeść wolniej resztkę swojego loda, więc przyspieszam.

— Wiesz, Alice, słyszę i czuję, jak to miejsce wraca do życia po lecie. Liście szeleszczą inaczej, sztywniej. W czasie upału ich dźwięk czasem wydawał się zwarzony, ocierały się o siebie miękko. Teraz znowu je słyszę. Ludzie na ulicach poruszają się szybciej. Rano, kiedy szedłem do pracy, splukiwali wodą rynsztoki, niby jak zwykle, ale już nie było tak samo. Woda nie wsiąkała w rozgrzany beton. Nie czuło się już zapaszku mokrego betonu, a woda spłynęła szybko z powrotem do rzeki. Już nie tak samo. — Otwiera oczy i siada prosto na krześle. Bierze rachunek i sięga do kieszeni.

— Już kończę, Ben; znajdź kelnera i zapłać. Wracajmy lepiej do Aarona.

Idziemy w stronę Ogrodu Luksemburskiego i dalej, do rue de Medicis. W ciemnym parku widać tył Italianate, barokowej fontanny zakochanych zbudowanej dla Marii Medycejskiej, aby jej przypominała Florencję w środku Paryża. Zatrzymujemy się przy Agence d'Immeuble, by sprawdzić ogłoszenia. Jest osiem nowych ofert, dwie w granicach naszych możliwości finansowych. Postanowiliśmy, że nie wydamy więcej niż pięćdziesiąt tysięcy franków albo dziesięć tysięcy dolarów. Jedno z mieszkań kosztuje tylko trzydzieści tysięcy, ale jest na szóstym piętrze i nie ma windy; tylko dwa pokoje, bez łazienki i daleko, aż w dwudziestej *arrondissement*. Drugie znajduje się w czternastej, ma trzy pokoje i kosztuje czterdzieści pięć tysięcy. Na czwartym piętrze i ma *salle d'eau(l)* — Postanawiam sprawdzić je następnego dnia. Idziemy dalej rue de Seine, mijamy strażnika z dużym karabinem, owiniętego w płaszcz i schowanego w małym betonowym pudełku. Uśmiecha się i życzy nam dobrej nocy. Ben zatrzymuje się i patrzy w dół rue de Iburnon.

— Alice, zwróciłaś kiedy uwagę na tę ulicę?

— Co masz na myśli? — Chodzę nią niemal codziennie.

— Jest jak z obrazu. Widać tu wszystkie elementy, jakie stosuje malarz, chcąc zaakcentować przestrzeń, złamać płaszczyznę płótna. Widzisz, tutaj ulica jest szeroka i stopniowo się zwęża. Potem schodzi w dół zbocza, tak że poziom oczu jest wysoko. Nawet budynki po obu stronach zmieniają odpowiednio wielkość. Zupełnie jak na obrazie. To tylko odległość jednej przecznicy do St-Sulpice, a wydaje się, jakby było trzy razy dalej, prawda?

Oczywiście ma rację. Po prostu nigdy na to nie zwróciłam uwagi. Czasem zastanawiam się nad tym wszystkim, czego nie zauważam.

— Fantastyczne, Ben.

— Myślę, Alice, że to jedna z najlepszych rzeczy, jakie można zobaczyć w Paryżu.

Mijamy drugiego strażnika. Nie wiem, czy w ogóle nas zauważył.

Przechodzimy obok małej restauracji z czerwonymi obrusami na stołach. Ceny z menu zaczynają się od siedemnastu i pół franka, całkowicie poza naszymi możliwościami, ale obiecaliśmy sobie, że pójdziemy tam zjeść któregoś dnia, kiedy będziemy mieli co świętować. O tej porze restauracja jest zamknięta; *chef* i kelnerki siedzą przy stole i popijają kawę.

.Dochodzimy do pensjonatu i naciskam guzik dzwonka, by otworzono nam duże spiżowe zielonoczarne drzwi. Klamka, x mosiądzu, jest gładka i wytarta do lśniącej zieleni. W korytarzu stoją duże kubły na śmieci. Ruszamy na górę po schodach.

Sprawdzam, czy Aaron śpi, myjemy się i wsuwamy do łóżka. Cudownie jest spać z Benem; jest włochaty i nigdy nie nosi piżamy, nawet zimą.

ROZDZIAŁ 3

CLYDE

Budzę się o wpół do dziesiątej. Nina poszła już z dziećmi do parku. Poprawiam poduszkę i zakładam ręce za głowę. To jest życie. Na stoliku przy łóżku stoi dzbanek z herbatą i leżą bułki. Biorę poduszkę Niny i podkładam ją sobie pod plecy, nalewam herbaty do filiżanki, wrzucam dwie kostki cukru. Jest właściwie zimna, ale smakuje mi. Światło wpadające przez szczelinę między zasłonami, miękkie, jasnożółte, rozlewa się po ścianie przede mną. Stawiam sobie filiżankę na piersi, zamykam oczy i wsłuchuję się w odgłosy z zewnątrz: samochody, rozmowy, kroki.

Wyciągam spod łóżka moją książkę i próbuję czytać. Colette jest w porządku, idealna na Paryż, ale nie mogę się skoncentrować. Ktoś podarował nam ją jako prezent *bon voyage*. Biorę następną bułkę. Ale życie już takie nie jest; przez cały czas mówią tylko o tym, z kim znowu wskoczą do łóżka. Została jeszcze jedna bułka, muszę jednak uważać na siebie — rośnie mi brzuch; wszystko w porządku, gdy leżę na wznak. Jeszcze raz patrzę na zegarek. Decyduję się w końcu na poranne ablucje.

Początkowo z obu kurków leci zimna woda, potem jednak z tego z oznaczeniem C zaczyna lecieć cieplejsza. Potem otwieram przybory do golenia, wyciskam trochę pianki i rozcieram ją na twarzy. Niezły początek dnia; będę musiał wymyślić, jak uruchomić tutaj elektryczną golarkę. Żarówka nad zlewem jest przezroczysta i widać wyraźnie napis: dwieście czterdzieści volt. Oprawka też jest inna. Musi być jakiś adapter. Pianka jest chłodna i ciężka i spływa, nie roztapiając się za każdym razem, gdy spłukuję maszynkę. Na koniec myję zęby. Sprawdzałem wszystkie przed wyjazdem — żadnych ubytków. Patrzę na zegarek, który zostawiłem na krawędzi zlewu, piętnaście po. Zakładam go z powrotem na rękę.

W drzwiach szafy jest jeszcze jedno lustro. Wciągam brzuch i obracam się bokiem. Wypuszczam powietrze. Boże, trzydzieści jeden lat i już brzuch. Masuję sobie plecy; nic nie boli. Może jestem tylko psychoneurotykiem albo coś takiego. Ból zawsze pojawia się w trudnych chwilach, tak jak wczoraj, kiedy oglądałem tamto mieszkanie.

Robię głęboki przysiad i dalej wszystko w porządku. Jeszcze raz i kładę dłonie na biodrach. Podskakuję kilkakrotnie; deski podłogi trzeszczą. Cholerny kutas prawie dotyka podłogi. Trochę takich ćwiczeń codziennie rano pewnie by pomogło. Jeszcze raz sprawdzam godzinę.

Wyjmuję czyste slipy i podkoszulek; brudne rzucam na stos na dole szafy. W środku pachnie jak mokre pieluchy. Moje szare flanelowe spodnie wiszą na krześle. Z walizki wyciągam czystą koszulę; jeszcze pachnie proszkiem. Wyciągam też stary ciemnoszary sweter. Chyba nie potrzebuję krawata. Co tam, nie jestem już nauczycielem; teraz jestem artystą. Wkładam skarpetki, wyciągam spod łóżka czarne mokasyny, którymi Mark bawił się w łódkę. Dwadzieścia pięć po.

Czeszę się, biorę z kieszeni marynarki portfel i kluczyki. Sprawdzam czas, zamykam drzwi i wieszam klucz na tablicy w recepcji. Mężczyzna przy biurku podnosi wzrok, nawet się nie uśmiecha.

Na zewnątrz jest jasno i słonecznie. Wszystko wygląda tak czysto. Idę w kierunku boulevard Raspail. Mężczyzna w niebieskim ubraniu roboczym zmiata z chodnika papiery i śmieci do strumienia wody płynącej szybko wzdłuż krawężnika. Skręcam w lewo na rogu i zaczynam się rozglądać; mówiła, że to mniej więcej w połowie ulicy. Dziesiąta trzydzieści. Mijam galerię: interesujące, duże abstrakcje w jaskrawych kolorach na czarnym tle. Za galerią zaczyna się

wysokie ogrodzenie; na ma — tej srebrnej tabliczce widnieje napis ALLIANCE FRANÇAISE. Na niewielkim dziedzińcu kręcą się grupki młodych ludzi, głównie dziewcząt. Stragan z książkami i gazetami znajduje się w rogu podwórka, ale nie widzę Alice.

Stojąca przy drzwiach budynku dziewczyna o blond włosach musiała chyba mnie obserwować, bo się uśmiecha. Odpowiadam uśmiechem.

— Cześć, przepraszam za spóźnienie. To Alice; podaje mi rękę.

— Musiałam chwilę zostać, żeby porozmawiać o moim *dictee*. Witanie się z kobietą przez uścisk ręki jest dość dziwne; nie wiem, jak mocno ścisnąć rękę. Chociaż ona i tak ma większe dłonie od moich. Jest zdecydowanie nieseksowna. Ładna, owszem, ale nieseksowna.

— Chodźmy; nie chcę, żeby Ben tracił zbyt dużo czasu na opiekę nad Aaronem.

Wychodzi pierwsza na ulicę. Ma długie, zgrabne nogi, wąskie w kostkach; ale nie porusza biodrami, kiedy idzie, tak jakby sunęła gładko. Jej buty przypominają obuwie ortopedyczne. Odwraca się do mnie, kiedy ją doganiam.

— To niedaleko, przy rue de Rennes, jedno i drugie miejsce. Pytałam Edgara, człowieka, który sprząta w naszym pensjonacie.

— Naprawdę, Alice, to miło z twojej strony.

Idziemy szybko Raspail, mijamy kilka przecznic i skręcamy w lewo.

— Jak tam jest? Mam na myśli szkołę. Naprawdę uczą mówić po francusku?

— Jest w porządku; po prostu ja nie jestem w tym najlepsza. Te dzieciaki z Niemiec i Japonii pracują naprawdę ciężko.

— Czy klasy są mieszane? Nie ma grup językowych?

Czekamy na zmianę świateł. Ulica jest szeroka i wygląda na handlową. Patrzy na mnie.

— Wszystko jest po francusku, w podręcznikach są ilustracje. Dobry system, tylko mnie nie idzie najlepiej, jeśli chodzi o naukę języków.

Chyba chce, żebym ją pochwalił.

— Załóżę się, że jesteś tak samo dobra jak tamci.

— Nie, naprawdę. Sprawdza numery domów.

— Jest, po drugiej stronie ulicy.

Budynek przypomina sklep ze sprzętem elektrycznym. Wchodzimy po schodach ciemnej, trochę cuchnącej klatki schodowej. Na górze jest małe biuro pełne staromodnych drewnianych szuflad z kartotekami. Za kontuarem siedzą dwie dziewczyny. Alice rozmawia z jedną z nich, po czym odwraca się do mnie.

— Jaki to adres i czy znasz nazwisko właściciela mieszkania?

Na szczęście mam ze sobą wszystkie papiery. Podaję jej kopertę. Kobieta wyciąga kilka dokumentów, a ja muszę podpisać dwa czy trzy papiery wydrukowane na niebiesko-czerwono i czerwono i wpłacić depozyt w wysokości pięćdziesięciu franków.

— To wszystko?

Kiwa głową i żegna się z urzędniczkami. Mówię: *Au revoir*, i jedna z nich uśmiecha się w odpowiedzi.

— Masz już prąd, no, powiedzmy od jutra. Teraz gaz. Wiesz, która jest godzina?

Podnosi moje ramię, zanim zdążyłem spojrzeć na zegarek. Podciągam rękaw.

— Dobrze, nie ma jeszcze jedenastej.

Nieźle nam idzie. Mijamy kilka przecznic i znowu przechodzimy na drugą stronę ulicy.

— To jest ten numer. — Spogląda na kartkę, którą trzyma w ręku. — Sześćdziesiąt sześć.

Sześćdziesiąt sześć to kino Lux.

— Może to te drzwi z boku.

— Sprawdźmy.

Za drzwiami są strome schody. Na ścianie wisi tabliczka z dłonią wskazującą na górę. Ostatni wyraz na tabliczce to słowo „gaz”.

Alice wchodzi pierwsza. Procedura jest ta sama, ale tym razem kosztuje mnie to tylko trzydzieści franków. Idziemy na dół.

— Powiedział, że włączą dzisiaj po południu, ale ja bym na to nie uczyła. Francuzi bywają strasznie optymistyczni w niektórych sprawach.

— Alice, jesteś geniuszem. Nigdy bym tego nie załatwił tak szybko, nawet po angielsku.

— To nic takiego; po prostu w tym akurat jestem dobra.

Ma zdecydowanie miły uśmiech; uśmiecha się nie jak dziewczyna, bardziej jak przyjaciółka.

— Może pójdziemy na kawę, herbatę albo drinka? Znowu się uśmiecha, krótko, ciepło.

— Dzięki, ale nie mogę. Muszę wracać do pensjonatu. Która godzina?

Rozgląda się, a ja zerkam na zegarek. — Dziesięć po jedenastej. Załatwiłaś wszystko w pół godziny. Fantastycznie.

— Pójdę już. Muszę zrobić pranie przed lunchem. — Wyciąga do mnie rękę. — Powiedz Ninie, że chyba będę w Ogrodzie po południu. Mogłybyśmy się spotkać.

I już odchodzi.

— Dobrze, powiem.

Odwraca się, a ja wciąż stoję. Ramiona też trzyma sztywno, ale może dlatego, że niesie książki. Widzę nieopodal kawiarnię z żółtą markizą z napisem TABAC i czerwonym stożkiem o podwójnym szpicu na ścianie. Za ladą siedzi kobieta. Wyjmuję fajkę i wkładam palec do lulkii.

— *Tabac?*

— *Oui, monsieur.*

Z półki z tyłu zdejmuję cztery rodzaje tytoniu; dwa w papierowych torebkach. Wybieram żółty, niedrogi. Kupuję też zapalki; we Francji trzeba za nie nieźle płacić, zdażyłem się już o tym przekonać.

Siadam przy stoliku na zewnątrz, blisko szklanej zasłony od wiatru, zamawiam piwo. Dzień jest ładny, ale trochę wieje. To wspaniałe, że jestem wreszcie w Paryżu, siedzę w kafejce na ulicy, sam. Wraca kelner z kieliszkiem jakiejś ciemnobrązowej cieczy.

— Piwo, zamawiałem piwo.

Patrzy na mnie przez całe pięć sekund, po czym pokazuje na kieliszek.

— *Ca c'est le byhrr.*

Przy innym stoliku siedzi mężczyzna, który popija coś, co wygląda jak piwo. Dlatego pewnie też je zamówiłem. Nie jestem amatorem piwa.

— *Beer. Ca c'est beer.*

Patrzy w tamtą stronę. — *Mais, non monsieur. Ca c'est le biere.* Dorzuca chyba „i” do wyrazu czy coś takiego. Poddaję się. Pokazuje na mój kieliszek. Co za różnica.

— *Combien?*

Kładzie na stole mały rachunek z kasy. Płacę, a on pokazuje na karteczkę. — *Service non compris, monsieur.*

Rzeczywiście, tak jest tam napisane. Dorzucam dodatkowe pięćdziesiąt centymów. Odchodzi. Siadam wygodnie i próbuję się zrelaksować. Podnoszę kieliszek i wacham — pachnie skórą i jakby sianem. Nawet nie jest takie złe w smaku, ale bym tego nie zamówił.

Umówiłem się z Niną, że spotkamy się w parku, kiedy wszystko załatwię. Za kwadrans dwunasta. Kiepsko się orientuję w terenie, ale powinienem chyba znaleźć drogę do parku. Wyjmuję fajkę. Tytoń jest dobrze zapakowany i chyba świeży; dobrze się ubija. W smaku jest słodki i gęsty; chyba się spodziewałem czegoś zupełnie innego po francuskim tytoniu.

Odnajduję Ninę w parku bez problemu. Niemowlak próbuje stawać przy krześle Niny. Mark

puszcza łódkę w stawie, popychając ją długim patykiem. Nina uśmiecha się na mój widok. Wygląda młodo. Całuję ją w czubek głowy.

— Czyż to nie piękny dzień, Clyde? Dzieci są takie szczęśliwe. — Spogląda uśmiechnięta na niemowlaka, który próbuje się wspinać po jej spódnicy, a potem na Marka. — I jak poszło, kochanie? Jesteś bardzo wcześnie.

Znajduję wolne krzesło i stawiam je obok niej. — Wspaniale. Załatwione. Jutro wszystko będzie włączone, gaz może nawet jeszcze dzisiaj.

— W takim razie możemy się wprowadzić dzisiaj po południu, prawda, Clyde?

— Jeszcze o tym nie myślałem.

— Naprawdę, Clyde, nigdy nie sądziłam, że będę chciała fflieć własną kuchnię, gdzie będę mogła sama gotować.

Po prostu nie myślałem o tym, że moglibyśmy się przeprowadzić tak szybko.

— Kuchnia jest okropnie mała i niezbyt nowoczesna. Sypialnia jest czymś w rodzaju balkonu. Nie jestem pewien, czy ci się tam spodoba, może najpierw chodźmy obejrzyć to mieszkanie, zanim za bardzo się zapalisz.

Już się zapaliła. Przeżyje rozczarowanie.

— Naprawdę, Clyde, wszystko będzie lepsze od tego hotelu. Nigdy się nie przyzwyczaję do tego, że ktoś wchodzi rano do pokoju, kiedy nie jestem jeszcze całkiem ubrana, z jakimś tam śniadaniem, którego nawet nie chcę. Szkoda, że nie słyszałeś rano Marka, jak się dopytywał, kiedy znowu zjemy płatki.

— Słyszałem. No, dobrze, tylko nie mów, że cię nie ostrzegąłem. Zaciągam się mocno kilka razy, ponieważ fajka znowu prawie zgasła, chyba za mokry tytoń.

— Najpierw zjedźmy coś, umieram z głodu.

— Clyde, coś znalazłam. Pokazuje na drugą stronę parku.

— Jest tam taki bar z dużym napisem SELF SERVICE. Na drzwiach jest menu i ceny są dość niskie. Pokazują nawet na obrazkach niektóre dania, jak hot dogi czy hamburgery. Myślę, że to byłoby idealne miejsce dla dzieci.

— Wspaniale, chodźmy. Patrzy na zegarek.

— Mark ma jeszcze dwadzieścia minut na swoją łódkę.

— A, co tam; teraz jesteśmy goście, rozumiesz.

Pochyla się do przodu, a ja całuję ją w czubek nosa. Uśmiecha się, wtedy całuję ją w policzek i z boku podbródka.

— Clyde, czy to nie wspaniale być w Paryżu? Dzisiaj czuję się o wiele lepiej niż wczoraj. Wszystko jest takie podniecające jak wyładowania w powietrzu.

— Tak, to magia. Chodźmy.

Całuję ją jeszcze raz, w usta, lekko; może być niezła frajda z tą przeprowadzką.

— Clyde, robisz się taki... f r a n c u s k i .

— Powinnaś zobaczyć, kiedy się zachowuję n a p r a d ę jak Francuz.

Delikatnie gryzę ją w policzek. Całuje mnie i wstaje, kładąc dłoń na moim ramieniu.

— Mark, idziemy teraz na lunch. Oddaj łódkę panu.

— Ojej, mam, muszę? Nareszcie prawie mi się udało.

— Przyjdziemy tutaj później, kochanie; idziemy do baru z hot dogami.

— O rany. — Wyciąga łódkę z wody i niesie do małego wózka, skąd są wydawane.

Nina podnosi niemowlaka i sadza go w spacerówce.

— Jak tam dzisiaj twoje plecy, kochanie?

Stoi odwrócona do mnie tyłem, pochylona nad niemowlakiem; odwraca głowę i spogląda na mnie przez ramię. Wstaję i lekko przykucam.

— Doskonale. Naprawdę myślę, że jestem psychoneurotykiem.

— Wiesz, że tak nie jest, kochanie. Ale uważaj dzisiaj. — Zbiera wszystkie drobiazgi do siatki wózka.

Wraca Mark.

— Tatusiu, widziałeś moją łódkę? Płynęła najszybciej i potrafię sam nią sterować.

Mark bierze mnie za rękę i ruszamy przez park w przeciwną stronę niż hotel.

— To jest tam, zaraz za parkiem.

Pomagam wnieść wózek po schodach. Przed nami ciągnie się długa aleja podobna do tej po naszej stronie. Francuzi uwielbiają symetrię, jeśli chodzi o ogrody. Wychodzimy przez dużą bramę i mijamy budkę z lodami; obiecujemy Markowi, że dostanie loda po lunchu.

Trudno jest przejść na drugą stronę ulicy z dziećmi. Ta jest szeroka i panuje tu duży ruch. Udaje nam się bez problemu przejść do fontanny, ale potem musimy się zatrzymać. Fontanna jest wyłączona, kamienne postacie są jasnozielone.

— Czy to nie cudowne, Clyde? Czuję się, jakbym żyła w książek Ludzie tutaj wyglądają tak ciekawie, jakby robili coś ważnego.

— Czasem mam wrażenie, że Nina gra.

Zmienia się światło i idziemy dalej. Samochody skręcają prosto na nas; trzeba uważać na nie nawet na przejściu dla pieszych. Mamy jeszcze jedną ulicę do przejścia.

— O, patrz, Clyde; tam na rogu. Widzisz, jedzą na górze. Przez te duże okna można obserwować przechodniów.

— To już coś; nie będę musiał obserwować dzieciaków.

Ale powiedziałem. Ściskam dłoń Marka i patrzę na niego. Na szczęście nie słuchał.

— Och, kochanie, nie są takie złe; po prostu są jeszcze małe.

— Wiem, tylko żartowałem.

Jest coś odrażającego w patrzeniu na jedzące niemowlę. Wydaje się, że więcej wychodzi z jego ust, niż się do nich wkłada. Mark też ma swoje pochrzanione pomysły, jak choćby obieranie ze skórki hot dogów. Znowu przebiegamy przez ulicę. Nina bierze na ręce niemowlaka, a ja składam wózek.

W środku lokal przypomina kafeterię. Najpierw trzeba wejść po szerokich schodach z lustrami na ścianach. W połowie drugiej kondygnacji napotykamy koniec kolejki, która na szczęście posuwa się szybko. Bierzemy tace; sztuczce są zawinięte w serwetki. Łatwo się połapać, bo dania są wystawione w rzędzie na podgrzanej ladzie z cenami. Mark chce koszmarne czerwone hot doga. Porcje są małe, na małych talerzach. Duży wybór napojów, nawet wino. Dla siebie kupuję białe, a dla dzieciaków i Niny coca — colę. Dla Niny biorę też kurczaka; ona idzie z niemowlakiem do stołu.

Przy końcu lady dostają trzy karteczki z cenami, ale tam się nie płaci. Dziewczyna pokazuje na kasjera przy drzwiach, więc chowam portfel. Pokazują nam, gdzie możemy zostawić wózek.

Bar jest dość zatłoczony, udaje mi się jednak znaleźć wolny stolik przy oknie. Mark siada obok mnie, naprzeciwko Niny. Nalewam sobie kieliszek wina z małej butelki. Słodkie, jakby ktoś dodał cukru.

Patrzę w dół, na ulicę. Rosną tam sykomory; ich liście wciąż są zielone.

— Mark, zobacz, zupełnie jak w domku na drzewie, prawda? Jakbyśmy jedli w naszym własnym domku na drzewie.

Mały zerka powoli za okno; ma oczy po matce. W jednej ręce trzyma obranego hot doga, w drugiej oklapła frytkę. Kiedy, do cholery, dzieci zaczynają używać noża i widelca?

— No, chciałbym mieć domek na drzewie. W Paryżu nie ma nic fajnego.

Nina patrzy na niego.

— Nie bądź głuptaskiem. Przecież dobrze się bawiłeś łódką w parku.

Współczuję mu. To musi być okropne, kiedy ktoś inny mówi ci, że dobrze się bawiłeś. Niemowlak pluje jakimś przecierem jabłkowym z puszki. Trzeba mieszać to ze wszystkim innym, żeby zjadł. Odwracam głowę.

— Tak, ale nie ma się z kim bawić.

Wiem, że Nina patrzy na mnie, mimo to dalej siedzę odwrócony. Dobrze, że jest to okno. Patrzę na głowy przechodniów.

— Za to dzisiaj zanosi się na niezłą zabawę. Przeprowadzamy się do nowego domu. Tatuś mówi, że będziemy spać na górze, na balkonie.

— O rany, jak na łodzi!

Nie wiem, jaką łódź ma na myśli. Pewnie coś, co widział w jednym z tych cholernych komiksów, które daje mu babcia.

Kurczak jest nie dogotowany, mięso różowe przy kości. Dopijam wino i opieram czoło o szybę, tak bym mógł spojrzeć prosto w dół.

— Idź się przejść, Clyde, a my zaraz skończymy. To nie potrwa długo, jakieś dziesięć minut.

Wyjmuję wszystkie trzy odcinki. Po jednym dla każdego, nie licząc niemowlaka; jego dołączyli do Niny. Tak pewnie liczą. Wychodzi tylko dziewiętnaście trzydziści. Na dole jest napisane *service compris*, więc daję Ninie dwadzieścia franków.

— Zaczekam przy wejściu. Nie spieszcie się.

Uśmiecha się i dotyka mojej dłoni, gdy przeciskam się obok Marka. Zabieram wózek; dziewczyna przy kasie jest bardzo miła. Na dole nie chcą mnie wypuścić bez paragonu z kasy, więc wracam na górę po mój papierek.

Na dole jest chłodniej. Opieram wózek o ścianę, gdzie będę mógł go widzieć, i idę na skraj chodnika. Mnóstwo przechodniów; zabawnie jest ich obserwować. Zdaje się, że wszędzie odchodzi jakieś podrywanie. Obserwuję dwóch chłopaków przystawiających się do pary dziewcząt. Bardzo się starają, ale dziewczyny po prostu ich ignorują.

Wreszcie w drzwiach pojawiają się Nina i dzieci.

— Czy to nie cudowne, Clyde? Mark zjadł całego hot doga i wszystkie frytki. Niemowlak też się najadł.

— Świetnie. W takim razie chyba wrócimy do hotelu i zaczniemy się pakować.

Rozkładałam wózek. Po niemal pięcioletniej praktyce jestem w tym naprawdę dobry. Tylko nie cierpię pchać tego cholerstwa; czuję się jak jakiś kulis. Droga powrotna do hotelu przebiega bez zakłóceń. Nina bierze wózek, a ja trzymam za rękę Marka, kiedy idzie po betonowej podstawie parkowego ogrodzenia. Mówi, że Aaron tak robi. Nina wyjaśnia, że to syn Bena Steina.

Pakowanie idzie nam szybko. Wprowadzając się do hotelu, wyjęliśmy z samochodu tylko trzy walizki; jedną z naszymi rzeczami i dwie z rzeczami dzieciaków. Najwięcej miejsca zajmują pieluchy, jest ich chyba ze sto. Zajeżdżam pod hotel i wrzucam torby na tył. Stolik i ławki są rozłożone, więc Nina sadza na nich dzieci. Wracam do hotelu uregulować rachunek. Każą nam zapłacić za całą dobę, ponieważ zwalniamy pokój tak późno, do tego piętnaście procent za obsługę. Co mam zrobić? Daję sprzątacze pięć franków, mam nadzieję, że tak będzie w porządku.

Dobrze jest znowu usiąść w samochodzie. Jedziemy Raspail, potem skręcamy w lewo.

— No, Nino, niedługo zobaczysz swoje nowe mieszkanie w Paryżu. Trochę to zwariowane, że mając taką forszę, nie będziemy mieszkać równie wygodnie jak w domu.

Nina pochyla się i opiera głowę na moim ramieniu.

— Ale to jest Paryż, kochanie. Pomyśl o tym, nasze własne mieszkanie w Paryżu. Teraz będziemy tu naprawdę.

Z tyłu rozlega się krzyk niemowlaka. Nina odwraca głowę.

— Przestań, Mark. Daj mu to i bądź grzeczny.

Skrećam w wąską uliczkę i parkuję przed furtką. Nina wygląda przez okno. Nie mogę powiedzieć jej zbyt wiele.

— To tutaj, za zieloną furtką. Z tyłu.

— Zostawimy dzieci w samochodzie, Clyde?

— Nie, stawmy czoło wyzwaniu wspólnie.

Wchodzimy. Nie widzę nigdzie dozorczyń. Myślałem, że zawsze pilnuje, kto wchodzi i wychodzi, ale nie ma jej.

Idę ścieżką w głąb podwórka. Jedna żaluzja jest podciągnięta i widać, że okna z zewnątrz są strasznie brudne. Pcham dwukrotnie i otwieram drzwi. Mark patrzy na drzewo. Pochylam się i podnoszę Ninę. Ona trzyma niemowlaka, a ja ją.

— Clyde, nie, nadwerężysz plecy — śmieje się.

Nogą otwieram drzwi szerzej.

— Proszę, Clyde, wszystko zepsujesz, jeśli znowu uszkodzisz sobie plecy.

Robię jeden krok za próg i opuszczam ją.

— Niezbyt długa przejażdżka, ale było jak trzeba. — Całuję ją w policzek.

— Clyde, czasem jesteś zupełny wariat. Wszystko w porządku? Muszę powiedzieć, że nic mi nie jest.

— Oczywiście, że tak.

Zabawne, jak to jest z tymi moimi plecami. Kiedy coś w nich nawala, to przychodzi powoli. Może ustąpiłoby, gdybym o tym nie myślał. Nina patrzy na ściany. Wszystko jest okropnie zakurzone i brudne; nie zauważyłem tego wcześniej.

— Ojej, Clyde, jak prawdziwe gniazdko zakochanych. Mark wchodzi po schodach na balkon.

— Ostrożnie, Mark, zaczekaj na mamę.

Nina podaje mi niemowlaka i idzie za nim. Mark wdrapuje się szybko na czworakach, przytrzymując się stopni, Nina zaś idzie powoli, ostrożnie i trzyma się mocno poręczy. Już na górze Mark patrzy między słupkami balustrady, podczas gdy Nina trzyma go za ramiona i wychyla się do przodu, by spojrzeć w dół, nie podchodząc zbyt blisko balustrady.

— Clyde, ten pokój jest naprawdę duży; z góry widać lepiej. Będiesz mógł pracować przy oknie, to dobre miejsce.

Otwieram pozostałe okna i znajduję taśmę, która służy do podciągania żaluzji.

— Zacznę wypakowywać rzeczy, Nino.

— Pomogę ci.

— Lepiej pilnuj dzieci. Rozejrzyj się, może znajdziesz coś do zamiatania i ścierania kurzu.

Włączam światło; nic. Wychodzę na zewnątrz i zostawiam drzwi otwarte.

Wypakowanie wszystkich rzeczy i wniesienie ich do domu zajmuje mi sporo czasu. Nina znalazła w toalecie miotłę i zabrała się do sprzątania, owinąwszy sobie głowę kawałkiem materiału. Znaczna część bagażu stanowią moje przybory malarskie. Poza płótnem mam wszystko, czego mi trzeba. Składam moje rzeczy pod oknem, a walizki pod balkonem w jadalni.

— Zrobione, Nino. Może przyniosę z samochodu poduszki. Dzieci mogłyby na nich spać, dopóki nie kupimy łóżek.

— Clyde, jesteś taki rozsądny. Właśnie się nad tym zastanawiałam. Dobry pomysł.

Nina jest na balkonie. Stoję chwilę pod ścianą i patrzę, jak zdejmuje z łóżka folię; w powietrze wzbija się duży obłok kurzu. Mark i niemowlak dokazują pod stołem w pokoju. W mieszkaniu jest sześć krzeseł, wszystkie wąskie, z wysokimi oparciami.

Idę jeszcze raz do samochodu, wyciągam poduszki, biorę też wszystkie koce i prześcieradła.

To jest nawet dość zabawne, jak zabawa w dom. Pod balkonem jest głęboka szafa we wnęce. Otwieram ją.

— Kochanie?

— Mówiłeś coś, Clyde? — Możesz przyjść tu na chwilę?

Układam poduszki na dnie wnęki. Pasują idealnie. Nina schodzi na dół.

— Jak ci się to podoba? Zamkniemy drzwi na noc i będzie jak osobny pokój.

— Nie uduszą się? Będą mieli za mało powietrza.

Czuję, że nie spodobał jej się mój pomysł. Przymykam drzwi. Mark wychodzi spod stołu. Niemowlak kiwa się na boki, a potem puszcza się krzesła i siada.

— Ojej, tato, jak koje w łodzi podwodnej — mówi Mark. Przeciska się między nami, wchodzi do środka i kładzie się na brzuchu. — O rany, ekstra, jak na prawdziwym kempingu. Zamknij drzwi, tato.

Zamykam je.

— Wszystko będzie dobrze, Nino. To pomieszczenie nie jest bardzo szczelne, a poza tym można zostawić drzwi uchylone.

— Nie będą mieli za mało powietrza? A te różne stworzenia pełzające po podłodze? Nie wiem, Clyde.

— Mamo, proszę. Będziemy grzeczni, a ja wezmę moją strzelbę i pozabijam żmije i wszystko inne, proszę, mamusiu.

— Nie zaszkodzi spróbować. Jeśli nie będzie dobrze, kupimy łóżko i postawimy je gdzie indziej. Tak przynajmniej bylibyśmy trochę sami.

— Dobrze, ale sam Mark, bez niemowlaka. Nie zmrużyłabym oka, gdyby on tu spał.

— W takim razie gdzie położymy niemowlaka? — Sięgam po jeszcze jedną poduszkę, którą zostawiłem pod ścianą. — Na górze czy na dole?

Wiem, że jest niespokojna, dlatego nie chcę się z nią spierać. Przedyskutujemy to później, kiedy się uspokoi.

— Clyde, czułabym się o wiele lepiej, gdyby był z nami. Boję się tylko, żeby nie spadł ze schodów.

— Zmontujemy składaną furtkę, taką, jaką mieliśmy w domu między kuchnią i jadalnią. A na dzisiejszą noc coś wymyślę.

Idę na górę. Kiedy podnoszę poduszkę nad głowę, żeby nie zawadzić o poręcz, czuję słaby ból w plecach. Poduszkę postanawiamy położyć w kącie z drugiej strony łóżka.

— Na razie zagrodzę schody pustą walizką.

— Dobry pomysł.

— Przyniosę jedną. Ubrania dziecięce powiesimy w drugiej szafie na dole.

— Cudownie. Za kilka minut skończę tutaj. Zerknij na niemowlaka, jak będziesz przechodził, dobrze?

Nina ma fobię na punkcie niebezpieczeństwa związanego z możliwością połknięcia czegoś przez dzieci; kiedyś Mark połknął kamyk, który utkwiał mu w gardle. To był dzień.

Niemowlak jest z Markiem na jego łóżku. Chyba dobrze się bawią. Walizek mamy trzynaście. Wybieram nasze i zanoszę po jednej na górę. Nie da się inaczej: schody są za wąskie, a walizki za ciężkie.

Nina dobrze się spisała. Toaletka jest odkurzona, a lustro lśni. Rozłożyła na łóżku nasze prześcieradła i koce. Zamiotła też podłogę. Rozkłada na poduszce prześcieradło niemowlaka. Podchodzę do niej z tyłu, pochylam się i przyciągam ją do siebie. Podskakuje i prostuje się.

— O rany, ale mnie przestraszyłeś, Clyde. — Odwraca się i obejmuje mnie za szyję. — Czy to nie wspaniałe? Nie mogę się doczekać, kiedy pójde do sklepu, żebyśmy mogli wreszcie zjeść

sami.

Puszczam ją.

— Położę walizki na łóżku, żeby było łatwiej je rozpakować. Zdejmuje ręce z moich ramion.

— Dzięki, kochanie.

Pracujemy przez całe popołudnie. Brakuje nam szaf i wieszaków. Sprawdzam, jak są po francusku świece, i wreszcie znajduję je w sklepie na sąsiedniej ulicy. Zajmuje mi to pół godziny, więc gdy wracam, jest już prawie ciemno. Nina i dzieci śpią na łóżku na górze.

Odczekuję trochę i budzę ich, a potem idziemy do restauracji. Znajdujemy niezłą i nawet niedrogą. Dzieci, wyspane, wychodzą z siebie. Kiedy wracamy do domu, nie mam już na nic ochoty. Nina chyba też, bo oboje zasypiamy jeszcze przed dziewiątą.

Następnego ranka Nina kupuje coś na śniadanie, a ja leżę jeszcze w łóżku z dziećmi, kiedy przychodzi człowiek z elektrowni. Wciągam spodnie bez slipów i podkoszulek. Jest z nim dozorczyńni. Uśmiecha się i pokazuje na kuchnię, ale sam wiem, o co chodzi. Wszystko trwa nie więcej niż pięć minut. Włączam przełącznik i natychmiast zapalają się trzy niezbyt jasne żarówki żyrandola. Uśmiechamy się do siebie i oni wychodzą.

Zastanawiam się, jak mam się golić bez umywalki i ciepłej wody, gdy wraca Nina. Przyniosła jakiś cienki, długi bochenek i kilka innych pakunków. Wygląda na zmartwioną.

— Naprawdę, Clyde, to okropne; wcale nie starają się pomóc. Tamta pani w sklepie nabiałowym... wiesz, trzeba iść do specjalnego sklepu, żeby kupić mleko... myślę, że próbowała mnie oszukać. — Zdejmuje płaszcz i wiesz go w szafie. — Pieniądze tutaj są takie skomplikowane, ale naprawdę myślę, że chciała mnie oszukać. I tyle czasu trzeba stać w kolejce w każdym sklepie.

— Mamy prąd.

— Naprawdę? To już coś.

Zostawiam niemowlaka na łóżku pod opieką Marka i schodzę na dół.

— Clyde, myślisz, że tu jest gdzieś jakiś grzejnik? Jest mi zimno.

— Rozejrzę się. Jeśli nawet jest, to pewnie gazowy, więc chyba jeszcze nie da się go włączyć.

To zabawne, jak łatwo poddajemy się przygnębieniu, gdy ktoś inny myśli podobnie. Wcześniej jedynie golenie stanowiło problem, a teraz nagle wszystko wydaje mi się nie takie jak trzeba.

Nina idzie na górę ubrać dzieci, a ja szukam grzejnika. W rogu wolnej ściany naprzeciwko balkonu jest mały kominek z marmurowym gzymsem. Jego otwór zasłaniają zasuwane metalowe drzwiczki. W środku jest staromodny grzejnik gazowy w obudowie z brązowych płytek ceramicznych z mnóstwem zakrętasów. Niektóre z białych, porowatych przewodników wyglądają na zniszczone. Całość jest okropnie zakurzona. Kicham. W kominku jest podłączenie gazowe, a kuchenka ma stary gumowy wąż. Pasuje. Zawór gazowy jest zamknięty.

— Nina, próbowałaś włączyć kuchenkę? — Może już włączyli gaz.

Przez chwilę wydaje mi się, że mnie nie słyszała. Ale zaraz potem pojawia się na brzegu balkonu; wyjmuję z ust zapinki.

— Nie, kochanie. Boję się to zrobić. Chciałabym, żebyś się tym zajął. Tylko uważaj.

— Dobrze. Jak tylko skończę tutaj.

Po wielu manipulacjach w końcu widzę, jak przód grzejnika rozjarza się powoli. Wsuwam go z powrotem do kominka.

— Może to ogrzeje trochę mieszkanie.

Nina stoi na balkonie z niemowlakiem na ręku.

— Clyde, jesteś cudowny. Nie rozumiem, dlaczego wciąż powtarzasz, że nie znasz się na

mechanice; ja nigdy bym sobie nie poradziła z tym starym gratem.

— Teraz spróbuję włączyć kuchenkę w kuchni. Umieram z głodu, ale co to za śniadanie bez gorącej kawy.

Poprawił mi się humor. Nina ma rację; zwykle jestem do niczego, jeśli chodzi o mechaniczne sprawy. Pewnie dlatego, że w dzieciństwie nie mieszkalem z ojcem.

Kuchenka nie sprawia żadnego kłopotu. Wystarczy otworzyć mały zawór, którego początkowo nie mogłem znaleźć, i od razu palnik rozjaśnia się punkcikami w kształcie krzyża. Wyjmuję z kredensu czajnik, napełniam go wodą i stawiam na kuchence. Przy okazji przeglądam pozostałe szafki. Kilka kompletów dość przyzwoitych naczyń i mnóstwo różnych garnków i rondli.

— Clyde, a ty co robisz, chcesz przejąć moje obowiązki? — słyszę za plecami.

Wiem, że Nina chce, abym ją pocałował, więc to robię.

— Idź do pokoju, a ja przygotuję śniadanie. Możesz zacząć wypakowywać swoje farby. Będzie cudownie, gdy przygotujesz sobie już wszystko i będziesz mógł zacząć pracować.

Wychodzę do frontowego pokoju. Światło padające przez okno jest zimne, jasnoniebieskoszare. Niemowlak zaczął wspinać się na schody, więc go ściągam. Nie płacze, ale gdy tylko opuszczam go na podłogę, znowu wraca na schody, więc zastawiam je walizką. Zaglądam do dużej szafki przy oknie, gdzie leży cały mój sprzęt; doskonale miejsce na moje przybory. Nie mam ochoty się rozpakować, ale w końcu zabieram się do pracy. Pierwsze pudło mam już otwarte i jeszcze przed śniadaniem część tub z farbami leży na półce.

Po śniadaniu wypakowuję kolejne rzeczy do czasu, gdy Nina jest gotowa do wyjścia. Postanowiła jednak kupić łóżko dla Marka.

W przewodniku wyczytaliśmy, że dobrym miejscem na takie zakupy jest Bon Marche, duży dom towarowy, coś w rodzaju starego Searsa. Jedziemy tam metrem. Wybieramy niedrogą kanapę, którą można rozłożyć, więc nadaje się idealnie. Kosztuje dwieście osiemdziesiąt pięć franków. Obiecują, że dostarczą ją w ciągu tygodnia. Płacimy i wychodzimy.

Dzień jest nie za ciepły, ale pogodny, dlatego postanawiamy wrócić pieszo. Kilka przecnic dalej mijamy duży sklep z artykułami malarskimi. Wchodzę, ponieważ potrzebuję płótna, ram i terpentyny. Zza kontuaru uśmiecha się do mnie niski mężczyzna w średnim wieku z najeżonymi, siwymi wąsami. Wychodzę z siebie, by mu wytłumaczyć, że chcę kupić ramy; nie widzę ich nigdzie w sklepie. Okazuje się, że po francusku „rama” brzmi mniej więcej jak angielskie *chassis*, podwozie samochodu. Dodatkowy kłopot to rozmiary. Tutaj nie kupuje się po prostu elementów, z których składa się ramę, tak jak u nas; francuskie ramy sprzedawane są w całości, już ze wzmocnieniem. Te, które pokazuje mi sprzedawca, wydają się dobre, każda ma numer i literę, na przykład 15P albo 30F. Wybieram jedną z oznakowaniem 25F, mniej więcej taką, jakiej potrzebuję. Wszystko to wydaje się bardziej niemieckie niż francuskie.

Płótno jest niezłe, ale drogie. Mija trochę czasu, zanim się w końcu dogadujemy, że chodzi o podwójnie gruntowane, lekko chłonne. Nie widzę większej różnicy między tym, jak on to wymawia, a tym, co usiłowałem mu powiedzieć. Chyba po prostu przyzwyczajamy się do tego, że słyszymy w specyficzny sposób. Terpentynę kupuję już bez problemu.

Wychodzę na ulicę, ale nigdzie nie widzę Niny i dzieci. Dopiero po chwili dostrzegam ich trochę dalej, na rogu ulicy przed jednym z okien. Zastanawiam się, co tam oglądają, bo jest to okno kawiarni. Automat z bilardem.

— Wiesz, Clyde, nigdy wcześniej nie obserwowałam, jak ktoś gra w taki bilard. Wygląda zabawnie. Jeden z nich zdobył pięćset dwadzieścia punktów.

Oto cała Nina: potrafi się ekscytować najgłupszymi rzeczami. Przez chwilę udaję, że też się przyglądam.

— Kupiłem wszystko, co chciałem.

Poprawiam pakunek. Wreszcie czuję dreszczyk podniecenia związanego z przygotowaniami do pracy.

Gdy wracamy do domu, jest już prawie pora lunchu. Nina idzie na zakupy, a ja pilnuję dzieci. Rozpakowuję płótno i rozwijam je na podłodze. Mam nożyczki, gwoździki i szczypce do naciągania. W szkole wszędzie tego pełno. Co roku studenci zostawiają mnóstwo takich materiałów; po upływie jakiegoś czasu uznają, że są moje.

Kładę ramę na płótnie i zaznaczam. Nożyczki są tak ostre, że wystarczy naciąć płótno, a potem ciągnąć tylko po splocie. Przez ostatnie pięć lat nie miałem zbyt wiele okazji do naciągania płótna, nie licząc zajęć pokazowych. I oto robię to teraz, a dzieciaki bawią się tuż obok. Mark ma nową piłkę i próbuje odbijać ją o podłogę jedną ręką. Mocuję kliny na drugim płótnie, gdy przychodzi Nina. Wraca w lepszym nastroju niż poprzednim razem.

Jemy chleb, pomidory i żółty ser. Ser jest twardy i ma intensywny zapach.

— Wiesz, Clyde, robienie zakupów trzy razy dziennie ma tę dobrą stronę, że wszystko jest świeże. Dotknij chleba, jeszcze ciepły.

Pijemy czerwone wino, dla dzieci jest mleko. Dzieciaki nie chcą go pić, ponieważ zostało z rana i brzydko pachnie. Smakuje mi chrupiący chleb z cienkim czerwonym winem. Pomidory są mięsiste, jak te ze środka lata. Mark wstaje i znowu zaczyna bawić się piłką.

— Clyde, to takie ekscytujące patrzeć, jak zabierasz się do pracy. Nie mogę się doczekać. W domu czułam się okropnie, kiedy nie miałeś na to dość czasu.

— Uhm.

Gryzę chleb. Życiowa szansa, bez wątpienia. Nigdy nie sądziłem, że przydarzy mi się coś takiego. Równie niewiarygodne jak sen. Trzydzieści lat. Chyba nie za późno, żeby zacząć od początku. Tycjan nie namalował niczego wartościowego przed czterdziestką; w takim razie mam jeszcze dziesięć lat. Nie podoba mi się tylko, że Nina tak bardzo mnie naciska; jakby spodziewała się, że stanę przed sztalugami i od razu namaluję jakieś arcydzieło.

Coś się dzieje pod oknem, a po minie Niny widzę, że nic dobrego. Odwracam się. W jednym z płócien, które dopiero co naciągnąłem, widnieje duże wgniecenie. Podchodzę do Marka i daję mu porządnego klapsa w nogę. Biegnie z płaczem do Niny. Właściwie to nic wielkiego się nie stało i mogę poprawić płótno. Może złoszczę się tak bardzo, bo nie potrafię się przyznać, że jeszcze nie jestem gotowy; czuję, że całkiem mnie ponosi. Podnoszę płótno za ramę i kopię je. Teraz wgłębienie jest jeszcze większe. Głupi! Znowu kopię! Wciąż nie chce się przerwać; poddaje się jeszcze bardziej, w końcu się rozrywa.

— Jezu Chryste, jak, do cholery, można pracować w takim domu wariatów! Równie dobrze mogę sobie dać spokój już teraz!

Nikt nic nie mówi; Mark przestaje płakać. Problem polega na tym, że tak naprawdę wcale nie chciałem tego powiedzieć. Jakbym nie był sobą, nie mogę się powstrzymać. Mark wtula twarz w spódnicę Niny. Nienawidzę, gdy to robi. Wciąż trzymam w ręku obwisłe płótno; widać na nim wyraźnie ślady mojego buta. Ciskam nim o ścianę. Wciąż nikt się nie odzywa. Idę na górę i opadam na łóżko. Leżę ze wzrokiem utkwionym w sufit, a w głowie kłębią mi się myśli. Zaczynam nabierać przekonania, że mam rację. A co, do cholery; jestem artystą; malowanie to nie lepienie babek z piasku. Słyszę, jak Nina uspokaja dzieci. Wreszcie zasypiam.

ROZDZIAŁ 4

NINA

Niemowlak jest głodny, a ja próbuję powstrzymać łzy. Kiedy zapalam zapałkę, gaz w kuchence strzela tak głośno, że podskakuję i upuszczam zapałkę. Nawet nie widzę, gdzie upadła. Dodaję więcej mleka do kaszki. Zwykle nie płaczę, ale czasem nie potrafię się powstrzymać. Cieszę się, że Clyde wyszedł wreszcie. Sprawdzam palcem kaszkę — wciąż za chłodna — i wycieram go w ręcznik. Tego ranka zapach kaszki jest nie do zniesienia i wiem, że mogłabym zwymiotować, gdybym się nie powstrzymywała. Ocieram oczy wierzchem dłoni; nie chcę, żeby Mark widział, że płaczę. Kuchenka znowu strzela, gdy ją wyłączam. Wszyscy możemy zginąć.

Siadam na krześle, a niemowlaka sadzam na stole, bo tak mi jest wygodniej. Mark rozłożył na dwóch krzesłach jedno z prześcieradeł niemowlaka. Czasem potrafi być taki dobry; niemowlak też jest grzeczny. Prawie mi przeszło.

Wczoraj Clyde zachował się okropnie, nigdy taki nie był. Kiedy położyłam się do łóżka, udawał, że śpi. Nigdy nie śpi na plecach. Kładzie się na wznak, ale potem, zanim zaśnie, zawsze obraca się na bok. Nie wiem, co się dzieje. Przecież jesteśmy w Paryżu, w naszym własnym mieszkaniu, powinniśmy być szczęśliwi. Myślałam, że tego chce.

Niemowlak próbuje sam jeść; chwyta łyżkę i stara się dosięgnąć nią do talerza. Niech sobie trochę potrenuje. Świetny z niego gość, obaj są równi, tylko że tyle z nimi pracy.

Muszę znaleźć pralnię samoobsługową. Nie mogę prac ręcznie wszystkich tych pieluch, a poza tym nie ma ich gdzie wieszać. Francuzi musieli to jakoś zorganizować, przecież też mają dzieci.

Niemowlak wyraźnie ma już dość i chce zejść. Gdy tylko opuszczam go na podłogę, natychmiast zaczyna sunąć do Marka.

Wiem, że trudno malować, kiedy wokół kręci się rodzina, ale przynajmniej nie musi już uczyć. Zwykle nie zachowuje się w ten sposób, jest bardzo miły. Nie rozumiem, dlaczego tak się wściekł. Biedny Mark. Zupełnie nie wiedziałam, co powiedzieć ani jak się zachować. Chyba nigdy jeszcze tak się nie bałam. Myślę, że Clyde mógłby mnie wczoraj uderzyć, a przecież nigdy wcześniej nie podniósł na mnie ręki. Był taki błady i smutny. Jak mój ojciec czasem. Tak się bałam. Chyba nie jestem jeszcze naprawdę dorosła. Prawdziwa kobieta wiedziałaby, jak postąpić w takiej chwili.

Znowu chce mi się płakać i boli mnie gardło od powstrzymywania łez. Zaglądam do pokoju. Wszystko w porządku. Mark doskonale bawi się z niemowlakiem.

Czasem przychodzą mi do głowy najbardziej zwariowane myśli. Wciąż do nich powracam i nic nie robię, by się od nich uwolnić. Często pytam Clyde'a, co myśli na jakiś temat, a on zawsze ma coś do powiedzenia. Potem zaś, kiedy on zadaje mi to samo pytanie, ja muszę coś wymyślić albo składać jakieś fragmenty myśli. Mój umysł nie chce myśleć bezpośrednio. Wiem, że myślę, tylko nie robię z tego użytku.

Nalewam gorącej wody do zlewu. Muszę zmywać szybko, bo woda wycieka wokół metalowego korka. Wczoraj wyciekła mi cała, zanim zdążyłam pozmywać. Clyde był już na górze, a ja niemal się rozplakałam.

Paryż jest piękny, ale dla mnie jak dotąd to niewielka różnica. Muszę robić wszystko to, co przedtem, tylko że teraz jest trudniej. Strasznie jestem przygnębiona. Przejdzie mi, kiedy pójdziemy do parku. Może spotkam Alice. Chciałabym z kimś porozmawiać.

Wiem, że wszystko będzie dobrze, gdy Clyde zacznie malować. Jest taki wrażliwy i

utalentowany. Na uniwersytecie wszyscy mówili, że jest jednym z najlepszych młodych nauczycieli, jakich mieli na wydziale sztuki.

Może kiedy Clyde oswoi się z tym, że mamy dość pieniędzy, zatrudnimy kogoś do pomocy. Byłoby wspaniale móc mieć więcej czasu w Paryżu, żeby go oglądać, choćby tylko kilka godzin dziennie. Wiem, że był przerażony, gdy wydał tyle pieniędzy na samochód, bilety lotnicze i inne rzeczy — więcej niż zarobił w ciągu roku.

— Mark włóż kurtkę, a ja ubiorę niemowlaka. Idziemy do parku.

— O rety, mamó, bawimy się. Nie możemy zostać?

— Pewnie spotkamy Aarona w parku. Dam ci franka na łódkę.

— Świetnie, zrobimy wyścigi. — Wstaje i prześcieradło opada mu na głowę.

— Twoja kurtka wisi w szafie przy toalecie.

Kiedy składam prześcieradło, niemowlak próbuje je złapać; myśli, że to zabawa. Przesuwam mu nim po twarzy kilka razy, żeby usłyszeć jego śmiech. Robi to cudownie, z otwartymi ustami, a dźwięk wydobywa się gdzieś z jego wnętrza. Właściwie nie potrafi jeszcze zaśmiać się głośno, dlatego kiedy jest czymś bardzo podekscytowany, krzyczy przeraźliwie. Kończymy zabawę i biorę go na ręce. Zanoszę go na górę i przewijam.

Mark wścieka się na dole.

— Zaraz schodzę, kochanie. Nie wchodź na górę.

Mark uwielbia się wspinać. Te schody są tak strome, a ja czuję, że kiedyś zdarzy się jakiś wypadek. Podchodzę do toaletki. Szczególny mebel w mieszkaniu mężczyzny. Jest pomalowana na kremowo z jasnoróżowym i białym gzymsem. Miękkie siedzenie obite jest materiałem w ten sam deseń. Może miał dziewczynę, kochankę; dość intrygujące — monsieur Bien — court z kochanką.

Rano, kiedy wstałam, już po wyjściu Clyde'a, spięłam tylko włosy kilkoma spinkami; teraz opadają mi z boku. Czasem wyglądam jak dziewczyna z *Absyntu* Degasa. Obserwuję niemowlaka w lustrze. Szybko czeszę się w kucyk, tak jak Alice. Gdy zaczynam malować usta, słyszę jakiś hałas na schodach. Zastygam w bezruchu przerażona. W pierwszej chwili pomyślałam, że to niemowlak, ale on wciąż leży na łóżku. A zatem to Mark.

— Co się stało? Wszystko w porządku? — Schodzę do połowy schodów.

— Jasne, bawię się w zjeżdżanie. Jakbym zjeżdżał na listku po górkach. Patrz.

— Mówiłam ci, żebyś nie wchodził na schody, a tym bardziej b a w i ł się na nich. Jeśli nie będziesz grzeczny, powiem tacie, żeby dał ci klapsa. U s i ą d ź na krześle i zaczekaj na mnie. Zaraz schodzę.

Wracam na górę, wciąż przestraszona.

Kiedyś lubiłam oglądać się w lustrze. Nie jestem specjalnie próżna, nie bardziej niż inne dziewczyny, a poza tym nie jestem aż tak ładna. Lubiłam patrzeć w lustro, bo wydawało mi się, że jestem tam n a p r a w d ę. Po prostu dobrze się czułam, mogąc spojrzeć na siebie i upewnić się, że naprawdę istnieję.

Schodzę z niemowlakiem. Mark ubrał się i pozapinał guziki, włożył nawet czapkę. Wygląda tak smutno, sam na tym krześle, że znowu zbiera mi się na płacz. Jestem strasznie przygnębiona, a przecież to jeszcze nie ta pora. Owszem, czasem ogarnia mnie smutek, ale teraz jest jeszcze gorzej. Wyjmuję z szafy mój żakiet i kurtkę niemowlaka.

Na dworze jest pięknie. Po niebie płyną szybko chmury, ale nie wieje zbyt mocno. Wszystko wydaje się takie bliskie, ale widać też punkty naprawdę daleko oddalone. Mark przytrzymuje dla mnie furtkę, żebym mogła zjechać wózkami po schodkach. Tak bardzo stara się być miły. Niemowlak jest wniebowzięty. Czasem czuję się podłe, zwłaszcza gdy wyładowuję się na Marku.

— Mogę pomóc pchać, mamusiu?

— Oczywiście, kochanie.

Kładzie dłoń na jednej ręczce. Tak naprawdę to mi przeszkadza, ale nic nie mówię, skoro chce pomóc. Budynki i drzewa wydają się bardzo wysokie. Czasem nie zwracam uwagi na rzeczy, które znajdują się w górze, ale dzisiaj mimowolnie podnoszę głowę. Czuję się o wiele lepiej. Może nie będzie tak źle, gdy już pójde do lekarza i będę wiedziała na pewno. Podobne problemy czasem męczą człowieka, zanim się zorientuje, o co w ogóle chodzi. Jeszcze nic nie mówiłam Clyde'owi. Powiem mu, jak będzie w lepszym nastroju.

Clyde mówił, że jeśli pójde do końca ulicy, aż do boulevard Raspail, a potem skręcę w prawo, to dojdę do rue de Fleurus, gdzie znajduje się hotel, w którym mieszkaliśmy, a stamtąd już widać park. Patrę, ale nic takiego nie widać. Jest za to potwornie szeroka ulica, a ja nie wiem, jak przejść na drugą stronę. Nieopodal widzę przejście dla pieszych, ale nawet przy zielonym świetle wciąż przejeżdżają skręcające samochody. Kierowcy w ogóle nie patrzą. Stoję i myślę, że Francuzi są okropnymi egoistami, szczególnie ci w samochodach.

— Mark, trzymaj mnie mocno za rękę.

Zapala się zielone światło i ruszamy; dwukrotnie musimy przepuścić przejeżdżające samochody. Kiedy włącza się czerwone światło, jesteśmy dopiero w połowie jezdni. Bardzo się boję. Teraz wszystkie samochody muszą się zatrzymać, żebyśmy mogli przejść. Sprawdzam tabliczkę i widzę, że wciąż jeszcze nie jesteśmy na boulevard Raspail. Musimy minąć jeszcze dwie ulice, zanim dochodzimy do tej, której szukałam. Dzieciom to nie przeszkadza.

Czuję się lepiej, gdy znowu jesteśmy na chodniku, i mogę się rozejrzeć. Z metalowych kratki wyrastają drzewa. Gdzieś opadają liście, a Mark biegnie, próbując je złapać. W chwili gdy mam ochotę zawrócić, dochodzimy do rue de Fleurus i teraz widzę park na końcu ulicy. Gdy mijamy hotel, zaglądam do środka w nadziei, że spotkam kogoś znajomego. Bardziej pogodnie patrę na rzeczy, które mam już za sobą. Clyde nazywa to syndromem Pollyanny. Nie zgadzam się z nim; po prostu dobre rzeczy pamiętam lepiej niż złe.

Park przypomina teren za miastem. Coraz więcej liści zaściela ziemię. W ciszy niemal słychać, jak spadają. Widzę niewielu ludzi. Kieruję się od razu do dużego basenu, ale nie ma tam Alice. Za piętnaście jedenasta. Postanawiam sprawdzić, czy jest gdzieś w pobliżu placu zabaw.

— Ojej, mamo, mieliśmy puszczać łódkę.

— Najpierw poszukajmy Aarona, a potem będziesz puszczał łódkę. Będzie weselej, jeśli razem się pobawicie, prawda?

— Chyba tak.

Już z daleka dostrzegam Alice. Siedzi sama zajęta czytaniem. W blasku słońca wydaje się taka spokojna i zrównowazona. Podnosi wzrok dopiero, gdy jestem już całkiem blisko, i uśmiecha się.

— Cześć, Nino, miałam nadzieję, że przyjdiesz. Wspaniała pogoda, prawda? W taki dzień wydaje mi się, że mogłabym wnieść się w górę, gdybym tylko wiedziała, jak to zrobić.

Przysuwam sobie wolne krzesło.

— Aaron jest na placu zabaw.

Wstaje i pokazuje w tamtą stronę. Nie ma zbyt wiele dzieci. Odprowadzam Marka do wejścia. Gdy otwieram torebkę, widzę, że nie mam nawet trzydziestu centymów. Clyde wyszedł, zanim zdążyłam go poprosić o pieniądze. Jest mi strasznie głupio. Wracam do Alice.

— Nie uwierzysz, ale przyszłam tutaj bez pieniędzy.

Mamy ich tyle, a ja nie mogę nawet zapłacić za bilet Marka. Czuję się jak żebraczka i znowu zbiera mi się na płacz. Obiecałam też Markowi łódkę. Chyba naprawdę się rozplączę.

— Proszę, mam dużo drobnych.

Alice wysypuje z torebki stos monet, zgarnia część do ręki i daje mi je. Zaczynam odliczać. — Ach, daj spokój. Zaciska moją dłoń na pieniądzech.

— Ben też czasem zapomina. Dwukrotnie musiał iść przez całe miasto, bo nie miał nawet na bilet do metra. Niektórzy tacy już są. Ja jestem ich przeciwieństwem. Prędzej wyszła — bym bez spódnicy, niż zapomniała pieniędzy.

Domyśliła się. Pewnie wyczytała to z mojej twarzy. Jest taka miła i wciąż mnie pociesza. Wracam do kasjera i płacę za Marka. Cała się trzęsę, gdy ponownie siadam na krześle. Wystawiam twarz do słońca i zamykam oczy. Słyszę, jak Alice bawi się z niemowlakiem. Siedzę tak długą chwilę, zanim udaje mi się spokojnie odetchnąć. Słońce jest ciepłe, powietrze pachnie miękkością. Gdy otwieram oczy, widzę, że Alice powróciła do swojej książki. To chyba podręcznik do francuskiego z jej szkoły.

— Już lepiej? Przez chwilę wyglądałaś na zdruzgotaną. Mam ochotę porozmawiać z nią, ale nie wiem, od czego zacząć. Zupełna pustka w głowie.

— Wiesz, Alice, to zabawne z tymi pieniędzmi.

Już wiem, że źle zaczęłam. Tak trudno jest mi mówić o tym; Clyde też nie potrafi. Bo to brzmi, jakbym się chwaliła, a ja po prostu chcę jej o tym opowiedzieć.

— Tak naprawdę to mamy teraz tyle pieniędzy, że można zwariować.

5 — Niedobre miejsce 65

Tak też nie brzmi dobrze. Alice nic nie mówi, słucha tylko, a ja nie potrafię jej tego powiedzieć.

— Widzisz, rodzice Clyde'a rozstali się, gdy on miał siedem lat. Nie rozwiedli się, ponieważ jego matka jest katoliczką, ale mieszkali osobno w Baltimore. Nawet Clyde nie znał powodu ich rozstania; matka nigdy mu nie powiedziała.

Wcale nie o tym chcę mówić, nie o Clydzie, nie w ten sposób, jednak już nie potrafię się powstrzymać.

— W każdym razie ojciec nigdy nie dawał im dość pieniędzy, więc matka musiała pracować w domu, wiesz, przepisywanie na maszynie, koperty i takie tam rzeczy. Nigdy im się nie przelewało. Clyde zachowuje się śmiesznie, jeśli chodzi o pieniądze.

Niemowlak zaczyna się wiercić, więc sprawdzam jego pieluchę. Wszystko w porządku. Wyjmuję z torebki zabawkę i kładę ją przed nim.

— Jego ojciec był lekarzem. Mieszkał w starym, rozpadającym się domu w centrum miasta i pracował w szpitalu. Clyde mówi, że matka zawsze odprowadzała go do samych drzwi, gdy miał go odwiedzić, ze względu na nieciekawą dzielnicę. W taki sposób przekazywał jej pieniądze przeznaczone na opiekę nad Clyde'em. Przez wszystkie te lata dawał je Clyde'owi, do niej zaś nie odezwał się ani słowem. Straszne, prawda?

Alice patrzy na mnie swymi łagodnymi oczami. Powieki na samej górze ma cienkie i zawinięte, w zewnętrznych kącikach gwałtownie opadają. Z jej spojrzenia przebija skupienie i współczucie. Wydaje się, że nigdy nie mruga i nie odwraca wzroku.

— Clyde mówi, że było im ciężko. Gdyby nie stypendium, nie mógłby kontynuować nauki. Ojciec nie chciał, żeby był artystą, dlatego mu nie pomagał. Ale w zeszłym roku ojciec Clyde'a zmarł nagle. Znaleźli go w łóżku, udar, nie żył już od dwóch dni. Przyszli kogoś ze szpitala, gdy się nie pojawił. To było straszne. Nawet Clyde był bardzo przybity, chociaż go nienawidził.

Alice przymyka oczy, ale ja mówię dalej:

— Sporządził testament i wszystko zostawił Clyde'owi. Ani grosza dla jego matki... tak podle postąpił. Okazało się, że było jeszcze gorzej. Przez cały ten czas po ich rozstaniu, kiedy mieszkał tak ubogo i dawał matce Clyde'a nędzne grosze, miał prawie milion dolarów w papierach wartościowych i obligacjach, o których nikt nie wiedział. Nie chcieliśmy wierzyć, ale w kwietniu Clyde ostatecznie otrzymał cały spadek. Trzeba było zapłacić duży podatek, ale i tak została więcej niż połowa. Zdumiewające, prawda?

— To cudownie, Nino. Przykro mi z powodu ojca Clyde'a, ale cieszę się ze względu na ciebie.

Wiem, że mówi szczerze. Wcale nie jest zazdrosna, w przeciwieństwie do niektórych naszych przyjaciół.

— Tak więc teraz Clyde może malować i nie musi już uczyć. Kupił matce ładny domek i przelał na jej konto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. A potem stwierdził, że robi to, o czym zawsze marzył: pojedzie do Paryża malować. No i jesteście tutaj.

Zamknęła książkę i czeka.

— Trudno było wytłumaczyć to jego matce. Popłakała się i powiedziała, że wolałaby, żeby nie było żadnych pieniędzy. Czasem nie jest łatwo przekonać rodziców, że ich kochasz, nawet jeśli nie pragniesz tego samego co oni.

— Wiem, co masz na myśli. Ale nie widzę nic złego w tym, że ktoś odziedziczył milion dolarów. Dziesięć minut temu wyglądałaś, jakbyś miała dość wszystkiego.

— Ach, to. Chodziło o te pieniądze. Wydało mi się to takie okropne, że nie mogę nawet zapłacić za Marka. Wiesz, Alice, czasem zachowuję się głupio.

Już wiem, że jej nie powiem. Zawsze trudno mi zacząć mówić o czymś ważnym w obecności drugiej osoby, nawet jeśli jest to Clyde.

— Rano Clyde wyszedł wcześniej i nie zdążyłam poprosić go o pieniądze. Chyba chciał pospacerować i rozejrzeć się, zanim na ulicach zrobi się tłoczno.

— Ben także lubi czasem wyjść. To jedna z rzeczy, do których jest mi najtrudniej się przyzwyczaić. Po prostu chce być wtedy sam. Wcześniej w takich chwilach czułam się opuszczona, jakby mnie nie potrzebował. Jeszcze i teraz nie zawsze dobrze to znoszę, ale tak już chyba jest z mężami artystami.

Uśmiecha się. Nie potrafię powiedzieć, czy w tej chwili mówi to z uprzejmości. Mimo wszystko cudownie jest porozmawiać z kimś, kto nie boi się mówić o prawdziwych uczuciach.

— Ale Clyde wcześniej taki nie był. W domu nigdy nie chodził na spacer. Prosto ze szkoły przychodził do domu, nawet się nie spóźniał na kolację. Nie rozumiem, co się stało.

— Może to wpływ Paryża. Może trudno mu zacząć. Ben najczęściej chce być sam, kiedy się z czymś boryka. Może tak samo jest z Clyde'em.

— Być może.

Znowu czuję ciepło słońca, ustąpił też ucisk w żołądku. Zamykam oczy i pozostawiam Marka samemu sobie. Mam nadzieję, że Alice nie ma nic przeciwko temu; czuję się taka otumaniona i zmęczona. Zerkam spod półprzymkniętych powiek i widzę, że Alice znowu czyta. Sprawdza plac zabaw i uśmiecha się do niemowlaka. Nie patrzy na mnie. Ponownie zamykam oczy i rozkoszuję się samym powietrzem. Czasem naprawdę potrafię poczuć rzeczy, nawet ubrania czy wnętrze mojego ciała; muszę wtedy być bardzo wyciszona i oddychać powoli.

Chyba się zdrzemnęłam, bo gdy Alice ponownie się odzywa, czuję się, jakbym skądś wracała. Nie słyszę nawet, co mówi.

— Och, przepraszam, zasnąłaś?

— Nie, tak tylko marzyłam na jawie. Co mówiłaś?

— Ben powiedział, że spotkamy się tutaj, a ja nie mam zegarka. Ty masz?

— Nie, przykro mi. Najczęściej zmywam z zegarkiem na rękę. W ten sposób zepsułam już trzy. Ostatni był prezentem ślubnym od matki Clyde'a. Podejdę do tego dużego zegara i sprawdzę, jeśli popilnujesz niemowlaka.

— Och, nie, to nie ma znaczenia. Tak tylko się zastanawiałam.

— Chętnie się przejdę. Nie mam zbyt wiele okazji do samotnych spacerów.

— Dobrze. Dzięki, Nino. Popilnuję dzieci.

Czekam na chwilę, kiedy niemowlak nie patrzy na mnie, i odchodzę szybko. Drzewa gubiące liście roztaczają słodko — — smutną aurę. Z dziećmi wciąż muszę na coś uważać i przewidywać, co mam zrobić, dlatego nigdy niczego nie zauważam. Świat jest taki piękny, a ja nie mam okazji mu się przyjrzeć. Co za przygnębiająca myśl; jakby czas i życie przepływały tuż obok, beze mnie.

Dwadzieścia po dwunastej. Kiedy wracam, widzę jakiegoś mężczyznę, który rozmawia z Alice. Ma wysokie czoło i podniecony głos. Mówi, gestykulując żywo — po angielsku, jak słyszę. Ubrany jest w flanelową koszulę w kratę, zapiętą pod szyją, nie ma krawata. Brązowa tweedowa marynarka ma wypchane łokcie, spodnie, bez kantów, także są wypchane na kolanach. Ma małe stopy i nosi żółte skórzane wiązane buty i ciemne skarpety. Zwykle nie przyglądam się ubraniom aż tak uważnie, ale on się wyróżnia strojem.

Domyślam się, że to Ben Stein, dla mnie nie wygląda jak artysta. Przypomina bardziej Indianina albo któregoś z bohaterów Faulknera o długich imionach. Gdy podchodzę, patrzy na mnie, nie uśmiechając się, i nic nie mówi. Wtedy odwraca się Alice.

— Jest nareszcie, Nino. To jest Ben. Ben, poznaj Ninę. Robi krok do przodu i podaje dłoń — małą i silną.

— Witaj, Nino, miło cię poznać.

Patrzy na moją twarz, ale nie w oczy. Trochę jakby się speszył.

— Cieszę się, że pana poznałam, panie Stein. Teraz patrzy na mnie. Oczy ma bardzo czarne.

— Och, nie, nie rób mi tego.

Gdy to mówi, jego twarz, poważna i surowa, okolona siwymi włosami, rozpada się na miękkie, łagodne, lśniące kawałki. Odchyła głowę i śmieje się. Wciąż trzyma moją dłoń.

— Nino, przez ciebie czuję się, jakbym miał sto dziewięćdziesiąt lat. Proszę, mów mi Ben.

Spoiłem jego twarzy jest szeroki, szczery uśmiech. Ma małe białe zęby ze szczeliną na przedzie. Alice patrzy na niego uśmiechnięta. Widzę, czy raczej wyczuwam, po raz pierwszy, jak bardzo go kocha. Puszczą moją rękę i odwraca się do Alice.

— No, jak tam? Musimy się pospieszyć, jeśli mamy zdążyć na lunch do naszego pensjonatu.

— Sprawdzaliśmy godzinę, Alice. Było dwadzieścia po dwunastej.

Ben uśmiecha się do mnie.

— Zjedz z nami lunch, Nino. Dzisiaj mamy wtorek, dzień ravioli. Lubisz pierożki?

Spoglądam na Alice. Nie jestem pewna, czy podoba jej się ten pomysł.

— Bardzo dziękuję... Ben. — Czuję się, jakbym zwracała się po imieniu do ojca albo do duchownego. — Sama nie wiem. Z dziećmi to kłopot i nie wiem, czy Clyde przyjdzie do domu na lunch. A poza tym chyba nie mogę tak po prostu wparadować do waszego pensjonatu, skoro tam nie mieszkam, prawda?

— Oczywiście, że możesz. Jesteś naszym gościem. Taka niespodzianka dobrze zrobi naszemu pedantycznemu monsieur Le Grand. — Spogląda na Alice, jakby chodziło o jakiś im tylko znany dowcip. — Chodź, Nino. Twój mąż jest artystą. Na pewno znajdzie coś do zjedzenia. Jesteśmy w Paryżu, a nie na Saharze.

Powiedział to tak, że zabrzmiało niemal nieuprzejmie, ale wyczuwa, że chcę pójść z nimi. Wciąż jednak nie mam pewności, co na to Alice. Dotąd nic nie powiedziała. Czuję w środku chłód i chciałabym jeszcze pobyć z kimś. Patrzę na nią pytająco.

— Chodź, Nino. Nie dają zbyt wiele do jedzenia, ale będziemy mieli okazję porozmawiać.

— Alice, jesteś pewna, że tak będzie dobrze? Będziemy mieli trójkę dzieci.

Ben śmieje się.

— Nas też jest troje, równe siły. Będzie dobrze.

Alice uśmiecha się, ale nie wiem, czy jest to szczery uśmiech, czy tylko uprzejmy.

— Chętnie przyjmę wasze zaproszenie, jeśli uważacie, że wszystko jest w porządku.

— Dobrze. Przyrowadzę Aarona i ruszamy.

— Kochanie, poproś Aarona, żeby przyrowadził też Marka, dobrze?

Ben ruszył już w stronę placu zabaw i odpowiada skinieniem głowy, nie odwracając się. Wydaje mi się, że zaraz zacznie biec, ale nie robi tego.

— Alice, naprawdę nie przeszkadza ci to, że pójdziemy z wami? Będzie trochę zamieszania.

Patrzy na mnie swoimi łagodnymi oczami i wiem, że tak myśli.

— Naprawdę, Nino. Cieszę się, że zjemy razem. Z Benem tak jest zawsze. Po prostu czasem nie nadążam za nim i chyba to widać. Nie martw się, zobaczysz, będzie wesoło.

Wraca Ben z chłopcami. Biegnie, niezbyt szybko, ścigając się z Aaronem i Markiem. Chłopcy śmieją się, ponieważ wymachuje energicznie ramionami.

— Wygrałeś, Mark. Należy ci się nagroda. — Wyjmuje z kieszeni marynarki niewielką torebkę i wręcza Markowi malutki czerwony cukierek. — Ty otrzymujesz drugą nagrodę. — Daje drugiego cukierka Aaronowi. — A ja trzecią. Wrzuca go sobie do ust.

— Ben, nie dawaj im, nie będą mieli apetytu.

— Ach, Alice, chłopcy zawsze mają apetyt, a poza tym w pensjonacie nie dostaną chyba nic lepszego.

Idziemy przez park.

— Nie zwracaj na niego uwagi, Nino. Zupełnie zwariował na punkcie tych okropnych cukierków, które kupuje w metrze.

— Pomogę pchać, dobrze, Nino? Dla mnie to nic wielkiego, a ty jesteś już pewnie zmęczona.

Nie czeka nawet na moją odpowiedź; kładzie dłoń na rączce, przechyła wózek kilkakrotnie, aż niemowlak ogląda się do tyłu. Ben śmieje się, a wtedy niemowlak zaczyna się rzucać do przodu, co jest sygnałem, że chce jechać szybciej.

Pensjonat jest niedaleko. Ben wyjmuje z wózka niemowlaka, a wtedy malec chwytą go za nos. Jest mi głupio, wiem, że czuć od niego. Biorę go na rękę.

— Lepiej wezmę wózek na górę. Tutaj ktoś mógłby go ukraść. Ben składa wózek i kładzie go sobie na ramieniu. Alice

i chłopcy już są na schodach ponurej klatki schodowej. Doganiam Alice.

— Czy mogę najpierw pójść do was? Muszę przebrać niemowlaka. Mam zapasowe pieluchy.

— Oczywiście, i tak muszę najpierw umyć Aarona. Ben zatrzyma się w jadalni i wszystko ustali. Chodźmy, jeszcze tylko jedno piętro.

Gdy wreszcie wchodzimy na górę, oddycham ciężko. Alice otwiera wysokie, wąskie drzwi. Podłoga w pokoju błyszczy się, ale nie jest zbyt równa ani czysta. Pokoi jest jasny i duży, lecz dość obskurny. Kładę niemowlaka na jednym z łóżek — są pościelone i pachną czymś, co przypomina środek do czyszczenia mebli.

— Umywarka z ciepłą wodą jest za zasłonką. Wycieram niemowlaka papierem toaletowym, biorę z torebki puder i oliwkę.

Alice tymczasem myje pod bieżącą wodą Aarona i Marka. Jest strasznie miła.

— Nino, zaprowadzę już chłopców na dół. Przyjdź, kiedy skończysz. Jadalnia jest pod nami.

Bierze chłopców za ręce i wychodzą. Na progu odwraca się jeszcze do mnie.

— Wychodząc, zatrzasknij drzwi.

Kończę toaletę niemowlaka, rozpuszczam włosy i wiążę je jeszcze raz. Potem myję twarz i mocno nacieram policzki ściereczką do zmywania. Dzięki rumieńcem na twarzy moje oczy nie wydają się już takie czerwone.

Teraz czuję się o wiele lepiej.

Bez problemu znajduję jadalnię. Ben wstaje, gdy podchodzę. Sadza niemowlaka w wysokim

starodawnym krzeselku, ale nie wysuwa krzesła dla mnie. Na drugim końcu stołu siedzi jakaś czarnoskóra kobieta. Widzę, że podano już *hors-d'oeuvres*: jakaś ryba w oleju. Mark jeszcze nie zaczął jeść, Alice zaś zjadła do połowy. Ben podsuwa sobie talerz z rybą Aarona. Biorę kawałek chleba z koszyka i daję go niemowlakowi.

— Mówię ci, Nino, to mnie doprowadza do szaleństwa. Aaron nie zjada nawet połowy tego, co tu dają. Ben zjada wszystko po nim i boję się, że przytyje.

Ben podnosi wzrok z widelcem w lewej dłoni.

— Mężczyzna w moim wieku musi być gruby jak stary byk — mówi, uśmiechając się. — A poza tym te sardynki są naprawdę dobre. W domu za taką porcję zapłaciłabyś pięćdziesiąt centów.

Nie przepadam za sardynkami, ale nie wypada mi nie jeść. Staram się nie patrzeć. Wiem, że Mark nie ruszy swojej porcji i nie mogę go do tego zmuszać. Dobrze, że nie zamówili też dla niemowlaka. Ben uwinął się już z porcją Aarona.

— Ben, chcesz też ryby Marka? On ich nie zje, a ja nie dam rady.

Nie wiem, czy nie poczuje się urażony, ale on pochyla się z uśmiechem i zsuwa ryby na swój talerz.

— Wiesz, wszyscy uważają, że my, Żydzi, jemy bardzo dużo ryb. Chodziłem do szkoły w zachodniej Filadelfii, a niedaleko znajdowała się inna szkoła średnia, katolicka. Jej uczniowie, nasi odwieczni rywale, ułożyli o nas piosenkę. W naszej okolicy chyba połowa dzieciaków była Żydami. Nazywali naszą szkołę „Moškoła”.

Bierze kolejną rybę i gryzie ją powoli w milczeniu. Patrzę na swój talerz.

— Jak oni śpiewali... zaraz, niech sobie przypomnę... Już wiem:

*To my, to my, idziemy po wygraną,
A Żydki z zachodniej już czują przegraną.
Icek, Mosiek, Jake i Sam.
My z chłopakami szynki nie tykamy.*

— Zaraz, zaraz... jak to szło, mam:

*Śledź marynowany! To najchętniej wcinamy!
Je, je, Moškoła.*

Śpiewając ostatnią linijkę, podnosi widelec, jakby był cheer — leaderem.

— Zawsze lubiłem ryby. Pewnie dlatego jestem prawdziwym Żydem.

Jestem speszona i nie wiem, co powiedzieć. Czuję też, że się rumienię.

— Daj spokój, Ben, peszysz Ninę. Ona nie zna cię jeszcze zbyt dobrze.

Patrzy prosto na mnie, teraz już poważny.

— Przepraszam, Nino. Wiem, że mówi szczerze.

Alice chyba też ryby zbyt nie smakowały. Naczynia ze stołu zbiera tęgi mężczyzna o rzadkich włosach w luźnej jedwabnej koszuli. Wraca szybko z naczyniem pełnym śliskich ravioli polanych czerwonym sosem. Chłopcy mają serwetki zatknięte za bluzy. Aaron podstawia swój talerz.

— O rany, pudełka ze skarbami.

Nabija jednego pierożka na widelec i wkłada całego do buzi. Mark zachowuje się ostrożniej: najpierw pozbywa się sosu, a dopiero potem próbuje pieroga. Wyglądają głupio, gdy tak się uśmiechają do siebie z pełnymi ustami. Nic nie mówię, byleby tylko jadł. Próbuję jednego

pieroga — jest pyszny.

— Bardzo smaczne.

Ben nabija na widelec dwa naraz.

— Między innymi dlatego tu mieszkamy.

Na deser jest owoc i kawałek sera. Mark wybiera banana, a ja pomarańczę. Dzieci dostają jeszcze ciasteczka.

— Alice, naprawdę muszę już wracać. Clyde będzie się niepokoił. Nie wie, gdzie jesteśmy.

— Rozumiem. Trudno jest z niemowlakiem. Podsuwam niemowlakowi kawałek ravioli, ale nie chce jeść.

Nie mam żadnej kaszki ani przecieru jabłkowego. Ben kieruje na mnie swój widelec z nadzianym nań serem Aarona.

— Musimy się kiedyś spotkać. Chciałbym poznać twojego męża, Nino. Mogę pokazać mu kilka miejsc, gdzie można kupić farby i inne przybory.

— Byłoby miło. Clyde też by się ucieszył; on także chciałby cię poznać. Może w przyszłym tygodniu, do tego czasu zdążymy się już urządzić.

— Dobrze, we wtorek? Lubię robić różne rzeczy we wtorki. To dzień, kiedy muzea są nieczynne.

Spoglądam na Alice. Zrozumiała, co miał na myśli, bo potakuje głową.

— Świetnie. W takim razie spotykamy się o ósmej na kolacji.

— Och, nie, Nino. To za dużo pracy. Nie, przyjdziemy do was po kolacji.

— Naprawdę chciałabym, żebyście przyszli na kolację. To będzie taka nasza parapetówka.

Niemowlak zaczyna się wiercić. Wyjmuję go z krzesła i sadzam sobie na kolanach.

— Dobrze nam robi, jak raz wyłamiemy się z posiłkowego rytuału naszego pensjonatu; szczególnie że we wtorki serwują to paskudne *haricot vert*.

Alice uśmiecha się.

— Jedyne wieczór, kiedy nawet Ben musi skapitulować. Trzy talerze pełne fasoli szparagowej to za dużo nawet dla niego.

— Żadnego masła ani nic takiego, po prostu kupa fasoli. Francuzi mają dziwne pomysły, jeśli chodzi o jedzenie, a może to tylko monsieur Le Grand.

Alice nachyla się do mnie.

— Chętnie przyjdziemy, Nino, jeśli tylko nie będzie to zbyt duży kłopot dla was.

— Cudownie. A zatem o ósmej.

Wstaję i zdejmuję Markowi serwetkę. Podajemy sobie ręce na pożegnanie.

— Zaczekaj. Zniosę ci wózek.

Ben idzie za mną do drzwi jadalni. Bierze wózek z podestu i znowu zarzuca go sobie na ramię. Schodzę za nim.

Przytrzymuje drzwi wejściowe na dole i przygląda mi się, gdy wkładam niemowlaka do wózka; czuję, że jestem trochę zdenerwowana, choć nie wiem dlaczego. Wyciąga do mnie rękę.

— Bardzo się cieszę, że cię poznałem, Nino. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.

Podaję mu rękę. Trudno mi spojrzeć mu w oczy. Jego spojrzenie jest przyjazne, ale tak bardzo, że aż mnie peszy. Nie wiem, co powiedzieć.

— Ja także się cieszę z naszego spotkania. Masz cudowną żonę.

— Wiem.

Uśmiecha się i cofa na próg, macha do mnie i odwraca się. Popycham wózek, trzymając Marka za rękę. — Mamusi, on wygląda jak kowboj.

— Co masz na myśli, kochanie?

— Wygląda, jakby miał pistolet. Dzieci potrafią być zabawne.

Przez całą drogę do domu zastanawiam się, co się dzieje z Clyde'em, ale nie dochodzę do żadnych konkretnych wniosków. Boję się odpowiedzieć na własne pytania, więc ich nie zadaję.

ROZDZIAŁ 5

CLYDE

Wczoraj chodziłem po mieście przez cały ranek. Gdy wróciłem, Niny jeszcze nie było. Zapaliłem fajkę i siedziałem, gapiąc się na niebieskawoprzezroczysty dym ulatujący do góry. Bezwzględnie muszę umyć okna, wyglądają okropnie. Kiedy Nina wróciła, prawie skończyłem.

Stara się być miła, a ja czuję się podle. Doceniła to, że umyłem okna; teraz całe mieszkanie wydaje się czystsze, jaśniejsze i widać zielono-brązowe liście na drzewie. Po południu idziemy na spacer. Pogoda wymarzona.

Udaje mi się umocować płótno. Jest rozdarte na samym rogu, ale naciągam je mocno i przytrzymuję gwoździkiem na krawędzi ramy. Powinno się trzymać. Gdy w mieszkaniu panuje cisza, jest jak w pracowni; Nina zabrała dzieci do parku i wróci dopiero na lunch. Ścieram z płótna brudne plamy; znowu jest jak nowe. Przyczepiam je na sztaludze, równie dobrze mogę zacząć malować na tym.

Zeskrobuje z palety starą farbę i wyciskam świeżą. Robię wszystko tak, jak pokazuję w szkole dzieciakom. Wciąż nie mogę oswoić się z myślą, że jestem sam i maluję.

Chcę spróbować studium w ciemnych barwach o niezbyt mocnym natężeniu, do tego mocny akcent bieli. Nie chcę, żeby to miało charakter tylko dekoracyjny, ma być mocne, jak prace Hoffmana, męskie, a nie jakieś tam słabo-silne bazgroły. Cienka warstwa farby rozrzedzonej terpentyną; tak ma być, lejąca, podatna na mieszanie, tak by mogło się coś wydarzyć. Na początku trzymam się brązów.

Zawsze trudno zacząć. Maczam dwunastkę w terpentynie i nabieram żółtej ochry...

*Wypełnij przestrzeń, ale cienko
I zostaw; rzeźb
W bieli, póki mokre.
Idź dalej, ale nie trać kontroli.
Stój!
Zostań
Ciągnij luźno; niech się miesza.
Wytrzymaj.
Sama grawitacja.
Żadnej formy.
Za ciasno.*

Zetrzyj.

Ledwo się pozbyłem tego pieprzonego tła. Przynajmniej w miejscu, gdzie przedtem wycierałem ścierką. Zapalam fajkę. Mam nadzieję, że dzieci nie wrócą szybko.

Chryste, może po prostu wiem za dużo. Wiem, że coś jest złe, zanim to zacznę. Tym razem postaram się powstrzymać myśli, niech wszystko toczy się samo.

Wracam do sztalugi i pracuję przez pół godziny. Czasem udaje mi się albo samo się układa, ale nie potrafię tego utrzymać. Już to mam, a potem nagle, jak w obiektywie, wszystko przesuwają się i już widzę inaczej, i wiem, że nie o to chodzi. Znowu wycieram. Wszystko to wydaje mi się

strasznie dziwne, jakbym się bawił w malowanie.

Zdumiewa mnie, jak daleko odszedłem. Zupełnie jak w jednym z moich snów: biorę udział w wyścigach i wiem, jak się biega, ale nie potrafię sobie przypomnieć. Wiem, że jestem najlepszym biegaczem, ale nie mogę wpaść we właściwy rytm; podskakuję i przebieram nogami w niewłaściwym czasie, tracąc siły, tak że mijają mnie inni zawodnicy. Patrzę na nich i wiem, że mogę biec szybciej. Nawet nie jestem zmęczony, po prostu nie potrafię poruszać nogami w odpowiedni sposób. Teraz czuję się podobnie.

Tym razem zacznę od szkicu. Może jeśli zbliżę się w ten sposób, uda mi się pójść dalej...

*Panuj nad myślami.
Myśl o czerni, o nocy i
Czasie, i o niczym, i o ciemnej piwnicy,
I o czarnej kawie przed świtem,
I już nie myśl. Rysuj.
Rysuj i nie myśl.
Długie, miękkie linie, i lekkie,
Drobne, poskręcane uczucia.*

*Wchodź dalej.
A potem w górę.
Leć wysoko z kreską.
Z kreską, której nieobce są kąty
I która utworzy zaokrąglenie jak kąt.
A potem idź do środka, gdzie
Powinien być środek kąta.
Szybkie, drobne szczegóły i
Duże, powolne,
Linie, które nie należą do przestrzeni,
Żadnych wymiarów,
Tylko pomiędzy.
A potem linie wokół,
Linie dookoła czerni,
By powstrzymać biel
Linie na tle bieli,
Białe niewidoczne linie,
Które muszą tam być.
Teraz kolor...*

Cofam się i wyciskam więcej żółtej ochry i palonej sjeny. Przyglądam się swojemu dziełu.

Nie ma sensu! Płatanina bazgrołów. Do niczego nie prowadzi, żadnej organizacji. Przypomina to jakąś cholerną, wynaturzoną kaligrafię, ogromne zakrętasy.

Znowu siadam. Cholera! Może oszukuję samego siebie. Nie powinno być aż tak trudno. Przecież potrafiłem malować; nic ważnego, ale byłem jeszcze młody. Może zacząłem zbyt gwałtownie. Okropne uczucie. Ponownie wycieram farbę z płótna. Z ulgą patrzę, jak znika całe to poskręcane spaghetti. Już czyste płótno wygląda lepiej. Co za bałagan. Jest dopiero wpół do jedenastej, lecz ja mam już dość.

Zostawiam na stole kartkę z wiadomością, że wrócę o pierwszej.

Powietrze jest wspaniałe. Cudownie jest spojrzeć na czyste niebo. Kieruję się w stronę Montparnasse'u. Przy dużym skrzyżowaniu skręcam w małą uliczkę, rue Vavin. Postanawiam usiąść gdzieś i wypić drinka. Idealny dzień na kieliszek cointreau; dzień pomarańczy. Dogaduję się z kelnerem bez problemu.

Po drugiej stronie ulicy idzie grupka ładnych dziewcząt. Takie, których człowiek nie spodziewałby się spotkać o tej porze dnia — obcisłe spódniczki, cienkie plastikowe obcasy, torebki. Widzę, jak spacerują w jedną i w drugą stronę.

— Cześć.

Musiła już być w kawiarni. Ma sztuczne futro, rozpięte.

— Cześć.

Pewnie powinienem siedzieć cicho i się nie odzywać. Szybko zajmuje miejsce na krześle naprzeciwko mnie.

— Jesteś Amerykaninem, tak?

— Tak.

— Lubię Amerykanów. Postawisz mi drinka, tak?

Daje znak kelnerowi, gdy tylko wyrażam zgodę skinieniem głowy, i zamawia dla siebie whisky. Nie jest stara, ale młoda też nie. I nie jest blondynką. Ma dobrą figurę i rozchyła mocniej futro, żebym mógł zobaczyć jej głęboki dekolt. Kurczy ramiona, tak bym mógł zajrzeć dalej. Nie widzę żadnego biustonosza. Stawia obie stopy na podłodze, a potem ponownie zakłada nogę na nogę. Ma obcisłą, krótką jedwabną spódniczkę, spod której wystaje rąbek czarnej halki. Klasyczny obrazek. Wyjmuje papierosa i czeka. Przeszukuję kieszenie dłuższą chwilę, zanim wreszcie znajduję zapalki. Podaję jej ogień. Uśmiecha się zza obłoku dymu i posyła mi kolejną chmurkę. Owszem, jest to nawet seksowne, ale ja za tym nie przepadam.

— Lubisz dziewczyny, tak?

Uśmiech też ma seksowny; i niezbyt dużo czarnych zębów. Jak odpowiedzieć na takie pytanie? Cokolwiek odpowiem, będzie źle.

— Tak.

Wcale się nie staram podtrzymać rozmowy. Po prostu dryfuję, tak jak wtedy, gdy malowałem. Nigdy wcześniej nikt nie składał mi podobnej propozycji, i oto proszę. Kelner przynosi drinki, zostawia rachunek i odchodzi. Trącamy się w blasku słońca, a ona przez cały czas patrzy mi w oczy. Pije w tym samym momencie co ja, celowo.

— Podobam ci się, tak?

Odpowiadam skinieniem głowy. Nie mogę powiedzieć, żeby mi się nie podobała. Po prostu nie wiem, jak mam się zachować. I nie jestem aż tak speszony, jak mógłbym się tego spodziewać. Nie przestając patrzeć mi w oczy, mruga do mnie powoli prawym okiem — gest dobrze wyćwiczony przed lustrem. Powieki ma pomalowane jakimś fluorescencyjnym, jasnoniebieskim tuszem. Mimowolnie zastanawiam się, jak by wyglądała, gdyby zamknęła też drugie oko. Przesuwa językiem po wardze. Jest różowy i cienko zakończony, seksowny; wie o tym.

— Chcesz się ze mną przespać?

Znowu mruga. Jak, do cholery, mam jej powiedzieć, że nie chcę. Siedzę tam i próbuję coś wymyślić, nie czerwieniąc się, i nie wiem nawet, czy ona zrozumie jakieś bardziej szczegółowe wyjaśnienia. Mam nadzieję, że Nina nie chodzi tą ulicą.

— Jestem żonaty.

Odchyła się do tyłu i śmieje się, głośno, dosadnie, niemal gorzko. Sięga po szklanekę.

— Ach, wy, Amerykanie, jesteście zabawni.

Znowu się śmieje. Próbuję się uśmiechnąć. Nie lubię, kiedy ktoś śmieje się ze mnie. Sięgam

po kieliszek i piję tyle, ile tylko mogę, tak by się nie zakrztusić.

— Nikomu nie powiemy, tak? Idziesz ze mną?

Potrząsam głową.

— *Pourquoi pas?* Ja ci się podobam i ty mnie się podobasz, tak?

Znowu potrząsam głową i dopijam swojego drinka. Rachunek wynosi osiem franków. Nie mam zamiaru robić zamieszania, ale chcę się stąd wynieść. Boję się, muszę to przyznać. Jest taka pewna siebie. Kiedy dotyka mojej dłoni, jej skóra jest sucha i gładka.

— Chodź, będzie nam dobrze razem. Pokażę ci różne rzeczy. — Wywraca oczami.

Mam dość! Jeszcze raz kręcę głową i sięgam po portfel. Kładę na rachunku dziesięć franków.

— Tylko sto franków, to niezbyt dużo jak na Amerykanina. — Gasi papierosa.

Wstaję, zanim ma okazję wyjąć następnego. — *Au revoir, mademoiselle.*

— Do widzenia, Amerykaninie.

Uśmiecham się, ale ona nie odwzajemnia uśmiechu.

Staram się nie iść zbyt szybko. Czytałem gdzieś, że z takimi dziewczynami zawsze pracuje jakiś twardziel. Kieruję się w stronę parku. Dopiero kwadrans po jedenastej, ale nie chcę się jeszcze spotkać z Niną.

Idę wzdłuż ogrodzenia i przechodzę na drugą stronę ulicy prowadzącej w dół. Dochodzę do kościoła: przysadzisty, z wieżą zakończoną iglicą. Jestem na boulevard St-Germain. Wydaje mi się, że widziałem ten kościół na slajdach. Nie jestem mocny z historii czy architektury.

Nie zaglądam do środka, ponieważ nie mam ochoty chodzić po zimnym kościele. Za to wchodzę do ogródka, który znajduje się z boku tuż przy drzwiach. Jest tam głowa Apollinaire'a dłuta Picassa; żadne wielkie arcydzieło, ale w porządku. Dostrzegam pewien wpływ ceramiki. Pod ścianą w drugim końcu ogródka stoją kawałki łuków i inne elementy. Idę ścieżką dookoła i wychodzę na zewnątrz.

Ulica zwęża się, ale wciąż opada. Mijam sklepy z antykami, a także dość dobrze wyglądający sklep z artykułami malarskimi, lepszy niż ten, w którym kupowałem swoje rzeczy. Są tu też małe galerie, ale nie mam ochoty oglądać obrazów.

Idę do końca bulwaru, czekam na światło i przechodzę na drugą stronę. Rzeka jest szeroka i piękna, a wzdłuż brzegu stoją stragany z książkami. Taki właśnie ma być Paryż.

Mijam budki bukinistów i niski murek. Poprzez korony drzew widzę w dole rzekę. Dochodzę do mostku, na który prowadzą schodki. Oglądałem to miejsce na slajdach, ale nigdy nie zauważyłem, że to jest wysepka, na slajdach wygląda inaczej. Inne mostki rozchodzą się z niej promieniście, łącząc ją z brzegami.

Jakaś młoda para siada obok mnie na ławce. Nie rozumiem, dlaczego wybrali akurat moją, skoro wkoło tyle jest wolnych. Siedzą przez chwilę, a potem on wsuwa palce między guziki jej płaszcza, ona zaś odchyła głowę do pocałunku. Całuje ją po włosach, szyi, coraz niżej.

Nie wiem, czy to pogoda, czy też widok tulącej się pary, ale czuję, że ogarnia mnie podniecenie. Studentki próbujące dostać lepszy stopień nigdy specjalnie mnie nie brały, ale teraz jest inaczej, coraz gorzej. Paryżanki nie są specjalnie ładne, czarne włosy rozplaszczone siateczkami. Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale czuję się opuszczony. Wszystko przez tę pieprzoną dziwkę. Wiem, że nie mógłbym zrobić tego z kobietą za pieniądze. Jezu, co za myśli. Przecież mam żonę i dwoje dzieci.

Wracam na brzeg. Nad wodą do kamienia przymocowane są duże żelazne koła. W pewnym miejscu chodnik wyłożony szarym, kwadratowym brukowcem rozszerza się i przechodzi w parking. Na kamieniach widać czarne, oleiste plamy. Siedziba oddziału strażackiego straży przybrzeżnej. Na łodziach widać pompy i węże. Strażacy grają w siatkówkę. Dobre życie. Nigdy nie żyłem w ten sposób, tak blisko innych mężczyzn. Zawsze uważałem, że miałem szczęście, iż

nie wzięli mnie do wojska. Młodo się ożeniłem; ale teraz sam nie wiem. Musi być ciekawie zanurzyć się w grupie ludzi prowadzących takie twarde, fizyczne życie.

Czasem wydaje mi się, że w moim życiu właściwie nic się wielkiego nie wydarzyło. Na moim ciele nie ma ani jednej blizny. Odkąd skończyłem trzynaście lat, ani razu się nie biłem. Nietknięty także, jeśli chodzi o te sprawy. Nic poza szkołą i pracą. Jak biel na białym płótnie, dobra organizacja, nic niepokojącego, przyjemne dryfowanie przez coś w rodzaju świętości. Kiedyś winiłem za to matkę, może w tym problem. Za bardzo pozwalała mi się obwiniać, tak samo jak Nina.

Wracam tą samą drogą do parku, ale nie widzę nigdzie Niny, więc idę dalej, do naszego mieszkania.

Nie ma nikogo. Zerkam na obrazy: Dostrzegam w nich teraz początek abstrakcji, czegoś miękkiego o niejednoznacznej formie. Może po lunchu trochę nad nimi popracuję. Czasem, żeby zrobić coś dobrego, trzeba zacząć od wnętrza obrazu, ale ostrożnie.

Zdażyłem zapalić fajkę, kiedy wchodzi, więc gaszę ją natychmiast. Po drodze robili zakupy i na wózku leży mnóstwo jakichś pakunków.

— Popilnuj niemowlaka, a ja wypakuję wszystko, dobrze, Clyde?

Nina wyjmuje niemowlaka z wózka i zabiera najdrobniejsze pakunki. Idzie do kuchni.

— Niemowlak powiedział dzisiaj „tata”. Wciąż powtarzał: „Taty, taty”.

— Wspaniale!

— Tatusiu, moja łódka pływała najszybciej. Płynęła tak bardzo, że aż zamoczyła żagle i przepłynęła przez sztorm pod fontanną.

— Clyde, zdejmij kurtkę Markowi i przypilnuj, żeby powiesił ją do szafy.

Rozpinam mu guziki. Wciąż nie zdjął jeszcze czapki i rękawiczek.

— No, Mark, nie bądź taka oferma; możesz przynajmniej zdjąć czapkę i rękawiczki. Nie jesteś już dzidziusiem.

Zdejmuje je, nie patrząc na mnie, i wkłada do kieszeni.

— Powieś kurtkę w szafie, tam, gdzie ci pokazywała mama.

Odwracam się i patrzę, jak Nina zapala gaz na kuchence. Jest bardzo ostrożna, jakby miała przed sobą węża. Niemowlak ciągnie ją za spódnicę, próbując wstać. Podchodzę i biorę go na rękę, wtedy zaczyna płakać.

— Jest po prostu głodny. Uspokoi się, jak tylko dostanie jeść, a potem zaśnie.

Sadam go sobie na kolanach i robię różne miny, żeby przestał płakać. Nic nie pomaga. Gdy opuszczam go z powrotem na podłogę, natychmiast rusza do kuchni. Jego policzki lśnią od łez, a z ust cieknie mu strużka śliny.

Nina wychodzi z kuchni z jedzeniem dla niemowląt, odgarniając z twarzy luźne kosmyki grzbietem dłoni. Ma minę cierpiętника, jakby nie widziała niczego dookoła, jakby za chwilę miały ją pożreć lwy, a ona i tak niczego by nie poczuła.

— Chodź, malutki, mamusia da ci jeść.

Podnosi niemowlaka na stół, a sama siada na krześle. Nie wiem, dlaczego nie karmi go w wózku.

— Clyde, pewnie umierasz z głodu, ale wiesz, jaki on jest okropny w takich chwilach.

Nie patrzy na mnie. Jest odwrócona do niemowlaka i wkłada mu do ust jedzenie, gdy tylko udaje jej się uchwycić moment, że są otwarte. To cud, że dzieci w ogóle rosną.

Podchodzę do obrazów. Znowu widzę tylko płataninę, bazgroły studenta trzeciego roku. Siadam i czuję, że mam ochotę zapalić. W końcu to robię; niemowlak i tak zaraz pójdzie spać. Z przyjemnością obserwuję dym. Mark zachowuje się grzecznie, przynajmniej go nie słyhać. Patrzę, jak Nina niesie niemowlaka na górę. Ma ładne długie nogi; gdy jest już na górze, widzę

miękką, wewnętrzną stronę jej ud. Nie wiem, dlaczego mnie to nie podnieca. Jak już możesz to mieć, to nie chcesz. Słyszałem, jak ludzie robili podobne uwagi, ale nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Nigdy nie uganiałem się za dziewczynami. Może będę taką „pijawką” w średnim wieku, co to podszczypuje dziewczynki. Jeszcze raz podchodzę do płótna. Potrzeba więcej porządku, skupienia. Postanawiam spróbować podkreślić ruch czernią...

*Nie czarna linia, po prostu czerń.
Czerń jako forma, masa, kształt.
Po prostu czerń.
Wypełniam miękkie miejsca,
Krawędzie.
Docieram do wnętrza tego, co tam jest;
Przenikam tę iluzję;
Odchodzę.
Robię otwór i wciągam
Krawędzie,
I sunę
gładko w przestrzeni.
By była prawdziwa,
Prawdziwa przestrzeń w... nigdzie.*

— Mark, nie przeszkadzaj tacie. Pracuje teraz. Chodź tutaj. Wypadłem, koniec. Spójrzmy na to. Zaczyna nabierać formy, ale wszystko jest takie przypadkowe. Coś się dzieje, lecz brak organizacji. Boże, trudno nie być dekoracyjnym, kiedy człowiek wie, co jest piękne. Tak trudno nadać czemuś osobisty wyraz i nie robić tylko tego, co się zna. Potrzeba więcej świeżości w środku i muszę z powrotem wciągnąć zewnętrzną przestrzeń. Po prostu cienka, twarda linia tam głęboko...

*Nacięcie wokół miękkich miejsc;
Blizna, żeby pofałdować przestrzeń.
Wepchnij ciasno;
Głęboko,
Prawie do końca.
A teraz powoli z powrotem,
Nie za szybko.
Powoli...
Na zewnątrz...
Nie przerywaj
Nie tutaj.
Teraz miękko i grubo,
I cienko, przezroczyście cienko.
Nie ukrywaj.
Jak dwa światy;
Wysoko i nisko...*

— Clyde, możesz przerwać? Mam niezłą zupę. I co mam powiedzieć? Odkładam pędzel.
— Znalazłam coś takiego w proszku, co miesza się z wodą i wychodzi rosół. Pachnie ładnie,

jak rosół z makaronem Campbella.

To nie jej wina, a poza tym obraz i tak nie wyszedł. Nawet nie patrzę. Za bardzo rozbity na fragmenty. Zupa rzeczywiście ładnie pachnie.

— Tak, umieram z głodu, a zupa pachnie cudownie.

Po lunchu idę się położyć na górę. Szkoda, że przyniosłem ze sobą książki. Chyba zasnąłem, bo gdy znowu otwieram oczy, widzę, że Nina wsuwa się obok mnie.

— Nareszcie obaj padli. Mark wlaźł do swojej kryjówki i zasnął, zanim skończyłam zmywać. Czy to nie cudowne, że leżymy tak obok siebie, tylko my dwoje, i nie śpimy...

Opiera głowę na mojej piersi i przyciska nogi do moich. Kładę dłoń na jej głowie. Jej włosy mają specyficzny zapach. Fajkę też zostawiłem na dole.

— Przykro mi, że nie możesz tutaj swobodnie pracować, Clyde. Jesteś taki wyrozumiały, jeśli o to chodzi, ale wiem, że jest ci ciężko.

Nie patrzy na mnie. Nigdy tego nie robi, gdy chce mi powiedzieć coś ważnego. Czekam. Wiem, że zanosí się na coś. Mam straszną ochotę zapalić. Chyba wrócę do papierosów, o wiele łatwiej.

— Clyde, pamiętasz, jak było nieprzyjemnie na statku w czasie sztormu, gdy tu płynęliśmy i siedzieliśmy w kabinie?

Odpowiadam skinieniem głowy. Oczywiście, że pamiętam. Dręczyły nas nudności, wyraźnie czułem działanie sił grawitacji we wnętrzu mojego ciała. Dobrze, że dzieciaki spały prawie przez cały czas.

— No, więc leżąc wtedy w ciemności, pomyślałam, że sprawdzę swoje piersi, i znalazłam niewielki guzek.

Czekam i nic nie mówię.

Siada i wsuwa dłoń pod sweter, by rozpiąć biustonosz. Bierze moją dłoń i przykładą do boku swojej piersi. Jest ciepła, miękka i pełna. Wiem, że się denerwuje, bo jej palce drżą na mojej dłoni. Nie chcę niczego znaleźć.

— Czujesz to, Clyde? Jest dokładnie tutaj.

— Nic nie czuję.

— Jest gdzieś tutaj.

Prowadzi moje palce w dół. Wciąż nie potrafię wyczuć niczego wyraźnie.

— Nino, nic tam nie ma. Jesteś pewna?

— Tak, Clyde, wyczuwam tam coś. — Sama sprawdza. — Jest twarde, wielkości groszku.

Odsuwam rękę. Leżymy obok siebie w ciszy. Wiem, że powinienem coś powiedzieć. Tylko że to pojawiło się tak nagle, a mnie przerażają podobne rzeczy.

— Sądziś, Nino, że to coś poważnego? Powinnaś była powiedzieć mi wcześniej.

— Clyde, nie chciałam zepsuć naszego wyjazdu. To pewnie nic takiego. Pójdę do lekarza i się przebadam. Pamiętasz, Ray Stussy mówił, że mają tu nawet szpital amerykański.

Nie wiem, co powiedzieć.

— To dobry pomysł. Może zapytaj Alice. Ona powinna wiedzieć coś na ten temat.

Czasem trudno zgadnąć, co myśli Nina. Nie wiem, czego oczekuje ode mnie. Przesuwam dłonią po jej ramieniu. Przysuwa się bliżej i zsuwa dłoń na mój brzuch. Nie mam ochoty na nic takiego. Serce wciąż bije mi mocno. Podnoszę się na łokciu i pochylam nad nią.

— Clyde, co się dzieje? Wydajesz się taki nieszczęśliwy. — Nie wiem, chyba chodzi o malowanie. Nie mogę zacząć. Odwraca głowę w moją stronę.

— Kochanie, wiesz, że na to potrzeba czasu, może nawet lat. Sam tak mówiłeś.

W mroku jej twarz jest biała.

— Wiem, ale nie mam pojęcia, w którą stronę pójść. Nie mogę zaskoczyć; myślałem, że będzie lepiej

— To przyjdzie, Clyde. Wiesz, że przyjdzie. Malujesz dopiero od kilku dni.

Nie chcę już nic mówić; skąd ona może wiedzieć. Bardzo chce mi się palić. Jutro chyba kupię paczkę papierosów, żeby mieć je pod ręką.

Leżymy w milczeniu. Malowanie to nie wszystko. Nie ma sensu mówić o tym. Chodzi o całe moje życie. Patrzę na jej twarz; oczy ma zamknięte. Prawie się nie zmieniła od czasu naszego ślubu; zachowała szczupłą figurę. Boże, mam nadzieję, że to nic poważnego. Kładę się na plecach. Oto leżę tutaj z piękną kobietą i nic nie robię. Chyba staję się impotentem albo coś w tym rodzaju.

Jakiś czas potem rozlega się płacz niemowlaka. Nina wstaje, zanim zdążyłem się poruszyć. Patrzę, jak zmienia pieluchę. To zdumiewające, w jaki sposób kobiety potrafią znosić różne przykre rzeczy. Próbuję nie oddychać, ale co pewien czas wciągam odrobinę powietrza. Zapach zgniłych owoców.

Po kolacji Nina kładzie dzieci spać, a potem siadamy w pokoju. Próbuję czytać Colette, lecz nie mogę się skupić. Odwróciłem obraz do ściany, żebym nie musiał na niego patrzeć. Chyba naprawdę powinienem znaleźć sobie jakieś miejsce, gdzie mógłbym być sam, coś w rodzaju pracowni. Tutaj nie da się pracować. Z dziesięć razy otwierałem drzwi wejściowe, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. W pokoju nie jest specjalnie ciepło, ale duszno.

— Nino, może przejdziemy się trochę? Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

— Myślisz, że dzieciom nic nie będzie, kochanie?

— Jasne. Wyjdziemy tylko na kilka minut.

Pogoda wyraźnie się zmieniła: panuje chłód, teraz liście spadną szybko. Skręcamy na lewo, w górę boulevard Raspail. Nie chodziłem jeszcze w tamtą stronę. Niezbyt ciekawie. Po prostu szeroka ulica i dużo samochodów.

— Clyde, po lunchu ze Steinami zaprosiłam ich na kolację na wtorek.

— A jaki mamy dzisiaj dzień?

— Sobotę.

— Ale czas szybko mija. Jaki on jest, ten Ben Stein? Nie odpowiada od razu. Kieruje wzrok na swoje stopy.

— Ma wygląd artysty — mówię. — Kiedyś widziałem jego zdjęcie, ale nie pamiętam zbyt wiele, poza tym, że ma siwe włosy. Chyba jest dość stary w porównaniu z Alice.

— Nie jest stary. W jakimś sensie przypomina małego chłopca. Trudno uwierzyć, że jest sławnym artystą.

— Znowu nie aż tak sławny. Przez ostatnie kilka lat chyba niczego nie pokazywał.

— Mark mówi, że on wygląda jak kowboj. Zabawne.

— Nigdy nie wiadomo, co dzieciaki wymyślą.

— Zapytałam Marka, co miał na myśli, a on powiedział, że Stein wygląda, jakby miał rewolwer. To prawda. Wygląda trochę groźnie, gdy tak stoi, chociaż bardziej przypomina gangstera niż kowboja.

— A mówiłaś, że przypomina małego chłopca.

— Też. Trudno to wyrazić. Może jest jak mały chłopiec, który udaje, że jest gangsterem, albo odwrotnie. Musisz go zobaczyć.

Spacerujemy jeszcze kawałek. Ściemnia się coraz bardziej i tylko gdzieś na rogu widać małą kawiarnię.

— Clyde, lepiej wracajmy. Martwię się o niemowlaka.

W domu jest przyjemnie i ciepło, niezbyt duszno. Dzieci spokojnie śpią. Nina kładzie się wcześniej, ale ja postanawiam poczytać jeszcze trochę. Rozglądam się po kuchni, ale nie widzę niczego do jedzenia. Od dzieciństwa lubiłem zaglądać do lodówki, co strasznie denerwowało moją matkę. Ciągłe powtarzała, że wypuszczam zimne powietrze i nabijam rachunek za prąd.

Nina także czasem denerwuje się na mnie z tego powodu. Kiedyś powiedziała naszym przyjaciołom, że tyle czasu spędzam przed lodówką, ile inni przed telewizorem. Szczególnie lubię zaglądać, kiedy jest już ciemno w kuchni. W tej chwili żałuję, że nie mamy lodówki. Nie jestem specjalnie głodny, ale czegoś mi brakuje.

Lampa na górze przy łóżku wciąż się pali i rzuca przyjemny blask na sufit, kiedy wyłączam główne światło. Za oknem widzę księżyc zanurzony w wilgoci nocy. Może nawet padać.

Nina jeszcze nie śpi. Mam wrażenie, że czeka na mnie, a ja wiem, że nie chcę rozmawiać. Czuję, że ogarnia mnie coraz większe zmęczenie. Wyłączam światło i rozbieram się, po czym wkładam piżamę.

Kładę się z przyjemnością i poprawiam poduszkę pod głowę. Lubię poleżeć kilka minut na plecach i poczuć, jak moje mięśnie się rozluźniają. Pomaga mi to w zaśnięciu, Nina odwraca się w moją stronę i kładzie jedną nogę na mojej w chwili, gdy właśnie zaczynam się odprężyć. Przekładam jedną rękę za głowę, a drugą kładę na jej ramieniu. Nina kładzie rękę na mojej klatce piersiowej i pocierają lekko. Nie mam tam zbyt dużo włosów, ale ona lubi je chwycić między palce i delikatnie pociągać. Potem zaczyna kręcić palcem młynka. Czasem lubi pociągnąć mocniej.

— Jesteś śpiący, kochanie?

Tak chyba mówią małżonkowie. W rzeczywistości ma to znaczyć: „Prześpisz się ze mną?” Taki szyfr, w którym przespanie wcale nie oznacza spania. Nie rozumiem dlaczego.

Ale ja nie chcę. Minał tydzień, a ja byłem podniecony, bez dwóch zdań, ale rano. Może między małżonkami za dużo jest niemowlęcych kupek, przynajmniej czasami. Ona w każdym razie czyni przygotowania. Pokierowała moje drugie ramię tak, bym ją objął i obrócił się, dzięki czemu znaleźliśmy się bliżej siebie. Czasem podnieca mnie sam jej oddech. Staram się nie wtulać w jej włosy. Zawsze wierci mnie potem w nosie, a ona wie o tym, nawet jeśli tylko potrę nosem o poduszkę. Leżymy tak, blisko siebie, przez pewien czas. Czuję, jak bardzo jest spięta; jej dłoń przesuwa się w górę i w dół moich pleców. Chcę spać. Chcę innej miłości, czulej; wystarczy mi, by być blisko, nie ruszać się, nic nie robić, trwać tak tylko. Nic nie mówi i nic nie robi, ale wyczuwam w niej zmianę. Przesuwa rękę na mój kark i zaczyna go mocno masować. Mruczę, ‘dając jej do zrozumienia, że jest mi dobrze. Mam nadzieję, że jej nie uraziłem.

Chyba kilkakrotnie zasypiałem i budziłem się, ale za każdym razem czuję, że ona nie śpi, a jej palce poruszają się automatycznie. Wysuwam spod niej ramię, Nina przewraca się na bok. Nie wiem, czy powinienem coś powiedzieć.

— Dobranoc, Clyde. Śpij dobrze.

Nie wydaje się senna. Mówię „dobranoc” i niemal natychmiast zasypiam.

ROZDZIAŁ 6

CLYDE

Pierwszego dnia moich zajęć w Alliance Française spotkałem tego Amerykanina. Jest mniej więcej w moim wieku, wysoki, krótkie słomiane włosy, o wyglądzie baseballisty. Może nawet starszy ode mnie, ale dzięki ładnej opaleniznie i dzięki temu, że zawsze chodzi w swetrach, wygląda młodo.

W Alliance Française można mówić tylko po francusku. W naszej grupie jest kilka dziewcząt z Niemiec, które między sobą rozmawiają po niemiecku. Tamten facet jest jedynym Amerykaninem poza mną, więc podczas przerw rozmawiamy po angielsku. Po prostu nie potrafimy prowadzić rozmowy po francusku. Na imię ma Bob. Jest rozwiedziony, jak mi powiedział.

Zajęcia mamy od dziesiątej do dwunastej. W czwartek zapytał mnie, czy nie zjadłbym z nim lunchu. W szkole mają kafeterię, a jedzenie, jak mi powiedział, nie jest najgorsze za te pieniądze. Miałem zjeść lunch w domu z Niną i z dziećmi, jak zwykle. Nina powiedziała, że wróci z parku o pierwszej, a potem mieliśmy pójść obejrzeć mieszkanie, o którym wspominała Alice. Pomyślałem, że będzie to jakaś odmiana, i uznałem, że mogę zjeść dwa lunchy.

Zeszliśmy na dół i za trzy franki kupiliśmy dwa perforowane bilety; bar jest samoobsługowy. W środku panował dość duży hałas; wzdłuż drewnianych stołów stoją ławki obite imitacją skóry. Dania są tam bardzo małe. W ramach opłaty można wziąć sałatkę, *entrée*, ser, coś do picia i deser.

W sali panował tłok, więc Bob poprowadził mnie na oszklony ganek, gdzie także ustawiono dwa rzędy stołów z ławkami. Pod oknem siedziały tylko trzy dziewczyny. Bob powiedział coś do nich i przysiedliśmy się.

Bob zaczął rozmawiać po francusku z dziewczyną siedzącą najbliżej okna. Miała napuszone, jasne włosy, jasnoniebieskie oczy i nie była umalowana. Ciemnowłosa dziewczyna w środku miała niezbyt gładką skórę i umalowane na ciemnoczerwono usta. Trzecia, naprzeciwko mnie, piegowaty rudzielec w okularach, nie podniosła wzroku, kiedy siadałem, i nie wiedziałem, czy jest z tamtymi. Bob trącił mnie łokciem.

— *Excusez-moi, Angelica; c'est mon ami, Clyde. Clyde, Angelica.* Chcą, żebyśmy mówili do nich po francusku. To Niemki, ale jestem pewien, że znają angielski.

Mówiąc to, patrzył na dziewczyny, ale tylko Angelica się uśmiechnęła. Ciemnowłosa nie przerywała jedzenia, z głową pochyloną nad talerzem i z widelcem w lewej dłoni. W końcu Angelica przedstawiła swoje koleżanki. Nie usłyszałem wyraźnie imienia dziewczyny siedzącej pośrodku, ta naprzeciwko mnie zaś została przedstawiona jako Marianne czy Marion. Podniosła wzrok na chwilę i uśmiechnęła się nieznacznie. Patrząc na jej usta, miałem wrażenie, że powstrzymuje śmiech. Skinąłem głową, odpowiedziałem uśmiechem i zacząłem jeść. Ravioli nie były najgorsze, ale zaczynały stygnąć na brzegach. Bob rozmawiał po francusku z Angelica. To był dopiero nasz drugi miesiąc na kursie pierwszego stopnia i wcześniej w klasie Bob nie wykazywał zbyt dużej aktywności, tu zaś całkiem dobrze sobie radził. Dziewczyna naprzeciwko mnie jadła kotlet wieprzowy. Zauważyła, że ją obserwuję, a ja szybko spojrzałem w bok. Spróbowałem sklecić jakieś zdanie po francusku.

— *Vous êtes aussi une étudiante ici?*

Spojrzała na mnie, skinęła głową i znowu się uśmiechnęła. Prawie skończyłem moje ravioli.

Teraz zabrałem się do sałatki. Nic nadzwyczajnego, liście sałaty polane jakimś oleistym sosem, ale smaczne.

— *En quelle degré êtes-vous?*

Nie byłem pewny, czy tak się mówi.

— *Je suis dans le quatrieme degré.*

Nie wiedziałem, że kurs ma aż cztery stopnie; domyślałem się, że jest niezła.

— *Êtes — vous Americain?*

— *Oui.*

Wiedziałem, że powinienem powiedzieć coś więcej, a nie tylko „oui”. Zwykle można wyczuć, gdy ktoś oczekuje tego od nas.

— *Je sui dans le premier degré, deuxième mois.*

— *Mais, vous parle bien français.*

Znowu na jej twarzy pojawił się ten ledwo dostrzegalny uśmiech. Musiała być krótkowzroczna, ponieważ szkła okularów pomniejszyły jej oczy. Szkła były różowe, prawie jak w okularach słonecznych, a oprawki wygięte na końcach ku górze.

— *Vous êtes Allemand aussi?*

Pokazałem ręką na pozostałe dziewczęta.

Ponownie skinęła głową i skierowała wzrok na swój talerz. Oboje wybraliśmy lody na deser. Porcje o trzech smakach zaczynały już topnieć. Przysunęła sobie swoje naczynie, a gdy zrobiłem to samo, spojrzała na mnie na ułamek sekundy i uśmiechnęliśmy się do siebie.

— *Le glace française n'est pas bon.*

Wepchnęła koniuszek łyżeczki w loda i obróciła ją, wywiercając małe zagłębienie. Z odsłoniętymi zębami, zmarszczonym nosem, oczami schowanymi za różowymi szklami i głową przechyloną na bok wyglądała jak młody królik. Pochyliła głowę i spróbowała loda.

— *Le glace americain est bon.*

— *C'est vrai?*

Powiedziała to jakby z lekkim niedowierzaniem.

— *Oui, c'est vrai.*

Bob nachylił się do mnie.

— No, Clyde, muszę lecieć. Idę do Klubu Amerykańskiego. Umówiłem się z jednym facetem na bilard. — Spojrzała na zegarek. — To trochę dalej przy Raspail, idziesz w tamtą stronę?

Skończyłem jeść loda.

— Tak, mieszkam tam niedaleko.

— No, to może pójdziemy razem.

— Do zobaczenia, Angelica. Miło było was poznać.

Bob powiedział to po angielsku. Angelica i dziewczyna obok niej skończyły już jeść i zapaliły. Uśmiechnęły się i Angelica powiedziała „Do widzenia”, wymawiając mocno przez nos pierwsze słowo. Marianne nie podniosła głowy, wciąż jadła swojego loda. Nabierała malutkie porcje koniuszkiem łyżeczki. Może jadła tak powoli dlatego, że nie paliła i chciała się czymś zająć, dopóki jej koleżanki nie skończą palić. Stałem jeszcze przez chwilę z tacą w dłoni, tymczasem Bob zabrał swoją i poszedł ją oddać. Myślałem, że Marianne nie podniesie już wzroku.

— *Au revoir, mademoiselle.*

Wtedy dopiero podniosła głowę i uśmiechnęła się.

— *Au revoir, monsieur.*

Wyszliśmy na dziedziniec szkoły. Wydawało się, że jakaś warstwa szarości opuszcza się aż do wierzchołków drzew, ale nie była to mgła.

— I co myślisz o tych Szwabkach?

— Sam nie wiem. Ta naprzeciwnie mnie niewiele się odzywała.

— Zabawne są. Pracują jak szalone, a dopóki tatuś albo mamusia są w pobliżu, zachowują się jak zakonnice. Za to gdy już nikt nie patrzy, lepiej uważaj na siebie. Potrafią być równie dzikie jak Szwedki.

Za bramą skręciliśmy w górę Raspail. Samochody czekały na zmianę świateł.

— A jakie są Szwedki?

Spojrzał na mnie. Przeszliśmy na drugą stronę Notre Dame des Champs, ulicy ukośnie dochodzącej do Raspail.

— Gadasz jak prawdziwy mąż. Szwedki wyznają naturalną miłość i wskakują do łóżka równie często, jak się witają. Dla nich to zupełnie naturalne i nawet nie uważają tego za coś specjalnie zabawnego.

— Nie żartuj.

— Jak Boga kocham. Jeśli chcesz, to cię zapoznam z jedną. Ma na imię Ola. Czarne włosy i niesamowicie bladoniebieskie oczy... wygląda jak pierwsza lepsza dziewczyna z sąsiedztwa, bo tak jest, ale Jezu, człowieku, przysięgłbym, że od ukończenia piętnastu lat nie przespała ani jednej nocy sama. Już prędzej wytrzymałaby bez jedzenia.

Nie zarumieniłem się wprost, ale czułem, że mam coraz cieplejsze uszy. Wiedziałem, że trochę zmyśla, ale nie miało to większego znaczenia. Przecieliśmy rue Vavin.

— Na tej ulicy znajdziesz najlepszy towar, jeśli chodzi o dziewczyny. — Kiedyś poznałem jednego faceta z Bostonu, studiował prawo na Harvardzie. Przeżył załamanie nerwowe w wieku dwudziestu siedmiu lat i rodzina wysłała go do Paryża, żeby odpoczął... pewnie po prostu chcieli się go pozbyć. Był w opłakanym stanie, gdy się tu pojawił. Mieszkaliśmy razem w takiej dziurze, Hotel Isis, na tyłach St-Sulpice. Nosił okulary, aparat słuchowy i tak się jąkał, że ledwo go rozumiałem. Nie — głupi facet, tylko tak wyglądał; do tego miał problemy z migdałami i ciągle chodził z otwartymi ustami, ale zaciskał wargi, wiesz, w ten sposób.

Odwrócił twarz w moją stronę i opuścił dolną szczękę, przymykając oczy.

— Żal mi go było. Namówiłem go, żeby się zapisał do Alliance, wiesz, żeby kogoś poznał. Prawie nie wychodził ze swojego pokoju i bałem się, że znowu się załamie. Któregoś dnia powiedział, że już nie pójdzie do szkoły, bo nie słyszy, co mówi nauczycielka. Udało mi się go przekonać, żeby wrócił; wieczorem pomagałem mu we francuskim, literowałem mu wszystko fonetycznie. Był bystry i w trzy miesiące przeszedł wszystkie trzy stopnie kursu. W college'u miał dużo francuskiego, dlatego dość dobrze znał gramatykę.

Minęliśmy kolejną ulicę.

— Ale dlaczego ja ci w ogóle o nim opowiadam? Ach, tak. W każdym razie poradził sobie z francuskim, ale wciąż bał się dziewczyn. Na pedzia też nie wyglądał. Któregoś wieczoru piliśmy wino w takim jednym miejscu, „Chez Georges”, połączenie spożywczego z barem, niedaleko hotelu, i chyba mieliśmy już trochę w czubie, bo zacząłem go namawiać, żeby spróbował dziwki. Uznałem, że może coś z tego wyjdzie, jeśli potraktuje sprawę tylko jako interes. On chyba nie tyle bał się seksu, ile samych dziewczyn. Mówię ci, nie pocałował dziewczyny od czasu, gdy miał piętnaście lat, a i to zdarzyło się na prywatce. W każdym razie trochę wypiliśmy, zanim wróciliśmy do hotelu. Miał taki duży zeszyt, w którym zaczął prowadzić pamiętnik, ale ponieważ nic się nie działo, jak powiedział, więc przestał. Traktował ten rok w Paryżu jak pobyt w jakimś sanatorium. W każdym razie wpadliśmy na pomysł, żeby dokonać przeglądu dziwki w Paryżu. Wrysowaliśmy rubryki na ceny za poszczególne usługi: „na szybko”, „nocka”, „w ubraniu”, „bez”, wiek, skala urody od jednego do pięciu i różne inne dziwne szczegóły. Aż się nie chce wierzyć, że nikt nas nie pogonił; chyba dziewczyny uznały nas za niegroźnych świrów.

Doszlismy na Montparnasse. Zamiast poczekać, Bob przebiegł tuż przed samochodami i musiał zaczekać na mnie po drugiej stronie ulicy.

— Zabawne było to, że on ciągnął to dalej. Chodził do nich co wieczór i wypytywał o wszystkie te rzeczy i nikt nigdy go nie przegonił. Wreszcie spotkał w Alliance dziewczynę, wysoką Finkę o imieniu Cordelia czy jakoś tak. Mówię ci, zadurzył się jak jakiś popieprzony dzieciak. Tak się zakochał, że kupił samochód, małe renault z opuszczanym dachem. Zrzucił swoje badania, ale wyznał mi, że najlepsze dziewczyny urzędują na Vavin. Nie są już początkujące, ale nie tak drogie jak te z bulwarów.

Dochodziliśmy do ulicy, w którą miałem skręcić.

— Mieszkamy tutaj. Wejdiesz ze mną? Poznasz moją żonę. Spojrzał na zegarek.

— Już jestem spóźniony. Mamy zarezerwowany stół i przypadnie nam rezerwacja, jeśli nie zaczniemy grać do dziesięć po.

— W porządku, a zatem do zobaczenia na zajęciach.

— Dobra. A wracając jeszcze do tego faceta, o którym ci opowiadałem, to wyprowadził się z hotelu i nie widziałem go z miesiąc. Aż wreszcie spotkałem go któregoś dnia. Miał duże okulary w rogowej oprawie z wbudowanym aparatem słuchowym i prawie się nie jąkał. Nie ten sam facet. Miał też dziewczynę, Niemkę, z którą mieszkał w małym hotelu przy rue Princesse.

Zamilkł, jakby spodziewał się, że coś powiem.

— No, to trzymaj się. Do zobaczenia.

Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że jest w nim coś smutnego. Może miało to coś wspólnego z jego rozwodem. Myślę, że po rozwodzie trudno pozostać takim samym.

* * *

Bez problemu zjadam lunch w domu. Gdy Nina kończy, pakujemy się do naszego samochodu i jedziemy obejrzeć mieszkanie. Znajduje się po drugiej stronie rzeki, za Łukiem Triumfalnym, niedaleko parku Monceau. Nina jest bardzo podekscytowana i nie przestaje mówić; najwyraźniej tego dnia moja rola ma się ograniczać głównie do słuchania. Poza tym nie mam ochoty na rozmowy.

Mieszkanie znajduje się przy wąskiej jednokierunkowej ulicy, ale udaje mi się zaparkować. Zaraz po naciśnięciu guzika otwierają się duże, zielone drzwi i wychodzi *concierge*, jakby nas oczekiwała. Jedziemy małą windą, trzyosobową, jak określa instrukcja. Winda rusza z lekkim szarpnięciem, a potem huśta się kilka razy w górę i w dół, jakby była zawieszona na gumowych linach. Wychodzę pierwszy i przytrzymuję drzwi dla Niny i dozorczyńni. Nina trzyma niemowlaka, ja prowadzę za rękę Marka. Winda ma dwoje małych drzwi, które same się zamykają, a także drugie metalowe, otwierane na zewnątrz. Wewnętrzne drzwi przytrzymuję stopą, a zewnętrzne ramieniem. Oddycham z ulgą, kiedy jesteśmy już wszyscy na zewnątrz. Czarne drzwi zamykają się z trzaskiem, ale winda zostaje na piętrze.

Dozorczyńni otwiera wielkie drzwi, odsuwa się na bok i wpuszcza nas do środka. Wchodzimy do pokoju z narożnym kominkiem, fortepianem i mnóstwem półek pełnych książek. Większość z nich jest w języku angielskim. Następny pokój jest naprawdę duży, ma wysokie okna na ścianie po naszej prawej stronie i kominek w przeciwnym rogu. Obrazy na ścianach są prawie tak samo kiepskie jak te w naszym mieszkaniu. Dozorczyńni otwiera okno po prawej stronie, duże, balkonowe, i wychodzimy na ogromną lodżię, wielkości salonu, otoczoną kamienną balustradą, jak włoski balkon. Stoją tam metalowy stół i żelazne krzesła. Na podwórku po drugiej stronie ulicy rośnie drzewo, a czubek jego korony znajduje się naprzeciwko nas. W dole widzę nasz samochód.

Wracam do środka i idę za Niną wąskim korytarzem, na którym stoi ogromna lodówka; mijamy łazienkę, a po lewej stronie kuchnię, przypominającą zresztą typową kuchnię amerykańską. W końcu wchodzimy do dużej sypialni z ogromnym łóżkiem. Na ścianach wisi kilka ładnych rycin, szczególnie jedna Botticellego, chyba fragment *Primavery*. Dozorczyjni otwiera kolejne drzwi i pokazuje jeszcze jedną sypialnię, niemal tak dużą jak ta. Także i tutaj jest podwójne łóżko. Podchodzę do okna. Widać z niego szary dach i inne podwórko. Widok nie jest zbyt ciekawy, ale kto wygląda przez okna sypialni. Nina patrzy na mnie.

— I co myślisz, Clyde?

— Kochanie, to zależy od ciebie.

— Och, mnie się bardzo podoba, ale wciąż myślę o tym, że nie stać nas na to.

— Oczywiście, że nas stać. — Kiwam głową w stronę dozorczyjni. — *Oui, Madame, c'est tres bien.*

Chcę ją zapytać, kiedy możemy się wprowadzić.

— *Quand est-ce-que possible...*

— *Quand vous uoulez, Monsieur.*

— *Nous serons ici demain, OK*

— *Bien.*

I załatwione. Mówię jej jeszcze, że będę miał pieniądze, kiedy przyjedziemy się wprowadzić. Mamy przynieść czynsz na pierwszy i ostatni miesiąc, jakieś trzysta dolarów, więc będę musiał wypłacić tysiąc. Poleciłem przelać pięć tysięcy z naszego banku w domu do Bank of America przy place Vendôme.

Kiedy wychodzimy, nawet i ja czuję pewne podniecenie. Z przyjemnością patrzę na Ninę, która wydaje się bardzo szczęśliwa. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze dwa tygodnie temu była w szpitalu.

— Przejdźmy się do tego parku, Clyde. Chciałabym się tu trochę rozejrzeć.

— Dobrze, i tak nie mam ochoty malować.

— Och, miałeś zamiar malować?

— Pewnie sam się oszukuję, ale pomyślałem, że mógłbym. Wracamy do samochodu i wyjmuję wózek.

— Czuję się winna, że nie możesz malować, Clyde. Nie da się pracować w takim małym mieszkaniu z nami wszystkimi. Teraz będziesz je miał tylko dla siebie i nikt nie będzie ci przeszkadzał. Prawdziwa pracownia.

Odbieram niemowlaka od Niny i sadzam go w wózku. Takie właśnie nachylenie się z obciążeniem bywa zdradliwe dla moich pleców.

— Teraz musi być dobrze. Nie będę już miał żadnych wymówek.

Idziemy kawałek ulicą, a potem skręcamy w inną, dochodzącą do parku. Jest tu bardziej zielono niż w Ogrodzie Luksemburskim, chociaż na ziemi leży dużo liści. Spacerujemy krętymi ścieżkami. Przypomina to trochę cmentarz. Są tutaj sztuczne ruiny, połamane kolumny obrosnięte mchem i małe jeziorka, po których pływają łabędzie. W Ogrodzie jest fontanna tryskająca wodą i długie, proste ścieżki. Tutaj wszystko jest zakrzywione i jest ciszej. Widać głównie starszych ludzi i dzieci. Myślę, że to może okazać się dość przygnębiające, ale nie mówię o tym Ninie; jej się chyba podoba. Siadamy na ławce przy dużej piaskownicy i labiryncie tuneli, do których trzeba się wspinać. Niemowlak bawi się w piasku, a Mark myszkuje po tunelach albo wchodzi na nie i skacze, domagając się, abyśmy go podziwiali. Nina wciąż opowiada o tym, że nowe mieszkanie ukazuje Paryż taki, jaki powinien być w jej wyobrażeniu. Wspomina scenę ze starego filmu *Ostrze brzytwy* z Tyronem Powerem i Anne Baxter; Anne Baxter siedzi w pokoju, w którym jest otwarte okno i wiatr wydyma zasłonę. Nie pamiętam tej

sceny, ale Nina twierdzi, że nasze mieszkanie wygląda tak samo i że tak właśnie wyobrażała sobie Paryż.

Dopiero po pięciu dniach wprowadzamy się ostatecznie do nowego mieszkania. Zanim to było możliwe, trzeba było podpisać cały plik papierów i dokumentów; policzyli nawet wszystkie szyby. Nina krząta się bez przerwy i nic nie może jej powstrzymać. Jest to nasze pierwsze naprawdę wygodne mieszkanie, coś, czego zawsze pragnęła, jak sądzę. Dziwię się, że jestem taki spokojny. Miło jest mieć wystarczająco duże mieszkanie, by dzieci miały się gdzie bawić i gdzie jest wygodna sypialnia, a jednak dla mnie nie jest to kwintesencja Paryża. Ta część Paryża przypomina mi w jakiś sposób Chevy Chase w Waszyngtonie; jest ładna, stara, spokojna i bogata, ale to nie jest prawdziwy Paryż. Nie mówię tego Ninie.

Za to bawię się doskonale, urządzając nasze stare mieszkanie. Wspaniale jest być tam samemu. Po naszej wyprowadzce przez dwa dni urządzam wszystko po swojemu. Wszystkie meble, poza dużym fotelem, przesuвам pod balkon, gdzie była nasza jadalnia, i zwijam dywan. Odsuwam maksymalnie zasłony, żeby wpuścić jak najwięcej światła, i ustawiam sztalugi na środku pokoju tak, by odpowiednio padało na nie światło z okna. Kupuję duży kawałek ceraty i przykrywam nią stół z jadalni, który wyciągam na środek obok sztalug. Podoba mi się nowe ustawienie.

Codziennie rano czuję się jak paryżanin udający się do pracy. Jeżdżę metrem do Alliance, gdzie o dziesiątej zaczynają się zajęcia. Metro jest bardzo zatłoczone i muszę się dwukrotnie przesiadać. W drodze uczę się z podręcznika do francuskiego albo obserwuję ludzi. W Paryżu charakterystyczne jest to, że ludzie patrzą na innych.

Zaczynam się uczyć francuskiego. Aż trudno uwierzyć, ile zapomniałem. Kłopot w tym, że za dużo powtarzamy gramatyki, którą już znam, a za mało mamy konwersacji. Uczą z książki wydanej przez Alliance i czytamy o rodzinie Vincentów, która przybywa do Paryża z Kanady. Studenci są w porządku, poza dwiema Hiszpankami, które wciąż rozmawiają, co strasznie denerwuje nauczycielkę, trzydziestopięcioletnią kobietę o intensywnie niebieskich oczach. Wydają się jeszcze bardziej niebieskie przez to, że światło pada na nią prosto z okien, które znajdują się za naszymi plecami. Poza tym ma cienie pod oczyma i wygląda na zmęczoną. Gdyby nie to, byłaby całkiem ładna.

To, że uczę już tak długo, wcale nie pomaga mi znowu wcielić się w rolę studenta. Zapomniałem już, jak nudne jest siedzenie bez możliwości panowania nad sytuacją. Wypełniam sobie czas rysowaniem małych szkiców innych studentów i nauczycielki. Zwykle siedzę z tyłu, więc dobrze widzę pozostałych.

Nie opłaca mi się jeździć metrem do domu na lunch, więc teraz jadam w szkole. Przez pierwszych kilka dni nic nie maluję, ale dojrzewa we mnie pomysł na nowe duże płótno. Tematem ma być park w pobliżu naszego nowego mieszkania; chciałbym wyrazić uczucie umierania; zieleń i czerń, miękkie, mokre przestrzenie i twarde druty ogrodzeń: abstrakcja oczywiście, ale oparta na bardzo określonej idei, nie tak płynna, jak malowałem dotąd. Nie będzie to li tylko przenośnia, dzięki czemu, mam nadzieję, uda mi się coś wyrazić.

Od czasu mojej ostatniej rozmowy z Bobem nie widziałem go przez kilkanaście dni. Nie przychodził też na zajęcia. Kiedy się wreszcie pojawił, nie wychodzi z klasy na przerwę, więc ja siadam obok niego.

— Gdzieś się podziewał?

Prawie na mnie nie patrzy; smutek, który wcześniej w nim wyczuwałem, teraz spowija go całego. Siedzi z nogą opartą o krzesło przed nim, a potem zmienia nogi.

— Cholera, chyba dam sobie spokój z tymi parszywymi kursami. Nigdy nie nauczę się

francuskiego i wcale mi na tym nie zależy. Strata czasu.

Nic nie mówię.

— Mam dość całego tego pieprzonego grajdoła. Człowiek kręci się w kółko, opowiada kłamstwa albo idzie popływać czy na bilard do klubu. Nie wchodzi mi do głowy ten francuski.

Wciąż milczę. Nie chcę się z nim kłócić ani zagłębiać w dyskusje.

— Może ci przejdzie za jakiś czas — mówię w końcu.

— A tam, już próbowałem Paryża. Tak samo było poprzednim razem. Po prostu nie mogę znieść tego uczucia, że to nie jest moje miejsce; jakby nic nie miało znaczenia, nic nie było tu ważne.

Zerka na mnie i zaraz odwraca wzrok.

— Może gdybym potrafił malować albo coś takiego, czułbym się lepiej. Ktoś taki może mieszkać wszędzie; nie sprawia mu to żadnej różnicy. Tylko że ja, cholera, jestem inżynierem. Nie mogę pracować w żadnej francuskiej firmie. Nie mam tu nic do roboty. Mam dość.

— Ale przecież jest grupa Amerykanów, którzy mieszkają w Europie, może nawiązesz kontakty.

— Równie dobrze mogę już wracać. Sam nie wiem, może jestem jakimś nieudacznikiem. Chcę być sam, a gdy już jestem sam, czuję się samotny. Szkoda, że nie widziałeś, jakie gniazdko uwiłem sobie w Hiszpanii, w małej wiosce, w górach nad morzem, ale i to spieprzyłem. Nie mam pojęcia, co powiedzieć.

— Nie wiem, może wyniosę się na jedną z tych wysepek na Morzu Egejskim. Rozmawiałem z facetem, który przez jakiś czas mieszkał na Rodos; mówił, że było świetnie. Może coś takiego by mi odpowiadało. Nie trzeba mi dużo, jakiś dach nad głową, trochę słońca i coś do zjedzenia. Może tak zrobię. Tak, to chyba dobry pomysł, jakieś ciche miejsce, gdzie nie musiałbym się martwić o nikogo.

Do sali wchodzi nauczycielka i pozostali studenci. Wracam na swoje miejsce w kącie klasy. Druga część zajęć to konwersacje w języku francuskim, więc nie mam zbyt wiele czasu, by się zastanawiać nad Bobem. Po zajęciach idę na lunch sam, ponieważ on od razu się zmył. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że było to nasze ostatnie spotkanie.

W następny poniedziałek jak zwykle przychodzę do baru i rozglądam się za wolnym miejscem. Przy jednym z mniejszych stołów na werandzie siedzi Marianne, a obok niej jest wolne miejsce. Akurat spojrzała w moją stronę, a mnie udało się pochwycić jej spojrzenie. W sali jest wiele innych wolnych miejsc, ale ruszam w jej stronę, zastanawiając się, co powiedzieć. Pokazuję tacą na wolne miejsce.

— Oczywiście, że jest wolne, ale musimy rozmawiać po francusku.

Uśmiecha się nieznacznie, odwraca głowę i zaczyna jeść.

Przez pewien czas jemy w milczeniu. Chciałbym powiedzieć jej mnóstwo rzeczy i mój umysł pracuje gorączkowo, ale nie potrafię poukładać tego w sensowne zdania, a nie chcę się zbłąźnić.

Znowu się uśmiecha, trochę inaczej, z lekko opuszczoną głową, tak że patrzy na mnie spod przesłaniającej jej oczy grzywki. Usta ma mocno ściągnięte, przez co jeszcze bardziej niż przedtem wydaje mi się, że powstrzymuje śmiech. Nie patrzy w jedno miejsce, więc nie sposób uchwycić jej spojrzenia.

— Nie wiem, czy dam radę.

Śmieje się, ale jest to śmiech, który w ogóle nie wychodzi z jej ust, wyciszony wdechem.

Skończyłem już moje *entree*, ona zaś zjadła dopiero połowę. Jej lody zaczynają się topić. Tym razem ja wziąłem kawałek tarty. Wreszcie nasze spojrzenia się spotkały.

Podsuwa mi swoją porcję lodów, mówiąc, że nie jest głodna. Chyba nie mogę ich nie przyjąć.

Przez ułamek sekundy patrzymy sobie prosto w oczy. W końcu zsuwam loda na moje ciastko.

Całkiem dobre.

Teraz uśmiecha się bardzo ładnie.

Próbuję ciastka.

Nabijam kawałek na widelec, a ona marszczy nos w podobny sposób jak przy pierwszym spotkaniu.

— *Non, merci.*

Odnoszę przyjemne wrażenie, że nie ma nic przeciwko mojej obecności. Podejrzewam też, że ta gra z francuskim to sposób, by zacząć rozmowę od początku.

Okazuje się, że Marianne jest w Paryżu już dziesięć miesięcy. Mówi, że trudno tu wytrzymać, kiedy człowiek jest sam. Pytam zdziwiony, czy nie ma tu żadnych przyjaciół. Odpowiada, że mieszka u rodziny francuskiej jako *au pair*, zarabiając w ten sposób na pobyt tutaj.

Trochę mi jej żal. Chyba nie jest jej łatwo. Składa naczynia na tacy i wstaje, po czym obciąga przód spódnicy. Jest wełniana, plisowana, brązowa z dodatkiem zieleni. Kolor niemal idealnie odpowiada matowej zieleni jej swetra. Zerka na zegarek i narzuca niebieski płaszcz przeciwdeszczowy, który wcześniej przewiesiła na oparciu krzesła. Składaną parasolkę w brązowym pokrowcu zawiesza sobie na nadgarstku i podnosi tacę. Ja także stoję z naczyniami ułożonymi na książce.

Pytam, czy mogę ją odprowadzić?

Przez chwilę patrzy na mnie w milczeniu; czuję się całkiem swobodnie pod spojrzeniem jej oczu, które za szklami okularów są małe i łagodne.

— *Si uous uoulez, monsieur.*

Odstawiamy naczynia i wychodzimy. Ziemia jest lekko wilgotna, jakby padało. Wcześniej nie zauważyłem, ile liści spada na Raspail; pewnie nasiąkły wilgocią. Skręca na prawo, w stronę przeciwną do mojego kierunku. Myślałem, że pójdzie do metra przy Notre Dame de Champs.

— *Je prends le metro à Sèvres–Babylon.*

Spogląda na zegarek. Idę po jej lewej ręce, od strony krawężnika. Już po kilku minutach dochodzimy do stacji metra na rogu. Marianne zatrzymuje się, odwraca do mnie i podaje mi rękę.

— *Au revoir, monsieur, merci.*

— *Au revoir, mademoiselle Marianne.*

Kiedy zmienia się światło, przechodzi na drugą stronę szerokiej ulicy. Patrzę za nią do momentu, gdy jest już w wejściu na stację metra, ale się nie odwraca. Ruszam z powrotem.

Gdy wchodzę do pracowni, uderza mnie wrażenie pustki, dlatego pewnie, że wszystkie meble są zsunięte w jedno miejsce, a na środku stoją tylko stół i sztalugi. Włączam grzejnik i wkładam fartuch, w którym zwykle prowadziłem zajęcia; w niektórych miejscach jest sztywny od farby. Farba na palcu zdążyła już zaschnąć, ponieważ nie malowałem od ponad tygodnia, dlatego zdrapuję ją szpachelką i wyrzucam do muszli.

Zakładam na sztalugę jedno z dużych płócien, układ kompozycji będzie poziomy. Wygląda wspaniale, takie ogromne na środku pokoju. Dwa mniejsze, które wcześniej namalowałem, wieszam teraz na ścianie, a zdjęte obrazy układam na odsuniętych meblach. Niesamowite, że komuś chciało się w ogóle oprawiać coś takiego.

Moje płótna nie wyglądają najgorzej, przynajmniej w sensie dekoracyjnym. Może nawet mógłbym w ten sposób zarabiać na chleb. Pewnie wiele osób chętnie powiesiłoby je u siebie na ścianach. Mnie jednak nie satysfakcjonują do końca. Malując obraz, mam na myśli coś więcej niż tylko wykonanie przedmiotu, który jest dobry albo który chce się mieć przez pewien czas, a potem on staje się staromodny jak mebel. Nie muszę zarabiać malowaniem obrazów, nie warto robić tego dla pieniędzy.

Wracam do sztalug. Nie mogę się zdecydować, czy zacząć kreską, czy kolorem. Zawsze mam z tym trudności. Staram się przywołać wrażenia z parku. Siadam w fotelu, zamykam oczy i próbuję poczuć to samo. Może mi się uda, jeśli powrócę do tamtych odczuć, zanim zacznę myśleć o malowaniu. A zatem muszę zapomnieć o projektowaniu. Chcę malować, nie myśląc.

*Zanurzony w chłodnej, głębokiej zieleni, pozbawiony nadziei
Czy choćby jej cienia, niezmiennie wpatrzony w dół,
Lecz świadomy istnienia góry, ale i tego,
że nie ma tam drogi, jedynie
ciągłe oddalanie się.*

*Płaska głębia. Płaska
Głębia ciemnego, nieruchomego stawu.
Na jego powierzchni unoszą się pióra,
A z dna wyrastają trzciny, zielone u góry,
Ale nie sięgają powierzchni.
Wyciągnięte ku słońcu pod wodą.*

*Połamane kolumny, zniekształcone już
W czasie porodu, nigdy nie miały się narodzić całe.
Zniekształcone, by służyć pięknu, pięknu przedmiotów,
Które niegdyś żyły, a teraz są już martwe.
Te jednak narodziły się martwe;
Nieruchome, poronione.*

*Wijące się ścieżki pozorów.
Rozkruszony granit, rozrzucony ręką po
Wytyczonych naturalnych drózkach, nie tak proste
Jak ścieżki wydeptane kopytami krów, które
Nigdy nie żyły, nigdy nie miały żyć,
Nieruchome krowy, żyjące w bezruchu,
Nieruchomo żywe, nieruchome, tak bardzo nieruchome.*

*A nad wszystkim rozpościerały się korony drzew.
Każde odpowiedniej wielkości i koloru, każde
W odpowiednim miejscu, zasadzone przy palu,
Aby rosły w odpowiednim miejscu, w odpowiednim czasie,
Pozbawione wyboru, możliwości odejścia, rosnące nieruchomo,
Nieruchomo żywe, nieruchome, tak bardzo nieruchome.
A pod drzewami ludzie, spacerujący nieruchomo, jedzący,
Zajęci zabawą. Wciąż tam, i nikt nigdzie nie odchodzi.
Wciąż chodzą tylko po krętych ścieżkach, między
Połamanymi kolumnami, które przeglądają się
W nieruchomej powierzchni stawu nad trzcينami
Wyciągającymi dłonie ku słońcu.*

Zaczynani malować. Dodaję trochę werniksu, żeby nadać powierzchni większej lepkości.

Trzymam się ciemnych, chłodnych barw, by zbliżyć się jak najbardziej do czerni, i próbuję wejść do środka, nie oddalając się.

*Nie chcę słyszeć odgłosu pędzla,
Nie chcę go czuć w dłoni, nie chcę słyszeć
Własnego oddechu ani czuć ciepła własnego ciała.
Chcę tylko tam być, wciąż wychodzić
Znikąd ku wszędzie.*

*Wewnątrz zieleni błękit prowadzący ku czerni,
I odchodzący ku żółci, galopujący tuż obok, bez lejców,
Na oklep, rozglądający się na boki, istniejący poprzez
widzenie widzenia, nie przez ruch, przez balansowanie
bez punktu zawieszenia pozbawionego wahadła,
Przez balansowanie balansowania.*

*I tuż obok: fiolet, purpura, lawenda, przemykające
Przez światło jak coś, czego nie da się poznać
Ani dotknąć, kolor najwyższego i najniższego nieba
Albo wody lub snu.*

*A potem już poza kolorem są miejsca pomiędzy.
Bezimiennie widma, bardziej zagubione,
Bardziej nieznanne niż sam kolor,
Którego się trzymamy. Obrysuj krawędź
Miejsca, gdzie wszystko zdaje się kończyć i zaczynać,
Jak teraźniejszość, zawsze, ale nigdy tam.*

Nie spieszę się zbyt z kreską. Chcę pozostać przy kolorze, co pozwala mi nie myśleć, ale werniks zaczyna ściekać i nie mogę już dodać nowych ciemnych barw. Przyglądam się temu, co namalowałem. Nieźle, a dzięki rozmiarowi płótna pozostałem wewnątrz; niezły początek. Patrę na zegarek. Dopiero wpół do czwartej. Malowałem prawie dwie godziny.

Zastanawiam się, czy zacząć kolejne płótno. Nie jestem zmęczony i mam ochotę pracować dalej, ale na tym płótnie już nic nie zdziałam. Z drugiej strony nie chcę zaczynać następnego, dopóki nie będę miał jasnej koncepcji. Nigdy wcześniej nie robiłem czegoś takiego, ale czuję, że mi się podoba. Zdejmuję obraz i odwracam go do ściany. Mocuję drugie płótno. Siadam, by dać odpocząć trochę nogom. Wracam myślami do parku.

*W parku także królowała powolność,
zieleń i brąz to powolne barwy;
Opływają łagodnie kąty bez załamania,
Ale nie płyną prosto zbyt szybko, nie skacząc,
Jak kot, szczególnie zieleń przypomina kota.
Tylko że nie rusza zbyt szybko, błękit zaś nie
Opływa szybko kątów.
Chyba żaden z kolorów nie przypomina naprawdę kota.
Powietrze też płynęło powoli. Jakby pod drzewami*

*Przesuwały się wolno niewidzialne obłoki. Było chłodne,
Lecz nie wilgotne. Suche, chłodne i nieruchome, a słoneczny
Blask wciskał się nawet do ocienionych miejsc.
Dzieci stoją na wyprostowanych nogach w białych skarpetach
I pochylają się, by chwycić sznurek zabawki, a powietrze
Opływa je dookoła.
Jakieś ciepło wypływa także ze starych ludzi,
Którzy siedzą w parku, przeważnie zmęczeni, zniszczeni
I zużyci
Jak smak w ustach po wyścigu.
Płynie, nie wylewając się, tak właśnie uchodzi
Z nich to ciepło w zimne, suche powietrze parku
I zostaje wessane w górze albo zbiera się
W pomarszczonych kałużach pod drzewami.*

Zabieram się do pracy. Tym razem zaczynam od ciepłych brązów, trzymam się blisko zieleni, a mostem między nimi jest czerń. Idzie mi lepiej niż poprzednio; kończę, gdy zaczyna brakować mi światła. Dochodzi piąta. Odwracam drugi obraz i widzę, że są bardzo podobne do siebie, choć różnią się barwą, formą i teksturą. Wspaniale. Wreszcie czuję, że wychodzę poza samo malowanie, wyrażam coś, co płynie z mojego wnętrza. Zdejmuję fartuch, wkładam marynarkę i wychodzę. Na zewnątrz jest cudownie. Idę do metra we wspaniałym nastroju; nie przeszkadza mi nawet tłum i zaczynam myśleć, że wszystko będzie dobrze.

Następnego dnia zorientowałem się, że zostawiłem książki w pracowni, więc muszę tam wrócić. Potrzebuję tylko kilku dodatkowych minut, ale i tak jestem spóźniony, więc biorę samochód. Przed naszym domem zawsze jest gdzie zaparkować, podobnie przed budynkiem Alliance. Gdy wchodzę do pracowni, czuję zapach farby.

Obrazy jeszcze nie wyschły, więc i tak nie mógłbym nad nimi popracować. Już nie wyglądają tak dobrze jak poprzedniego dnia, ale są niezłe. Sądzę, że uda mi się je dopracować, kiedy będę w odpowiednim nastroju, tak jak w chwili, gdy je malowałem.

Po zajęciach idę do baru i zajmuję to samo miejsce, na którym siedziałem wczoraj. Nie ma tylu studentów co zwykle, ponieważ wielu nie przychodzi już na zajęcia, tylko uczy się do egzaminów. Mówi o tym informacja w holu, więc nie spodziewam się spotkać jej tego dnia.

Jestem naprawdę zdziwiony, gdy widzę, jak idzie z tacą między stolikami. Od razu mnie zauważyła i chyba zmierza w moją stronę.

Zapraszam ją do stołu (oczywiście po francusku). Prowadzimy niezobowiązującą konwersację. Dowiaduję się, że nazywa się Marianne von Scheele. Piszę jej na kartce moje nazwisko: Clyde Dudley.

Co pewien czas przerywamy na chwilę jedzenie. Staram się nie jeść zbyt szybko. Ryż jest twardy, jakby nie dogotowany. Nagle nasze spojrzenia spotykają się, po raz pierwszy tak bezpośrednio. Czuję, że cały drzę. Pierwsza odwraca wzrok; widzę, że się rumieni, ja pewnie też. Przyglądam się jej dłoniom. Jest mi tak bliska w tym momencie, że muszę się powstrzymać, aby nie wkładać do ust jedzenia w tej samej chwili co ona. Dziwne uczucie! Wreszcie patrzę na nią. Teraz jej twarz wydaje się blada i widać na niej wyraźniej piegi. Nie podnosi wzroku, świadoma tego, że patrzę na nią. Ja także opuszczam wzrok.

Małym palcem dłoni, w której trzyma nóż, pokazuje na mój palec serdeczny, a potem zerka na mnie i zaraz odwraca wzrok. Patrzę na moją dłoń, nie rozumiejąc w pierwszej chwili, o co jej chodzi. Noszę obrączkę już tak długo, że czasem zapominam o jej istnieniu. Nigdy jej nie

zdejmuję. Mówię jej o Ninie i dzieciach. Nagle przychodzi mi do głowy, że mógłbym ją zabrać do Wersalu.

Zastanawiam się, w jaki sposób przekonać ją, aby pojechała ze mną. Postanowiłem, że tam pojedę, z nią czy bez niej. Mam samochód, a i tak nie mogę malować. Ninę i dzieciaki mogę zabrać gdzieś kiedy indziej, może wiosną, gdy się ociepli. Nie widzę nic złego w tym, że chcę ją zabrać na wycieczkę do Wersalu. Jestem pewien, że Nina nie miałaby nic przeciwko temu.

Samochód stoi nieco dalej, a ja po raz kolejny żałuję, że jest taki duży. Pomagam jej wejść na stopień i usiąść na przednim siedzeniu. Pierwszy raz jej dotknąłem. Wcześniej nawet nie podaliśmy sobie rąk na przywitaniu. Wyczuwam jej szczupłe ramię przez cienki, śliski płaszcz i sweter. Zajmuję miejsce za kierownicą. Przez chwilę siedzę nieruchomo, usiłując sobie przypomnieć, jak się uruchamia ten samochód.

Pokazuje mi, jak jechać do jej mieszkania, które znajduje się niedaleko szkoły. Nie wiem dokładnie, gdzie to jest, ponieważ kazała mi się zatrzymać za rogiem i zostać w samochodzie. Po drugiej stronie w oknie kwaciarni stoją bukietki małych niebiesko — purpurowych kwiatów, żółtych w środku. Wchodzę do sklepu i kupuję bukiet; kosztuje tylko dwa franki. Pakują mi go ładnie w papier woskowany, a ja kładę go na siedzeniu obok kierowcy. Pierwsze kwiaty, jakie kupiłem od dłuższego czasu. Wydaje mi się to zupełnie naturalne.

Widzę, jak nadchodzi ulicą — w brązowym płaszczu i butach na wysokich obcasach. Niemal usiadła na kwiatkach.

Składa ręce na kolanach, chowając kciuk lewej dłoni w prawej.

— Nie powinieneś tego robić.

Nie patrzy na mnie, więc nie widzi mojej twarzy.

— Nie powinnam mówić po angielsku przed egzaminem, ale muszę to powiedzieć.

Teraz dopiero spogląda na mnie. Kiedy mówi po angielsku, jej głos brzmi inaczej, jest bardziej dziewczęcy, może to przez angielski akcent. Nic nie odpowiadam.

— Nie mogę pojechać z tobą, jeśli będziesz tak postępował. — Pokazuje głową na kwiaty. — Czuję się okropnie. — Pokazuje na bukiet.

— Przepraszam. Po prostu chciałem podarować ci kwiaty. Patrzy na mnie.

— Wiem. — Uśmiecha się. — W porządku, jedźmy. Ale pamiętaj, jedziemy na wycieczkę.

— Dobrze.

Włączam silnik. Nie wiem, jak jej to powiedzieć, ale nie mam pojęcia, którędy się jedzie do Wersalu. Zerkam na nią.

— Nie znam drogi.

Patrzy na mnie i śmieje się głośno.

— Och, typowy Amerykanin. Skorzystaj z tego.

Podnosi z siedzenia cienką, długą książeczkę. Sprawdza w spisie i otwiera na odpowiedniej stronie. Wyłączam silnik.

— Piszą, że to dwadzieścia kilometrów od Paryża. Poczekaj, sprawdzę na mapie.

Od razu znajdujemy właściwą drogę; trzeba jechać na południe, a potem na zachód od Paryża. Proponuje, że mnie poprowadzi. Mówi, że zawsze to robi, gdy jeździ z ojcem. Ruszamy wzdłuż rzeki; nie ma zbyt dużo samochodów. Teren tuż za granicami Paryża nie jest zbyt atrakcyjny, za to dalej jest cudownie. Drzewa zachowały tu jeszcze całkiem dużo liści, które wydają się bardziej kolorowe niż w mieście.

— Jakże miło jest znowu być na wsi. W domu mieszkamy na wsi.

— Cudownie jest móc mówić po angielsku. Gdzie nauczyłaś się go tak dobrze?

— W szkole. Moja mama włada angielskim. W dzieciństwie przebywała dużo w Irlandii.

Odwiedzaliśmy ten kraj wielokrotnie. Jest nas pięcioro. Mam dwóch braci i dwie siostry.

Potem ja opowiadałam o swojej rodzinie, o tym, że nie mam rodzeństwa i że mój ojciec jest lekarzem. Nie mówię jej wszystkiego, choćby tego, że nie mieszka z nami.

— Pracuje pan w Paryżu, panie Dudley?

— Proszę, mów mi Clyde.

Znowu patrzy na mnie w ten szczególny sposób, jakby się nad czymś zastanawiała.

— Dobrze. A zatem pracujesz w Paryżu, Clyde?

— A czy ja mogę mówić do ciebie po imieniu?

— Możesz.

— Jestem malarzem. Wcześniej uczyłem na uniwersytecie, ale tutaj zajmuję się tylko malowaniem.

— Jesteś artystą malarzem, tak?

Przytakuję. Skręcam w lewo, tak jak pokazuje drogowskaz. Jeszcze pięć kilometrów.

— Nigdy bym nie zgadła, że jesteś artystą. To znaczy, że utrzymujesz rodzinę z malowania obrazów?

— No cóż, do tego roku pracowałem na uniwersytecie.

— Mogę sobie ciebie wyobrazić w roli nauczyciela, może niekoniecznie na uniwersytecie, ale niejako malarza. Nie wyglądasz na artystę.

— A jak ma wyglądać artysta? Powinienem nosić brodę, beret i snuć się w brudnych ciuchach, popijając wino i czarną kawę?

— Nie, nie to miałam na myśli. Wydawało mi się tylko, że artyści są bardziej skryci, bardziej tajemniczy, jakby byli bardzo starzy i młodzi jednocześnie.

— A zatem nie jestem dostatecznie tajemniczy, żeby być artystą?

— Nie gniewaj się. Jesteś tajemniczy, ale tak jak mały chłopiec, nie jak artysta, który przeraża innych. Nie pojechałabym dzisiaj z tobą, gdybyś zachowywał się jak artysta.

— W takim razie cieszę się, że nie wyglądam na artystę. Zerkam na nią, ale ona nie patrzy na mnie.

— Może to dlatego, że jesteś amerykańskim artystą. Wszyscy Amerykanie przypominają trochę małych chłopców.

— Dziękuję ci w imieniu wszystkich Amerykanów.

— Nie chciałam być nieuprzejma.

Kątem oka widzę, że teraz patrzy na mnie, ale muszę obserwować drogę przed nami.

— W porządku, Marianne; może i masz rację.

Lubię wymawiać jej imię. Czuję zapach jej perfum, a może to zapach kwiatów. Bukiet leży tuż przy wylocie ogrzewania pod szybą, więc sięgam ręką, by go przesunąć.

W tej samej chwili ona także podnosi rękę i nasze dłonie dotykają się, tak samo jak przedtem, a ja odwracam wzrok. Przez chwilę jedziemy w ciszy; słyszę szum opon i ogrzewania.

— Przepraszam, Marianne.

— To nie twoja wina; raczej nasza. Chyba nie powinnam była jechać z tobą.

— Cieszę się, że pojechałaś.

— Ja też.

Zjeżdżamy w dół do miasteczka Wersal. Na końcu drogi widać skupisko budynków otoczonych wysokim, czarnym ogrodzeniem złożonym u góry. Z daleka przypominają prawdziwy pałac. Wsiadamy, wchodzimy przez bramę i przez duży dziedziniec wyłożony kamieniem idziemy w górę, w stronę pałacu.

Bilet kosztuje trzy franki. Z trudem udaje mi się ją przekonać, żeby pozwoliła mi zapłacić za siebie.

Kiedy wracam z biletami, widzę, że otwiera swój zielony przewodnik.

— Marianne, chcesz iść z przewodnikiem? Mówi po francusku.

Mam nadzieję, że nie będzie chciała. Nienawidzę, kiedy przeganiają mnie z miejsca na miejsce, a ja nic nie rozumiem z tego, co mówią. Chyba wyczuła to w moim głosie, bo odpowiada:

— Nie, jeśli ty nie chcesz. Mam to i mogę być naszym przewodnikiem. A poza tym jesteś artystą i uczyłeś na uniwersytecie, więc pewnie wiesz więcej od przewodnika.

Nie wiem, czy żartuje sobie ze mnie. Wchodzimy do ogromnej, wysokiej sali o marmurowych ścianach. Wysoko na ścianach wiszą jakieś portrety, ale według mnie nic specjalnego. Marianne idzie obok mnie z palcem przyciśniętym do strony otwartej broszury.

— Będę ci czytała, co piszą. „Dziedziniec marmurowy. Początkowo był wyłożony białoczarnym marmurem...”

Zerkam jej przez ramię i widzę, że tłumaczy na bieżąco z francuskiego. Nie sądziłem, że jest aż tak dobra. Wygląda na wrażliwą osobę i w ogóle, ale nie sądziłem, że jest aż tak inteligentna. Chyba źle ją oceniłem przez te rude włosy. W moim pojęciu rudzi nie są zbyt bystrzy.

— Zaraz, mam. L’Opera. Zbudowana przez Gabriela w 1770 roku, jest to pierwszy... (pokazuje palcem, nie przestając czytać) dom, ozdobiony (podchodzi do ściany i dotyka boazerii) przez Pajou, złocenia na niebieskim tle.

Uśmiecha się i daje mi znak, że mamy iść jeszcze wyżej. Wyciągam rękę, ale ona cofa dłoń i zerka na mnie z przyganą. Zaraz jednak uśmiecha się znowu i idziemy na górę. Wchodzimy do ogromnej sali. Czyta w przewodniku. Wygląda ładnie; chyba nie widzi dobrze nawet w okularach, ponieważ trzyma książkę bardzo blisko twarzy.

— Oto druga galeria, w której, tak jak w pierwszej, znajdują się obrazy z siedemnastego wieku. Kaplica (podchodzi do wejścia, które prowadzi do niewielkiego pomieszczenia, bajecznie rzeźbionego i złoczonego niczym wnętrze tortu weselnego), *meisterstück* Mansarta i Roberta de Cotte, została ukończona w 1710 roku. Przychodził tu na mszę Ludwik czternasty i jego następcy. Gdy szli przez Galerię Zwierciadlaną, można było wręczyć im petycję.

— Do apartamentów wpuszczają tylko z przewodnikiem.

Grupka ludzi czeka przy drzwiach w drugim końcu pomieszczenia, a na progu siedzi drobny mężczyzna w niebieskim uniformie.

— Cholera, nie cierpię wycieczek z przewodnikiem.

— Ale tak tu jest napisane.

— W porządku.

Zaglądamy do kaplicy. Nie wolno wchodzić do środka.

— Myślisz, że to barok czy raczej rokoko? Nie podoba mi się. Zbyt elegancka jak na barok i nie dość swobodna jak na rokoko.

Zaczynam żałować, że wygadałem się, iż jestem artystą. Szczerze mówiąc, niewiele wiem na ten temat.

— Wolę bardziej współczesne style. Barok wydaje mi się zbyt mało funkcjonalny; chyba trzeba być Europejczykiem, żeby się nim zachwycić.

— Och, czasem barok jest wspaniały. Na przykład niektóre kościoły w Bawarii, choćby Weisskirche czy Feldkirche, są naprawdę piękne.

— Może nie potrafię docenić w pełni baroku, bo nigdy nie widziałem naprawdę dobrych zabytków z tej epoki.

Mam nadzieję, że na tym zakończymy naszą dyskusję na ten temat. Podaję bilety mężczyźnie przy drzwiach. Naprawdę nudno jest chodzić z sali do sali za przewodnikiem, który nie przestaje mówić. Co pewien czas Marianne tłumaczy w skrócie, o czym opowiada. Galeria Zwierciadlana

jest w porządku, ale same lustra są w opłakanym stanie. Mogłyby wyglądać trochę lepiej, biorąc pod uwagę cenę biletów. Gdy zobaczyłem, jak na końcu wszyscy zaczęli przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu drobnych, dałem przewodnikowi jednego franka. Cieszę się, że wyszliśmy z tej ogromnej budowli. Marianne zerka na zegarek.

— Mamy dość czasu, żeby jeszcze zwiedzić ogrody. Jest dopiero kwadrans po czwartej.

Kiedy idę tak wolno jak teraz, zaczynam odczuwać ból w plecach; mam ochotę usiąść.

— Może da się tu gdzieś przysiąść na kawę?

— Zapytam przewodnika. Wraca po chwili.

— Tylko latem, ale w miasteczku jest jakiś lokal.

— W porządku, a zatem do ogrodu.

Wykonuję głęboki skłon i macham ramionami. Czasem to pomaga. To nic poważnego, ale czuję się sztywny.

— Na pewno chcesz tam pójść? Możemy już wrócić do Paryża.

— Nie, wszystko w porządku. Nie chcę jeszcze wracać, cieszę się, że jestem tu z tobą.

Patrzy na mnie.

— Dobrze.

Kładzie dłoń na moim przedramieniu, a ja wyjmuję ręce z kieszeni. Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni kobieta wzięła mnie pod rękę. Nina nigdy tego nie robi. W chłodnym świetle popołudniowego słońca włosy Marianne mieniają się złocistorudymi odcieniami. Nosi je zaczesane faliście do góry, tak że ma odsłonięte szyję i uszy.

Ogrody są ogromne. Opadają w dół kolejnymi poziomami, na których wybudowano fontanny i baseny. Męczy mnie samo patrzenie na nie. Marianne zaczyna czytać o nich, ale widząc moją minę, zamyka książkę i znowu bierze mnie pod ramię.

Schodzimy po stopniach do dużej fontanny okolonej pokrytymi patyną figurami z brązu. Fontanna nieczynna, a woda w basenie jest tak płytka, że widać wszystkie węże i urządzenia. Z dołu wieje zimny, przenikliwy wiatr. Marianne chowa się przed nim za mną, po czym spogląda do tyłu, na pałac, przytrzymując ręką włosy.

— Piszą, że stąd jest najlepszy widok na pałac.

Patrzę do tyłu. Z tej strony wygląda na bardziej biały, zimny i bardzo prosty. Rozmiarami dorównuje magazynowi w doku w Nowym Jorku. Wszystko to wygląda dość ponuro; może widok jest ładniejszy latem.

Przez chwilę spacerujemy ścieżką prowadzącą w kierunku dużych stawów widocznych dalej w dole. Tutaj wiatr nie jest tak dokuczliwy, ponieważ osłaniają nas drzewa. Wzdłuż ścieżki stoją posągi z białego kamienia. Wyglądają zimno i patrzą ślepo małutkimi otworami oczu. Nie wiem, czy Marianne podoba się spacer. Ja cieszę się z tego, że jest przy mnie; co pewien czas, kiedy wiatr wieje mocniej, odwraca się w moją stronę albo opiera o mnie. Myślę tylko o tym, że jest ze mną.

Na jednej z alejek odchodzących od głównej ścieżki dostrzegam ławkę otoczoną wysokim żywopłotem.

— Chcesz usiąść na chwilę?

Uśmiecha się i odpowiada skinieniem głowy, nie patrząc na mnie. Na ławce jest bardzo zacisznie i roztacza się z niej doskonały widok na duży staw. Siadam wygodnie i odchylam się do tyłu, robiąc głęboki wydech.

— Czy nasz duży Amerykanin jest zmęczony?

Na chwilę kładzie dłoń na mojej, jakby drwiła ze mnie, ale zaraz ją cofa. Wcale mi to nie przeszkadza, że się ze mnie śmieje. Jest to nawet miłe.

— Pamiętaj, że jestem dużo starszy od ciebie.

Mówię to bez żenady.

— A jak myślisz, ile ja mam lat?

Prostuje się i odwraca w moją stronę, bym mógł się jej dobrze przyjrzeć. Przechyliam głowę na bok, udając, że się zastanawiam. Nie pozwala mi spojrzeć sobie prosto w oczy i wciąż ucieka wzrokiem. Gdyby nie jej drobny podbródek i cieniutkie linie po obu stronach ust, powiedziałbym, że ma osiemnaście lat. Ostatecznie daję jej około dwudziestu.

— Myślę, że masz jakieś osiemnaście lat i siedem miesięcy. Chyba jest zadowolona z mojej oceny.

— Doskonały z ciebie artysta.

Przysuwa dłoń, by położyć na mojej, ale zaraz się reflektuje.

— Mam dwadzieścia cztery lata. Skończyłam we wrześniu. Patrząc z bliska, można by jej tyle dać.

— Nie do wiary. Jeśli ty masz więcej niż dwadzieścia lat, to ja mam pięćdziesiąt.

— Naprawdę mam dwadzieścia cztery lata.

— W porządku. W takim razie, ile ja mam lat według ciebie? Gdy tylko to powiedziałem, od razu poczułem, że nie powinienem się odzywać. Teraz nie wiem, co powiedzieć.

— Myślę, że masz trzydzieści lat. Trudno ocenić Amerykanów, ponieważ zawsze wyglądają młodo.

— Mam trzydzieści jeden lat. W sierpniu skończyłem trzydziestkę. Jestem starszy od ciebie o siedem lat, dziewczynko.

Znowu odwraca wzrok. Przykrywam ręką jej dłoń, którą trzyma na kolanach. Nie odsunęła jej.

— Lubię być z tobą, Marianne. Przykro mi, że jest tak, jak jest.

— Wiem, mnie także. Miło się z tobą rozmawia; czuję, że będziesz dla mnie dobry.

Nie podnosi wzroku. Zamierzam już cofnąć dłoń, ale wtedy ona wyjmuję drugą rękę spod naszych dłoni i przykrywa moją.

— Ale ty jesteś żonaty, a ja mam narzeczonego w Niemczech.

Czuję ukłucie zazdrości. Tak już jest. Nic nie mówię. Czuję zazdrość, a przecież to ja jestem żonaty.

— Dlatego przyjechałam do Paryża. Ojciec chce, żebym za niego wyszła, ale ja nie chcę. Studiuję w Akademii Marynarki Wojennej. Co to za życie z mężem, którego ciągle nie ma w domu?

— Kochasz go, Marianne? Tylko to jest ważne.

— Wy, Amerykanie, zawsze myślicie o miłości; chyba oglądacie za dużo filmów. Mój narzeczony jest przyjacielem mojego brata, który także uczy się w Akademii. Pochodzi z dobrej rodziny. Nie wiem, czy go kocham. Skąd mam to wiedzieć?

— Wiedziałaabyś, gdybyś go kochała.

— Skąd miałabym wiedzieć? To nie takie łatwe.

— Myślę, że wiedziałaabyś, gdybyś go kochała, Marianne.

— Tak, wiem.

Nie patrzy na mnie. Jakby nasze dłonie nie należały do nas. Ściskają się mocno, tak jak i my teraz.

— Wiesz, Marianne, czasem kiedy patrzę na ciebie, wydaje mi się, że mam przed sobą kawałek wolnej przestrzeni albo że się potknąłem, ale w porę się zorientowałem.

— Wiem, ja też mam podobne wrażenie.

— Myślę, że moglibyśmy się pokochać, gdybyśmy na to pozwolili; tak, chybabyśmy się pokochali.

— Tak.

Słowa same wychodzą mi z ust. Właściwie nie zdaję sobie sprawy z tego, co mówię, ale gdy tylko to powiedziałem, wiedziałem, że tak jest naprawdę. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Marianne nie jest piękna, prawie się nie znamy i nie chodzi o seks. W ogóle nie myślałem o niej w tych kategoriach. Sam nie wiem. Wreszcie patrzy na mnie.

— Clyde, to niemożliwe, i już teraz bolesne.

Wiem, że się rozplacze i sam z trudem powstrzymuję łzy. To przez ten idealny spokój i martwą ciszę albo strach przed pustką. Czuję łzy napływające do oczu i ocieram je dłonią. Nie mogę wydobyć z siebie ani słowa.

Wreszcie Marianne podnosi moją rękę i kładzie mi na kolanach. Gdy patrzę na nią, odwraca wzrok; uśmiecha się, a ja odpowiadam uśmiechem. Podnoszę rękę, a ona wkłada swoją dłoń w moją. Pochylam się i całuję ją w policzek. Zimna krawędź jej okularów dotyka mojej twarzy.

ROZDZIAŁ 7

CLYDE

Znajduję miejsce do parkowania zaraz po skrócie z Raspail. Wsiadam i sprawdzam tylne drzwi. Muszę w końcu wysprzątać tył samochodu. Pełno tu różnych śmieci, ponieważ poręcznie jest je tam wrzucać.

Chyba czekali na mnie, ponieważ gdy nadchodzę, Marianne otwiera drzwi, a Mark wybiega na ścieżkę. Marianne trzyma na rękach niemowlaka. Biorę na ręce Marka.

— Launch jest gotowy. Czekaemy na ciebie.

— W takim razie zjedźmy „launch”. Celowo zniekształcam to słowo.

— Mark tak mówi, i ty też.

— To jest lunch; w tym słowie nie ma „a” przed „u”, lunch. *Launch* znaczy „szalupa”.

Spogląda na mnie znacząco.

— Tatusiu, Marianne uczy się amerykańskiego. Stawiam go na podłodze i zamykam drzwi. Marianne kładzie dłoń na głowie Marka.

— Mark, a jak jest „lunch” po niemiecku?

Mówi głosem nauczycielki i patrzy na niego surowym wzrokiem, lecz on wcale się nie peszy.

— *Mitagessen*, to znaczy „jedzenie w środku dnia”. Wiesz, tatusiu, Marianne uczy mnie niemieckiego.

— A co właściwie znaczy „lunch”, panie Dudley? Czasem wymawia z naciskiem słowo „pan”; to taka gra.

Mówię jej, że byłem w szpitalu.

To nic wielkiego poza tym, że czuję się bardzo zmęczony po takiej wyprawie. Nie mamy też tam ani chwili spokoju. Czasem bardzo trudno rozmawia mi się z Niną, nawet w domu.

Następnym razem zawiozę jej kilka czasopism. Chyba znajdę coś na jednym z tych dużych straganów. Nie mówiła, żebym jej przywiózł, ale musi być nudno leżeć tak przez cały czas. Nie wygląda na specjalnie nieszczęśliwą, ale nie może się doczekać, kiedy wyjdzie ze szpitala.

Skracam z place de la Concorde i przejeżdżam przez most. Muszę sprawdzić w przewodniku, co to za budynek na końcu. Przypomina siedzibę miejscowych władz.

Marianne doskonale radzi sobie z dziećmi. Nawet nie bawi się z nimi zbyt wiele; po prostu potrafi tak do nich przemówić, że jej słuchają. Nie wspomina ani słowem o tamtej deszczowej nocy. Minęły już cztery dni, a ona milczy na ten temat, jakby nic się nie wydarzyło, tylko czasem patrzy na mnie tak inaczej. Boję się pomyśleć, co by powiedziała Nina, gdyby się o tym dowiedziała; chyba zupełnie zwariowałem. Nigdy wcześniej nic takiego się nie wydarzyło.

To zabawne, ale nigdy się specjalnie nie zastanawiam nad znaczeniem słów ani nad ich pochodzeniem; po prostu używam ich w takiej formie, w jakiej istnieją.

— Nie wiem. To znaczy coś do jedzenia, niezbyt dużo, i w środku dnia.

— Mark mówi na kolację „obiad”, a obiad nazywa lunchem. Nigdy się nie nauczę amerykańskiego.

Przynosi z kuchni trzy porcje. Podaje jedzenie od razu nałożone na talerze. Nina zwykle zostawia wszystko na półmiskach i sami sobie nakładamy. Zdejmuje fartuch.

— Możemy jeść. Mark, usiądź przy mnie, jak zawsze. Siadamy z Marianne na przeciwległych końcach stołu, Mark

siedzi z boku, bliżej niej, a z drugiej strony jej krzesła stoi wózek z niemowlakiem.

— Nina ma się dobrze i chce wracać do domu. Marianne spogląda na mnie.

- Co mówi lekarz? W Niemczech nie wypuściliby nikogo tak szybko po operacji.
— Och, lekarz twierdzi, że mogłaby wyjść, jeśli będzie miała kogoś do pomocy w domu.
— No, nie wiem.

Jedzenie jest wyśmienite, cienki płat mięsa zwinięty i wypełniony jakimś farszem, do tego malutki ogórek konserwowy.

— Marianne, pyszne. Jak to się nazywa?

— Rolada; w Bawarii często ją jemy. Smakuje ci, prawda? Znowu spogląda na mnie w ten sposób. Patrzą jej prosto w oczy, a ona opuszcza wzrok. Nie potrafię tego nazwać, nie ma w tym nic seksownego, bardziej gra. Przypominają mi się czasy szkoły średniej, kiedy to ganiałimy dziewczyny na boisku. Trzeba było dogonić którąś i klepnąć albo pociągnąć za włosy, co było podniecające. Teraz jest podobnie.

Po lunchu postanawiam trochę popracować. Cieszę się, że nie ma z nami Niny i nie widzi, jak grzeczne są dzieci w obecności Marianne. Mark pomaga nawet poznosić naczynia do kuchni; tak naprawdę nie jest specjalnie chętny do pomocy i pewnie ta nowa sytuacja w końcu mu się znudzi, ale póki co robi swoje. Wyjmuję nową paletę i spoglądam na obraz. Pracuję nad nim od kilku dni i widzę, że nareszcie osiągam jakiś efekt, potrzebuję jednak większego płótna, by wypełnić pole mojej wizji. Wtedy będę mógł sobie pozwolić na większy rozmach. Problem w tym, że nie ma tu tyle miejsca.

Słyszę, jak Marianne krząta się po kuchni. Dwukrotnie niemowlak wyrusza na czworakach w moją stronę, ale ona wychodzi i zabiera go z powrotem do siebie. Obraz wysechł, tak że mogę spróbować farby niekryjącej. W miejscu, gdzie zdecydowałem się złamać jedną z płaszczyzn, widać ukośne rozdarcie. Nabieram trochę zagęszczonego oleju, damary i terpentyny, by osiągnąć jakiś łącznik, i kładę cienkie warstwy niekryjącej żółci. Nadmiar zdrapuję nożem, tak by biel pozostała widoczna i dodawała połysku.

*Miałem wrażenie, że chodzę po wodzie
Albo wspinam się po chmurach albo
Że jestem słoniem stawiającym szeroko
Ogromne stopy w błocie.
Z moich palców wyływa mgła,
Kolejne barwy, które niczego nie zmieniają,
Sprawiają tylko, że jest inaczej.
Białe smugi ostrza noża
Ściągającego kolor i pozostawiającego
Jasną warstwę na czystych, twardych czerniach.*

Nieźle. Coś się dzieje, ale kilka miejsc jest jeszcze zbyt twardych i ostrych. Może pomoże odrobina laserunku. Nakładam na szczotkę szczecinową trochę pomarańczy kadmowej i bieli tytanowej.

*Posyp krawędzie kredowym pyłem w miejscach,
Gdzie nie ma prawdziwej prawdy i gdzie nic
Nie jest wiadome. Płacz czasem jest zbyt
Prosty. Czasem to nie jest płacz, gdy wydaje
Ci się, że tak trzeba; ani śmiech, gdy
Wydaje się, że nic innego zrobić
Nie można.*

Mam wrażenie, że zaczynam się gubić. Marianne ubiera niemowlaka, który siedzi na stole. Kiedy podchodzę, odwraca się do mnie.

— Zabiorę ich do parku, żebyś mógł popracować. Możesz mi dać franka na łódkę dla Marka? Chodził koło nich przez całe rano, a ja nie miałam przy sobie pieniędzy.

Oto cały ja. Czuję się okropnie. Dotąd nie dałem jej żadnych pieniędzy, nawet zapłaty za pomoc.

— Strasznie mi przykro, Marianne. Proszę. Wyjmuję z portfela sto franków.

— To za dużo.

— To też na inne wydatki. Kiedy znowu będziesz potrzebować, po prostu powiedz mi, dobrze?

Uśmiecha się. — Dobrze, panie Dudley. To samo spojrzenie.

— Tatusiu będę mógł popuszczać łódkę?

— Jasne, kochanie. Już dałem pieniądze Marianne.

— Fajnie. Wsadzę do niej żołnierzy. Będą piratami.

— Marianne, zjesz też dzisiaj z nami kolację? Pójdziemy tam, gdzie przedtem.

Jesteśmy tam już niemal stałymi klientami. Patrzy na mnie całe pięć sekund.

Po kolacji kładzie niemowlaka spać i rozbiera Marka. Na razie pakuję go do jego małego łóżka na dole, a potem przeniosę na górę.

Odwracam sztalugi, tak bym mógł popatrzeć na obraz. Kiedy siadam w fotelu, Marianne schodzi z góry.

— Czy teraz mogę go zobaczyć, panie Dudley?

— Jasne.

Taki obraz zwykle chętnie pokazujemy innym. Ogólnie wszystko jest w nim w porządku. Siada na poręczy mojego fotela. Przez cały czas patrzy tylko na obraz. Udaje, że także na niego patrzę; czuję zapach jej perfum.

— Gdzie sprzedajesz swoje obrazy, tutaj czy w Ameryce?

— Przeważnie w Ameryce. W zasadzie mówię prawdę.

— Ten bardzo mi się podoba. Przypomina wnętrze kościoła, okno kościoła w ciemności.

Odwraca się odrobinę w moją stronę i krzyżuje nogi. Słychać szelest ocierających się o siebie pończoch. Patrzę na obraz. Nie potrafię powiedzieć, co jest w nim złe, w tym problem. Zdejmuję płótno ze sztalug i zakładam nowe.

Postawiony nisko, na podłodze, obraz wygląda inaczej. Kiedy maluję, zapominam, że to tylko kawałek płótna pokrytego farbą. Każdy obraz, który zdejmuję ze sztalug, wydaje mi się zdumiewająco lekki. Z powrotem ustawiam go na sztalugach, a czyste płótno odstawiam pod ścianę. Może uda mi się coś zdziałać, jeśli zacznę jeszcze raz w ciszy.

*Chcę, by wszystko było swobodne,
Ale żeby się nie rozpadło, żeby pozostały te miejsca,
Za które można się schować, lecz bez
Pokruszonych murów.
Wypełniam miękkością wolne przestrzenie, jednak
Dzieje się to zbyt szybko, zbyt ciasno,
I nie zostaje już miejsca dla nikogo innego.*

Po upływie godziny zdaje mi się, że poddaję płótno torturom. Zaczynam szkicować czarną kreską główne pociągnięcia, pozbawiając wszystko wrażliwości i delikatności, nad którymi dotąd

pracowałem. Teraz rzeczywiście przypomina to bardziej obraz, tyle że zły. Wycieram terpentyną wszystko, co namalowałem od lunchu.

Przypomina to poroniony płód albo jednego z tych biedaków o lśniąco różowej skórze z kikutami kończyn lub coś wykończonego zbyt pracowicie jak zbyt mocno nawoskowane stare zwłoki. Czuję, że nie potrafię zatrzymać się w połowie, by ożywić całość, dodać ekspresji. Płótno przechodzi z jednego stanu w drugi, ale ani przez chwilę nie oddycha własnym życiem.

Zaczynam zdrapywać farbę, co zajmuje mi niemal godzinę, aż powierzchnia znowu jest prawie gładka. Małym pędzlem odtwarzam przypadkowe kontury farby, jakbym rysował zwykłe zawijasy albo wodził palcem po wzorach na dywanie czy tapecie albo po słojach blatu stołu. To żadne malowanie, ale nie potrafię inaczej. Bawię się w malowanie. Zawsze to coś; po raz pierwszy czuję, że nie stoję na zewnątrz i przyglądam się samemu sobie.

Pracowałem chyba ze trzy godziny, ponieważ gdy wraca Marianne z dziećmi, ze zdziwieniem stwierdzam, że jest już wpół do szóstej. Boję się spojrzeć uważniej na moje dzieło. Kiedy jednak to robię, nie jestem aż tak bardzo rozczarowany; to jeszcze obraz, ale i nic innego. Przykrywam paletę i odwracam płótno do ściany.

— Nie pozwolisz mi go obejrzeć?

Marianne klęczy, zajęta rozpinaniem kurtki Marka. Krótco przed pójściem Niny do szpitala zaczął robić to sam, więc trochę mnie złości, że Marianne tak go rozpuszcza, ale nic nie mówię.

— Och, to nic ciekawego. Później obejrzysz, dobrze?

— Dobrze.

— Jak było w parku? Dzieci grzeczne?

— W porządku. Wiatr strącał mnóstwo liści. Czasem leciały ponad drzewa. Dwukrotnie łódka Marka niemal przewróciła się do góry nogami.

— Było zimno?

— Nie, tylko trochę wiało.

Wiesza ubrania dzieci. Mark i niemowlak zaczynają się bawić na łóżku we wnęce.

— Będą dobrze spali. Taki wiatr może nieźle zmęczyć.

Idzie do kuchni. Siadam w pokoju i znowu zapalam fajkę. Czuję się lekki jak piórko; to chyba jeszcze nastrój towarzyszący malowaniu.

Marianne przyrządza wyśmienitą kolację. Nie wiem, czy chce się popisać, czy naprawdę lubi gotować. Przynosi nawet świece. Miała rację co do dzieci, nawet Mark jest grzeczny.

— Po co chodzić gdzieś na kolację. Za te same pieniądze mogę tutaj przyrządzić coś naprawdę dobrego. Nie ma sensu jeść w brudnej francuskiej restauracji, kiedy możemy zjeść w miłej atmosferze na miejscu.

Mówiąc, patrzy na mnie. Wytrzymuję jej spojrzenie.

— Mnie się to podoba, jeśli tylko nie masz nic przeciwko gotowaniu.

— Lubię gotować. A poza tym to czysta przyjemność dla kobiety móc gotować dla mężczyzny.

Nie mogę dalej ciągnąć tej rozmowy, nie przy dzieciach. Mark obserwuje nas.

— Chcę jeść w domu, tatusiu.

— W porządku.

Po kolacji Marianne wraca do siebie.

Wychodzi, a ja patrzę, jak znika w ciemności nocy. Zapalam wszystkie światła, potem idę na górę, rozbieram się i kładę do łóżka. Prawie zasnąłem, gdy przypominam sobie, że nie przeniosłem Marka na górę. Ach, co za różnica

Następnego ranka wstaję o ósmej, golę się i ubieram, jeszcze zanim obudził się niemowlak.

Widzę, że Marianne wyprała w rękach wszystkie brudne pieluchy i rozwiesiła je na prowizorycznym sznurku, który rozciągnęła na małej werandzie za sypialnią. Nie powiedziała ani słowa, a nazbierało się ich z pięćdziesiąt. Zdejmuję dwie suche i przebieram niemowlaka. Gdy obaj chłopcy są już ubrani, zabieram ich na dół i właśnie się zastanawiam, co im dać na śniadanie, gdy przybywa Marianne. Jest wpół do dziesiątej. Dziękuję jej i proponuję dodatkową zapłatę, ale ona tylko patrzy na mnie. Smaży doskonałe naleśniki. Mark zjada cztery, nawet bez syropu. O wpół do jedenastej wychodzę do szpitala.

Lekarz obiecał Ninie, że może wrócić do domu następnego dnia. Musi uważać na siebie, ale stwierdził, że jest wystarczająco silna, by opuścić szpital. Jest bardzo podekscytowana powrotem do domu; mówi, że sama może wychodzić z łóżka, kiedy tylko zechce, ale szybko się męczy. Potem idę na dół, żeby uregulować rachunek. Z dodatkowym dniem wynosi trzysta siedemdziesiąt pięć dolarów. W holu spotykam doktora Jonesa i jeszcze raz dziękuję mu za wszystko. Jestem zdziwiony, że widzę go w szpitalu w niedzielę. Ciężki los lekarza. Jest miły, ale gdy tylko kończy z pacjentem, od razu nabiera rezerwy. Jakby był trochę rozczarowany, że nasz przypadek nie okazał się poważniejszy. Pewnie się mylę, ale takie odnoszę wrażenie.

Kiedy wracam do domu, lunch jest już gotowy. Marianne jest bardzo miła, jakaś łagodniejsza, jakbyśmy nie byli już dla siebie niebezpieczni. Trudno mi dokładnie opisać to, co chciałbym wyrazić. Po lunchu idziemy do Ogrodu Luksemburskiego. W czasie lunchu opowiadała o tym, jak jest tam pięknie, gdy żółknące liście opadają w blasku słońca. Czułem, że chce, bym poszedł z nimi. A ja właśnie mam ochotę malować. Nigdy nie wiadomo, kiedy to przychodzi. Mark bardzo się cieszy, że idziemy razem.

— Wiesz, tatusiu, mamy tam nasze tajemnicze miejsce z rybkami i długim, krzywym jeziorem.

Spoglądam na Marianne.

— Sam zobaczysz.

Cieszę się, że dałem się namówić na ten spacer. Odchodzimy z Markiem trochę do przodu i wtedy oznajmiam mu, że Nina wraca następnego dnia.

— Już nie jest chora?

— Jeszcze trochę jest, ale może już wrócić do domu.

— Znowu będzie gotowała dla nas?

— Na razie nie. Przez kilka dni musi jeszcze dużo odpoczywać.

— Czy Marianne będzie dalej gotowała?

— Tak, przez jakiś czas będzie przychodziła do nas i pomagała mamusi.

— Fajnie, to będę miał dwie mamy. Nie chcę, żeby tak myślał.

— Nie, masz tylko jedną mamę; Marianne tylko nam pomaga. Ona nie jest twoją mamą.

Nie chcę dalej ciągnąć tego tematu. Może zapomni, jeśli nie będę robił z tego wielkiej sprawy.

Idziemy przez park, potem przez wpuszczony ogród, obok fontanny. Cudowne światło; takie, które opływa przedmioty. Kiedy skręcamy w lewo, Mark puszcza moją rękę i biegnie do przodu. Odwraca do mnie głowę, nie przestając biec.

— Już prawie jesteście. To nasze tajemnicze miejsce.

Nigdy wcześniej nie byłem w tej części parku. Znajduje się po prawej stronie od wejścia. Jest tu długi i wąski staw z rybkami. Rzeczywiście wydaje się, że opada pochyło w stronę dużego posągu na jego końcu.

— Widzisz, tatusiu, woda jest krzywa i są tu ryby, pływają w górę i w dół.

Znowu trzyma mnie za rękę. Boki stawu wznoszą się stopniowo coraz wyżej, ku ogromnej rzeźbie, a ich odbicie w lustrze wody powoduje wrażenie, że i lustro wody jest pochyłe. Doskonały sposób zwrócenia uwagi na rzeźbę. Mark biegnie do przodu, na koniec stawu.

Marianne stoi przy mnie. Zdejmuje dłoń z wózka i dotyka mojej dłoni.

— Chodź, właśnie to chciałam ci pokazać.

Wysokie drzewa niemal całkowicie zasłaniają słońce, dlatego całe to miejsce wypełnia cień i chłód. Na powierzchni wody pływają setki liści przygniatanych małym wodospadem wypływającym z podstawy rzeźby. Pomnik jest większy, niż mi się wydawało w pierwszej chwili. Podchodzę do brzegu stawu i patrzę w górę. Pierwsze, co widzę, to wyrzeźbiona postać naturalnych rozmiarów wznosząca się tuż nad poziomem wody, ale ja próbuję ogarnąć całość. Przypomina to fragment muru, wysokiego na jakieś dwadzieścia pięć stóp, z dużą niszą na środku i mniejszymi po bokach. Wydaje się, że na całym murze wyrzeźbiono jakąś skalistą narośl. W środkowej niszy znajduje się rzeźba o rozmiarach przekraczających dwukrotnie naturalną wielkość człowieka, postać muskularnego mężczyzny pochylonego do przodu na jednym kolanie i spoglądającego w dół. Rzeźba jest dość surowa, ociosana tylko z grubsza. Dwie inne postacie znajdują się w pozostałych niszach. Ta po lewej przedstawia nagiego młodzieńca z fujarkami w dłoni i kozią skórą przerzuconą przez ramię. Druga rzeźba przedstawia dziewczynę w greckim chitonie, która także patrzy do środka. Oboje wydają się zupełnie nieświadomi istnienia klęczącej przed nimi brodatej, kudłatej istoty.

Główna atrakcja fontanny została umieszczona u podstawy kamienia. Jest to niezwykle erotyczna rzeźba z białego marmuru, która przedstawia nagą młodą parę. On leży podparty na łokciu, ona zaś spoczywa oparta o jego kolano z dłonią zanurzoną w jego włosach. Doskonały przykład pornografii artystycznej. Całość daje wrażenie falowania, a biała gładkość marmuru na tle czarnego, chropowatego kamienia dodaje więcej erotyzmu niż sam układ postaci. Dopiero po chwili dochodzę do wniosku, że para leżąca na środku to te same postacie, które stoją w niszach. Leżą na rozpostartej szacie dziewczyny, która przykrywa częściowo jej nogę; jego pierszeczki leżą obok łuku. Całość jest wykonana w okropnym guście, moim zdaniem, ale efekt jest piorunujący. Odwracam się i siadam. Marianne zapina guziki niemowlaka. Pewnie zmieniała mu pieluchę. Patrzy na mnie.

— Piękne, prawda? Bardzo mi się podoba ta duża postać; wydaje się taki silny, gdy spogląda na nich opiekuńczo z góry.

Jeszcze raz patrzę na rzeźbę. Mnie się wydaje, że raczej zaskoczył młodą parę i zamierza ugodzić młodzieńca maczugą.

— Nie wiem. Nie wygląda na zadowolonego. Może to jego żona.

— W *Guide Bleu* piszą, że to jest Polifem, który ma zaatakować Acisa i Galateę, ale ja wolę moją interpretację. Dla mnie jest to stary bóg lasu, który napotkał parę kochanków i zamierza zostawić ich w spokoju.

Mark pobiegł na drugą stronę fontanny, by popatrzeć na ryby. Marianne wsadziła niemowlaka z powrotem do wózka i dała mu zabawkę.

— Ładnie to wymyśliłaś, Marianne, ale w rzeczywistości nikt nie zostawia w spokoju kochanków.

— To zabrzmiało bardzo pesymistycznie, panie Dudley. Amerykanie przecież są optymistami. Chyba nie to miałeś na myśli.

— Sam nie wiem. Czasem tak to wygląda.

— Chcesz powiedzieć, że tak to wygląda, jeśli chodzi o twoje romanse.

Przybiega Mark.

— Tatusiu, mogę iść popuszczać łódkę?

Sięgam do kieszeni, a Marianne bierze z wózka swoją torebkę.

— Masz franka. Daję go Markowi.

— Tylko uważaj, nie wpadnij do wody. Będziemy tutaj. Zerka na Marianne, potem na mnie.

— Nie pójdziecie nigdzie? — Nie, zostaniemy tutaj.

— A przyjdiesz zobaczyć, jak pływa moja łódka?

— Pewnie, przyjdę później.

Biegnie szybko. Jak na takiego malca, potrafi niezłe biegać.

— Myślisz, że może pójść tam sam?

— Nic mu nie będzie. Nawet gdyby wpadł do wody, będzie tam ze sto osób, które by go wyciągnęły.

— O czym myślisz, Clyde?

Patrzę na nią. Siedzi odchylona do tyłu na krześle i przygląda mi się z przekrzywioną na bok głową. Spojrzenie, jakie dziewczęta ćwiczą przed lustrem. Jeszcze raz spoglądam na parę kochanków. Cisza, delikatny plusk wody, zapach mchu i wilgotnych kamieni jeszcze podkreślają emanujący z rzeźby erotyzm.

— Chciałbym, żebyśmy to byli my.

Nie patrzę na nią. Tak myślę, ale żałuję, że to powiedziałem. Milczy przez chwilę.

— Ja także. Odwracam się do niej.

— Nie mówisz tego poważnie.

— Właśnie, że tak, Clyde.

Kładzie dłoń na mojej, którą trzymam na poręczy krzesła.

— Ale to jest niemożliwe.

— Ponieważ jestem żonaty. — I nie tylko to.

— Co jeszcze?

— Kochasz swoją żonę, prawda?

— Tak, chyba tak.

Odpowiadam bez namysłu, bo to prawda. Kocham Ninę, ale nie myślę o tym zbyt wiele.

— To kolejny powód.

— Chcesz powiedzieć, że byłoby inaczej, gdybym nie kochał mojej żony.

Kiwa głową. Przez chwilę wpatruję się w mały wodospad. Nie mogę powiedzieć, że nie kocham Niny, ponieważ bym skłamał, a nawet gdyby to miało być kłamstwo, i tak bym tego nie powiedział.

— Dlatego że nie chciałbyś zranić swojej żony?

Nasza rozmowa przebiega w zwolnionym tempie. Mówimy cicho, z długimi przerwami, chociaż wokół nie ma nikogo poza niemowlakiem.

— Częściowo tak.

— Co jeszcze?

Odsuwa dłoń i kładzie ją na swojej drugiej ręce na kolanach. Opuszcza wzrok, a ja wyjmuję fajkę.

— Nie chcę odgrywać roli sałatki albo deseru.

— Co masz na myśli?

— Wiesz co.

Zapalam fajkę. Przytrzymuję zapałkę środkowym palcem, żeby ukryć drżenie ręki. Kiedy znowu patrzę na nią, poprawia sweterek niemowlaka, który podsunął mu się aż pod pachy. Nie mogę uwierzyć, że mówię w ten sposób. Chciałbym móc powiedzieć jej prawdę albo skłamać z zimną krwią. W ten sposób jest bardzo trudno; nie chcę jej kochać ani nawet powiedzieć, że ją kocham, a jednocześnie pragnę to kontynuować.

— Masz kogoś tutaj, w Paryżu?

— Nie, tutaj czuję się bardzo samotna.

Kładzie dłoń na moim ramieniu. Nie wiem, czego się spodziewałem, ale teraz czuję się

inaczej. Teraz wydaje mi się kimś bardziej prawdziwym, kto istnieje poza mną, i po raz pierwszy myślę o niej jak o kimś, kto ma rodzinę, koleżankę, z którą mieszka, i całe życie, o którym nic nie wiem. Kładę dłoń na jej ręce opartej na moim ramieniu.

— Marianne, czy jest ktoś, kogo naprawdę kochasz?

— Był ktoś taki, ale teraz jest zonaty. Został lekarzem i ma dziecko.

Milknie, a ja czekam.

— Będzie ciężko, kiedy zacznę uczyć. Czasem wydaje mi się, że nigdy nie wyjdę za mąż. Nie mam zamiaru wychodzić za mąż za jakiegoś *bauera* i żyć z nim na gospodarstwie do końca życia. Pewnie zostanę nauczycielką i będę mieszkała sama w jakiejś małej wiosce.

Cieszę się na widok nadbiegającego Marka.

— Tatusiu, chodź zobacz. Wieje silny wiatr i łódki pływają w kółko.

Patrzę na zegarek. Rozmawialiśmy prawie pół godziny. Wstajemy; wydaje mi się, że i ona chętnie się podnosi. Chyba po raz pierwszy zastanawiałem się nad tym, jak to jest, kiedy zadajemy pytania w nadziei, że ludzie odpowiedzą kłamstwem. Pewnie bym nie uwierzył, gdyby mi powiedziała, że jest dziewicą, ale czułbym się lepiej.

Nie patrzy na mnie, gdy idziemy w stronę fontanny. Udaje, że rozmawia z niemowlakiem, przechylając wózek do tyłu. Zostaję trochę z tyłu. Mark pobiegł do przodu i już przechyla się z patykiem w rękę. Kiedyś wpadnie do wody, jeśli nie będzie uważał.

— Ostrożnie, Mark. Nie wychylaj się aż tak bardzo.

Staję za nim. Wieje dość silny, porywisty wiatr, od czasu do czasu niesie w naszą stronę wodną mgiełkę; jest zbyt rozrzedzona, by nas zmoczyć, ale dobrze chłodzi powietrze. Po jasno — błękitnym niebie pędzą białoszare obłoki. Wspaniały dzień. Zdumiewa mnie, jak skomplikowane i pogmatwane mogą się wydawać różne rzeczy w tak cudownie pogodny dzień.

ROZDZIAŁ 8

CLYDE

Następne tygodnie nie były najgorsze. Nina czuła się dobrze i nie sprawiała wrażenia, że obserwuje mnie przez cały czas. Teraz było zupełnie inaczej: Mark zaczął chodzić do przedszkola, a dwa razy w tygodniu przychodziła irlandzka dziewczyna do opieki nad niemowlakiem. Cieszyłem się, że Nina może wreszcie pozwiedzać Paryż. Nie czułem się dobrze, wiedząc, że jest tak bardzo uwiązana w domu. Przy okazji rozmowy na temat cieknącej zmywarki umówiłem się z dozorczynią, że będzie sprzątała u nas we wtorki i piątki. Brała tylko cztery franki za godzinę, tak więc ona była zadowolona, a Nina miała pomoc. W mieszkaniu zapanował większy porządek. Zabawne, ale Nina zaczęła zwracać większą uwagę na te rzeczy, odkąd zatrudniliśmy pomoc do sprzątania, a ja poczułem, że powoli uczyć się wydawać pieniądze. Nie jest to łatwe, jeśli się ich wcześniej nie miało za dużo.

Poszedłem do salonu Porsche i zamówiłem samochód. Szary metallic z czarną tapicerką. Ustaliliśmy z dealerem, że odbiorę go w Stuttgarcie szóstego grudnia, nieco ponad dwa tygodnie od daty zamówienia. Nina zachowała się wspaniale i była niemal tak samo podniecona jak ja, gdy pokazałem jej zdjęcia. Nalegała, żebym kupił dokładnie to, co chcę, i nie chciała powiedzieć, jaki jest jej ulubiony kolor. Powiedziała, że pragnie, abym choć raz miał coś całkowicie swojego, prawdziwy gwiazdkowy prezent. Zasugerowała nawet, żebym zrobił sobie kilkudniową wycieczkę, kiedy pojedę odebrać samochód. Rozłożyliśmy mapę i obejrzelśmy okolice Stuttgartu; jedynym miejscem, o którym wcześniej słyszeliśmy, był Heidelberg. Powiedziałem, że może tak zrobić, ale nie byłem pewien, czy ona naprawdę tego chce. Zapytałem, czy nie pojechałaby ze mną. Moglibyśmy zatrudnić opiekunkę na kilka dni, a Alice z pewnością wszystkiego by dopilnowała, ale Nina stwierdziła, że powinienem zrobić sobie wakacje od wszystkiego.

Marianne tymczasem zdała egzamin pisemny i właśnie uporała się z ustnym. Tego dnia mieli ogłosić ostateczne wyniki. Większość czasu spędzała na nauce i widywałem ją tylko w czasie lunchów. Przyjemnie mi się z nią rozmawiało. Opowiadałem jej o moich planach co do obrazów, tych nowych, których tematem był park, i miałem wrażenie, że mnie rozumie. Kiedy opisywałem jej, co czuję w chwilach twórczej niemocy, jak ktoś, kto próbuje zbierać śmietanę widelcem, na krótką chwilę położyła dłoń na mojej ręce.

— Gdyby to było takie łatwe, nie warto byłoby się tym zajmować, Clyde. Tysiące ludzi robi różne łatwe rzeczy.

Wciąż pracowałem nad obrazami z parku Monceau. Pierwszy, w tonacji zielonej, sprawiał mi największą trudność. Nie chciałem być zbyt dosłowny, a jednocześnie zależało mi, aby uchronić je przed przeładowaniem barwami, tak by nie stały się zbyt dekoracyjne. Łowiłem fragmenty otwartych przestrzeni, po czym malowałem przez kwadrans albo pół godziny, wiedząc dokładnie, o co mi chodzi. A potem znowu odpływałem. Problem w tym, że często mijało całe popołudnie, a ja nie potrafiłem już odzyskać właściwego nastroju. Przynajmniej uczyłem się siedzieć cierpliwie przed obrazem. Na początku nie umiałem nawet tego.

Po zajęciach poszedłem zobaczyć listy z wynikami egzaminów, które mieli wywiesić na tablicy. Znalazłem Marianne wśród tych, którzy zdali. Zaskoczyła mnie liczba osób, które oblały. Niemal jedna trzecia, do tego wymienili wszystkich z nazwiska. Gdyby któryś z nas zrobił coś takiego, byłaby niezła draka. Do otwarcia baru pozostało jeszcze dziesięć minut, więc popędziłem za róg i kupiłem żółtą różę. Marianne bardzo lubi żółty kolor. Sprzedawca zawinał ją

w woskowy papier, a wystający koniec łydgi wsunąłem do książki, żeby nie rzucała się w oczy. Kiedy wróciłem, kafeteria była już otwarta.

Zająłem miejsce przy stole, gdzie zwykle siadaliśmy. Od razu spojrzała w moją stronę, po czym spuściła wzrok i oblała się rumieńcem. Zasłoniła częściowo usta dłonią w rękawiczkę, ale nie całkiem udało jej się powstrzymać uśmiech. Kiedy usiadła, położyłem różę przy jej talerzu.

— Już wiesz. Sprawdzałeś.

— Oczywiście, że wiem. Mówiłem, że zdasz.

— Ale sprawdzałeś?

Odpowiedziałem uśmiechem i skinieniem głowy.

— A zatem miałaś rację. Nigdy się nie mylisz?

— Tego nie mogę powiedzieć, ale wiedziałem, że zdasz. — To wspaniałe. Czuję się taka wolna. Muszę napisać do rodziców.

— Jak dobra córeczka.

Wiem, że nie powinienem tak mówić, ale uczyłem zbyt długo i widziałem chyba za dużo podobnych dziewcząt spragnionych dobrych ocen. Gdy patrzyłem na nią, taką podnieconą wynikiem egzaminu, przypomniały mi się tamte chwile.

— Wiesz, Clyde, kiedy poszłam sprawdzić listy, mimowolnie zerknęłam na nazwisko innej dziewczyny z Niemiec, która chodziła do mojej klasy. Oblała. Czuję się okropnie. Potem się odwróciłam, a ona stała z tyłu, taka blada, i zasłaniała oczy rękoma. Podeszłam do niej, lecz odwróciła się i uciekła. Nie wiem, co robi.

— Pewnie zamknie się w pokoju, żeby się wypłakać, potem poczuje się lepiej. Większość ludzi pojmuje, że świat nie kończy się na jednym egzaminie.

— Och, Clyde, ty tego nie rozumiesz, bo nie jesteś Niemcem.

— Możliwe. Ale teraz zjedz coś, zanim ci wszystko wystygnie. Nie chcesz chyba umrzeć z głodu po zdany egzaminie.

Co pewien czas spoglądaliśmy na siebie. Wciąż spowijała nas aura naszego pierwszego spotkania, odczucie już nie tak silne, ale ciągle obecne, przez co czułem się bardzo samotny w jej obecności.

— Kiedyś opowiem ci o moim ojcu, wtedy zrozumiesz, Clyde.

— Aha.

Słuchając, w jaki sposób mówi o nim, trudno było uwierzyć, że ma już dwadzieścia cztery lata.

— Spędziłam tutaj prawie rok i byłoby bardzo niedobrze, gdybym nie miała się czym pochwalić po powrocie do domu. Ojciec byłby bardzo niezadowolony; mój pobyt tutaj dużo kosztuje, a ja nie jestem małą dziewczynką. Powinnam pracować i zarabiać na siebie.

— Nauczyłaś się francuskiego. Czy to nie wystarczy?

— Nie, muszę zdobyć *diplôme*, żeby mogła mu coś pokazać. — Milknie na chwilę i się uśmiecha. — Wiem, że wydaje ci się to niedorzecznością, ale tak już jest u nas.

Myśląc o Niemcach, mimowolnie pomyślałem też o Żydach. »Wtedy nie trzeba było zdawać żadnego egzaminu, wystarczyło odpowiednie świadectwo urodzenia. Wszyscy ci Niemcy czuli się pewnie wspaniale, mając takie dyplomy na resztę życia i wiedząc, że wokół nich jest wielu, którzy ich nie mają.

— Marianne, nie mówmy już o tym. Tak czy inaczej, powinniśmy to uczcić w jakiś sposób. Masz jakieś plany na dzisiejsze popołudnie?

— Nie, Clyde. Jestem wolna, mogę wyrzucić wszystkie książki.

— A zatem chodźmy gdzieś.

— Na pewno możesz, Clyde?

— Mam dla siebie całe popołudnie.

— Nie mów tak, Clyde, bo wtedy czuję się okropnie.

— Przepraszam.

Milczymy przez chwilę. Czuję, że jest coś pomiędzy nami, przeciwko nam, coś, czego nie potrafiłem nazwać.

— Dokąd moglibyśmy pójść, Clyde? Nie chcę, żeby coś się wydarzyło.

— W porządku.

Chciałem, żebyśmy poszli do mojej pracowni, ale bałem się jej to zaproponować. W ciągu ostatniego tygodnia uczucie bliskości, jakie pojawiło się między nami tamtego dnia, zniknęło. Trudno powiedzieć, jak to się dzieje. Jednego dnia jest się tak blisko siebie, a następnego nic już z tego nie ma.

— Clyde, możemy pójść do twojej pracowni? Jest szansa, że dozorczyńni nas nie zauważą?

W pierwszej chwili nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie przyszło mi do głowy, że mogła pomyśleć o dozorczyńni. Nic nie wspominałem na ten temat.

— Chciałbym bardzo, Marianne, ale nie śmiałem cię o to prosić.

— Wiem.

Kiedy spojrzałem jej prosto w oczy i wyciągnąłem rękę, by dotknąć jej dłoni, chwyciła mnie na moment za palec, rozglądając się, i zaraz go puściła.

— Chodźmy stąd, Clyde. Ktoś może nas zobaczyć.

— Dobrze.

Wyszliśmy w milczeniu. Czuję drzenie w nogach, ale przyczyną wcale nie był chłód. Drzewa na Raspail zgubiły prawie wszystkie liście; jeszcze tylko kilka ostatnich wisiało tu i ówdzie.

Uparłem się, żeby kupić butelkę szampana. Zapłaciłem czterdzieści franków za butelkę czegoś, co sprzedawca nazwał „Brat”. Zatrzymaliśmy się jeszcze raz nieco dalej, przy skrzyżowaniu boulevard Raspail z Montparnasse, i kupiłem małej tort. Bardziej od innych przypominał tort urodzinowy, miał w środku dziurę i nie był polany lukrem, tylko posypany cukrem pudrem. Francuskie torty różnią się od naszych.

Przeszliśmy obok mieszkania dozorczyńni, nie patrząc w tamtą stronę, a ona chyba nawet nie wyjrzała za nami. W pracowni panował chłód, więc włączyłem grzejnik. Wychłodzona pracownia wydawała się jeszcze bardziej opustoszała niż normalnie.

— Urządźmy to przyjęcie na balkonie; tam szybciej się nagrzej.

— Aha.

Spojrzała mi w oczy i zaraz odwróciła wzrok.

— Jest tam jakiś stół?

— Mała toaletka i stołek. Przyniosę jeszcze jedno krzesło. Jeśli chcesz, możemy zjeść tort tutaj.

— Nie, chodźmy na górę.

Odkurzyłem stolik, odsunąłem go od lustra i przykryłem obrusem, a potem przysunąłem siedzenia i zapaliłem świeczki. Drżącymi dłońmi wbiłem w tort cztery zapalki, które miały zastąpić świeczki.

— Możesz przyjść, Marianne; jest już o wiele cieplej. Stałem u szczytu schodów i przyglądałem się, jak wchodzi.

Szła ostrożnie bokiem, patrząc uważnie na stopy i trzymając się obu poręczy.

— Jak schody na statku.

To samo powiedział Mark pierwszego dnia.

Światło odbijane w lustrze na ścianie i różowo — białe paski toaletki stwarzały dość pogodny

nastrój. Marianne usiadła, a ja zapaliłem wszystkie cztery zapałki.

— Szybko, Marianne, pomyśl sobie jakieś życzenie, a potem je zdmuchnij. To taki amerykański zwyczaj.

Zamknęła oczy i zaraz je otworzyła, tymczasem jedna z zapałek zdążyła już zgasnąć, więc szybko zdmuchnęła pozostałe. Wyjąłem zapałki z tortu.

— Teraz spełni się twoje życzenie, chyba że je zdradzisz, wtedy nic z tego.

Wydeła wargi i roześmiała się, spoglądając na mnie spod oka. Sięgnąłem po butelkę. W całym moim życiu tylko raz otwierałem szampana, jakieś pięć lat temu z okazji przyjęcia sylwestrowego.

— Ostrożnie, Clyde; nie jest zbyt zimny i trochę go wytrzęsło w samochodzie.

Nachyliła się i podsunęła mi swój kieliszek. Wyglądała cudownie w blasku świec; na jej ustach zawisła świetlista plamka, w miejscu, w którym światło świecy przenikało szkło.

— Clyde, wyglądasz na zmartwionego. Boisz się, że ktoś przyjdzie?

— Nie, nie sądzę, by ktoś przyszedł.

Kiedy podniosłem kieliszek, ona przysunęła swój i trąciliśmy się lekko. Upiłem łyk, ale powstrzymała mnie wolną ręką.

— Musimy przepić do siebie.

Podsunęła mi swój kieliszek i przysunęła mój do swoich ust. Oboje upiliśmy po łyku, a potem ona jeszcze raz stuknęła swoim kieliszkiem o mój i znowu się napiliśmy. Uznałem, że szampan nie jest wart czterdziestu franków. Pewnie płaci się po prostu za samą ideę bez względu na jakość.

— Clyde, jesteś pewien, że wszystko w porządku? Wyglądasz na bardzo zmartwionego.

— Jest dobrze, Marianne. Nie martw się, ja mam jedyny klucz do pracowni.

Ukroiła dwa kawałki tortu i podała mi jeden. Czuję się coraz lepiej, chociaż wciąż byłem trochę roztrzęsiony. Obie świece odbijały się podwójnie w szklach jej okularów. Do pomieszczenia nie wpadało zbyt wiele światła, ponieważ zostawiłem zasłony częściowo zaciągnięte. Trudno było się zorientować, że jest dopiero środek popołudnia.

Marianne opowiadała mi o swoim ojcu. Zdaje się, że miał tytuł barona czy kogoś takiego, i w czasie wojny był pułkownikiem w siłach powietrznych. Brał udział w zbombardowaniu Guerniki, miasta, które malował Picasso. Pod koniec wojny został ranny i od tego czasu kulął. Z powodu Guerniki uznano go w Norymberdze za zbrodniarza wojennego i skazano na cztery lata więzienia w jednym z alianckich więzień.

Ich dom rodzinny, gdzieś we wschodnich Prusach, został zajęty przez Rosjan. Utracili także swój drugi dom w Berlinie. Marianne miała wtedy dziesięć lat. Obie z siostrą mieszkały u ciotki w Szwajcarii. Jej brat został z matką; mieszkali niedaleko więzienia, w którym przebywał ojciec. Kiedy wyszedł, nie mieli nic, ani pieniędzy, ani domu. Przez jakiś czas mieszkali z dziadkami; wtedy jej ojciec zajął się sprzedażą puszkowanej żywności dla sklepów w Stuttgarcie, którą rozwoził starą ciężarówką. Potem wynajął budynek i otworzył jeden z pierwszych supermarketów w tym mieście. Przedsięwzięcie okazało się bardzo udane, tak więc teraz miał już sześć podobnych sklepów i był całkiem bogaty. Powiedziała „całkiem bogaty” w taki sposób, jakby jej to specjalnie nie cieszyło, jakby nie miało to z nią nic wspólnego.

Po wojnie urodziło im się jeszcze troje dzieci. Tylko ona i jej starszy brat opuścili dom rodzinny. Jedna z siostr miała zostać nauczycielką. Jej ojciec miał sześćdziesiąt lat, był siedem lat starszy od jej matki, i mieszkał z przyjaciółką w Stuttgarcie, o czym wszyscy wiedzieli. Mieli duży dom na wsi, pięćdziesiąt kilometrów od Stuttgartu, gdzie ojciec przyjeżdżał tylko na weekendy. Kiedy był w domu, atmosfera stawała się bardzo napięta, gdy zaś wyjeżdżał, robiło się bardzo smutno. Zdaniem Marianne matka kochała ojca, ale nie wiedziała, co robić. Był

bardzo surowy wobec córek, dlatego wyjazd Marianne do Paryża wywołał w domu wielką burzę. Ojciec chciał, żeby wszystkie córki zostały w domu. Nie dał jej żadnych pieniędzy, dlatego zaczęła pracować.

Ja opowiedziałem jej o moich rodzicach i o pieniądzach. Wydawało się, że sprawa pieniędzy nie zrobiła na niej wrażenia. Zapytała mnie, czy kocham ojca, a ja odpowiedziałem, że chyba nie. Moje wspomnienia o nim sprowadzały się głównie do relacji matki, a ona nie wyrażała się o nim najlepiej, kiedy wysyłała mnie do niego po pieniądze. Ojciec zawsze pytał mnie, czy jest z nami jakiś inny mężczyzna. Ale o tym już nie opowiedziałem Marianne. Wyznała mi, że czasem wydaje jej się, iż nienawidzi swojego ojca za to, co zrobił matce, ale jednocześnie dodała, że go kocha. Życie obeszło się z nim bardzo surowo, więc może uznał, że też musi być taki.

Nalałem jeszcze szampana.

— Wystarczy, Clyde. Czuję, że już mam dość. Alkohol szybko uderza mi do głowy. Chyba jestem zbyt wrażliwa. Kiedy ojciec jest w domu, nalega, żebym się z nim napiła. Mówi, że kobieta powinna umieć napić się z mężczyzną i że muszę nabrać doświadczenia. Czasami chce też, żebym zapaliła papierosa, i wtedy zawsze jest mi potem niedobrze. Och, ale mi się kręci w głowie.

Roześmiała się i potrząsnęła głową. Twarz miała zarumienioną, ale może wyglądała tak tylko w blasku świec. Nad jej górną wargą lśniły drobniutkie kropelki potu. Wyciągnąłem rękę, a ona przykryła ją swoimi dłońmi. Wtedy ja położyłem drugą rękę na jej dłoniach.

— Wyglądasz cudownie, Marianne.

Zerknęła na mnie znad okularów i zaraz skierowała wzrok z powrotem na nasze dłonie. Zamilkliśmy oboje na chwilę.

— Wiesz, Clyde, chyba jestem pijana. Tak mi się chce spać i mam wrażenie, że słyszę szum wody.

Potrząsnęła szybko głową i spojrzała na mnie uśmiechnięta.

— Połóż się na chwilę. Na pewno poczujesz się lepiej.

— Och, Clyde, nie mogłabym.

— Dlaczego nie?

Spojrzała mi prosto w oczy i patrzyła na mnie długo i badawczo. Potem odsunęła się trochę od stołu i schyliła, by zdjąć buty.

— Dobrze, ale musisz być dla mnie dobry.

— Będę dobry.

Odchyliła ostrożnie brzeg narzuty i ściągnęła ją do połowy łóżka. Potem usiadła na brzegu, podkurczyła nogi i położyła głowę na poduszce. Zdjęła okulary i podała mi je. Kiedy odkładałem je na stolik, zasłoniła dłońmi oczy. Siedziałem i patrzyłem na jej małe stopy.

Nalałem sobie jeszcze szampana. Wciąż leżała z oczami zasłoniętymi rękoma i włosami rozsypanymi na poduszce. Czułem, że zaczynam odpływać; być może pod wpływem szampana. Czasem doświadczam podobnego stanu po wypiciu pewnej ilości alkoholu. W takich chwilach mam wrażenie, że patrzę przez teleskop, tylko że ze złej strony. Gdy tak leżała na łóżku w blasku świecy, miałem wrażenie, że mam przed sobą papierową okładkę powieści kogoś takiego jak William Somerset Maugham. Potarła jedną stopą o drugą.

— Zimno ci w stopy?

Skinęła głową potwierdzająco, wciąż zakrywając oczy dłońmi. Przeniosłem się z krzesła na brzeg łóżka, a ona przesunęła się odrobinę, by zrobić mi miejsce. Gdy dotknąłem jej stóp, były zimne i jedwabiste. Trzymałem przez chwilę każdą z osobna. Nina także miała wąskie stopy, ale długie, i długie palce. Pochyliłem się i zacząłem na nie chuchać. A potem wziąłem każdą w dłonie i masowałem mocno. Gdy spojrzałem na Marianne, zobaczyłem, że patrzy na mnie z

rękoma wyciągniętymi wzdłuż boków. Wsunąwszy jej stopy pod narzutę, przesunąłem się wyżej i położyłem obok niej. Zamknęła oczy. Kiedy dotknąłem palcem jej czoła, jej powieki drgnęły nieznacznie, lecz nie otworzyła oczu. Przesunąłem palcem po jej twarzy do granicy włosów, a potem dotknąłem delikatnie samych włosów. Musnąłem jej brwi i zamknięte powieki, które zdrząły pod moim dotykiem. Potem dotknąłem miękkiego miejsca między jej oczami. Powiodłem palcem w dół nosa i delikatnie obrysowałem jej usta.

Wtedy otworzyła oczy i spojrzała na mnie. Gdy nachyliłem się nad nią, wsparty na dłoni tuż obok jej głowy, poczułem jej ręce na moich plecach. Nachyliłem się jeszcze niżej i pocałowałem ją lekko w usta. Uniosłem głowę, by spojrzeć na nią, ale znowu zamknęła oczy. Pocałowałem ją w policzek i znowu w usta i poczułem, że obejmuje mnie mocniej, a jej usta zaczęły się poruszać razem z moimi. Położyłem się na niej i podłożyłem dłonie pod jej głowę, by przysunąć ją do siebie. Czułem, jak jej dłonie przesuwają się po moich plecach, i wtedy po raz pierwszy pocałowaliśmy się naprawdę. Zaczęła oddychać głęboko, kiedy nasze miękkie wargi się dotknęły. Nie przestawaliśmy się całować. Leżałem skręcony z nogami na podłodze, więc uniosłem się nieznacznie i położyłem obok niej.

— Zdejmij buty, proszę. Pobrudzisz łóżko.

Powiedziała to prosto do mojego ucha, obejmując mnie mocno, aż zdrząłem. Zsunąłem buty, które opadły na podłogę. Obróciła nieco głowę, zamknęła oczy i znowu zaczęliśmy się całować. Tym razem otworzyła usta jeszcze szerzej i było nam bardzo dobrze. Nie czułem ani odrobiny natarczywości z jej strony. Czekala na mnie, a jej usta i język posłusznie robiły wszystko to, co moje wargi i język. To było słodkie. Nigdy nie rozumiałem, co Szekspir miał na myśli, gdy mówił o słodkich pocałunkach. Mnie zawsze wydawały się ciepłe lub gorące albo podniecające, ale nigdy nie słodkie. Teraz takie były i były czymś samym w sobie, a nie drogą, która ma dokądś prowadzić. Marianne napierała na mnie, oddychając ciężko. Położyłem się na niej tak, że moja noga znalazła się między jej nogami. Odsunęła usta.

— Nie, Clyde, nie.

Zsunąłem się na łóżko obok niej. Czuję się okropnie, kiedy ktoś mnie powstrzymuje w takiej chwili. Przez chwilę leżeliśmy w milczeniu.

— Zostań blisko, Clyde; boję się tylko, że pognieciesz mi spódnicę.

Nic nie odpowiedziałem i tylko objąłem ją mocniej. Obróciła się na bok, ocierając się o mnie ciałem, a ja byłem cały rozgrzany i twardy.

— Jesteś pewien, że drzwi są zamknięte? Tak się boję, że ktoś wejdzie.

— Same się zatrzasują, ale mogę sprawdzić, chcesz?

— Tak. Wiem, że to głupie, ale boję się, że coś się stanie.

Usiadłem na krawędzi łóżka i wsunąłem stopy w buty. Jedna ze świec prawie się wypaliła, więc ją zdmuchnąłem. Miałem wielką ochotę na papierosa. Wstałem i zszedłem na dół. Drzwi były zamknięte, a jasne światło wlewające się przez otwarte okno wydało mi się okropne. Zsunąłem storę na całej szerokości okna. Pomyślał, że nie ma nikogo w domu, nawet jeśli dozorczyńni widziała nas i powie, że jesteśmy. Po prostu nie otworzę drzwi. Chwilę później usłyszałem ruch na górze i pomyślałem, że Marianne wstała i wkłada buty. Natychmiast pożałowałem, że poszedłem na dół.

Kiedy wróciłem na górę, zobaczyłem, że Marianne leży na łóżku przykryta narzutą. Jej sweter, bluzka i spódnica wisiały złożone starannie na krześle. Leżała z zamkniętymi oczami. Usiadłem na brzegu łóżka obok niej.

— Zmarzłam trochę — powiedziała, nie otwierając oczu.

Wiedziałem, że nie widzi dobrze bez okularów. Zsunąłem buty, pochyliłem się i pocałowałem ją w usta. Natychmiast odpowiedziała, wtedy położyłem się na niej. Opuściłem dłonie na jej

nagie ramiona i przesunąłem palcami po ramiączkach jej halki. Jej skóra była ciepła i miękka; zacząłem całować jej szyję i ramiona. Coraz bardziej podniecony, uniosłem się do góry i podniosłem narzutę, by położyć się obok niej.

— Ostrożnie, Clyde. Pognieciesz sobie spodnie i twoja żona zobaczy.

Wstałem i rozebrałem się. Zostałem w spodenkach i podkoszulku.

Przytuliła się do mnie mocno, gdy tylko wsunąłem się pod narzutę i opletliśmy się nogami. Chyba poczuła moją twardość, bo wtuliła głowę w moją szyję, a ja poczułem zapach jej włosów.

— Chyba jestem bardzo niezdarna, prawda? Czuję się okropnie, lecz strasznie chcę być blisko ciebie.

— Wcale nie jesteś niezdarna, Marianne. Pocałowałem jej oczy i wydało mi się, że są wilgotne.

— Marianne, o co chodzi?

— Pewnie myślisz, że jestem okropna.

Spojrzała na mnie i zaraz odwróciła wzrok.

— Wcale nie. Jesteś cudowna.

Nie odpowiedziała, a ja byłem pewny, że powstrzymuje płacz.

— Kochasz mnie, Clyde?

— Wiesz, że tak, Marianne.

Przytuliłem ją mocniej.

— Nigdy mi tego nie mówiłeś.

— Nie mogłem.

— Wiem.

Znowu zamilkła i już nie było tak jak chciałem. Znowu oddaliliśmy się od siebie.

— Przepraszam, Clyde, że cię o to zapytałam. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

— Ja... nigdy... nigdy nie byłam w łóżku z mężczyzną.

Pocałowałem ją, a ona mnie. Na jej twarzy lśniły łzy. Przesuwałem dłońią po jej nagich plecach nad koronkowym brzegiem halki.

— Nigdy wcześniej nie chciałam być z nikim w taki sposób. Po prostu... nie... nie znam siebie.

— Nic nie mów, Marianne, wszystko będzie dobrze. Nie skrzywdzę cię.

Pragnąłem ją otoczyć opieką. Nie miałem zamiaru jej skrzywdzić.

— Nigdy nie... nie robiłaś niczego ze swoim narzeczonym?

Nie odpowiedziała od razu, a gdy wreszcie się odezwała, mówiła cicho, z ustami wciśniętymi pod moją brodę, tak że nie widziałem jej twarzy.

— On zawsze chce tego, ale ja nie mogę. Ma tytuł „von”, podobnie jak mój ojciec, i moja rodzina chce, żebym za niego wyszła, ale wiem, że go nie kocham.

W ostatniej chwili powstrzymałem się przed pytaniem, czy mnie kocha.

— Kiedyś gościłam u niego przez trzy dni i chodziliśmy w różne miejsca razem, a on mnie całował i raz... dotykał mnie... a ja jego, ale to wszystko.

Nie chciałem już rozmawiać i znowu zaczęliśmy się całować. Całowałem ją po szyi i ramionach; przykrycie dawało przyjemne ciepło. Zsunąłem ramiączka jej halki i zacząłem całować ją niżej, między piersiami. Zanurzyłam dłoń w moje włosy. Zsunąłem ramiączka stanika i odkryłem jej piersi. Były małe i blade w słabym świetle, a ich malutkie sutki bladioróżowe i nabrzmiące.

Zamknęła oczy i wtuliła twarz w poduszkę, a ja pocałowałem jej piersi i przykryłem je dłońmi. Gdy spojrzałem na nią, wciąż leżała z zamkniętymi oczami, przygryzając dolną wargę. Przykryła dłońmi moje ręce, znowu się całowaliśmy, i tak było dobrze. Zsunąłem dłonie wzdłuż

jej boków i dotknąłem jej brzucha. Był gładki i miękki; głaskałem go tak długo, aż przestał drgać. Potem zsunąłem górę jej majteczek, aż poczułem pod palcami górną krawędź jej włosów. Położyła dłoń na mojej, ale mnie nie powstrzymała.

Znowu zacząłem ją całować, a ona otworzyła się przede mną i wsunąłem dłoń głębiej. Czułem, że znalazłem się na krawędzi. Spięła się i ścisnęła nogami moją dłoń.

— Nie, Clyde, nie. Nie mogę, Clyde. Proszę.

Cofnąłem dłoń. Położyłem ją znowu na jej brzuchu z kciukiem w zagłębieniu pępka. Nic nie mówiłem. Kiedy spojrzałem na nią, dotknęła mojej twarzy.

— Clyde, chcę, żebyś mnie dotykał, ale nie spiesz się. Coś się we mnie porusza, aż nie mogę oddychać, i wydaje mi się, że zaraz umrę.

— Przepraszam.

— Nie przepraszaj, Clyde. Nie chcę, żebyś mnie przepraszal.

Potem po prostu leżeliśmy spokojnie. Oparłem głowę na jej piersi, a ona położyła dłoń na mojej głowie. Dotknąłem jej uda i wsunąłem rękę między jej nogi. Wciąż trzymała je mocno zacisnięte, a ja przesuwałem rękę i czułem, jak się powoli otwiera. Wreszcie rozluźniła się i rozchyliła uda.

— Proszę, Clyde, bądź ostrożny. Powoli, boję się.

Pocałowałem ją w usta, a ona przycisnęła mocniej moją głowę. Powoli przesunąłem dłoń na jej brzuch. Wtedy popchnęła ją delikatnie z powrotem w dół. Niemal wstrzymałem oddech. Wydało mi się, że czas się zatrzymał. Pozwoliłem, by moje palce znalazły się tuż nad krawędzią ostrego łuku; przycisnęła moją dłoń.

— Zostań tam, Clyde, nie ruszaj się. Pocałuj mnie. Poczulem wolną przestrzeń; dookoła było miękko i sucho.

Jej wargi były mokre, niemal zbyt miękkie. Odwróciła głowę i przycisnęła otwarte usta do mojego policzka, tuż przy uchu.

— Dotknij mnie teraz, Clyde, ale powoli i ostrożnie. Przesunąłem palce i dotknąłem jej głębiej, czując, jak staje się bardziej miękka i wilgotna. Znowu ścisnęła moją dłoń udami. Zacząłem całować jej piersi, a jej dłonie zacisnęły się na moim ramieniu. Gdy dotknąłem ustami jej sutka, był twardy i nabrzmiały. Podsunęła się wyżej, tak że mój palec wsunął się w nią. Czułem, jak się zaciska na nim i rozwiera.

— Och, Clyde, kocham cię. Kochaj mnie, proszę.

— Ja też cię kocham, Marianne.

— Tak bardzo cię kocham. Kochaj mnie bardziej, Clyde, kochaj mnie.

Nie byłem pewien, co ma na myśli. Zaczęła się cała poruszać. Poczulem dotyk jej chłodnej dłoni. Chyba drgnąłem w pierwszej chwili, bo cofnęła dłoń, a potem znowu dotknęła mojego brzucha, chłodno, delikatnie. Przesuwała palce powoli w dół. Leżałem nieruchomo. Czułem, jak jej dłoń mnie obejmuje, najpierw luźno, potem mocniej. Pocałowałem ją w usta, ona zaś zaczęła poruszać ręką w górę i w dół. Nie chciałem tego. Zsunęła dłoń na sam dół, lecz ja nie chciałem w ten sposób.

— Nie tak mocno, Marianne, nie tak mocno.

Przestała, lecz nie cofnęła dłoni. Nic nie powiedziała. Pragnąłem dotknąć jej całej całym sobą. Leżałem na niej, rozkoszując się dotykiem jej jedwabistej skóry na całym moim ciele. Przywarliśmy do siebie mocniej i pocałowałem ją, wtedy ona rozchyliła uda. Uniosłem się nieco i wsunąłem między jej nogi, a potem przywarłem mocno do niej. Marianne napała na mnie mocno i zaczęliśmy się poruszać, lecz ona zaraz znieruchomiała.

— Och, Clyde, tak się boję.

— Nie zrobię ci krzywdy, Marianne.

— Boję się, że będę miała dziecko.

— Nie w ten sposób.

— Wiem, ale... nie chcę tego robić tylko tak.

— Ja też nie.

— Nie masz niczego, Clyde?

Nie pomyślałem o tym. Nina po pierwszym dziecku dostała od lekarza krążek i czasem musimy przerywać, żeby go mogła włożyć. Nie lubię tego. Zawsze mięknę w takiej chwili i czuję, że coś mnie ściska w żołądku.

— Nie mam. Nigdy niczego nie używałem.

— A jak to robisz z żoną?

Trudno mi było tak po prostu rozmawiać z nią, kiedy byliśmy tak blisko siebie.

— Ona czegoś używa. — Nie chciałem o tym mówić.

— Clyde, nigdy nie byłeś z inną kobietą?

— Nie.

— Nawet przed ślubem?

— Nie, byłem tylko z Niną.

— Och.

Leżeliśmy przez jakiś czas w milczeniu.

— Clyde, czuję się okropnie. Nie wiedziałam, że jesteś tak wierny swojej żonie.

— Nigdy wcześniej nikogo nie kochałem. Nie potrafię tak po prostu kochać się z kimkolwiek.

Muszę coś czuć.

Znowu zamilkliśmy.

— Nie wiedziałam. Florie, mój narzeczony, ma duże doświadczenie. Jeśli ktoś służy w marynarce, to chyba ma wiele okazji, żeby spać z kobietą.

— Pewnie tak.

— Tak chyba jest zbyt niebezpiecznie, Clyde. Mogłabym łatwo zajść w ciążę. Nigdy wcześniej z nikim nie byłam, ale czuję, że to by się mogło stać bardzo łatwo, szczególnie z tobą.

Patrzyłem na nią z góry podparty na łokciach, a nasze ciała wciąż przywierały do siebie mocno. Czułem pot na karku i w miejscach, w których jej dotykałem.

— Och, Clyde, jesteśmy jak małe dzieci, prawda? Wcale nie jak para dorosłych w Paryżu. Niczym para niemieckich nastolatków dokazujących potajemnie w czasie Fasching Fest.

Roześmiała się i przyciągnęła mnie do siebie jeszcze mocniej. Wsunąłem dłonie pod jej kark i pocałowałem ją mocno w usta. Miała je otwarte, ale już nie było tak samo.

— Chyba nie mam zbyt dużego doświadczenia, Marianne. — Nie mów tak, Clyde. Po prostu nie wiedziałam. Jesteś cudowny i tak bardzo chcę się z tobą kochać. Pierwszy raz tak się czuję. Sprawiasz, że czuję się w środku taka ciepła i napięta.

— Tak jak ja, Marianne.

— Musimy uważać, Clyde. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym zaszła w ciążę. Nie mogłabym jej usunąć, a ty nie mógłbyś się ze mną ożenić. To by było okropne.

— Nic nie zrobię, Marianne. Wszystko będzie w porządku.

Leżeliśmy tak jeszcze długo, a potem położyłem się obok niej. Oparła głowę na moim ramieniu i położyła dłoń na mojej piersi. Zastanawiałem się, która może być godzina; wiedziałem tylko, że się ściemnia. Ogarnęło mnie dziwne uczucie, gdy pomyślałem, że leżę w tym samym łóżku, w którym spałem z Niną. Niemal uwierzyłem, że jesteśmy małżeństwem i że nie ma nic dziwnego w tym, iż jesteśmy tak blisko siebie. Dotknąłem jej piersi. Lubię czuć, kiedy kobieta budzi się pod moim dotykiem; w takiej chwili dowiaduję się czegoś, czego nie wyrażą słowa. Nina twierdzi, że to się dzieje nawet wtedy, gdy kobieta jest obojętna, ale ja nie chcę myśleć o

tym w ten sposób. Mnie się wydaje, że w takim momencie coś w jej wnętrzu unosi się ku moim palcom niczym wzbierająca w studni woda.

— Clyde, proszę, nie zaczynaj od nowa. Chcę być tylko blisko ciebie przez te ostatnie minuty.

Przywarła do mnie mocniej, jakby bała się, że mnie zraniła; tak mi się przynajmniej wydawało.

— Wiem, Marianne. Musimy iść niedługo. Pewnie jest już późno.

Uniosła się nieco i obróciła tak, by światło padło na jej zegarek.

— Och, już po piątej. Musisz już iść, Clyde, prawda?

— Tak. Chyba tak.

Chciałem być w domu przed szóstą, żeby nie wzbudzać żadnych podejrzeń.

— Zamknij oczy, Clyde. Chcę wstać.

— Nie mogę patrzeć?

Pochyliła się, odwróciłem głowę i nasze usta znowu się spotkały, wtedy zaczęliśmy się całować. Opierała się o mnie ciałem, a ja poczułem, że znowu rosnę. Podniosła głowę i zakryła mi usta dłońmi.

— Nie, Clyde, nie teraz. I nie patrz. Zamknij oczy.

Przesunęła dłoń na moje oczy. Nie otworzyłem ich, gdy cofnęła rękę. Słuchałem, jak się porusza po pokoju. Otwarłem jedno oko i zobaczyłem, jak ubiera halkę przez głowę. Czułem się cudownie, patrząc na nią w słabym świetle. Setki razy patrzyłem, jak rozbiera się Nina, a jednak to nie było to samo. Nie wiem. Zamknąłem oczy.

Gdy znowu je otworzyłem, Marianne była już ubrana. Podniosłem się na łokciach i prześcieradło zsunęło się z mojej piersi. Marianne usiadła na brzegu łóżka i podciągnęła je.

— Połóż się, Clyde.

Położyłem głowę na poduszce i pociągnąłem ją za sobą do pocałunku; nie zacisnęła ust, ale też ich nie otworzyła.

— Chyba już pójde, wtedy będziesz mógł się ubrać. Gdy spojrzałem na nią, wydała mi się chłodna.

— Jesteś na mnie zła, Marianne?

— Och, nie, Clyde. Nie myśl tak.

— Kiedy znowu się zobaczymy? Nie będziesz już przychodzić do Alliance, prawda?

— Muszę iść po świadectwo, ale to dopiero za kilka dni.

— Nie chcę czekać tak długo.

— Ja też nie.

— Zobaczymy się jutro?

— A możesz?

— Popołudniami jestem wolny.

ROZDZIAŁ 9

ALICE

Ben jest bardzo ostrożnym kierowcą, mimo to jazda naszym samochodem mnie przeraża. Ben kupił go w Stuttgarcie zaraz po naszym przyjeździe tutaj. Jest malutki, ma jakieś pięć lat i kosztował czterysta dolarów. Ben stwierdził, że taki nam wystarczy; w niektórych sprawach potrafi być bardzo uparty.

Do Raspail dojeżdżamy bez trudu. Ulica jest szeroka, więc samochody mijają nas szybko.

Gdy z samochodem coś się dzieje, Ben zachowuje się jak matka upośledzonego dziecka, która nie chce tego uznać. Samochód nie zapala rano, według niego, ponieważ to włoskie auto i nie lubi zimna, a przegrzewa się z powodu nadmiernego obciążenia. Tak trudno się nim kieruje, ponieważ jest bardzo delikatny; a poza tym i tak nie jest bezpiecznie jeździć zbyt szybko. W takich momentach po prostu się nie odzywam. I tak prawie nie jeździmy nim po Paryżu, z powodu trudności z parkowaniem. Tym razem jednak wybraliśmy się samochodem, ponieważ Ben postanowił podładować akumulator — to już drugi.

Zatrzymujemy się na światłach przy Montparnasse. Zerkam na prawo na kafejkę Le Dôme. Jeszcze nie zamontowali oszklenia, widać dość dużo klientów.

— Wiesz, Ben, zastanawiam się, skąd ci ludzie mają pieniądze na takie lokale?

Ben patrzy w tamtą stronę, a potem zerka na światło; wciąż czerwone.

— Nie wiem. Może oszczędzają, a potem przychodzą tu raz w miesiącu, żeby zaszpanować. Nie rozumiem, jak radzili sobie tutaj tacy faceci jak Fitzgerald czy Hemingway.

Wreszcie zmienia się światło. Ben potrafi ruszyć bez szarpania, ale musi zmienić biegi trzy razy, podczas gdy pozostali przepływają gładko. Jeszcze raz sprawdzam adres. Dała mi go Nina wczoraj, w parku, ale pisał Clyde, i dołączył nawet małą mapkę; właściwie trudno to nazwać pismem odręcznym, bardziej przypomina artystyczny druk, okrągłe, regularne litery z długimi, poziomymi kreskami „t”.

— Skręcamy w lewo w czwartą przecnicę tuż przed Klubem Amerykańskim.

— Dobra. — Uważaj, tutaj.

— Co znaczy: uważaj? Powiedziałaś, żeby skręcać. Dałem kierunkowskaz.

— O to mi chodziło, żeby skręcić.

Zatrzymał się na środku ulicy i patrzy we wsteczne lusterko. Nic nie mówi, ale wiem, że się denerwuje, jeżdżąc po Paryżu.

— Jak tam z tyłu, kochanie? Oglądam się do tyłu.

— Za tym szarym citroenem nic nie ma.

Jest już ciemno, a samochody jeżdżą na światłach postojowych. Ben skręca szybko. Wjechaliśmy na właściwą ulicę; sprawdzam numery domów. Nina wspominała coś o zielonej bramie i ceglanym murze po prawej stronie. Zauważyłam je, zanim przeczytałam numer.

— To już tutaj, Ben. Pokazuję mu bramę.

— Jest gdzie zaparkować, zaraz za tym wielkim volkswagenem.

Ben parkuje tyłem. Robi to doskonale.

— Ciekawe, czy to ich auto, ma rejestrację z TT.

Kiwa głową, pokazując na czerwony samochód kempingowy, który wygląda na całkiem nowy.

— Być może. Trudno powiedzieć. W okolicy tego klubu kręci się pewnie mnóstwo Amerykanów.

Ben wyłącza światła i wysiadamy. Blokuję zamek drzwi od środka z mojej strony.

— Ben, myślę, że powinniśmy zamknąć samochód. Nigdy nie wiadomo.

Ben wciąż gapi się na volkswagena.

— Jezu, nie chciałbym mieć czegoś takiego za plecami.

Podchodzi do auta i patrzy do środka przez szybę. Też podchodzę. Wiem, że wcale się nie peszy tym, że zagląda komuś do samochodu. Ja także zaglądam, ale tylko dlatego, że nie widzę nikogo innego na ulicy.

— Widzisz, mają tu stolik i ławki, a wszystko można złożyć w łóżko.

Zasłania oczy dłońmi, a jego oddech zostawia wilgotne plamy na szybie.

‘ — Dobrze byłoby jeździć czymś takim z Aaronem. Mógłby się bawić z tyłu w czasie jazdy.

— Jasne, ale wyobraź sobie jeżdżenie czymś takim w tym mieście, pewnie głównie stoi. Do tego w takim dużym aucie człowiek pewnie ciągle gromadzi różne śmieci; to mi wygląda na duży bajer.

Wreszcie wchodzi na chodnik, a ja biorę go pod rękę.

— Wystarczy, Ben.

Otwieramy furtkę. Za murem znajduje się ciche podwórko porośnięte skąpą trawą, rosną tam też krzewy i drzewa. Ciemność wypełnia łagodny zapach opadłych liści. Po lewej stronie biegnie wąska betonowa ścieżka.

— Spójrz, Ben, ładnie tu. Tak cicho pośród całego tego zgiełku.

Słabe światło budynku znajdującego się w głębi podwórka oświetla krawędzie krzewów. Na ścieżce leżą liście.

— Tam pewnie mieszkają. Nina mówiła, że dom stoi z tyłu podwórka.

Ben zatrzymuje się i patrzy do góry.

— Dobrze byłoby mieć tu pracownię.

Rzeczywiście jest tu miło; w rogu rośnie nawet drzewo. Otwiera Clyde.

— No, witajcie, jesteście punktualni. Wchodźcie. Nina jest na górze i próbuje spacyfikować dzieciaki.

Otwiera drzwi szerzej i wpuszcza nas do środka. Wchodzimy do dużego pokoju; jest naprawdę duży i ciepły, dzięki wykończeniu w drewnie. Od razu mi się spodobał.

— Wybaczcie. Clyde, to jest mój mąż, Ben.

Podają sobie dłonie. Nigdy nie wiem, w jaki sposób przedstawiać sobie ludzi. To znaczy wiem, ale nie lubię tego robić, szczególnie że niektórzy przywiązują do tego dużą wagę.

— Clyde, wspaniałe mieszkanie. Idealne. Ben, co powiesz na tę lodżię, fantastyczna, prawda? Pamiętasz to atelier, które oglądaliśmy przy Denfert Rochereau? Też miało taką.

Kiwa głową i obejmuje mnie, spoglądając do góry; jesteśmy mniej więcej tego samego wzrostu.

— No, tutaj można pomieszkać. Cześć, Nino, przyłącz się do nas.

— Zejdę do was, jak tylko zasną ci Indianie.

Mówi głośnym szeptem i zaraz znika; jej cień kładzie się na suficie. Na ścianach wiszą jakieś dziwaczne obrazy. Widzę, że i Ben spogląda na nie. Mam nadzieję, że nie namalował ich Clyde; są okropne.

Nina wreszcie schodzi. Odzywa się dopiero na dole schodów.

— Zabawne mieszkanie, prawda? Nam bardzo się tu podoba. Dla mnie to prawdziwy Paryż.

Siadamy, lecz Nina zaraz wstaje.

— Wstawię ryż. Przygotowałam gulasz. — Patrzy na Bena. — Mam nadzieję, że lubisz pikantne potrawy.

— Jeszcze jak. W moich żyłach płynie węgierska krew. Ben zaciera ręce zadowolony. Kiedyś

próbował namówić madame Le Grand, żeby przyrządziła gulasz zamiast francuskiej *ragoût*, którą serwuje w każdy czwartek, ale odmówiła. Trudno zmienić Francuza. Idę za Niną do kuchni. Kiedy odwraca się do mnie, widzę po jej twarzy, że jest spięta.

— O rany, Alice, to tylko amerykański gulasz. Wzięłam przepis z książki kucharskiej Betty Crocker.

— Nie przejmuj się. Ben zjadłby nawet duszoną baraninę z kartoflami i cebulą, gdybyś tylko mu powiedziała, że to gulasz. Ugotuj dużo ryżu.

Nie rozumiem, dlaczego się denerwuje.

— Wstawię ryż, a ty spróbujesz sosu, dobrze? Nad kuchenką jest mnóstwo przypraw. Były już tutaj, kiedy przyjechaliśmy.

Stawia na gaz ogromny garnek z wodą. Sos pachnie ładnie i jest w nim dużo mięsa. Nabieram trochę na chochlę i dmucham przed spróbowaniem. Mnie smakuje.

— Ben będzie zadowolony, Nino. Ugotuj tylko dużo ryżu. Otwiera nożem pudełko.

— Czy to ryż błyskawiczny? Widzę niepokój na jej twarzy.

— Och, nie pomyślałam o tym. — Z instrukcji na pudełku dowiaduję się, że to normalny ryż, który trzeba gotować co najmniej pół godziny. — Nie przejmuj się, Nino. Nasze wygłodniałe wilki wytrzymają.

Mam wrażenie, że ona naprawdę czymś się martwi.

Gdy woda zaczyna wrzeć, wsypuję trzy miarki ryżu. Nina ,płucze w zlewie sałatę, a ja oferuję się do jej przyrządzenia; to akurat potrafię robić dobrze. Widzę, że ma nawet ocet winny.

Gdy zaglądam, widzę, że Ben i Clyde chodzą po pokoju i oglądają obrazy na ścianach, jednak nie słyszę, co mówią. Domyślam się, że to nie Clyde namalował te obrazy, ponieważ są oprawione.

— Alice?

Nina stoi nieruchomo z dłońmi zanurzonymi w sałacie.

— Wiesz coś na temat tutejszego szpitala amerykańskiego? Uśmiecha się, ale nie patrzy na mnie.

— Byłam tam raz na badaniach z Aaronem. Szpital jak szpital, taki jak u nas. Przyjął nas doktor Jones; niezły, Kanadyjczyk, i dość rozsądny. A o co chodzi, któryś z chłopców?

— Nie. Chodzi o mnie. Muszę coś sprawdzić. Daleko jest ten szpital? Można tam dojechać autobusem albo metrem?

— To jest w okolicy Neuilly. Najlepiej pojechać samochodem, ale dojedziesz też metrem i autobusem. Ja tak jechałam z Aaronem. Tylko że zabrało nam to dobrą godzinę.

— Pokażesz mi dokładnie, gdzie to jest? Wolałabym pojechać tam sama.

— Jasne. Masz mapę?

— Po kolacji, dobrze? Clyde ma chyba mapę w samochodzie. Znowu patrzy na mnie przez chwilę. Nie mogę tego znieść.

Wyraźnie widać, że coś ją gryzie, ale skrywa to na tyle skutecznie, że trudno się zorientować, o co chodzi. Ja natomiast czuję, że nie powinnam pytać. Podobnie było tamtego ranka w parku; ona nie potrafi ukryć wszystkiego, a ja nie potrafię przebić się przez jej zasłonę. Sprawdzam godzinę. Minęło dwadzieścia minut od wstawienia ryżu.

— Chodźmy do panów. Ryż musi się jeszcze trochę pogotować, więc odprężmy się trochę przed jedzeniem.

Clyde i Ben siedzą zajęci rozmową. Wydaje mi się, że Ben polubił Clyde'a, a przynajmniej ma ochotę z nim porozmawiać. Przerwywają dyskusję, kiedy wchodzimy. Ben patrzy na Ninę.

— Kolacja gotowa? Umieram z głodu.

Zaciera ręce. Chyba nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo może przerażać kogoś tak wrażliwego

jak Nina. Czasem wydaje mi się, że próbuje mnie naśladować i stara się być bardzo miły, ale robi to niezręcznie.

— Spokojnie, Ben, dobry gulasz potrzebuje trochę czasu. Przecież zjadłeś pół tabliczki czekolady przed wyjściem z domu.

— Widzicie, moja żona wszystko wypatrzy. Grozi mi palcem; widzę, że próbuje się poprawić.

— Myślałem, że nie zauważyłaś. Odłamywałem po kawałku w kieszeni i pogryzałem schowany za książką.

Uśmiecha się do wszystkich. Nasze życie towarzyskie w Paryżu jest dość ograniczone, ale teraz chyba dobrze się bawi. A poza tym wydaje się, że Clyde słucha go uważnie, co zawsze bardzo cieszy Bena.

Nina siedzi na brzegu swojego krzesła. Ma ładne nogi. Widzę, że przygląda się Benowi, który siedzi odchyłony do tyłu, oparty łokciami na miękkich poręczach fotela, i gestykuluje żywo, perorując. Często dominuje w rozmowie z innymi i przeważnie robi to mimowolnie. Sprawdzam czas, a potem słucham, co mówi Ben. Opowiada o jednym z naszych przyjaciół z Nowego Jorku, malarzu, który przez sześć miesięcy w roku obstawiał konie na torze wyścigowym w Saratodze, by utrzymać rodzinę. Jego żona, Dorothy, przeżywa czasem trudne chwile, ponieważ mają dwoje dzieci i zawsze potrzebują pieniędzy.

— Joe Schriffen? Ten Joe Schriffen?

Widzę, że Clyde jest wyraźnie pod wrażeniem.

— Tak myślę. Znam tylko jednego Schriffena, który żyje z malowania, głównie. Teraz maluje przeważnie w pracowni i próbuje wrócić do metafory. Rozumiesz, puste ściany, kilka mioteł i stół z paroma przedmiotami na blacie albo odpowiednio oświetlony kąt... swojego rodzaju kompromis z abstrakcją. Ciężko nad tym pracuje.

— Chcesz powiedzieć, że facet z jego reputacją musi dorabiać na torze wyścigowym? Sądziłem, że należy do grona największych.

Ben bierze głęboki oddech.

— To trudny fach. Nie wiem, czy znajdziesz w Ameryce pięćdziesięciu artystów, którzy żyją tylko z malowania. Wielu z nich uczy albo zajmuje się czymś podobnym; trudno wyżyć z obrazów. A poza tym Joe nie chce się wiązać.

— Co masz na myśli?

Clyde wyjmuje fajkę z ust i odchyła się do tyłu, opierając wyprostowane ramiona o poręcze fotela — chyba naśladuje Bena. Czuję, że zanoszi się na dłuższy wywód, co pozwoli nam spokojnie dotrzeć do kolacji. Siadam wygodniej i rozglądam się dyskretnie. Lubię słuchać Bena, który zawsze opowiada z wielkim entuzjazmem.

— To dość złożona sprawa. Wiesz coś na temat marketingu, jeśli chodzi o obrazy, Clyde? Mam na myśli prawdziwy marketing, a nie tylko wystawy i tym podobne?

— Szczerze mówiąc, niezbyt wiele. Dotąd miałem tylko jedną niewielką wystawę na uniwersytecie, to wszystko. Nigdy nie udało mi się zgromadzić na tyle dużo obrazów, żeby zorganizować coś większego. W ciągu ostatnich pięciu lat sprzedałem jakieś dziesięć obrazów, głównie kolegom z wydziału.

Obserwuję Ninę. Nie odrywa wzroku od Bena, ale nie pokazuje niczego po sobie. Zastanawiam się, czy ktoś obserwuje mnie. Nie sądzę.

— No cóż, malowanie to wielka przyjemność, za to parszywy interes.

Ben zerka na mnie, uśmiechając się.

— Alice wie coś na ten temat; przez pewien czas pracowała w tej galerii.

Odpowiadam mu uśmiechem. Ben milknie na chwilę i wbija wzrok w palce swoich dłoni, których czubki się dotykają.

— To dość złożona sprawa, lecz problem polega na tym, że w pojęciu wielu ludzi obrazy są zwykłymi przedmiotami. W moim mniemaniu obraz to coś, co zachodzi między malującym i oglądającym. Przypomina to kontrolowane spotkanie; ważne jest tylko to, co się dzieje. Wszystko inne to opinia grupy albo coś, co ma wartość pamiątki czy znaczka pocztowego. Handlarze sztuki zawsze próbują tworzyć opinie na temat obrazów albo chcą kontrolować rynek. Oni zajmują się sprzedażą opinii, a nie obrazów, natomiast obrazy są jedynie reakcją, a nie bodźcem. Wszystko jest na opak. Obraz znalazł się na tylnym siedzeniu, spełnia rolę piórka do łaskotania ludzkich fantazji. Można też spojrzeć na to inaczej. Malarz to ten człowieczek na tyłach sklepu, który próbuje dopasować buty do przygotowanych szablonów. Bardzo to smutne. Gdybym zaczął się nad tym dłużej zastanawiać, równie dobrze mógłbym to rzucić.

Lubię słuchać Bena. Potrafi użyć w zdaniu kilku przenośni i wciąż jest to zrozumiałe.

— Jasne, tylko co tu można zrobić? Podobnie jest z muzyką, z pisaniem, ze wszystkim, nie mam racji? Nawet w czasach renesansu artyści potrzebowali patronów.

Ben pochyla się do przodu i patrzy na swoje buty. Ustawia stopy równo na wzorze dywanu. Pastuje buty codziennie rano, dlatego zawsze pięknie błyszczą. W wieku jedenastu lat czyścił buty przy Independence Hall, żeby zarobić na lekcje pływania. Zawsze wyciera czubki o spodnie z tyłu nogi i nie sposób go od tego odzwyczaić.

— Moim zdaniem każdy artysta powinien znaleźć własny rynek, grono wielbicieli.

Nikt nie odpowiada. Czekamy.

— Jeśli uda mu się znaleźć choćby sto osób, które naprawdę zrozumieją jego obrazy i których emocje będzie potrafił poruszyć, to już warto malować. Wystarczy, żeby przeżyć. Niech tylko każda z nich raz na trzy lata kupi jego obraz. Sprzeda płótno za sto, dwieście dolarów i będzie miał na życie. Tylko tego potrzeba artyście: mieć tyle, żeby mógł przeżyć, malować i mieć ludzi wokół siebie, którzy chcieliby zobaczyć, co robi.

Ponownie zerkam na zegarek.

— Większość artystów psuje idea sławy i powszechnej akceptacji; a przecież to tylko iluzja. W renesansie wystarczyło, że książę i kilkoro innych osób z dworu uznało, że facet jest dobry, i nie musiał już przekonywać ludzi z Paryża czy Madrytu. Koncepcja międzynarodowego artysty to nonsens. Za sprawą radia, telewizji czy odrzutowców wszyscy wydają się tacy mali. A przecież artysta to nie polityk czy przysmak śniadaniowy. Artysta potrzebuje tylko uznania jednej osoby w danej chwili. Jeśli jest naprawdę dobry, znajdzie uznanie w oczach tych, którzy nawet jeszcze się nie narodzili.

Znowu czekamy. Zwykle tak się dzieje, gdy Ben opowiada.

— Tak, ale co z wystawami, nagrodami i stypendiami? Gdzie ich miejsce?

Ben bierze głęboki oddech. Widzę, że jest trochę przygnębiony. Nie lubi specjalnie mówić na ten temat.

— Owszem, są ważne, ale dla ogólnej kultury, natomiast prawdziwemu artyście nie pomagają. Powiedziałbym nawet, że mu szkodzą. Stawiają artystę w roli żebraka, który nieustannie szuka aprobaty, nagrody, opierając się na zdaniu opiniotwórców zamiast na bezpośredniej konfrontacji z oglądającym. Dlaczego pan Ford, pan Guggenheim czy ich ludzie mieliby określać rolę malarstwa? Skąd wiedzą, co jest dobre, a co złe? Potrzeba czasu, zanim ludzie dostrzegą naprawdę dobrego artystę, docenią go, ale szansa na wyłowienie go spośród rozwrzeszczanego tłumu jest niewielka. — Uśmiecha się. — Szczerze mówiąc, cieszę się, że tak rzadko im się to udaje, bo gdy dokonają słusznego wyboru, zaczynają snuć różne prognozy i zabijają sztukę. Wszystko byłoby dobrze, gdybyśmy my, malarze, przestali bujać w obłokach.

— Chcesz powiedzieć, że artysta powinien zacząć chodzić po domach i reklamować swoje obrazy. Trochę to czasochłonne, a poza tym dość poniżające.

— Nie tak bardzo jak to, czym teraz się zajmuje, ale rzeczywiście potrzeba na to czasu. Wszelka wolność wymaga wysiłku, lecz lepsze to niż wpaść w ręce handlarzy. Artysta musi się wyzbyć przekonania, że jest jakąś wyjątkową istotą, o którą trzeba się troszczyć. Takie życie mogą wieść tylko dzieci albo królowie. Dopóki będą go hołubić i chronić, dopóty będzie ich dłużnikiem. Proste. Chyba kobiety rozumieją to lepiej niż mężczyźni. To właśnie miałem na myśli, mówiąc o Joe Shrifirinie. W każdej chwili może związać się z jakimś dealerem, a ten co miesiąc będzie mu dawał czek i sprzedawał większość jego obrazów. Tylko że Joe nie chce tego. Już to przerabiał, podobnie jak ja, i ma dość. Ani się spostrzeżesz, jak zaczną d gadać o zmianie stylu i ustalą wysokość produkcji. W pewnym sensie mają do tego prawo. Potrzeba dużo pieniędzy, żeby upchnąć artystę na samej górze. Tylko że potem nie wiesz już, kto kupuje twoje obrazy, a kiedy się dowiadujesz, zaczynasz żałować, że dostały się w ręce właśnie takich ludzi. Zwykle jest to typ filatelisty albo kogoś, kto chce podnieść swój status społeczny. Ani się obejrzyś, jak tańczysz przed ludźmi uwiązany na jedwabnym sznureczku.

— No tak, w takim razie jak pokazać swoją twórczość? Jak zorganizować wystawę?

— To jest trudne, tak jak mówiłem. Czasem można znaleźć uczciwą galerię, gdzie docenią twoje dzieło. Ale zawsze jest mnóstwo galerii próżności, szczególnie tutaj, w Paryżu.

— Galerii próżności? To pytanie Niny.

— Widzisz, Nino, wielu malarzy chce pokazać swoje obrazy. Niektórzy z nich to niedzielni artyści, inni to nauczyciele, którzy muszą się wykazać, by otrzymać awans. Wielu nie zasługuje na prawdziwą wystawę, dlatego płacą. Za pięćset dolarów dostaniesz dwutygodniową wystawę z publicznością i kilkoma krytykami, w Paryżu czy nawet w Nowym Jorku. Czasem załatwia się to pocztą i artysta wcale nie musi być tam obecny. Raz na jakiś czas trafia się naprawdę dobra wystawa w którejś z galerii próżności, lepsza nawet niż te organizowane w dużych galeriach na prawym brzegu. Oczywiście to moje prywatne zdanie. Zawsze śledzę, co się dzieje w tych małych galeriach, i raz na kilka tygodni znajduję tam coś ciekawego. Za to gdy idę na drugą stronę rzeki, niemal wiem, co zobaczę, zanim jeszcze spojrzę na obrazy. Zwykle jest to najnowsza, szokująca rewelacja albo współczesny stary mistrz.

Kiedyś sądziłam, że Ben przesadza, ale pracując z nim w galerii, zrozumiałam, co ma na myśli. Clyde wygląda na przybitego. Teraz Nina patrzy na niego.

— No tak, ale skąd artysta ma wiedzieć, że jest dobry? Jeśli nie może wierzyć krytykom, to na czym ma polegać? — Clyde ssie fajkę, ale już zgasła. Opuszcza srebrne wieczko i chowają do kieszeni.

— Ważne pytanie, które dotyczy wszystkich. To sprawa indywidualna, a poza tym uważam, że tak naprawdę nigdy tego nie wiemy. Moim zdaniem artysta musi wierzyć, że jest niezły. Jeśli nie jesteś dość dobry, odchodzisz. To zupełnie naturalne.

— A ty? Jesteś dość znany. Jak ty sobie z tym radzisz?

Ben bierze głęboki oddech. To tak, jakby ktoś opowiadał o swojej operacji. Blizna jest zbyt fascynująca, by przemilczeć jej istnienie.

— Maluję już długo, prawie trzydzieści lat.

Milknie. Czasem Ben lubi odgrywać rolę papy, jak Hemingway czy ktoś taki.

— Bardzo się angażowałem jako młody malarz i walczyłem o opinię. Ale jakieś pięć lat temu doszedłem do wniosku, że wszystko to niewiele jest warte. Zostałem zapędzony w róg, w którym nie chciałem się znaleźć, i robiłem to, czego ode mnie oczekiwano, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Miałem swojego agenta, zlecenia, pochlebne recenzje, ale brakowało mi swobody. Dostawałem nagrody, stypendia, mogłem prowadzić wykłady w szkole, a nawet otrzymać stanowisko artysty rezydenta, gdybym tylko zechciał. — Patrzy na Ninę. — Zawsze jednak krępował mnie cieniutki sznureczek, choć często był ustrojony wstążeczkami. Tak więc

zrezygnowałem ze wszystkiego. Kupiłem galerię w Filadelfii. Od tamtej pory nie miałem ani jednej większej wystawy. Jeśli już pisano o mnie, to tylko po to, by powiedzieć, że staję się reakcjonistą. W jednym z artykułów nazwano mnie Babbittem malarstwa!

Śmieje się i przeczesuje włosy dłonią. Nie powiedział, jak bardzo zaboląły go podobne recenzje. Ryż pewnie już się ugotował, więc próbuję uchwycić spojrzenie Niny, ale ona nie odrywa wzroku od Bena.

— Mimo to zawsze coś sprzedawałem. Mam grono ludzi, którym podobają się moje obrazy i którzy je kupują. Kupują, chociaż ja sam wciąż szukam. Ale tak jest wspaniale. Nie znam lepszego sposobu sprzedawania obrazów. Masz wtedy uczucie, że dotknąłeś kogoś.

Uznaję, że muszę mu przerwać, chociaż nie jest to najlepszy moment. Wstaję i idę do kuchni, a Nina podrywa się za mną. Wszystko gotowe. Podajemy do stołu ryż, gulasz i sałatę.

Stół bardzo ładnie ozdabiają serwetki w białą — niebieskie paski, złożone jak namioty. Clyde podsuwa mi krzesło, Ben zaś czeka przy swoim, aż Nina usiądzie. Wychodzi z założenia, że kobiecie wygodniej jest usiąść, kiedy nikt jej nie pomaga.

Gulasz jest bardzo dobry, tak że Ben bierze trzy dokładki. Francuskie ciasteczka nie są najgorsze, ale pozbawione konkretnego smaku, nie tak jak placek czy tort. Francuskie ciasto jest zwykle albo strasznie puchate i ma się wrażenie, że człowiek je powietrze, albo nasączone rumem. Przestałam je kupować. Moim ideałem jest chyba szarlotka.

Na szczęście nie rozmawiamy już o malarstwie. Clyde i Nina opowiadają, w jaki sposób się poznali, kiedy Clyde był młodym nauczycielem. Nina wspomina ochoczo, lecz on wydaje się zażenowany. Wiem, że za chwilę Ben opowie o letniej sesji na Uniwersytecie Pensylwanii, i rzeczywiście to robi. Nie pomija żadnych szczegółów i wspomina nawet o butach ortopedycznych, które wtedy nosiłam. Śmieje się przy tym dużo, aż w kącikach jego oczu znowu pojawiają się łzy. Nie pamiętam, żeby kiedyś śmiała się aż do łez.

Potem panowie przechodzą do salonu. To jest rzeczywiście przyjemne mieszkanie. Obie z Niną sprzątamy ze stołu i zmywamy naczynia, co nie zabiera nam dużo czasu.

Wracamy do pokoju i siadamy na tych samych krzesłach co przedtem. To zabawne, że ludzie, nawet w obcych domach, wracają na swoje miejsca, podobnie jak psy czy koty. Nina znowu krzyżuje ciasno nogi, chyba robi to odruchowo, a nie ze zdenerwowania. Postanawiam, że także spróbuję usiąść w podobny sposób, ale nie w tej chwili, nie przy wszystkich.

— Pewnie strasznie was to nudzi, dziewczęta. Czasem się zapominam.

— Wcale nie, Ben. Clyde musi się dowiedzieć takich rzeczy. Nie wiem, w jaki sposób zdobyłby podobną wiedzę, jeśli nikt mu tego nie powie.

Sama się zastanawiam, dlaczego Ben tak bardzo się angażuje. Jakoś nie wyobrażam sobie Clyde'a w roli poważnego malarza. Z drugiej strony nie wydaje się też dzieciakiem.

— W porządku. Będę się streszczał. I tak niedługo musimy się pożegnać.

Zerkam na zegarek. Za kwadrans jedenasta.

— Uważam, że najlepszy sposób to wyrobić sobie kontakty. Nie mam na myśli tych miłośników naleśników wałęsających się po galeriach, ale ludzi, których spotykasz na co dzień i którzy interesują się twoją pracą. Musisz znaleźć ludzi, którzy zechcą kupić twój obraz, ponieważ jest dla nich czymś wyjątkowym i coś dla nich znaczy. W tym obiektywnym przedmiocie musi być coś, co w jakiś sposób odegra rolę pomostu nad przepaścią osamotnienia.

— To przypomina trochę sprzedaż pamiątek. Pamiątki Clyde'a Dudleya na sprzedaż. Sam nie wiem.

— Może w niewielkim stopniu, ale nie do końca. Pamiątka jest wspomnieniem wspomnienia. Natomiast dobry obraz to w jakimś sensie samo wspomnienie. Jeśli uda ci się nawiązać kontakty w ten sposób, to już będzie coś.

— Ale czy obraz nie powinien mówić sam za siebie? Mnie się podoba El Greco, chociaż nigdy go nie spotkałem. Wydaje mi się, że dobry obraz, gdy jest już ukończony, nie potrzebuje więcej artysty.

— Podoba ci się, bo tak nam wmówili. Nie potrafimy spojrzeć na niego tak samo, jak odbiorcy czterysta lat temu. Nie wiem, czy sto osób widziało jego obrazy, zanim umarł. Rozumiesz, jego twórczość ledwo przetrwała po jego śmierci.

Obserwuję Clyde'a. Trudno sprzeczać się z Benem. Nie zostawia przeciwnikowi zbyt wiele miejsca. Kiedyś mu to wytknęłam, a on powiedział, że taki już jest; artysta nigdy nie dyskutuje, po prostu przedstawia swój punkt widzenia. Sąd, sumienie, skupienie, powiedział mi wtedy. Czasem trudno z tym wytrzymać i mam nadzieję, że Clyde nie czuje się urażony. Ben peroruje dalej:

— Artysta musi być kimś wyjątkowym. Nie jest El Grekiem, a jego zadaniem jest zaprezentować się swoim obrazem w życiu innych ludzi, przyciągnąć ich do siebie, zebrać tłum. Zupełnie jak w fizyce; siła jest wypadkową masy i przyspieszenia. — Odchyła się do tyłu. — Takie jest moje zdanie.

Widzę, że jest zmęczony i że powinniśmy wracać do domu, ale Clyde wyraźnie chce kontynuować rozmowę; w jego głosie pojawia się nuta zadziorności.

— W porządku, ale jak to zrobić, mam roznosić ulotki czy wynająć zespół? Nie wiedziałbym, od czego zacząć.

— Na to potrzeba czasu. Ale pamiętaj, co mówiłem. Jeśli artyście uda się zebrać choćby setkę ludzi, to już jest sukces. Znam malarza z Kalifornii, który zorganizował wystawę w ogrodzie przyjaciela i sprzedał tyle obrazów, że miał za co żyć przez następne dwa lata. Inny znajomy ma mały klub. Jego członkowie płacą roczne składki, chyba dwadzieścia pięć dolarów, w zamian za co otrzymują litografię i pierwszeństwo w zakupie któregoś z jego obrazów za rozsądną cenę. Jakoś sobie radzi; ma ładny domek w górach i może zająć się tylko malowaniem. A tak przy okazji, jeśli interesujesz się litografią, to znam niezłą pracownię w Paryżu. Są naprawdę dobrzy, a płacisz połowę tego, co wydałbyś w domu.

— Świetnie. Dawno już się tym nie bawiłem, może więc warto byłoby znowu spróbować.

— Pracownia znajduje się po drugiej stronie dzielnicy czternastej. Można tam dojechać metrem z Vavin. — Ben rozgląda się. — Nino, macie jakąś mapę?

Nina wyjmuje mapę z szafy i podaje Benowi. Panowie przyklękają nad nią na podłodze. Przypominają chłopców zajętych czytaniem komiksów.

— Patrz, wysiadasz tutaj, idziesz Alesia i mijasz dwie przecznice, potem skręcasz w lewo. To jest ślepa uliczka, a zakład znajduje się na samym końcu; chyba nazywa się Grafika.

Clyde przesuwając palcem po mapie. Nachylam się do Niny.

— Jak skończą, pokażę ci, gdzie jest szpital.

— Mają tam kamienie różnej wielkości, a za cenę jednego masz dziesięć odbitek. Obecnie pracuję nad trzykolorową kompozycją na jednej z dużych płyt. Te największe nazywają „Jesus”; ci Francuzi mają dziwne poczucie humoru. Mówię ci, trzeba się nieźle nagimnastykować. Nigdy w życiu nie pracowałem tak ciężko nad barwą. Wpadnij kiedyś, to sam zobaczysz.

Clyde milczy przez chwilę.

— A może pojechalibyśmy tam kiedyś z tobą? Mój francuski jest do niczego.

— Pewnie, w sobotę?

Spotkamy się przy stacji metra. Nina bierze mapę od Clyde'a i podaje mija. Zapala światło nad stołem, a ja rozkładam mapę. Nina podaje mi ołówek i kartkę papieru, na której zapisuję jej wszystko. Ben i Clyde wciąż dyskutują. Widzę, że Ben jest już gotowy do wyjścia. Nie znosi czekać.

— Dzięki, Alice. Bardzo mi pomogłaś.

— Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Chyba nie jesteś w ciąży, co?

— Nie, nic z tych rzeczy.

Nie mówi nic więcej, a ja nie chcę jej naciskać.

— Ben, czas na nas. Carol pomyśli, że wyjechaliśmy z miasta. Ściskamy sobie dłonie na pożegnanie. Oni chyba też są zmęczeni.

Wieczór jest bardzo przyjemny. Znowu czuję zapach liści. Teraz pachną wilgocią. Pomimo zmęczenia żałuję, że przyjechaliśmy samochodem i nie możemy wrócić pieszo.

ROZDZIAŁ 10

NINA

Zawsze jest tak samo, kiedy próbuję robić coś skomplikowanego. Chyba należę do tego rodzaju kobiet, które muszą mieć męża. Patrzę na kartkę papieru, którą dostałam od Alice, a potem znowu na mapę. Clyde'owi takie rzeczy nie sprawiają najmniejszej trudności; po prostu przesuwam palcem po czerwonych liniach i wszystko widzi. Całe szczęście, że nie muszę jechać tam z dziećmi. Clyde był bardzo miły w tym względzie.

Zanim wyszłam, Clyde dał mi małe bileciki. Nie pamiętam, kiedy je kupił; taka już jestem. Jakby zawsze ktoś musiał się mną opiekować. Wychodzę na ulicę. Jest dość ciemno i ciepło, ale nie tak jak wtedy, gdy świeci słońce. Widzę niebieską tabliczkę Montparnasse–Bienvenue; to musi być tutaj. Schodzę jeszcze niżej. Stojąca tam kobieta bierze ode mnie bilet, dziurkuje go i oddaje mi. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

Tory odchodzą łukiem i znikają w ciemności; światło odbite w białych kafelkach sufitu sprawia, że czuję się jak w ogromnej łazience. Nie mogę oprzeć się wygodnie, ponieważ ściana wznosi się łukiem. Mężczyzna, który właśnie usiadł przy mnie, przygląda mi się natarczywie. Otwieram torebkę, udając, że czegoś szukam. Boję się podnieść wzrok, ale wiem, że wciąż siedzi tuż obok, bo widzę jego nogi. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby się do mnie odezwał.

Wreszcie przyjeżdża pociąg. Mężczyzna otwiera drzwi i cofa się, by mnie przepuścić. Nie wiem, czy powinnam, ale muszę wsiąść. Jakoś przecież muszę się dostać do szpitala. Zajmuję wolne miejsce obok dziewczyny w okularach. Nie wiem, gdzie usiadł mężczyzna, ale nie sprawdzam.

Wysiadam na drugim przystanku, on także. Zaczynam się już bać, ale okazuje się, że to ostatni przystanek. Oddycham z ulgą, gdy mężczyzna skręca w inną stronę. Razem z wieloma innymi pasażerami idziemy niskim tunelem, w którym słychać stukot naszych butów na betonowym chodniku. Na środku siedzi ślepiec bez nogi i gra na akordeonie. To musi być okropne siedzieć tutaj przez cały dzień i słuchać tupotu nóg. Już chyba wolałabym umrzeć. Nie mam drobnych.

Teraz inni idą szybciej, więc i ja przyspieszam. Widzę duże ciężkie drzwi z czerwonym napisem, które zamykają się powoli. Niektórzy przeciskają się w ostatniej chwili. Stoimy przed drzwiami, słychać narastające dudnienie pociągu. Jakiś mężczyzna wyjmuje gazetę, inny wpycha się tuż koło mnie. Nie jest aż tak tłoczno, więc się odsuwam. Starzec w szarym garniturze i czarnym kapeluszu odwraca się i lustruje mnie wzrokiem od stóp do głów, aż w końcu sama odwracam głowę.

Wreszcie otwierają się drzwi i wszyscy ruszają do przodu. Oczywiście pociąg zdążył odjechać. Tym razem nie siadam. Idę na koniec peronu, ale po drugiej stronie torów stoi mężczyzna, który mnie obserwuje. Zwykle nie przeszkadza mi, kiedy gapią się na mnie mężczyźni, ale nie w taki sposób, jak robią to Francuzi, a szczególnie nie w chwili, kiedy się czymś martwię. Staram się zająć czymś myśli. W głębi tunelu pojawia się drżące światło. Pociąg nie jedzie szybko, tylko tak się wydaje. Słychać zgrzyt metalu, pociąg zwalnia i staje. Z pierwszego wagonu wychyla się jakiś mężczyzna i uśmiecha do mnie. Odpowiadam uśmiechem. Czuję się bezpieczna, bo mężczyzna ma na sobie mundur, więc jest w pracy. Miło jest móc uśmiechnąć się do kogoś. Gdyby można było uśmiechać się do innych i otrzymać od nich to samo, nie oczekując niczego więcej, to już byłoby dużo.

Siadam z tyłu wagonu. Przypominam sobie trochę francuskiego, próbując czytać napisy. Boję się, że przegapię moją stację, więc jestem gotowa na każdym przystanku. Wreszcie dojeżdżamy;

na szczęście ktoś otworzył drzwi.

Gdy wreszcie wychodzę ze stacji metra, okolica mało przypomina Paryż. Wszystko wydaje się bardziej zniszczone i rozrzucone w przestrzeni. W okrągłej zatoczce stoją autobusy. Nie jestem pewna, w którą stronę powinnam jechać, ale znajduję autobus linii 196.

Autobus jedzie wyboistymi uliczkami, na których po obu stronach widać małe sklepy i garaże. Niezbyt przyjemna okolica. Nie chciałabym tu mieszkać, mając tak niedaleko cały Paryż z jego zielenią.

Wreszcie autobus się zatrzymuje i wszyscy wysiadają. Ostatni przystanek. Kiedy zerkam na kierowcę, ten uśmiecha się i pokazuje wzdłuż ulicy, a potem zagina palec w prawo. Dziękuję mu uśmiechem, ale on już nie patrzy na mnie. Jest młody i nosi charakterystyczne dla Francuzów wąsiki. To musi być straszne sprzedawać bilety, wydawać resztę i jeździć tam i z powrotem tą brzydką ulicą.

Mijam kilka przecznic i wszystko się zmienia. Dochodzę do dużej ulicy wysadzonej drzewami, przy której stoją duże domy z ogrodami. Tu jest bardzo ładnie. Idę jeszcze kawałek i wreszcie jest szpital. Jestem umówiona na jedenastą, a jest za piętnaście. Jechałam ponad godzinę.

W recepcji otoczonej szklaną ścianą siedzi jakaś dziewczyna, która na szczęście mówi po angielsku. Kieruje mnie do sekretarki doktora Jonesa w dalszej części korytarza. Pukam, ale nikt nie odpowiada, więc uchylam drzwi. Wysoka blondynka, pochylona nad szufladą z kartami odwraca się, gdy wchodzę.

— Proszę usiąść. Zaraz do pani przyjdę.

Mówi z lekkim akcentem. Podchodzi do biurka, patrzy na listę wsuniętą w przezroczystą koszulkę na biurku i przesuwając po niej palcem, nie siadając.

— Pani Dudley?

— Tak. Jestem umówiona z doktorem Jonesem na jedenastą. Niepotrzebnie jej to mówię.

— Doktor zaraz panią przyjmie. Była pani u nas wcześniej? Potrząsam głową.

— W takim razie proszę wypełnić ten formularz. — Wyjmuje niebieską kartę z pudełka z przegródkami, jakie często widać na biurku lekarza. — Ma pani coś do pisania?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, otwiera szufladę biurka.

— Nie mam.

— Proszę. Może pani pisać tutaj, na rogu.

Uśmiecha się do mnie. Jej obecność działa na mnie kojąco; jest spokojna i porusza się powoli — powinna być pielęgniarką.

Gdy oddaję jej kartę, chowa ją do brązowej koperty i pisze na wierzchu moje nazwisko.

— Pani Dudley, jaki jest cel pani wizyty u nas? Nie wiem, od czego zacząć.

— Nic takiego, po prostu odkryłam na piersi niewielki guzek. Poza tym czuję się dobrze.

Zapisuje wszystko na białym liniowanym papierze.

— Poproszę panią, gdy przyjdzie lekarz.

Uśmiechamy się do siebie. Otwiera drzwi i wracam do poczekalni. Czekam niezbyt długo, starając się nie myśleć o niczym, i niebawem wzywa mnie ta sama sekretarka. Przyniosła biały fartuch i prowadzi mnie do pomieszczenia naprzeciwko jej pokoju.

— Proszę się w to przebrać. Pan doktor zapuka, kiedy będzie już gotowy.

Gdy mam już na sobie tylko fartuch, rozlega się podwójne stukanie do drzwi. Otwieram je, przytrzymując fartuch z tyłu. Lekarz robi wrażenie miłego, nie za młody i nie za stary, a także nie aż tak przystojny. Uśmiecha się do mnie i podajemy sobie ręce.

— Pani Dudley, proszę się położyć na tamtym stole.

Pokazuje na wysoki, biały stół ustawiony pod srebrzystą lampą. Sam siada na wysokim

taborecie na kółkach i poprawia lampę nade mną.

— A teraz proszę mi powiedzieć, o co chodzi.

Uśmiecha się zmęczonym uśmiechem, tak właśnie, jak powinien uśmiechać się lekarz. Ma też odpowiedni głos, dość niski; mówi cicho, okazując zainteresowanie moją osobą. Opowiadam mu o moim odkryciu.

— Proszę mi pokazać, gdzie pani znalazła ten guzek. Niech pani rozwiąże tę tasiemkę u góry. Rozchyłam fartuch i nie czuję się zażenowana.

— Która pierś?

Wciąż mnie nie dotyka. Pokazuję mu.

— Niech pani wskaże to miejsce.

Przykładam palce z boku piersi, ale nic nie wyczuwam. Kiedy kładzie dłoń w tym miejscu, cofam dłoń. Od razu znajduje guzek. Bada ostrożnie palcami. Potem sprawdza moją drugą pierś i pod pachami. Wyraz jego twarzy nic mi nie mówi. Zupełnie jak u dentysty.

— Proszę zawiązać fartuch. Czy poza tym nic pani nie dolega? Nie odczuwa pani większego zmęczenia wieczorem, nie czuje pani bólu w innych miejscach?

— Owszem jestem zmęczona, ale w końcu mam dwójkę małych dzieci.

Uśmiecha się ponownie.

— To chyba normalne, prawda?

Zsuwam się na brzeg stołu, lecz on powstrzymuje mnie gestem dłoni.

— Nie, proszę jeszcze zostać.

Idzie do biurka i przynosi czarne pudełko. Osluchuje mnie i mierzy mi ciśnienie i puls.

— Nic się nie dzieje. Robiła pani ostatnio kompleksowe badania, krew, mocz i tak dalej?

— Wszyscy się badaliśmy przed wyjazdem. — I wszystko było w porządku?

Odpowiadam skinieniem głowy.

— To było dwa miesiące temu.

— Dobrze, proszę się ubrać i wrócić do mnie.

Wychodzę do małego pokoju. Trzęsę się cała. Lekarze są tacy tajemniczy. Ubieram się szybko. Staram się przyczesać grzebieniem włosy bez lustra. W ostatniej chwili zabieram torebkę.

Kiedy wracam do gabinetu, lekarz uśmiecha się do mnie i daje znak, bym usiadła w zielonym skórzanym fotelu obok biurka. Kończy pisać i nakłada nasadkę na pióro.

— Pani Dudley, czy przyjechała tu pani z mężem?

— Nie, został w domu z dziećmi.

— Ale jest w Paryżu?

— Tak.

— No cóż, nie chciałbym pani przestraszyć, ale uważam, że powinniśmy się przyjrzeć temu dokładniej.

Nie jestem pewna, czy go dobrze rozumiem.

— Ten guzek jest dość duży, a tuż obok jest też drugi, mniejszy.

— Chce pan powiedzieć, że trzeba operować?

— Musimy to zobaczyć. Nie wolno nam tego tak zostawić. W tych sprawach nigdy nie wiadomo. Przeważnie okazuje się, że to nic poważnego, ale nie można niepotrzebnie ryzykować.

— Rak, to pan sugeruje? Czuję, że zaraz się rozpłaczę.

— Dopóki nie zrobimy biopsji, wiemy tylko, że jest tam jakiś guzek.

Patrzy mi prosto w oczy, a ja czuję napływające łzy, chociaż jeszcze nie płaczę.

— Panie doktorze, nie chcę, żeby mi coś wycinali. Nie zniosłabym tego.

— Wiem, że to przykre, pani Dudley. Jak już mówiłem, przeważnie okazuje się, że to nic

poważnego, ale musimy mieć pewność, że tak jest naprawdę.

Teraz już płaczę. Poprzez łyzy widzę plamę zielonego fotela i czarnego linoleum na podłodze. Chcę, żeby był przy mnie Clyde.

— Myśli pan, że trzeba będzie wszystko... wyciąć?

Naciska guzik na biurku i w holu rozlega się brzęczenie.

— Przepraszam.

— Niech pani spróbuje się uspokoić, pani Dudley. Wszystko będzie dobrze.

Czuję się bardzo głupio, kiedy wchodzi pielęgniarka. Wyciągam chusteczkę, chociaż już nie płaczę. Czuję, że jestem blada i cała odretwiła. Pielęgniarka podsuwa mi pod nos sole orzeźwiające, niepotrzebnie. Przez to jeszcze bardziej łzawią mi oczy.

— Już mi lepiej.

Odwracam głowę, ale ona wciąż podsuwa mi fiolkę. Odpycham jej dłoń.

— Już dobrze.

Doktor Jones wstaje na chwilę i znowu siada.

— Dobrze się pani czuje?

— Tak.

Pielęgniarka wciąż stoi za moimi plecami. Lekarz zerka na nią, a potem na mnie.

— Pani Dudley, ile pani ma lat?

— Dwadzieścia siedem.

— W wypadku tak młodej osoby nie możemy działać zbyt szybko. Podnosi słuchawkę. — Z doktorem Robe.

Uśmiecha się do mnie. Widzę, że stara się być miły, i próbuję odpowiedzieć uśmiechem.

— Cześć, Claude, mam tutaj młodą kobietę z guzkiem. Kiedy moglibyśmy się tym zająć?

Czeka, bębniąc palcami po blacie biurka.

— Dzięki, Claude; to będzie dwudziesty siódmy. Oddzwonię do ciebie.

Odkłada słuchawkę i patrzy na mnie. Jego oczy za szklami okularów wyglądają na zmęczone.

— Pani Dudley, możemy się umówić na poniedziałek rano, na dziewiątą. A to znaczy, że musiałyby pani przyjechać do nas jutro przed jedenastą, żebyśmy zdążyli wykonać wszystkie testy i przygotować panią.

Wszystko dzieje się tak szybko.

— Nie mamy telefonu. — Wciąż nie mogę uwierzyć.

— Chce pani najpierw pojechać do domu? Zadzwoń pani do mnie do szpitala dzisiaj o trzeciej, dobrze?

Uśmiecha się i sięga po pióro.

— Zdaję sobie sprawę, że to szok dla pani, ale uważam, że powinna pani znać prawdę. Może trzeba będzie podjąć bardzo radykalne działania; nigdy nie wiadomo. My będziemy przygotowani na wszelką ewentualność, ale wtedy nic już nam pani nie powie, ponieważ będzie pani pod wpływem narkozy. Rozumiemy się?

Kiwam głową.

— Istnieje duże prawdopodobieństwo, że to nic poważnego, jednakże musi pani być przygotowana na wszelką ewentualność.

Ponownie kiwam głową i uśmiechamy się do siebie.

— Przepraszam, że tak głupio się zachowałam, doktorze, ale rzeczywiście jestem w szoku.

Wstaje i podchodzi do mnie. Kiedy podajemy sobie ręce, przykrywa drugą dłonią moją rękę.

— Proszę się nie martwić, pani Dudley. Wszystko będzie dobrze.

Puszcza moją dłoń i podaje pielęgniarce kopertę z moją kartą. Potem wszyscy idziemy do drzwi.

— A zatem czekam na telefon dziś po południu i do zobaczenia jutro, mam nadzieję. Wezwać taksówkę?

Kiwam głową.

— Jeszcze raz dziękuję, doktorze.

Już zamyka drzwi. Pielęgniarka czeka na mnie.

— Proszę ze mną, pani Dudley.

Czekam na krzesło w jej pokoju, podczas gdy ona telefonuje po taksówkę. Do pokoju wchodzi gruba kobieta w niebieskiej sukience i zaczyna coś mówić do pielęgniarki po francusku. Nawet nie próbuje słuchać.

— Taksówka będzie za kilka minut. Chce pani poczekać tutaj czy w holu? Dobrze się pani czuje?

Kiwam głową i wstaję.

— Dziękuję, poczekam w holu. Już wszystko w porządku.

Uśmiecha się i otwiera drzwi.

— A zatem czekamy na telefon od pani.

— Zadzwoń. Do widzenia.

— Do widzenia.

Taksówka rzeczywiście przyjeżdża już po kilku minutach, a podróż do domu trwa bardzo krótko. Zaczynam nawet żałować, że aż tak krótko. Płacę szesnaście franków i wysiadam. Czuję się dziwnie z powrotem w domu, gdzie wszystko wydaje się takie jak przedtem, podczas gdy w rzeczywistości nastąpiła całkowita zmiana.

W domu nie ma nikogo; domyślałam się, że Clyde jest jeszcze z chłopcami w parku. Muszę przygotować lunch. Już prawie pierwsza i pewnie wrócą głodni.

Znowu chce mi się płakać. Rozkładam naczynia na stole. Podgrzewam zupę i przygotowuję kanapki; dobrze, że jestem sama. Nie boję się specjalnie operacji, ale nie chcę, żeby mi wycinali cokolwiek. Przemywam twarz wodą. Muszę się jakoś ogarnąć, zanim wrócą dzieci. Jak ja powiem o tym Clyde'owi?

Wszystko jest już gotowe, wystarczy tylko podgrzać zupę. Siadam przy stole, a oni przychodzą niedługo potem. Już nie płaczę. Pierwszy wchodzi Mark; Clyde składa wózek z niemowlakiem na rękę.

— Mamusiu, jedliśmy tam, gdzie dają hot dogi.

Mark przytula się do mnie, a ja czuję, że znowu się rozpłaczę. Clyde patrzy na zastawiony stół.

— O rany, Nino, przepraszam. Myślałem, że wrócisz później i zabrałem ich do baru. Zjedli wszystko, nawet ten mały potwór.

Clyde opuszcza niemowlaka na podłogę, a ten podchodzi do mnie, trzymając się jego palców. Biorę go na rękę i przytulam do siebie, żeby schować twarz przed Clyde'em.

— Co się dzieje, kochanie? Jesteś taka blada. Dobrze się czujesz?

Męczą mnie już te pytania. Nikt nie czuje się całkiem dobrze.

— Porozmawiamy później, Clyde, jak już położę dzieci. Czuję się okropnie, zostawiając go tam samego, ale nie mogę teraz o tym rozmawiać, nie przy dzieciach.

— Mamusiu, ja nie chcę spać. Nie jestem zmęczony. Tylko dzidziusia śpią teraz.

— Mark, bądź grzeczny i rób to, co mówi mama.

Nic nie mówię. Biorę Marka za rękę i idziemy na górę. Dzieci nie wyglądają na specjalnie zmęczone, ale kładą się posłusznie i po piętnastu minutach już śpią. Leżę na łóżku i próbuję przygotować się do rozmowy z Clyde'em. Zastanawiam się też, co zrobimy z dziećmi, gdy pójdę do szpitala. Clyde nie może przecież zajmować się wszystkim. Zsuwam się ostrożnie z łóżka i

schodzę na dół. Clyde siedzi w dużym fotelu przy oknie i pali fajkę. Znowu zbiera mi się na płacz, ale staram się opanować.

— Śpią?

Kiwam głową i wychodzę do kuchni. Clyde posprzątał ze stołu i odniósł naczynia do zlewu. Są czyste, ale nic nie mówię. Wiem, że jest przygnębiony. Wraca na swoje miejsce.

— I co powiedział lekarz?

— Muszą mnie operować.

ROZDZIAŁ 11

CLYDE

Zaczęły się już drugie zajęcia, kiedy olśniło mnie, że Nina wspominała o naszej wizycie wieczorem u Steinów. Po drodze miałem kupić coś na prezent. W ogóle nie chciało mi się o tym myśleć.

Miałem nadzieję, że w czasie lunchu zobaczę Marianne. Przez ostatni tydzień widywaliśmy się codziennie o tej porze, poza dniem egzaminu. Wyniki miały być ogłoszone dopiero w poniedziałek. Nawet jeśli zdała, to czeka ją jeszcze część ustna — Francuzi traktują te sprawy bardzo poważnie.

Gdy schodziłem na korytarz prowadzący do kafeterii, zobaczyłem ją przy drzwiach. Nie wiedziałem, czy na mnie czeka. Upewniłem się, że jest sama, i podszedłem do niej.

— Cześć. Podała mi rękę.

Nie ruszyła się z miejsca, a ja nie wiedziałem, co powiedzieć. Dotąd, zawsze gdy się zjawiałem, zwykle już siedziała albo dosiadała się do mnie, ale nigdy nie spotkaliśmy się w korytarzu.

— Nie mam dzisiaj zajęć.

— Ale przyszedłaś. Cieszę się.

— Tak. Chciałam ci powiedzieć, że nie mogę zjeść z tobą lunchu.

— Szkoda.

Spojrzała na mnie. Stała w odpowiedniej odległości ode mnie, odwrócona nieco bokiem. — Musisz już iść? Skinęła głową.

— Mogę cię odprowadzić do metra?

— Nie. Uważam także, że nie powinniśmy spotykać się w czasie lunchu.

— Och.

— Wczoraj nie mogłam zasnąć i czuję się okropnie.

— Przykro mi.

— Idę do domu, Clyde. Do widzenia. Wyciągnęła rękę na pożegnanie.

— Marianne, nie odchodź w taki sposób.

— Dlaczego nie?

Przez cały czas trzymałem jej dłoń.

— Nie mogę odprowadzić cię do metra? — Nie jadę metrem. Idę do domu.

Nasze spojrzenia spotkały się w chwili, gdy cofała rękę, zaraz jednak spuściła wzrok.

— No dobrze, możesz iść ze mną kawalek.

Odwróciła się i wyszła, a ja poszedłem za nią. Za bramą skręciła w lewo. Kiedy ją dogoniłem, przełożyła torebkę i parasolkę na drugie ramię, ale nie wzięła mnie pod rękę.

— Nie boisz się, że zobaczy cię twoja żona albo ktoś inny?

Spojrzała na mnie, lecz zaraz szybko odwróciła głowę. Wiatr rozwiewał jej rozpięty płaszcz przeciwdeszczowy. Odwróciła się tak, by podmuch przycisnął płaszcz do jej ciała, i ściągnęła go ręką z przodu.

— Nie, nie boję się. Nie robimy nic złego.

— Nie robimy.

— Marianne, może usiądziemy na chwilę w Ogrodzie Luksemburskim i porozmawiamy?

— Nie jadłeś lunchu.

— Ty też nie.

Uśmiechnęła się tylko; wreszcie.

— Nie, ale nie jestem głodna. Nie jem zbyt dużo.

— Posłuchaj, ja też nie jestem specjalnie głodny, może jednak pójdziemy do tamtego baru na *jambon au beurre*.

— *Monsieur*, co za wspaniała francuszczyzna.

— Zjesz ze mną?

Położyłem dłoń na jej ramieniu, a ona spojrzała najpierw na mnie, a potem na drugą stronę ulicy.

— Dobrze, Clyde, jeszcze ten jeden raz.

Spojrzałem na jezdnię, ale nadjeżdżały samochody.

— Dziękuję, Marianne.

— Jestem ciekawa, co ci podadzą, kiedy zamówisz „*jaimbonne aur bourrr*”.

Kiedy samochody zatrzymały się na światłach, przeszliśmy szybko na drugą stronę. Po niebie płynęły chmury, lecz co pewien czas wśród deszczowej szarości ukazywała się świetlista plama. Weszliśmy do środka i zajęliśmy stolik ustawiony najbardziej w głębi. Pomogłem Marianne zdjąć płaszcz. Gdy zjawił się kelner, zamówiłem dwa razy *jambon* i dwa piwa, pamiętając, by dorzucić dodatkowe „i”, co uchroniło mnie przed dalszymi kłopotami.

— Pewnie ma doświadczenie z Amerykanami.

Powiedziała to pochylona nad stołem, z rękoma na kolanach. Patrzyliśmy na siebie długą chwilę, a potem znowu spojrzała na swoje ręce.

— Clyde, nie powinnam była przychodzić tu z tobą.

— Dlaczego nie?

— Wiesz dlaczego.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc milczeliśmy przez dłuższą chwilę. Na szczęście kelner przyniósł piwo i kanapki. Rozchyliła kanapkę i zajrzała do środka.

— Chyba nie jestem głodna.

— Nie szkodzi.

Siedziała odwrócona tyłem do ulicy, ja zaś miałem doskonały widok. Nieopodal po drugiej stronie ulicy znajdował się salon Porsche. Na wystawie stał dość odjazdowy egzemplarz. Oglądałem go już kilkakrotnie w drodze na zajęcia. Zauważyła, że patrzę w tamtą stronę, i odwróciła głowę.

— Chciałbym mieć taki wóz. — Pokazałem ręką.

— Porsche. To bardzo dobry samochód.

— Chciałbym się dowiedzieć, ile kosztuje, i wypytać ich o różne rzeczy, ale mój francuski jest do niczego. Pomożesz mi?

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się, ale był to smutny uśmiech.

— Clyde, przyszłam, żeby ci powiedzieć, że nie powinniśmy się już spotykać, tymczasem siedzę tutaj z tobą i... jest tak samo jak było.

Złożyła dłonie na stole, ale nie płasko, lecz częściowo zaciśnięte, schowane jedna w drugą. Przykryłem je swoimi rękoma.

— Proszę, Marianne. Wiem, że to szaleństwo, ale...

Urwałem. Nie wiedziałem, co naprawdę chcę powiedzieć, w dodatku dostrzegłem w jej oczach łzy. Czulem, że i mnie napływają do oczu.

— Tak dobrze jest móc być z tobą. Zostało nam niewiele czasu.

Odwróciła wzrok i odsunęła dłonie. Potem sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej małą chusteczkę z bladopurpurowym brzeżkiem. Wytarła oczy, podnosząc okulary drugą ręką. Udało mi się powstrzymać łzy. Schowała chusteczkę do torebki i położyła ręce na moich dłoniach.

— Dobrze, Clyde. Pójdę tam z tobą.

— Dziękuję.

— Jesteś starszy ode mnie i masz większe doświadczenie. Dobrze wiesz, że postępujemy głupio.

— Wiem.

— Ja także.

Pozwoliła mi trzymać się za rękę.

Wreszcie zapłaciłem rachunek, zostawiając pięćdziesiąt centymów napiwku, i wyszliśmy na ulicę. Niebo przejaśniło się teraz, a porywisty wiatr strącał z drzew ostatnie liście i ciągnął je po brukowanej jezdni.

Skęciliśmy w stronę salonu samochodowego. Gdy tylko weszliśmy, zza biurka podniosła się dziewczyna. Marianne zapytała, czy ktoś z obsługi mówi po angielsku.

— *Un moment, s'il vous plaît.* — Dziewczyna otworzyła drzwi za biurkiem i zniknęła za nimi.

— Widzisz, to nie jest takie trudne. Nie jestem ci do niczego potrzebna.

— Jesteś, Marianne.

W drzwiach ukazał się młody mężczyzna. Miał typowo francuski wygląd: czarne włosy, zaczesane do przodu i obcisłe czarne spodnie, ale mówił po angielsku.

— Czym mogę panu służyć?

— Interesuje mnie ten samochód z wystawy. Mężczyzna mówił po angielsku z francuskim akcentem, przez co słowa zlewały się razem nie tam, gdzie trzeba.

— Co pana interesuje, jeśli chodzi o ten samochód?

— Przede wszystkim, ile kosztuje?

— Interesuje pana cena w dolarach, jak sądzę.

— Tak.

— Model 912 kosztuje trzy tysiące siedemset dwadzieścia pięć dolarów, z podatkiem i opłatą rejestracyjną.

Byłem mile zaskoczony, ponieważ spodziewałem się o wiele większej sumy. Podeszedłem do auta i otworzyłem drzwi.

— Proszę usiąść, jeśli ma pan ochotę.

Zająłem miejsce za kierownicą. Siedzenia były składane, obite skórą, i można było wsunąć stopy od razu do przodu, zamiast podkurczać najpierw nogi.

— Może żona chciałaby też spróbować?

Otworzył drugie drzwi. Marianne spojrzała na mnie i wsiadła.

— Clyde, to dużo pieniędzy. Prawie szesnaście tysięcy marek.

— Marianne, mówisz jak prawdziwa żona.

Dźwignia biegów była mała i znajdowała się w podłodze. Na desce rozdzielczej umieszczono mnóstwo różnych wskaźników.

Sprzedawca pociągnął jedną z dźwigni i otworzył maskę samochodu.

— W tym samochodzie płaci pan przede wszystkim za silnik.

Wysiadłem i przeszedłem na drugą stronę, by pomóc wsiąść Marianne. Mężczyzna zaczął wymieniać szczegóły techniczne dotyczące silnika, pojemność skokową i tym podobne, o których nie mam większego pojęcia. Obeszliśmy samochód, podczas gdy sprzedawca wciąż wychwalał jego zalety, wspominając między innymi o zawieszaniu. To było naprawdę eleganckie auto.

— Można je wypróbować? Kiedy byłoby to możliwe?

— Chwileczkę, sir. — Mężczyzna zniknął za drzwiami. Marianne spojrzała na mnie z drugiej strony samochodu.

— Naprawdę chcesz go kupić?

— Chyba tak. Nie podoba ci się?

— Owszem, to dobre auto, ale nie najlepsze dla rodziny. — Jest trochę miejsca z tyłu. Na dłuższe wyprawy mam samochód kempingowy.

W tej chwili wrócił sprzedawca.

— Jeśli pan chce, to mamy w garażu niemal identyczny model. Możemy go wypróbować nawet w tej chwili.

Spojrzałem na Marianne, lecz ona wzruszyła tylko ramionami i zaraz się odwróciła.

— Świetnie.

— W takim razie proszę ze mną, sir.

Zeszliśmy do garażu. Stał tam ciemnozielony porsche ze składanymi siedzeniami i Marianne złożyła przednie, by usiąść z tyłu.

— Ja usiądę z tyłu, Marianne.

— Nie, to ty kupujesz samochód. A poza tym jestem mniejsza. Sprzedawca siedział już za kierownicą i uruchomił silnik, który zaryczał z imponującą mocą; w porównaniu z nim mój samochód przypominał piłę mechaniczną.

Sądząc po tym, w jaki sposób wyjechaliśmy z garażu, od razu domyśliłem się, że będzie ciekawie. Już na Raspail przyspieszył do osiemdziesięciu, a wrzucił dopiero dwójkę. Zastanawiałem się, co by się stało, gdyby doszło do wypadku. Minęliśmy znak wskazujący drogę na lotnisko. Sprzedawca skręcił kierownicą w prawo i w lewo, by pokazać, jak dobrze auto trzyma się jezdnii, a ja drżałem, żebyśmy tylko nie przewrócili się na dach. Potem mężczyzna powiedział, żebyśmy się trzymali, i zahamował tak gwałtownie, że Marianne naparła mocno na oparcie mojego siedzenia. Pochylona mocno do przodu szepnęła mi do ucha:

— On chyba jest stuknięty.

Ja także się przestraszyłem. Nie byłem pewny, czy dealer chce nas przestraszyć, czy tylko pokazać, jak się jeździ sportowym samochodem.

— Pozwoli mi pan poprowadzić?

— Oczywiście, sir. Jak tylko będę mógł się gdzieś zatrzymać.

Niebawem dojechaliśmy do niewielkiego parkingu i skręciliśmy tam. Sprzedawca przeniósł się do tyłu, a ja pomogłem Marianne zająć miejsce obok kierowcy, po czym sam usiadłem za kierownicą.

Początkowo miałem kłopoty ze zmianą biegów, ale szybko je wyczułem i dalej poszło już gładko. Samochód wrywał do przodu przy najlżejszym naciśnięciu pedału gazu. Trudno było się powstrzymać, żeby nie przyspieszyć. Kiedy dojechaliśmy do lotniska, sprzedawca pokazał, jak zawrócić, tak byśmy mogli wrócić tą samą drogą, którą przyjechaliśmy. Marianne nachyliła się do mnie.

— Jedzie się o wiele przyjemniej, kiedy ty prowadzisz.

— Czyż nie byłoby miło, gdybyśmy mogli wybrać się na wycieczkę, tylko ty i ja?

— Proszę, Clyde, nie mów takich rzeczy.

W drodze powrotnej w pewnym momencie osiągnąłem prędkość stu trzydziestu pięciu kilometrów na godzinę. Zupełnie jakbym frunął, i wcale nie czułem, że jest niebezpiecznie. Gdy zbliżyliśmy się do centrum miasta, zjechałem na bok i prze — siadłem się na siedzenie obok kierowcy.

— Ile potrwałaby realizacja zamówienia?

— Jeśli nie mielibyśmy w salonie takiego modelu, o jaki panu chodzi, wtedy potrwałoby to ponad dwa miesiące. Ale gdyby zechciał pan odebrać samochód z fabryki w Stuttgartarcie, czekałby pan nie dłużej niż dwa tygodnie.

Wjechał z powrotem do garażu i wróciliśmy do salonu.

— Podjął pan jakąś decyzję, sir?

— Jeszcze nie, ale może mi pan dać wszelkie informacje, które mógłbym przejrzeć?

— Oczywiście. Niestety mamy je tylko w języku francuskim.

— Nie szkodzi, poradzę sobie.

— Dam panu moją wizytówkę, a pan zechce mi podać swoje nazwisko, dobrze?

— Clyde Dudley.

— Mogę prosić o adres, sir?

— Rue Marguerite osiem; szesnasta *arrondissement*.

— Czy zatrzymali się państwo w Paryżu na dłużej?

Pytanie to skierował do nas obojga. Uprzedziłem Marianne z odpowiedzią. Bałem się, że wszystko to zaczyna ją nudzić. W głupi sposób marnowaliśmy nasz wspólny czas.

— Owszem, przyjechałem tutaj co najmniej na rok.

— Rozumiem.

— Wpadnę za kilka dni i powiem panu, co postanowiłem. Dziękuję bardzo za jazdę próbną.

Po tych słowach ruszyłem do drzwi, on zaś poszedł trochę szybciej i otworzył je przed nami.

— A zatem czekam na wiadomość od pana. *Au revoir, monsieur, madam.*

— *Au revoir, monsieur.*

Gdy tylko znaleźliśmy się na zewnątrz, poczułem ulgę, że znowu jesteśmy sami. Wziąłem Marianne za rękę, a ona jej nie cofnęła.

— Przepraszam, że cię w to wciągnąłem. Mogłem się domyślić, że będą mieli kogoś, kto mówi po angielsku.

— Dzisiaj cały świat musi się uczyć angielskiego. Ruszyliśmy w kierunku szkoły. Niebo znowu poszarzało.

— Muszę wracać do domu, a ty powinienes się zabrać do pracy.

— Nie chcę pracować dzisiaj.

— Przecież masz rodzinę; musisz pracować. Nie możesz spacerować po ulicach z dziewczynami.

— Nie mów tak, Marianne. Jest mi ciężko, gdy tak mówisz.

— Mnie także.

Minęliśmy szkołę w milczeniu; Marianne nie spojrzała na mnie ani razu.

— Malujesz w mieszkaniu?

— Nie, mam pracownię niedaleko stąd. Chcesz zobaczyć?

— Aha, artysta zaprasza młodą dziewczynę, żeby zobaczyła jego obrazy. A potem może poprosi ją, aby mu pozowała?

Spojrzała na mnie i zaraz odwróciła wzrok.

— Nie bądź taka, Marianne.

— Dobrze. Zerknęła na zegarek.

— Muszę już iść, Clyde. Pojadę metrem. Staliśmy tuż przy stacji Notre Dame des Champs. — A mówiłaś, że nie musisz jechać metrem.

— Rzeczywiście, jesteś taki bystry.

Zaczęła schodzić po schodach, a ja ruszyłem za nią. Odwróciła się i wyciągnęła dłoń w moją stronę.

— Do widzenia, Clyde. Proszę, idź już. Cofnęła dłoń, gdy tylko uścisnęliśmy sobie ręce.

— Dobrze, przepraszam.

Odwróciła się i zniknęła za drzwiami. Czułem, jak drżą mi dłonie. Przeszedłem na drugą stronę ulicy i usiadłem na ławce na przystanku autobusowym, próbując się pozbierać. Przy

automacie z biletami stała staruszka, która wcześniej nas obserwowwała — tak mi się przynajmniej wydawało.

Zapałałem właśnie papierosa, gdy niespodziewanie ujrzałem Marianne, która wychodziła z powrotem na ulicę. Jej widok zupełnie mnie zaskoczył. Spojrzałem w górę rue Vavin, na światła; chciałem spojrzeć na nią, ale nie zrobiłem tego. Oczekałem dłuższą chwilę i odwróciłem się dopiero wtedy, gdy uznałem, że odeszła dostatecznie daleko. I wtedy ze zdumieniem zobaczyłem, że siedzi obok mnie. Odrzuciłem papierosa, który potoczył się na jezdnię.

— Clyde, chciałabym posiedzieć z tobą w Ogrodzie Luksemburskim.

Gdy ruszyliśmy, wzięła mnie pod rękę. Było już późno, tak że najwyższe budynki przesłaniały słońce. Weszliśmy do parku jednym z tylnych wejść. Marianne milczała, a ja nie wiedziałem, co powiedzieć.

Park, choć niemal ogołocoony z liści, wciąż wydawał się zielony i wypełniony ciszą. Pośrodku trawnika stała rzeźba przedstawiająca splecione razem cztery postacie z biało-szarego marmuru; obeszliśmy ją i usiedliśmy na ławce po drugiej stronie. Ławki w tej części parku wykonane były z długich, cienkich sztachetek, pomalowanych na zielono i wygiętych jak żaluzjowe zamknięcie biurka. Kiedy usiedliśmy, zdjęła rękę z mojego ramienia.

— Przepraszam, Clyde.

— To moja wina. Powinienem być po prostu odejść.

— Przepraszam i cieszę się, że tego nie zrobiłeś.

Kiedy sięgnąłem po jej dłoń, podniosła obie i wsunęła między moje ręce.

— Clyde, jesteś takim miłym człowiekiem. Zachowuję się tak dlatego, że już zbyt długo mieszkam w Paryżu, do tego czuję się okropnie, wiedząc, że jesteś żonaty.

Nic nie odpowiedziałem. Miałem wrażenie, że chce mówić dalej.

— Opowiadałam ci o tym, że mieszkałam z francuską rodziną. Małżeństwo z trójką dzieci. Ona miała trzydzieści lat, ładna i miła, on około czterdziestki. Mieli wspaniałe dzieci. Po jakimś miesiącu zauważyłam, że on mi się przygląda, co mnie zaniepokoiło. Mieszkałam we własnym pokoju na szóstym piętrze, jako *chambre de bonne*, więc wydawało mi się, że jestem bezpieczna, ale nie podobało mi się, w jaki sposób patrzył na mnie. A potem zaczął mówić takie rzeczy, takie różne paskudne francuskie rzeczy, jak to, że musi nosić... obcisłe... *Hosen*... spodenki, kiedy jestem w pobliżu, żeby nikt nie zauważył. Na szczęście jego żona była przeważnie z nami. — Wzięła głęboki oddech, wciąż wpatrzona w swoje dłonie. — Pewnie miał swój klucz, bo którejś nocy obudziłam się i zobaczyłam, że próbuje wejść do mojego łóżka. Zaczął mnie całować i obmacywać, a ja chciałam krzyknąć, ale się bałam. Trudno było mi powiedzieć cokolwiek po francusku, a on przytrzymał mi rękę... na szczęście nie był zbyt silny. Podrapałam go po szyi, a wtedy on się zerwał i powiedział, że jestem *fou*, że wszystkie *Allemandes* są *fou* i poszedł sobie. Nie powiedziałam nic jego żonie. Nie chciałam jej zranić, więc oznajmiłam, że razem z koleżanką wynajęłyśmy mieszkanie. Musiałam zostać u nich jeszcze przez tydzień, żeby dać im trochę czasu na znalezienie kogoś na moje miejsce. Bardzo się bałam wtedy i blokowałam klamkę drutem.

Zamilkła. Przez cały czas, gdy mówiła, jej dłonie spoczywały w moich, a ona zaciskała je mocno i pocierała kciukiem o mój palec.

— Wciąż zdarzały mi się podobne historie w Paryżu. Pewien mężczyzna, który miał wyjechać do pracy w Niemczech, szukał możliwości konwersacji z niemieckiego w zamian za naukę francuskiego. Dostałam jego adres w Alliance. Było tak samo. zaproponował, żebym z nim zamieszkała, i chciał mi płacić, ale się nie zgodziłam. Co oni sobie wyobrażają? Czyja wyglądam na taką dziewczynę?

Spojrzała na mnie.

— Stąd moje zachowanie, Clyde. Myślałam, że ty okażesz się taki sam jak tamci.

Zamilkła, a ja znowu nie wiedziałem, co powiedzieć, zaskoczony jej słowami.

— Marianne, ja nie jestem taki, naprawdę.

— Wiem, Clyde, przepraszam.

W tej chwili nie potrafiłem skupić myśli. Teraz Marianne patrzyła na mnie. Dotknąłem jej dłoni, a ona zdjęła okulary, wtedy ją pocałowałem. Zareagowała podobnie jak ostatnim razem. Pozwoliła mi się pocałować w usta, ale nie odwzajemniła pocałunku.

— Clyde, nie. Boję się, że ktoś nas zobaczy. Pewnie masz wielu przyjaciół w Paryżu.

— Nie mam.

Ponownie wzięłem w swoje ręce obie jej dłonie, gdy włożyła z powrotem okulary. Trzymała je w odchylonej ręce jak fajkę.

— Czy twoje mieszkanie jest gdzieś niedaleko?

— Nie, mieszkamy w siedemnastej *arrondissement*, niedaleko parku Monceau.

— Ach, tak, teraz sobie przypominam. Ale masz gdzieś tutaj pracownię, prawda?

— Zgadza się.

Rozejrzałem się i pokazałem jej właściwy kierunek.

— Mniej więcej tam.

Miałem ogromną ochotę zapalić papierosa.

— Marianne, mogę zapalić?

— Oczywiście. Czułam od ciebie zapach papierosów i zastanawiałam się, dlaczego nigdy nie palisz w Alliance.

— Sam nie wiem; chyba dlatego, że byłem zbyt zaabsorbowany twoją osobą i nie myślałem o tym.

— A teraz już nie jesteś aż tak zaabsorbowany?

Wyraźnie lubiła się przekomarzać w ten sposób z mężczyznami. Chyba moja twarz zbyt wyraźnie mówiła, co poczułem w tej chwili.

— Przepraszam, Clyde. Nie zamierzałam rozmawiać z tobą w taki sposób. Zachowuję się jak mała dziewczynka. Może po prostu podświadomie nie chcę, żeby wyglądało to zbyt poważnie.

Poczęstowałem ją papierosem, ale odmówiła, więc sam zapaliłem. Nie smakował najlepiej.

— Marianne, dla mnie to już jest poważne. I nic na to nie poradzę.

— Wiem.

Zaraz pożałowałem, że zapaliłem papierosa. Lekki wiatr zwiewał dym w jej stronę, co z pewnością jej przeszkadzało, chociaż nic nie mówiła. Rzuciłem papierosa na ziemię i zgmiotłem butem.

— Nie musiałeś go gasić.

— W porządku.

— Clyde, mogę obejrzeć twoje obrazy?

— Teraz? — Tak.

Odwróciła wzrok, zanim uchwyciłem jej spojrzenie. Wyjęła z torebki chusteczkę i przetarła nią szkła okularów. Potem wstała i wygładziła ubranie.

— Dobrze, a zatem idziemy?

Powiedziała to, lekko wzdychając i patrząc w dół. Kiedy stanąłem obok niej, wciągnąłem głęboko powietrze, udając podobne westchnienie.

— W porządku, idziemy.

Wsunęła dłoń w moją i przytuliła się do mnie. Widziałem, że śmieje się tym swoim wewnętrznym śmiechem.

— Lubię cię, Clyde. Szkoda, że jesteś żonaty. Spojrzałem na nią i ucisnąłem jej dłoń na

moim ramieniu, ale nic nie odpowiedziałem. Nie mogłem.

Gdy przyszlismy na miejsce, otworzyłem przed nią furtkę i przeprowadziłem ją przed drzwiami dozorczyńi, nie patrząc w tamtą stronę. Pochyliliśmy głowy pod gałęziami krzewów. W końcu jestem artystą, a ona może być po prostu modelką. Tak czy inaczej, dozorczyńi nie powinno to nic obchodzić. Otworzyłem drzwi i odsunąłem się na bok, by przepuścić Marianne przodem. Weszła kilka kroków w głąb mieszkania i się zatrzymała. Zamykając drzwi, zauważyłem, że patrzy na obrazy na ścianach.

— Och, nic nie mów. Te już tu wisiały.

Włączyłem grzejnik; w pracowni nie było specjalnie zimno, ale czuło się wilgoć.

— Cieszę się, że ich nie namalowałaś, bo nie wiem, co bym powiedziała.

— Powiedziałabyś, że są bardzo interesujące albo coś w tym rodzaju, prawda?

— Nie, chyba nie potrafiłabym wydusić z siebie nawet tego. Są okropne. Dlaczego zostawiłaś je na ścianach?

— Nie wiem. Ale możemy je zdjąć, chcesz? Zupełnie psują atmosferę tego mieszkania i pewnie źle na mnie wpływają. Daj płaszcz.

Rozpięła płaszcz, a ja podszedłem do niej z tyłu i zsunąłem go z jej ramion. Od razu odsunęła się do przodu.

— Naprawdę powinieneś je zdjąć, a szczególnie ten.

Nie od razu spojrzałem, by się przekonać, czy może ma na myśli jedno z płócien, które sam zawiesiłem. Ale nie, pokazywała na inny obraz, straszne paskudztwo zawieszona wysoko, na którym na pierwszym planie umieszczono ogromną kostkę do gry i jakiegoś zatłuszczonego mężczyznę albo magika z twarzą zasłoniętą peleryną.

— Dobra, ten będzie pierwszy. Pomóż mi przesunąć stół pod ścianę.

— Naprawdę chcesz go zdjąć?

— Jasne.

— Clyde, jesteś zwariowanym Amerykaninem.

Przysunęliśmy stół pod ścianę i wszedłem na niego, lecz okazało się, że wciąż stoję za nisko i musiałem jeszcze dostawić krzesło. Opuściłem obraz na stół, zeskoczyłem na podłogę i spojrzałem do góry. W miejscu, gdzie wisiał obraz, widniała teraz duża, jasna plama.

— Tak jest o wiele lepiej. Który następny, krytyku?

Rozejrzała się po pokoju.

— Moim zdaniem, powinny zniknąć wszystkie, poza tymi dwoma nie oprawionymi.

Spojrzała na mnie.

— To twoje? Nie są podpisane. Skinąłem głową.

— Nie powiem, żebym był z nich bardzo dumny, ale mam też inne, lepsze, moim zdaniem. Najpierw zdejmijmy te ze ścian.

Poszedłem na górę, zdjąłem koszulę i ubrałem starą, w której zwykle maluję, a także starą marynarkę.

— Teraz, panie Dudley, wygląda pan jak prawdziwy malarz.

— Brakuje mi jeszcze tylko beretu.

Zdejmowanie obrazów zabrało nam prawie godzinę. Zostawiłem tylko kilka małych, które wisiały tak wysoko, że nie mogłem ich dosięgnąć. Teraz mieszkanie wyglądało na opustoszałe, ale za to bardziej przypominało pracownię. Jaśniejsze miejsca po obrazach tworzyły pewien wzór na ścianach. Marianne usiadła w fotelu i rozejrzała się po pokoju. Domyślałem się, że też jest zmęczona; odnosiła wszystkie obrazy, które zdejmowałem.

— Teraz mieszkanie wydaje się takie ogołocone, przypomina cmentarz albo jakieś inne zniszczone miejsce.

Stałem przed nią.

— Chcesz, żebyśmy je powiesili z powrotem?

— Och, nie, zwariowałeś! Przysunąłem się do niej bliżej.

— Nie całkiem zwariowałem, tylko w pewnych sprawach.

Pochyliłem się nad nią, opierając dłonie o poręczę fotela. Uniosła głowę i spojrzała mi prosto w oczy. Dotknąłem jej twarzy i zdjąłem okulary. Jednym końcem zaczepiły o włosy, ale sama je wyplątała.

Zamknęła oczy. Nie zasłonięte szklami sprawiały wrażenie nagich, a na jej nosie, w miejscu gdzie opierały się okulary, widać było lśniące wgniecenie. Pocałowałem ją w czoło i w policzek, bardzo delikatnie. Otworzyła oczy i założyła okulary. Już nie patrzyła na mnie. Nie rozumiałem, dlaczego jej nie pocałowałem, tak naprawdę. Może dlatego, że nie chciałem, żeby pomyślała, iż jestem taki sam jak mężczyźni, o których opowiadała. Przyklęknąłem przed nią i ująłem jej dłonie. Nic nie mówiąc, położyłem głowę na jej kolanach.

— Clyde, dlaczego mnie nie pocałowałeś? Chciałem, żebyś to zrobił.

— Pragnąłem cię pocałować, Marianne, tylko nie chciałem... Może chcę, żebyś mnie kochała. Nie patrzyłem na nią. Czułem, jak jej dłoń przesuwa się lekko po mojej szyi i głowie.

— Już prawie cię kocham, Clyde. Tak, już cię kocham.

— To nie fair — kiedy mówiłem, czułem wilgoć mojego oddechu w zagłębieniu jej wełnianej spódnicy — Marianne, chciałbym robić z tobą tyle rzeczy; nic wielkiego, nie mówię o Kochaniu się. Chciałbym tańczyć z tobą. Tak, chciałbym to kiedyś zrobić, chociaż nie jestem najlepszym tancerzem. A także pójść popływać z tobą i zjeść kolację, późną kolację przy świecach, i chciałbym umyć ci włosy, i cię namalować, i żebyś patrzyła, jak maluję.

Bałem się podnieść głowę; czułem jej dłonie na moich włosach. Przesunęła koniuszkiem palca pod moim uchem i wzdłuż podbródka.

— Ja też bym tego chciała, Clyde.

Jeszcze długo siedziałem z głową opartą na jej kolanach, a w pokoju robiło się coraz ciemniej. Wreszcie powiedziała, że musi wracać do domu. Niewiele mówiliśmy, a przynajmniej ja niczego nie pamiętam, a potem zeszliśmy do samochodu, trzymając się za ręce. Nie chciała, żebym ją odwoził do domu. Dochodziła szóstka i wiedziałem, że już jestem spóźniony, ale zbytnio mnie to nie obchodziło. Staliśmy przy samochodzie przez kilka minut, a potem ona pocałowała mnie i powiedziała, że zobaczymy się następnego dnia w Alliance. Wymusiłem na niej obietnicę, że na pewno się spotkamy.

Był tak duży ruch, że miałem ogromne trudności, by odbić od nabrzeża i przejechać przez most. Do domu dotarłem już po wpół do siódmej.

Gdy tylko wszedłem do mieszkania, od razu uderzyła mnie atmosfera nieładu i rozgardiaszu. Nina sprawiała wrażenie zdenerwowanej. Wszędzie leżały porzucane zabawki i inne dziecięce przedmioty, a kiedy wszedłem do łazienki, w zlewie zastałem namoczone pieluchy. W czasie gdy korzystałem z toalety, zniemacka wpadła Nina, by je zabrać. Nie cierpię, kiedy ktoś wchodzi w takiej chwili. Teraz dopiero przypomniałem sobie, że miałem kupić prezent dla Steinów.

Okazało się, że z pralki wyciekła woda i zalaliśmy sufit mieszkania pod nami. Dozorczyńni przychodziła z pretensjami, ale ja nie chciałem nawet o tym myśleć.

Nina starała się być miła, nawet bardzo miła. Chyba powinienem się cieszyć, kiedy tak bardzo się stara, jednak w takich chwilach czuję się jeszcze gorzej. Ojciec często nazywał moją matkę męczennicą; doskonale rozumiem, co miał na myśli, właśnie w takich momentach. Oczywiście ojciec nie należał do świętych; „jego gierki”, zwykła mawiać. Wtedy zabolaty mnie jej słowa, były niczym gruby, szary szpitalny koc. Po prostu nie umiałem skojarzyć ich z ojcem. Może mieliśmy to we krwi; także gdy nie chodziłem do kościoła w pierwszy piątek miesiąca albo gdy

wyrzucili mnie z grona ministrantów, matka mówiła, że siedzi we mnie czarny protestant.

— Clyde, rozejrzyj się, może któryś ze sklepów w okolicy jest jeszcze otwarty.

— Dobrze.

Włożyłem płaszcz i ani słowem nie wspomniałem o bałaganie.

— Tylko wracaj szybko, Clyde. Przygotuję kolację na siódmą. Opiekunka przychodzi o ósmej. Wreszcie znalazłam jedną przez Alliance Française; kosztuje siedemdziesiąt pięć centów za godzinę, ale mówi po angielsku.

— Świetnie. Niedługo wracam.

Poczułem się doskonale, mogąc znowu wyjść. Jakies trzy przecznice dalej znalazłem sklep z trunkami. Nie miałem pojęcia, co kupić. W końcu wybrałem coś w kanciastej brązowej butelce, zalakowanej i przewiązanej wstążką. Na etykiecie widniał napis Grand Marnier. Zapłaciłem prawie dwadzieścia franków. Sprzedawca powiedział, że to trunek deserowy, i przewiązał pudełko wstążką. Nie miałem jeszcze ochoty wracać do domu, była dopiero za dziesięć siódma, więc poszedłem z powrotem okrężną drogą, dookoła parku. Nie mogłem przestać myśleć o Marianne. Wciąż mi się wydawało, że czuję zapach jej perfum, i nie miałem pewności, czy nie ma go na moim ubraniu i czy nie poczuje go Nina. Ciągle widziałem jej twarz, bez okularów, zwróconą ku mnie, z umalowanymi brwiami i krótkimi jasnymi rzęsami. Wcale nie była ładna, nie tak ładna jak Nina, ale to nie miało znaczenia, gdy z nią byłem.

Nigdy nie żywiłem podobnych uczuć wobec innej dziewczyny, nawet wobec Niny. Lubiłem ją, ona lubiła mnie, a poza tym wypadało mieć dziewczynę. Nigdy wcześniej nie czułem się tak wewnętrznie roztrzęsiony. Może dlatego, że jestem żonaty i byłoby inaczej, gdybyśmy rzeczywiście się ze sobą przespali.

Gdy stanąłem przed domem, dochodziła siódma. Postanowiłem pójść na górę pieszo; idąc powoli, liczyłem stopnie — trzydzieści jeden.

Kolacja była taka sobie. Nina przyrządziła duszoną wieprzowinę w gęstym sosie z ziemniakami w plasterkach, tylko że ziemniaki były nie dogotowane. Nie wspomniałem o tym ani słowem i nawet poprosiłem o dokładkę, za to Mark nawet nie tknął jedzenia.

— Mówię ci, Clyde, myślałam, że się rozplacę. Chyba nigdy się nie przyzwyczaję do tego piekarnika. Jest ogromny i wspaniały, ale nigdy nie wiem, czy już jest włączony, czy nie. Może byś zerknął? Tak świetnie poradziłeś sobie z grzejnikiem w tamtym mieszkaniu.

— Dobrze, jutro. Mark, zostań przy stole i dokończ kolację.

— Tato, nie chcę. Ziemniaki są twarde.

— W takim razie poczekaj, aż my skończymy. Mama się napracowała, żeby nam przygotować dobrą kolację, a ty nie chcesz jeść. Siedź i czekaj, aż skończymy.

Oparł łokcie na stole i zwiesił nad talerzem głowę podpartą na dłoniach. Starłem się nie patrzeć na niego, ale widziałem, że zaczyna płakać.

— Tylko nie płacz, bo jeszcze nie masz powodu.

Nina próbowała nakarmić niemowlaka, który wyginał się w wysokim krzeselku, jakie kupiliśmy dla niego. W pewnym momencie wypluł na łyżkę wszystko, co miał w ustach. Nie wymiotował, po prostu specjalnie wypchnął wszystko z ust językiem. Wstałem i odłożyłem serwetkę na stół.

— Nie gniewaj się, Nino, ale mam już dość.

Miałem ochotę się rozplakać i nawet nie potrafiłbym podać konkretnej przyczyny.

— Rozumiem, kochanie. Idź, odpocznij trochę w sypialni, a ja skończę tu z nimi i położę ich spać.

Czułem się okropnie, zostawiając ją samą z dziećmi.

— Dziękuję za dobrą kolację; smakowało mi.

Już w sypialni usłyszałem, jak Nina wysłała Marka do spania. Starałem się uspokoić wyciągnięty na łóżku; całe to nasze życie wydawało mi się w tej chwili ogromnie męczące i skomplikowane.

Potem poszedłem do łazienki, by napełnić wody do wanny, ale ciepłej starczyło tylko na jakieś trzy cale. Pewnie Nina brała kąpiel wcześniej albo kąpała dzieci. Tak więc szybko wyszedłem z wanny i wytarłem się jednym z małych ręczników. Zabawne, że mając tyle pieniędzy, nie kupiliśmy sobie nawet dużego ręcznika kąpielowego. Nie wspominałem o tym Ninie, i tak sprawiała wrażenie przybitej. Może powinienem zapisywać podobne szczegóły i któregoś dnia, kiedy wszystko się uspokoi, moglibyśmy o tym porozmawiać. Z drugiej strony wiedziałem, że tego nie zrobię.

Ubrałem się w sypialni; na łóżku leżał nowy kostium Niny. Wyglądał na dość kosztowny. Kupiła go już jakiś czas temu, aleja nie dostałem jeszcze rachunku. Oczywiście nie miało to większego znaczenia, ponieważ mogliśmy sobie pozwolić na podobne zakupy. Wyglądał, jakby już go nosiła, lecz ja nie pamiętałem, żebym ją widział wcześniej w tym ubraniu. Poszedłem z powrotem do łazienki ogolić się i włożyć krawat.

Gdy wróciłem do pokoju, dzieci leżały już w łóżkach i przyszła opiekunka, Francuzka. Kiedy się witaliśmy, spojrzała mi prosto w oczy. To chyba typowe dla Francuzów. Szybko odwróciłem wzrok, ale Nina chyba to zauważyła. Na imię miała Monique. Była to młoda dziewczyna o prostych, ciemnych włosach i dużych, brązowych, umalowanych oczach. Poszła z Niną do dzieci; pewnie Nina chciała jej wszystko wyjaśnić. Wyszedłem na taras, ponieważ wciąż czułem się roztrzęsiony i jeszcze przez chwilę chciałem być sam. Nie potrafiłem przestać myśleć o Marianne, chociaż bardzo się starałem tego nie robić w obecności innych. Wciąż powracałem myślami do wszystkiego, co się wydarzyło tamtego popołudnia; będę musiał powiedzieć Ninie o tym, że postanowiłem kupić samochód. Zawsze bardzo chciałem mieć dobre auto. Wcześniej kupowałem tylko używane. Volkswagen był moim pierwszym nowym samochodem. Teraz mamy dość pieniędzy.

Gdy zamykałem oczy, widziałem Marianne, jak wysuwa się z płaszcza w mojej pracowni i rozgląda się po mieszkaniu.

Wróciłem do pokoju, gdzie zastałem opiekunkę na kanapie z książką w ręku. Gdy wszedłem, podniosła wzrok i posłała mi przeciągłe spojrzenie, tak jak poprzednio. Czułem, że muszę coś powiedzieć.

— Monique, mówisz po angielsku?

Wiedziałem, że mówi. Nina nie zostawiłaby dzieci z kimś, kto nie zna angielskiego.

— Tak, *monsieur*, nauczyłam się w szkole.

Powiedziała to w dość szczególny sposób i skrzyżowała nogi.

— Ja próbuję się nauczyć francuskiego w Alliance Française.

— *Och, parlez-vous Française, monsieur?*

— *Un peu*. Nie, nigdy tego nie opanuję. Może jestem za stary.

— Wcale nie, *monsieur*.

Sam się o to prosiłem; zastanawiałem się, czy Nina nas słyszy. Wcześniej słyszałem, jak przechodzi z sypialni do łazienki. Uśmiechnąłem się i usiadłem w fotelu przy oknie, sięgając po gazetę. Ona wróciła do swojej książki. Wkrótce zjawiła się Nina. Nie zauważyłem wcześniej, jak jest zarumieniona. Wyglądała naprawdę ładnie, a ja poczułem się winny, właśnie dlatego, że wydała mi się taka atrakcyjna. Myślami byłem z Marianne. Takie to wszystko było pogmatwane.

— Elegancki kostium, Nino.

— Podoba ci się, Clyde? Był drogi, ale z drugiej strony to oryginalny Chanel.

— Wygląda świetnie. Nie przejmuj się pieniędzmi. Naprawdę, stać nas na to. Powinnaś

kupować sobie więcej ubrań, żeby się upiększyć.

Gdy tylko to powiedziałem, zacząłem się zastanawiać, czy aby nie palnąłem gafy z tym upiększaniem się. Nina nie zareagowała. W każdym razie nie miałem nic złego na myśli.

Monique odprowadziła nas do samych drzwi. Nina schodziła pierwsza, a ja obejrzałem się, idąc za nią. Dziewczyna patrzyła za nami przez uchylone drzwi. Uśmiechnęła się do mnie i dopiero wtedy powoli zamknęła drzwi.

Samochód stał tuż za rogiem, ciasno wciśnięty między inne auta. Ruszyłem w stronę Łuku Triumfalnego, a potem skręciłem w kierunku mostu przy Alma. Nina była dziwnie milcząca, a ja myślałem, że to z powodu tego, co powiedziałem o kupowaniu ubrań. Miałem już ją zagadnąć, kiedy wreszcie się odezwała. Zaczęła mówić o Steinach. Wciąż panował duży ruch i gdzieś w połowie avenue du President Wilson utknęliśmy na czerwonym świetle.

— Clyde, wiedziałeś, że Ben był już wcześniej żonaty?

— Wydaje mi się, że Alice kiedyś o tym wspominała.

— W czasie wojny nie chciał iść do wojska z powodu przekonań religijnych, więc został skierowany do pracy w szpitalu psychiatrycznym, gdzie tamta dziewczyna pracowała jako pielęgniarka. — Wiele z tych wojennych małżeństw rozpadło się później.

— Popęłiła samobójstwo. Zażyła jakąś truciznę, a Ben znalazł ją dopiero po trzech dniach. Leżała pod ich łóżkiem. Cierpiała na jakieś zaburzenia psychiczne i co jakiś czas uciekała. Ben szukał jej wszędzie, podejrzewając, że znowu uciekła. Tymczasem ona leżała pod ich łóżkiem. Okropne, prawda?

— Nic dziwnego, że osiwiiał. Z moim ojcem było podobnie, tylko że jego nikt nie szukał.

— Mieli dwie córki, którymi teraz opiekuje się matka Bena. Po powrocie do domu mają zamieszkać razem, ale Ben chce, żeby dziewczynki zostały w szkole.

— Kiedy dowiedziałeś się tego wszystkiego?

— Och, rozmawiałam trochę z Alice.

— Aha. — Zmieniłem pas i wyprzedziłem ciężarówkę. — Myślisz, że Alice też jest Żydówką?

— Nie mam pojęcia. Wiesz, że ja nigdy nie potrafię poznać, a poza tym co za różnica?

— Tak się tylko zastanawiałem.

Czułem, że coś Ninę gryzie. Może tylko tak mi się wydawało, przez to, że sam byłem niespokojny. Nina zaczęła zdejmować rękawiczki. Jej pierścionek zaręczynowy zaczepił się, ale zaraz go odczepiła.

— To chyba dość kłopotliwe w przypadku dzieci, wiesz, wyznanie i tak dalej, ale Alice jest tak dobroduszna i bardzo kocha Bena.

— Też się nad tym zastanawiałem.

— Nad tym, czy Alice kocha Bena?

— Nie, miałem na myśli religię.

— Ach, myślę, że Alice naprawdę kocha Bena, i wiem, że on ją kocha. Wystarczy się przyjrzeć, jak patrzą na siebie.

— Chyba tak.

Nie wiem, czy chciała przez to coś powiedzieć. To nie w jej stylu. Tak mówi moja matka, która nieustannie wtrąca jakieś aluzje, ale nie Nina. Na Saint Germain musieliśmy poczekać na drugą zmianę świateł.

— Clyde, jesteś szczęśliwy w Paryżu?

Nie mogłem odpowiedzieć od razu, tym bardziej że patrzyła na mnie.

— Chyba tak. Jest dość ciężko i wciąż nie mogę zabrać się na dobre do malowania, ale jest w porządku.

Kiedy spojrzałem na nią, nie uśmiechnęła się. Zacząłem się zastanawiać, czy domyśla się czegoś. Zobaczyłem na jej twarzy, jak zmieniają się światła. Zmieniłem bieg i skręciłem w lewo wraz z pozostałymi samochodami.

— A ty, Nino?

— Och, Clyde, podoba mi się Paryż i nasze mieszkanie. Tylko czasem gonię w piętękę i czuję wewnętrzną pustkę.

— Chcesz wracać do domu?

— Och, nie. Chcę zostać. Wiem, że wygaduję głupoty, ale to minie; czasem jednak jest mi ciężko.

— Będzie, jak zechcesz.

Przejechaliśmy rue du Four, a potem rue Mabillon. Zwolniłem, widząc, że z parkingu przede mną wyjeżdża samochód. Kierowca z tyłu zamrugał światłami, ale go zignorowałem. Nie da się inaczej w Paryżu; trudno być uprzejmym przez cały czas.

Kiedy wysiadałem i zamykałem samochód, wydawało się, że między nami wszystko jest w porządku. Nina wzięła mnie za rękę i poszliśmy chodnikiem. Po rue St-Sulpice mknęły szybko samochody. Noc była pogodna, ale bezksiężycowa. W zimnym powietrzu widać było wyraźnie obłoczki naszych oddechów. Włożyłem tylko trencz, a Nina była w samym kostiumie. Podejrzewałem, że musi jej być bardzo zimno, choć nic nie mówiła. Wyglądała naprawdę ładnie. Nie chciałem o tym myśleć; czasem nic nie ma sensu.

Klatka schodowa była obskurna, schody wąskie, przechylające się to w prawo, to w lewo, z ubikacjami na każdym piętrze, do tego cuchnęło kloaką i gazem. Na trzecim piętrze z jednej z toalet wynurzyła się kobieta z wiadrem. Była stara, potargana, w szlafroku, który przytrzymała ręką. Na drzwiach Steinów na czwartym piętrze widniało ich nazwisko. Zapukałem.

Otworzyła Alice. Wydawała się zadowolona z naszej wizyty. Wręczyłem jej prezent. Kiedy staliśmy ściśnięci przy drzwiach, zerknąłem w głąb pokoju i zobaczyłem, że jest naprawdę mały. Przywitałem się ze Steinem i przeszliśmy dalej. Nie chciało się wierzyć, że Stein, znany artysta, mieszka w tak małym mieszkaniu. Po chwili rozmowy wspomniałem o kopii Rubensa zawieszanej nad kominkiem. Stein powiedział, że sam ją namalował w Luwrze.

Potem Alice oprowadziła nas po mieszkaniu. Mieli jeszcze dwa pokoje tej samej wielkości, bez przedpokoju. W pokoju z tyłu znajdowała się umywalka i toaleta z wciśniętym w rogu prysznicem, oddzielone od reszty sypialni parawanem. Także łóżko zasłaniały pluszowe zasłony. Zastanawiałem się, co by powiedziała Nina, gdybym zaproponował, żebyśmy pomieszkali w takim małym mieszkaniu. Mnie się podobało. Ładnie je urządzili; szczególnie z tym kominkiem w pokoju.

Rozsiadliśmy się przy kominku. Usiadłem na podłodze, oparty plecami o kanapę, i wyciągnąłem nogi na miękkim dywanie. Zaczęliśmy rozmawiać o kopii Rubensa.

Alice zajęła się czymś w kuchni. W tak małym pomieszczeniu wydawała się większa i bardziej niezgrabna. Stanowiła przeciwieństwo Marianne, która poruszała się w taki sposób, jakby zawsze dokładnie wiedziała, po co to robi. Patrząc na nią, czasem wydawało mi się, że oglądam spektakl kabuki. Czasem wręcz nie mogłem się doczekać, kiedy zobaczę, jak się porusza.

Stein opowiadał o technicznych szczegółach dotyczących kopiowania. Był bardzo ożywiony, a ja udawałem, że mnie to interesuje, chociaż nie wiem, czego można się nauczyć, kopiując obrazy. Według mnie to średniowieczne metody. Może dobrze byłoby poznać kilka technicznych szczegółów, ale wszystkiego tego można się dowiedzieć od Meyersa czy Doehrnera. Stein, zdaje się, wierzy, że kopiowanie czyjegoś obrazu pozwala odtworzyć proces myślowy artysty. Ja

zwykle mam dość już po godzinie zwiedzania jakiegoś muzeum. Chybabym umarł, gdybym spędził tyle czasu przed jednym obrazem.

Nina i Alice wyszły do kuchni. Stein był bardzo miły, już nie odgrywał roli starego malarza. Rozmawialiśmy też o tej pracowni litograficznej, w której pracuje. Przeprosiłem go, że nie przyszedłem wówczas, ale właśnie wtedy Nina miała operację i tak dalej.

Nina i Alice wróciły z kuchni. Stein siedział w bujanym fotelu przy oknie. Nina usiadła na kanapie blisko niego. Alice wybrała krzesło naprzeciw drzwi kuchennych. Chciała, żebym także usiadł na kanapie, ale mnie było wygodnie na podłodze, gdzie czułem ciepło z kominka.

Nina zaczęła wychwalać mieszkanie Steinów. Skrytykowała nawet trochę nasze. Powiedziała, że to miejsce jest dla niej uosobieniem prawdziwego Paryża. Było mi trochę przykro, że wcześniej nie wspomniała ani słowem o swoich odczuciach i zrobiła to dopiero w obecności obcych osób. Może chciała być miła wobec Steinów, ale chyba nie. Moim zdaniem naprawdę chciała powiedzieć, że wolałaby mieszkać w tamtym miejscu. Owszem, mieszkanie było całkiem miłe i mogłoby takie być, gdyby mieszkali w nim grzeczne dzieci i ktoś pozbierany, ale Nina nie należała do tego typu ludzi.

Gdy Alice i Nina ponownie wyszły do kuchni, Stein znowu wrócił do tematu kopiowania. Chyba poza malowaniem nie mieliśmy zbyt wiele wspólnych tematów. Tym razem mówił o laserunku i o tym, jak wykorzystał go na swojej kopii. Opowiadał o różnych materiałach i wypytywał, czego ja używam. Głównie kupuję gotowe farby. Nie mam pojęcia, co w nich jest, i tak mu powiedziałem. Nie pytał mnie już więcej. Naprawdę starał się być bardzo miły.

Kiedy panie wróciły z kuchni, Nina zaproponowała, żeby Alice przychodziła do nas skorzystać z naszej pralki i suszarki. Wydawało się, że polubiła Alice.

Nie wytrzymałem i oznajmiłem, że zamierzam kupić porsche. Czułem, że powinienem wspomnieć o tym najpierw Ninie, ale chyba chciałem się zemścić za to, że tak chwaliła mieszkanie Steinów. Wszyscy milczeli przez chwilę i dopiero Alice zapytała:

— A co zrobisz z volkswagenem?

Odpowiedziałem, że go zatrzymamy. Wiem, że trochę szpanowałem, ale nie mogłem się powstrzymać. Pierwszy raz miałem okazję pochwalić się swoimi pieniędzmi. Nina od razu wyraziła aprobatę, czym zupełnie mnie zaskoczyła.

— Clyde potrzebuje samochodu, którym mógłby jeździć po Paryżu. Ten jest za duży i trudno go parkować.

Opowiedziałem im o próbnej jeździe i o tym, jak wyciągnąłem prawie sto czterdzieści na godzinę. Stein nie dał poznać po sobie, co o tym myśli. Jeszcze trochę rozmawialiśmy o samochodzie, a potem Alice spojrzała na zegarek i wyszła sprawdzić pizzę. Nina poszła za nią, ale po chwili wróciła z butelką wina i korkociągiem. Podeszła do Steina. On wziął od niej butelkę i wkręcił korkociąg w korek. Nina stała tuż obok i nie odrywała od niego wzroku. Potem on spojrzał na nią i wyciągnął korek powolnym ruchem. Wszystko trwało zaledwie kilka sekund, ale cała ta scena miała jakiś bardzo zmysłowy charakter.

Pizza była doskonała. Jest to moja ulubiona potrawa, za którą tęsknię w Paryżu. Próbowaliśmy z Niną pizzy przy Champs Elysees, ale nie była najlepsza. Ta tutaj smakowała tak samo jak pizza w barze naprzeciwko uniwersytetu, gdzie często chodziliśmy z Niną. Czułem się wspaniale, objadając się na podłodze z nogami przy ogniu, i w końcu przestałem myśleć tym, jak małe jest mieszkanie Steinów.

Kiedy skończyliśmy jeść, Stein przyniósł kilka litografii, nad którymi pracował. Miały ilustrować książkę z wierszami Alice. Po całym tym gadaniu o kopiowaniu z zadowoleniem stwierdziłem, że ilustracje mają dość abstrakcyjny charakter.

Alice przeczytała nam jeden ze swoich wierszy, który wydał mi się okropny; wierszyki

nauczycielki w smutnym nastroju Emily Brontë — czekanie na wiatr, który ma zerwać liście, i takie tam błahostki. Mówiła też o piasku czekającym na wodę, ale to żadna różnica. Czuję się zażenowany, gdyby Nina napisała coś takiego dla mnie, a potem czytała to głośno w obecności innych.

Za to litografie naprawdę mi się spodobały. Nie należę do wielbicieli tego rodzaju sztuki, przeważnie to nic ciekawego, ale te były dobre. Dzięki nim poezja ożyła i nabrała znaczenia. Czuję, że Alice chce, żebym coś powiedział na temat wierszy, ale nie miałem ochoty kłamać. Ninie chyba się podobały i zdaje się, że wyczuła, co myślę o poezji Alice, bo zaczęła się rozwodzić o tym, jak to kobiety odczuwają inaczej niż mężczyźni. Stein przyznał, że nie odbiera wierszy Alice w taki sposób jak ona sama i że musiał spojrzeć na nie inaczej, by pasowały do ilustracji. Nie lubię takiego gadania. Kobiety i mężczyźni nie różnią się aż tak bardzo. Wiem, że potrafię odczuwać równie mocno jak Nina czy inne kobiety.

Alice podeszła do okna i otworzyła je na oścież, a Nina stanęła obok niej. Były to właściwie drzwi balkonowe, za którymi znajdowała się niewielka poręcz. Wstałem i podszedłem do Niny, Stein także podszedł do okna. Noc była piękna, ale zimna. Na granatowoczarnym niebie świecił zimny, niemal idealnie okrągły księżyc. W jego blasku kościół wyglądał dość niesamowicie, szczególnie jego lśniący dach. Ninie podobało się, że mieszkanie jest tak wysoko i znajduje się w miłym otoczeniu, a ja ją poparłem. Już nic nie mówiłem, że zmieniałaby zdanie po kilku tygodniach wchodzenia po schodach obok ubikacji na każdym piętrze. Kiedy spojrzałem do tyłu, zobaczyłem, że Stein zgasił światło. Ciemność pokoju rozświetlał tylko żar kominka. Pomyślałem, że rzeczywiście mogłoby to być miłe gniazdko dla pary, która chce zapomnieć o całym świecie. Miałem na myśli siebie i Marianne i nic nie mogłem na to poradzić.

Zapaliłem fajkę i staliśmy tak jeszcze długą chwilę. Zerknąłem na zegarek w blasku księżyca — było w pół do pierwszej. Pomimo rześkiego powietrza zaczynałem odczuwać coraz większe znużenie.

Wreszcie Alice zamknęła okno, a ja oznajmiłem, że musimy już wracać. Oni chyba także byli zmęczeni, bo wszyscy ruszyliśmy do drzwi. Miałem wrażenie, że Nina nie ma ochoty wychodzić, ale ubrałem już płaszcz. Stein obiecał, że przyjdzie obejrzyć obrazy, chyba mówił szczerze. Nina i Alice umówiły się na pranie u nas.

Wreszcie wyszliśmy na korytarz. Stein zapalił światło na schodach, ale zgasło, zanim znalazłem przycisk otwierający drzwi wejściowe, i musiałem zostawić Ninę na chwilę, żeby odszukać kolejny przycisk światła. Przez chwilę miałem ochotę pozostać w ciemności i zapomnieć o wszystkim. Wreszcie jednak zapaliłem światło i wyszliśmy na zewnątrz. Nina wzięła mnie pod rękę, tak jak Marianne, i przytuliła się do mnie.

Dojeżdżaliśmy już do domu, gdy ogrzewanie w samochodzie zaczęło działać na dobre. Ten cholerny volkswagen jest tak wielki, że trzeba czekać całe wieki, zanim się ogrzeje. W taką ciemną noc wydaje się nawet jeszcze większy, a skórzane siedzenia są zimne i sztywne. Nina nic nie mówiła, ale chyba umierała z zimna.

Opiekunka nie spała, lecz była bez butów, więc pewnie leżała na kanapie. Nie wyglądała na zasną. Okazało się, że ostatni pociąg metra już odjechał, więc musiałem ją odwieźć do domu. Mieszkała niedaleko Steinów, na lewym brzegu, w pobliżu Notre Dame. Nina powiedziała, że zaczeka na mnie i zrobi herbaty, chociaż nalegałem, żeby się już położyła. Nie miałem ochoty odwozić tamtej dziewczyny, chociaż była miła i patrzyła na mnie znacząco.

W samochodzie zapytała mnie, co robimy w Paryżu i czym się zajmuję, a kiedy opowiedziałem jej, że jestem malarzem, powiedziała, że studiuje w konserwatorium muzycznym i gra na altówce. Dodała, że interesuje się malarstwem i chętnie zobaczy moje obrazy. Wiedziałem, że czeka, aż zaproszę ją do pracowni, ale nie miałem najmniejszej ochoty. Zapytała,

czy może zapalić, więc poczęstowałem ją papierosem. Czekala, aż się zatrzymamy na czerwonym świetle przy St-Germain, żebym jej podał ogień. Spojrzała na mnie w taki sam sposób jak przedtem, a ja dostrzegłem ciemne plamy w środku jej oczu, ogromnych oczu, które otwierały się i zamykały w blasku ognia zapałki. Pokazała mi, gdzie mieszka. Kiedy wysiadła, a ja zamknąłem drzwi, zapytała, czy nie mam ochoty na filiżankę kawy. Powiedziałem, że muszę wracać do domu. Nie chciałem ciągnąć tego dalej. Nacisnęła przycisk drzwi i weszła do środka.

Dopiero potem przyszło mi do głowy, że może Nina zapomniała jej zapłacić i dlatego tak się ociągała. Zastanawiałem się nad tym przez chwilę w samochodzie, usiłując sobie przypomnieć. Poczułem się jak głupiec.

Rozgrzałem trochę silnik i zawróciłem w stronę domu. Teraz w samochodzie było ciepło i czułem się cudownie, jadąc pustymi ulicami. Francuzi na noc nie przełączają sygnalizacji na pomarańczowe światło, dlatego kilkakrotnie musiałem czekać na czerwonym, chociaż nikt nie przechodził przez ulicę. Dwukrotnie widziałem, jak francuski kierowca zwalniał tylko na skrzyżowaniu i przejeżdżał przy czerwonym świetle. Mnie się nie spieszyło; czułem się cudownie, sam, w Paryżu nocą; słuchałem szumu silnika i spoglądałem na światełka wskaźników. Po całym dniu spędzonym z ludźmi mogłem wreszcie pomyśleć w samotności. Zrozumiałem, co Bob, tamten facet z Alliance, miał na myśli, gdy mówił, że chciałby pobyć sam przez jakiś czas.

Nina nie spała jeszcze, kiedy wróciłem. Piła herbatę w kuchni, ubrana w szlafrok nałożony na nocną koszulę. Nalała mi filiżankę, a ja zdjąłem marynarkę i krawat. Dochodziła druga, czułem jednak, że Nina chce, bym z nią posiedział. Bałem się tylko, że będzie miała ochotę porozmawiać.

— Clyde, co myślisz o wierszach Alice?

— Sam nie wiem. Moim zdaniem to danie Emily Dickinson a la Brontë z tłuczonymi ziemniakami. Wiesz, że nie przepadam za poezją.

— Domyśliłam się, że ci się nie spodobały.

Pociągnęła łyk herbaty. Gdy spojrzałem jej w oczy, dostrzegłem w nich coś, czego nie znałem; pytanie, na które nie potrafiła odpowiedzieć. A przecież nie należy do osób, które zadają pytania bez odpowiedzi.

— Wiesz, Clyde, myślę, że Alice naprawdę kocha Bena.

— Mówiłaś już to, Nino. Dlaczego uważasz, że nie miałyby go kochać. Przecież są małżeństwem.

— Tak, ale mnie się wydaje, że Alice nie należy do osób zdolnych do tak głębokich uczuć. Ona wydaje się taka...

— Bezpłciowa. Nie rozumiem, co Ben w niej widzi.

— Och, kocha ją; to widać.

— Chyba tak.

Wydało mi się trochę głupie to nasze gadanie o drugiej nad ranem. Dopilem herbatę i rozpiąłem koszulę. Poszedłem do sypialni, przebrałem się w piżamę i zacząłem myć zęby; Nina wciąż siedziała przy stole i nalewała sobie kolejną filiżankę herbaty. Kiedy wróciłem do kuchni, jeszcze tam siedziała.

— Nino, nie idziesz spać? Już prawie wpół do trzeciej, a rano musisz wyprawić dzieci do szkoły.

— W porządku, Clyde. Zaraz przyjdę.

Położyłem się i już zasypiałem, kiedy przyszła. Zdjęła koszulę nocną i wsunęła się obok mnie. Pocałowała mnie i wsunęła mi język do ucha. Nigdy wcześniej tak się nie zachowywała; całkiem się rozbudziłem.

— Clyde, kochajmy się, chcę tego.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, bo pierwszy raz powiedziała coś takiego. Miałem wrażenie, że domyśla się czegoś, jeśli chodzi o Marianne. Zacząłem ją całować, ale to nie wystarczyło. Przyłgnęła do mnie i ugryzła mnie w wargę. Gdy już było po wszystkim, nie chciała mnie puścić i wciąż przyciskała mocno do siebie. Dostrzegłem łzy w jej oczach i nie wiedziałem, czy płacze z tego powodu co zawsze, czy chodzi o coś innego. Czułem się okropnie. Wreszcie zsunąłem się z niej na bok i leżałem tak długo, a potem chyba zasnąłem, bo czułem się ogromnie zmęczony.

ROZDZIAŁ 12

ALICE

Ben twierdzi, że chętnie popilnuje Aarona, ale ja nie chcę wychodzić na zbyt długo. To zabawne, że nie mieliśmy od nich żadnych wiadomości. Sądziłam, że Clyde zajrzy i powie przynajmniej, co u Niny.

Czasem wydaje mi się, że Raspail jest strasznie długi, szczególnie kiedy się śpieszę. Nie pamiętam nazwy ulicy, ale rozpoznaję małą piekarnię na rogu i skręcam. Nie ma jeszcze jedenastej; z Alliance można tam dojść w niecały kwadrans.

Drzwi otwiera wysoka dziewczyna o dość jasnych włosach. Od razu poznałam, że jest Niemką, zanim zdążyła powiedzieć cokolwiek. Nie ma to nic wspólnego z moim bratem ani z tym, że Ben jest Żydem; po prostu mają w sobie coś takiego, co od razu potrafię rozpoznać. Wszyscy oni sprawiają wrażenie bardzo pewnych siebie.

— Słucham?

— Zastałam Clyde'a? Czy mogę mówić z panem Dudleyem?

— A z kim rozmawiam?

— Nazywam się Alice Stein, jesteście z mężem znajomymi państwa Dudleyów.

— Ach, tak, chwileczkę.

Przymknęła nieco drzwi i zniknęła w głębi mieszkania, a ja czekam. Niewiele wyczytałam z jej twarzy, gdy się przedstawiałam, czuję jednak, że od razu zostałam postawiona na pozycji obronnej; w szkole też tak się zachowują. W drzwiach staje Clyde.

— Cześć, Alice, wejdz. Pracuję.

Otwiera szerzej drzwi i wpuszcza mnie do środka. W rękę trzyma pędzel i paletę. Nie pamiętam, żeby Ben kiedykolwiek trzymał paletę z kciukiem wsuniętym w otwór. W swojej pracowni w domu miesza farby na blacie stołu.

— Witaj, Clyde. Ja tylko na chwilę. Pomyślałam, że zajrzę, żeby się dowiedzieć, co słychać u Niny. Martwimy się o nią.

— Wszystko w porządku. Powiedzieli, że to nic poważnego i zostanie w szpitalu nie dłużej jak tydzień. Usiądziesz? Wybacz, poznaj Marianne. Marianne, to jest pani Stein. To ona pytała o ciebie w Alliance.

Witamy się uściskiem dłoni. Nie ma nic głupszego niż kobiety witające się w podobny sposób, chociaż nie wiem, dlaczego tak uważam. Rozglądam się po mieszkaniu; panuje w nim porządek. Niemowlę jest czyste i bawi się w wózku spacerowym, a Mark stoi uczepony jej spódnicy.

— Cześć, Mark. Cieszysz się, że mama niedługo wróci domu?

— Uhu. Czy Aaron przyjdzie się pobawić?

— Nie teraz. Ale może spotkacie się po południu w parku.

— Tak, pójdziemy do parku po południu.

Uśmiecha się. Stara się być miła; a może to tylko kwestia mojej wyobraźni.

— Jak ci się pracuje, Clyde? Ben był rozczarowany, że nie mogłeś przyjść do pracowni litograficznej. Może umówicie się jeszcze raz po powrocie Niny ze szpitala.

— Jasne, byłoby wspaniale.

Nie wiem, dlaczego czuję się niezręcznie. Mam wrażenie, że oboje czekają, kiedy wyjdę. Tak samo było ze mną i Benem zaraz po naszym ślubie, gdy odwiedzali nas przyjaciele.

— Pójdę już. Ben siedzi z Aaronem, a ja mam jeszcze trochę pracy przed lunchem.

Oboje wstają, a Clyde odkłada paletę na kredens. Patrząc na Marianne, która nie odstępuje nas

ani na krok i idzie z nami aż do samych drzwi, mam wrażenie, że jest kimś więcej niż tylko wynajętą pomocą domową. Czuję się winna, kiedy zaczynam myśleć, że nie chciałabym, aby jakaś kobieta była tak blisko Bena.

— Pozdrów Bena.

— Dziękuję, Clyde. Spróbuję odwiedzić Ninę po południu. W jakich godzinach są wizyty?

— Byłoby miło, Alice. Od drugiej do piątej.

Nie proponuje, że mnie podwiezie, a ja nie pytam, czy sam wybiera się do szpitala.

— Do widzenia.

— A zatem nie zobaczymy się w parku po południu? To było pytanie tej dziewczyny, Marianne.

— Nie, raczej nie, jeśli mam pójść do szpitala.

— W takim razie uprzedzę Marka, żeby nie był rozczarowany. Marianne uśmiecha się; w jakiś sposób sprawiła, że nawet

moja wizyta w szpitalu wydaje mi się trochę niewłaściwa.

W pensjonacie jestem już za kwadrans dwunasta. Ben i Aaron kleją samoloty z papieru i malują je starymi farbami wodnymi Bena.

— Mamusiu! Robimy samoloty i będziemy je puszczać w parku. Ben patrzy na mnie. Zdejmuję sweter i wieszam w szafie.

Przez całą drogę myślałam o tym, żeby mu opowiedzieć o Ninie, teraz jednak coś mnie powstrzymuje. Nie wiem, czy chcę, żeby mnie o to zapytał. Nie poznaję samej siebie.

— Wiesz, Ben, z Niną wszystko dobrze. Wyjdzie ze szpitala za tydzień.

— Nie musieli jej cię ani nic takiego?

— Nie wiem. Chybaby mi powiedział. Był w dość dobrym humorze.

Ben myje pędzle i wyciera farby.

— Partnerze, lepiej już posprzątajmy.

— W poórządku.

To jedyna zdecydowana obronna technika Aarona. Wyciąga to słowo w nieskończoność, a ja wiem, że oznacza to tylko tyle, iż chce być dużym chłopcem, co mnie denerwuje.

— Jak sobie radzą? Znaleźli kogoś?

— Jest tam jakaś młoda Niemka. Chyba się zadomowiła. — Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. — Proszę, w drodze powrotnej kupiłam „Figaro”.

Podaję mu gazetę. Zerka na pierwszą stronę i siada na krześle. Otwiera ją na jedynej stronie, która nas interesuje, tej z ogłoszeniami.

— Sam już nie wiem, Alice. Zaczynam mieć tego dość. Jeśli nawet znajdujemy coś interesującego, to okazuje się, że nie stać nas na takie mieszkanie. A nawet jeśli znajdujemy mieszkanie w granicach naszych możliwości, to jest ono gdzieś daleko. Nie wiem, Alice, może po prostu nie stać nas na mieszkanie.

Wygląda gazetę. Patrzą na niego; Ben zwykle się nie poddaje.

— Obawiam się, że masz rację. Zdaje się, że nie sposób znaleźć niczego godziwego poniżej pięćdziesięciu tysięcy franków.

Po raz pierwszy rozważamy możliwość zaniechania kupna mieszkania. W pensjonacie nie jest tak źle, tylko ciasno.

— Jest coś dzisiaj?

— Nie wiem, nie zdążyłam sprawdzić.

Byłoby wspaniale, gdybyśmy mieli coś własnego. Niczego tak bardzo nie pragnę jak własnego mieszkania w Paryżu.

Przez kilka minut w pokoju jest tak cicho, że słyszę odgłosy samochodów z ulicy. Aaron

dmucha na skrzydła samolotu, żeby osuszyć farbę.

— Jest jedno, Alice. Niedaleko St-Sulpice.

Ben zaczyna czytać. Kiedy czyta głośno, zmienia nieco głos, jak wszyscy, ale on czyta z pewnym niezdecydowaniem, jakby nie miał wprawy. A przecież normalnie czyta bardzo szybko; zaczyna się tak tylko wtedy, gdy czyta na głos.

— Tylko trzydzieści tysięcy franków. I nie ma żadnego *avec*. *Avec* znaczy „z”, słowo, którego Francuzi używają, gdy mówią o częściowej zapłacie gotówką.

— Założę się, że nie ma windy ani ubikacji, za to doskonała lokalizacja. Pewnie nie podają powierzchni ?

— Nie, jest tylko to, co przeczytałem. Trzy pokoje, nieźle, i kuchnia. Co myślisz?

— No cóż, miałam odwiedzić Ninę, ale pójdę obejrzeć to mieszkanie przed szpitalem. Co nam szkodzi sprawdzić, nie jest daleko. Stamtąd pojedę metrem.

Aaron układa samoloty na łóżku. Ben podchodzi i obejmuje mnie.

— Wiem, że masz już dość oglądania mieszkań, Alice, ale sprawdź jeszcze to jedno, proszę. Coś mi mówi, że tego właśnie szukaliśmy.

Oto cały Ben; zawsze pełen optymizmu, chociaż zmienny jak mały chłopiec. Pewnie takie już są twórcze osobowości. Odwracam się i zarzucam mu ręce na szyję.

— Wiesz, że lubię oglądać mieszkania. To jest całkiem zabawne. Tylko nie potrafię już tak się tym ekscytować. Zbyt wiele rozczarowań. Wciąż miałam nadzieję i ciągle nic z tego nie wychodziło.

— Wiem. — Wraca do fotela i opada na niego, nie podnosząc gazety. — Żałuję, że nie mamy więcej pieniędzy.

— Jaki to był adres?

Podnosi się nieco i wyjmuję spod siebie gazetę.

— St-Sulpice coś tam. Ach, jest. 34 rue St-Sulpice.

Sprawdzam na dużej mapie, którą zawiesiliśmy na ścianie za drzwiami. Zaznaczyłam na niej szpilką wszystkie mieszkania, które obejrzałam. Przypomina mapę generała. Sześćdziesiąt siedem szpilek — i to tylko te, które widziałam osobiście. Drugie tyle sprawdziłam telefonicznie. Rue St-Sulpice biegnie tuż za kościołem.

— To jest tuż za kościołem, spójrz, Ben.

Ben staje za mną, a ja przykładam palec do mapy.

— Pewnie jest tam bardzo ciemno przez ten szary mur po drugiej stronie ulicy.

— Ale nikt by nas nie podglądał, a poza tym to czwarte piętro, więc chyba dość wysoko.

— Dobrze, pójdę obejrzeć.

— A teraz zejdźmy już na lunch albo będziemy mieli do czynienia z naszym zniewieściałym gospodarzem.

— Dobrze, kochanie. Chodź, Aaronie, umyję ci ręce. Całe masz w farbie.

— Tata też musi umyć.

— Pewnie, że umyje, zaraz po tobie.

Chyba nigdy się nie przyzwyczaję do mycia rąk dzieciom. Kiedy się do tego zabieram, palce Aarona wiotczeją i stają się jakieś gumiate, gdy zaś każę mu zrobić to samemu, myje je tylko z wierzchu. Ben wciska się za parawan tuż obok nas.

— Mam dość jedzenia o wyznaczonych porach bez względu na to, czy jestem głodny, czy nie. Do tego zaczynam tyć. — Odwraca się bokiem i patrzy na swoje odbicie w lustrze.

— Wypychasz brzuch.

— Wcale nie, Alice. Mam taki. Od tego dojadania po Aaronie rośnie mi niezły brzuszek.

Nie zauważyłam tego wcześniej, ale rzeczywiście chyba trochę przybrał na wadze. Chociaż

nie wiem, zawsze był raczej krepy.

— Facet w moim wieku musi już zacząć uważać albo wyhoduje niezły kałdun.

Myje szybko ręce i opryskuje wodą twarz i włosy.

— Uważaj, kochanie, chlapiasz na nas. Myślisz, że jesteś ptaszkiem, który zażywa kąpieli?

Wiem, że mogę mówić do Bena w taki sposób, a on się nie obrazi. Pod wieloma względami jest ideałem w codziennym współżyciu.

— Zaczekaj, chcę cię pocałować, zanim wypróbuję nową szminkę.

Odwraca głowę i wydyma usta. Całuję go lekko tuż pod okiem.

— I po co jeść?

Całuje mnie w usta, kładąc dłoń na moim karku. Czuję chłód jego świeżo umytej dłoni i się wycofuję.

— A teraz wynoście się obaj i dajcie mi się uczesać i umalować.

— Spotkamy się na dole, dobrze?

— Nie zaczynajcie beze mnie, bo nigdy was nie dogonię.

Oplukuję twarz wodą. Widzę, że mam podkrążone oczy, a skóra pod nimi jest bardziej pomarszczona niż zwykle. Za kilka tygodni skończę trzydzieści cztery lata. Myślę z radością o tym, że mam męża i synka. Maluję usta i wsuwam pod gumkę niesforne kosmyki włosów. Może powinnam pójść do kosmetyczki i obciąć włosy? Kobiecie w moim wieku nie wypada już chyba czesać się w koński ogon. Postanawiam poradzić się Bena. Nie lubię salonów kosmetycznych, nawet tutaj w Paryżu, i nie cierpię suszarek do włosów. Nie wiem, jak znoszą to inne kobiety.

Po lunchu Ben idzie popracować do pracowni litograficznej, a ja jadę z Aaronem obejrzeć mieszkanie. Numer 34 jest zaraz za kościołem. Czwarte piętro jest całkiem wysokie, więc mieszkanie musi być raczej jasne. Widzę nawet, że słońce zagląda w okno. Na klatce schodowej panują ciemności, a kiedy przyciskam *minuterie*, światło się nie zapala. Biorę Aarona za rękę i idziemy po schodach na górę. Schody są mocno wydeptane i przechylone najpierw w jedną, potem w drugą stronę. W powietrzu unosi się lekki zapach gazu i toalet umieszczonych na półpiętrach. Typowe dla starych paryskich budynków, ale zdążyłam się już przyzwyczać.

Kiedy wchodzimy na czwarte piętro, przyciskam dzwonek drzwi po lewej stronie. Słyszę, że ktoś jest w środku, a potem zaraz drzwi uchylają się odrobinę. Blokują je jedno z tych antywłamaniowych urządzeń. W szparze widzę małą, pomarszczoną staruszkę w wieku około sześćdziesięciu lat.

Pytam ją, czy to mieszkanie jest na sprzedaż, ale okazuje się, że agent będzie dopiero za parę godzin.

Mam nadzieję, że uda mi się chociaż zerknąć na mieszkanie, by zobaczyć, czy jest po co wracać. Staruszka nie zamyka mi drzwi przed nosem. Uśmiecham się do niej.

Wreszcie zdejmuję łańcuch i otwiera drzwi szerzej. Czuję zapach kompotu z jabłek. Staruszka pyta mnie, ile lat ma mały, i mówi, że jest słodki.

Mam nadzieję, że Araron niczego nie zbroi. Czasem, kiedy widzi, że ktoś na niego patrzy, potrafi niezłe narozrabiać. Teraz przez cały czas trzyma mnie za rękę.

Pokój jest malutki, pełen dużych mebli, przez co przypomina magazyn. Na środku znajduje się ogromny stół, a w dwóch kątach stoją grubo wyściełane krzesła. Na prawej ścianie są drzwi, a w końcu pokoju dwa okna, które wychodzą na ulicę.

Staruszka podchodzi do jednego z nich, a ja idę za nią. Widok jest fantastyczny. Nie widać zbyt daleko, ale zaraz po drugiej stronie ulicy wznoszą się podpory i kopuła kościoła z biało-czarnego kamienia poprzecinanego żółtymi i szarymi smugami. Staruszka zatacza łuk, pokazując drogę słońca. Otwiera drzwi za swoimi plecami i pokazuje inny pokój, mniej więcej tych samych rozmiarów co poprzedni. Stoi tam podwójne ogromne łóżko i duża szafa. Nie widzę już więcej

drzwi, więc pytam o trzeci pokój.

Pokazuje na tylną ścianę sypialni. Trudno uwierzyć, że mieszkając tam przez trzydzieści siedem lat, jak mi wyjaśniła, nie wybili drzwi do drugiego pokoju. Mówi, że tamten pokój jest mniej więcej tak samo duży jak dwa pozostałe i wychodzi na podwórko. W mieszkaniu nie ma ubikacji i jest tylko zimna woda. W każdym pokoju jedynym źródłem ogrzewania jest śliczny marmurowy kominek. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale bardzo mi odpowiada to mieszkanie. Może dlatego, że podświadomie czuję, iż jest to nasza ostatnia okazja. Chcę, żeby Ben je obejrzał.

Madame zaczyna się trochę denerwować, więc nie chcę dłużej zwracać jej głowy. Jest bardzo miła, ale wyczuwam w niej coś tragicznego. Wychodząc, informuję ją, że wrócę o piątej z mężem. Jest druga. Wracam do pensjonatu i zostawiam wiadomość dla Bena, żeby przyszedł obejrzyć mieszkanie o piątej.

Nie pamiętam gorszej podróży z Aaronem autobusem i metrem. Już prawie zapomniałem, jak to może być. W szpitalu jesteśmy dopiero po wpół do czwartej. Panie z recepcji są bardzo miłe i pozwalają mi zostawić u siebie Aarona. Dzieci nie mają wstępu na górne piętra. Odczekuję chwilę za rogiem, by sprawdzić, co robi Aaron po moim odejściu. Jedna z kobiet dała mu do zabawy spinacze i gumki. Wydaje się, że jest zadowolony.

W pokoju wypełnionym słońcem razem z Niną jest jeszcze jedna pacjentka. Nina siedzi na łóżku i pije herbatę, zagryzając krakersami, które leżą na malutkim stoliku przełożonym przez jej łóżko. Przerywają rozmowę, kiedy wchodzę. Przypominam sobie chwile, kiedy sama leżałam w szpitalu z Aaronem. Ma się wtedy mnóstwo czasu na rozmowy, więc gdy zjawiają się goście, po prostu przerywa się rozmowę i nikomu to nie przeszkadza. Uśmiecham się, a kobieta odpowiada mi uśmiechem.

— Ojej, Alice, witaj. Jak miło, że przyszedłaś, taki kawał drogi.

— Nino, jak się czujesz? Wyglądasz dobrze.

Wydaje się nieco blada, ale promieniście blada. Nie wiem, czy powinnam podejść do niej i ją pocałować. Nie chcę podawać jej ręki. Ujmuję obie jej dłonie, kiedy wyciąga je w moją stronę. Nie przyciąga mnie bliżej, więc stoję przed nią i patrzymy na siebie.

— Naprawdę wyglądasz dobrze, Nino; jak anioł. — I czuję się dobrze. Rozmawiałaś z Clyde'em?

— Tak, powiedział, że wszystko w porządku. — Siadam na krześle przy łóżku.

— Mówię ci, strasznie się bałam. Wiesz, myślałam, że będą musieli usunąć mi pierś, albo coś w tym rodzaju. Głupie, co?

— Wcale nie.

— Kiedy już się rozbudziłam, przyszedł do mnie doktor Jo — nes i powiedział mi wszystko, a ja mu nie wierzyłam i się rozplakałam. Nie sądziłam, że zachowam się tak głupio.

— Wcale nie głupio, Nino. Żadna kobieta nie chciałaby, żeby jej usunięto pierś. To przecież jeden z atrybutów kobiecości.

W tym względzie zawsze czułam się gorsza od innych kobiet. Kiedy podnoszę ręce, zupełnie nie mam piersi, jak chłopak. Czułam się cudownie, gdy karmiłam. Zabawne, że mogłam karmić, podczas gdy wiele innych kobiet z większym biustem ma z tym problemy.

— Doktor Jones mówi, że chyba nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak poważna jest sytuacja, i że kwestia ewentualnego odjęcia piersi stanowiła jeden z mniej istotnych szczegółów w całej sprawie.

— Mówię ci, Nino, żaden mężczyzna tego nie zrozumie.

— Wiesz, Alice, sama nie wiem... chyba nie byłabym już taka jak przedtem, no i nie mam pojęcia, jak by zareagował Clyde.

Zarumieniła się i znowu zamknęła się w sobie, przymykając oczy.

— Nie martw się, Nino. Nie powinnaś się teraz niczym przejmować. Połóż się.

Pochyliłam się i poprawiam jej poduszkę. Kładzie się i zaczyna mówić, nie otwierając oczu.

— Tak się cieszę, że przyszedłaś, Alice. To tak jakby kawałek świata z zewnątrz znalazł się tutaj. Co u Bena?

— Och, w porządku; dzisiaj pracuje w pracowni litograficznej. Nie mam pojęcia, co on tam właściwie robi.

— Chyba jest dobrym mężem.

Wciąż ma zamknięte oczy. Jej twarz zaróżowiła się teraz nieco, a na skrajach włosów lśnią kropelki potu. Wyjmuję chusteczkę i wycieram jej czoło.

— Tak. Mam szczęście, że jesteśmy razem. Uśmiecha się, a ja odpowiadam uśmiechem.

— Rano odwiedziłam Clyde'a. Wydaje się, że wszystko w porządku. Ta młoda Niemka chyba się stara i dzieci ją lubią.

Znowu otwiera oczy. Staram się uchwycić jej spojrzenie, nie przestając się uśmiechać.

— To cudownie.

Znowu leży z zamkniętymi oczami. Trudno wywnioskować, co naprawdę myśli.

— Nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do domu i zobaczę dzieci. Nie wpuszczają ich tutaj.

— Wiem. Aaron siedzi w recepcji na dole.

— To głupie.

— Jeśli chodzi o Aarona, może niezupełnie. Potrafi dać się we znaki, jeśli zechce.

— To taki dobry chłopiec.

— Czasem jest zupełnie inny.

Cieszę się, że wróciłyśmy do zwykłych babskich tematów. Nie potrafię dobrze kłamać, nawet jeśli kłamstwo polega tylko na niemówieniu wszystkiego.

— Nino, czy mogę coś dla ciebie zrobić?

— Och, nie. Clyde przynosi wszystko, czego mi trzeba. Ale byłabym wdzięczna, gdybyś czasem zajrzała do nich i sprawdziła, czy wszystko w porządku.

— Jasne, chętnie. O nic się nie martw. Wszystko będzie dobrze.

— A ty sama, Alice, co porabiasz? Gdy już wyjdę, musimy się częściej spotykać.

— Rano chodzę na zajęcia, a po południu do parku z Aaronem albo oglądam kolejne mieszkania.

— Och, wciąż szukacie mieszkania. Zapomniałam.

— Już prawie zrezygnowaliśmy. Są za drogie. Dzisiaj po południu idziemy z Benem obejrzeć jeszcze jedno; jest tanie, ale strasznie małe.

— Niedobrze.

Nasza rozmowa przybrała żywsze tempo i widzę, że Nina jest coraz bardziej zmęczona, a ja zaczynam się niepokoić o Aarona.

— Lepiej już pójdę, Nino. Nie chcę cię męczyć i nie wiem, jak panie na dole wytrzymają z Aaronem.

— Alice?

— Tak?

— Wiesz, kiedy już stąd wyjdę, mam zamiar naprawdę nacieszyć się Paryżem, nie tylko Paryżem, wszystkim.

— Cudownie, Nino.

— Do widzenia, Alice.

— Do widzenia, kochanie.

Wszystko wydaje się łatwe. Pochyliłam się i całuję ją w czoło. Nie otwiera oczu.

Panie z recepcji bardzo chwala Aarona, a on sam sprawia wrazenie zadowolonego; lubi, kiedy inni sie nim zajmują. Chyba jak wszyscy.

Wracamy akurat w szczycie; nie jest najgorzej, ale do mieszkania docieramy dopiero kwadrans po piątej. Przed drzwiami na schodach stoi kolejka; chyba z tuzin osób, lecz nie widzę wśród nich Bena. Pytam jakiegoś pana na końcu, czy może w mieszkaniu jest siwowłosa mężczyzna.

Zagadnięty przygląda mi się przez długą chwilę tak, jak lubią to robić Francuzi, gdy uważają, że ktoś im przeszkadza.

— *Oui, madame.*

To musi być Ben; wiedziałam, że przyjdzie. Podchodzę do drzwi i naciskam dzwonek. Staruszka od razu mnie rozpoznaje.

— Dobrze się składa, *madame*. Pani mąż już jest.

Wpuszcza mnie do środka; pod oknem stoi Ben w towarzystwie dwóch mężczyzn. Jeden z nich ma na sobie jakiś granatowy mundur, drugi zaś wygląda na pracownika agencji nieruchomości.

— Cześć, Alice. Znalazłem wiadomość od ciebie i od razu przyszedłem.

— To dobrze, Ben, bo na schodach czeka długa kolejka. Sadzam Aarona na krześle przy kominku.

— Zostań tutaj, kochanie, a my z tatusiem obejrzymy mieszkanie. — I co myślisz, Ben?

— Strasznie małe, ale może dałoby się coś zrobić.

— Widziałeś ten oddzielny pokój?

— Uhm, mniej więcej tej samej wielkości co te dwa, ale ciemny, tylko jedno okno z widokiem na podwórko. Myślę, że dałoby się tam zainstalować toaletę. Ty go nie oglądałaś?

— Nie, pani nie miała klucza.

Ben pyta agenta, czy moglibyśmy obejrzeć ów osobny pokój.

Wychodzimy na zewnątrz; teraz wydaje się, że kolejka sięga półpiętra. Jeden z czekających czyta gazetę. Zabieram ze sobą Aarona. Agent otwiera drzwi i zerka na zegarek, gdy go mijamy. Francuzi wiedzą, jak się to robi.

— Ben rozgląda się uważnie. Myślę, że dość łatwo byłoby zainstalować toaletę w tym rogu. Może nawet dałoby się upchnąć umywalkę i prysznic, a także bojler.

Pokój sprawia ponure wrazenie. Okno wychodzi prosto na kamienny mur.

— A podłoga, Ben. Da się z nią coś zrobić?

— Zdaje się, że opada jakieś cztery, pięć cali. Cholera, zrobiłbym to. — Wstaje. — Tutaj wybiłbym drzwi i połączył ten pokój z resztą mieszkania.

— I jak byśmy to urządzili? To znaczy, gdzie byśmy spali na przykład?

— No cóż, Aaron mógłby spać w środkowym pokoju, a my tutaj. Albo odwrotnie. W pokoju frontowym urządzilibyśmy jadalnię i salon.

— A gdzie byś pracował, Ben? Musisz mieć trochę miejsca dla siebie.

— Myślałem, że może w środkowym pokoju. Aaron wychodzi do przedszkola, wtedy miałbym pokój dla siebie.

— Trzeba przyznać, że za te pieniądze to jest najlepsze mieszkanie, jakie oglądaliśmy, ale powiem szczerze: jest takie małe.

— Nie sądzę, żebyśmy znaleźli coś lepszego. Sama widziałaś. Myślę, że trzeba podjąć jakąś decyzję. Ktoś z tej kolejki na pewno kupi to mieszkanie. Wiedzą, że to niezła okazja.

— Chyba tak.

— Pytanie tylko, czy chciałabyś mieszkać w czymś takim, Alice?

— A ty?

— Jasne, ja mogę mieszkać wszędzie. To ty zajmujesz się domem. Więc jak?

— Myślę, że mogłabym tu mieszkać. W porównaniu z pensjonatem to raj. Jak myślisz, ile by kosztowało zainstalowanie toalety i inne naprawy?

— Chyba wystarczyłby tysiąc dolarów.

— Ale ty byś wszystko instalował? Wiesz, że nie powinieneś marnować czasu i energii w ten sposób.

Taki już jest Ben. Naprawdę uważa, że mógłby mieszkać gdziekolwiek, i potrafi zrobić wszystko.

— Nie, wynajęlibyśmy hydraulika. Ja zająłbym się podłogą i dziurą w ścianie, a potem oboje byśmy wszystko pomalowali. Zaproponuję im dwa tysiące siedemset pięćdziesiąt gotówką. W ten sposób zostanie nam pięćset na hydraulika i będziemy mieli całość za sześć tysięcy.

— W porządku.

W takich chwilach zawsze ogarnia mnie przerażenie i od razu czuję dreszcz na całym ciele.

— Kochanie, jestem taka podekscytowana. Nie robiliśmy niczego takiego od sprzedaży galerii.

Kiedy zostaję sama, pokój wydaje mi się jeszcze bardziej przynębiający i czuję zapach z toalet na korytarzu. Mam wrażenie, że czekam tam całe wieki, aż wreszcie wraca Ben, podchodzi do mnie, podnosi mnie do góry i całuje; potem bierze na rękę Aarona i także go całuje.

— Kupiłem za dwa siedemset pięćdziesiąt. Pośrednik najpierw nie chciał, ponieważ wiedział, że mógłby dostać lepszą cenę, ale staruszkom zależało na gotówce. Zdaje się, że kupują coś małego w Normandii i będą mogli od razu to spłacić. Kochanie, mieszkanie jest nasze. Podpisujemy papiery w przyszłym tygodniu.

— Cudownie, Ben; nie chce mi się wierzyć. Słyszałeś, Aaron? Będziemy mieli własne mieszkanie w Paryżu.

— Będę spał w tym pokoju?

— Nie, kochanie, najpierw wszystko wyremontujemy, a potem zamontujemy łóżko na zawiasach.

— A gdzie będziemy jeść, w pensjonacie?

— Dostyc jedzenia w pensjonacie. Teraz będziemy jeść tutaj, a ja będę gotowała.

— I będzie masło orzechowe, hot dogi i różne inne rzeczy?

— Wszystko, co zechcesz.

Miałabym ochotę jeszcze trochę się rozejrzeć, ale jednocześnie chcę być tylko z Benem. Wracamy wszyscy do głównych pokoi. Staruszkowie wstają, kiedy wchodzimy. W porównaniu z nimi pośrednik wydaje się mocno podejrzanym osobnikiem. Uśmiecham się do kobiety. Obie stwierdzamy, że jesteśmy bardzo zadowolone z tej transakcji.

Ben bierze na rękę Aarona i wszyscy odprowadzają nas uśmiechem do drzwi. Jeszcze raz oglądam się do tyłu.

— Jeszcze tylko jeden drobny szczegół, Alice.

— O co chodzi, Ben? Mam nadzieję, że to nic ważnego. Nie zniosłabym tego, że uciekło nam kolejne mieszkanie w chwili, gdy zaczęłam je meblować.

— Och, myślę, że to nic ważnego. Chodzi tylko o to, że właściciele nie chcą płacić całego podatku za to mieszkanie. Dlatego proponują, żebyśmy zapłacili oficjalną cenę, a resztę dali im do ręki. Trochę to śmierdzi, ale agent mówi, że tak robią wszyscy.

— Tak, pamiętasz, Ben? Tamten mężczyzna w czternastej dzielnicy mówił to samo, gdy prawie kupiliśmy to mieszkanie w pobliżu cmentarza.

— Dobrze. Jutro pójde do Bank of America i każe przelać pieniądze.

Przeraża mnie myśl, że to zrobimy. Nie mamy aż tyle pieniędzy. Po wyjściu zatrzymujemy się

po drugiej stronie ulicy i patrzymy w górę, na okna mieszkania. Ben stawia Aarona na ziemi, a on bierze mnie za rękę.

— Mogłabym tak stać jeszcze długo, ale lepiej chodźmy, Ben. Pewnie jest już wpół do siódmej.

— Dobra. Chodźmy na skróty przez kościół.

Wchodzimy bocznym wejściem od strony St-Sulpice. Podobnie jak w innych wielkich kościołach, tak i tutaj czuję się bardzo mała. I chyba tak ma być. Wnętrze tego przypomina trochę dworzec kolejowy. Wypełnia go aura oczekiwania, jakby coś miało się wydarzyć. Okna są wysokie i brudne, przynajmniej poplamione. Na krzesłach przy bocznych ołtarzach siedzi kilka kobiet. Zawsze wyglądają tak, jakby weszły tam na chwilę, żeby dać odpocząć trochę nogom.

Ben mówi do mnie szeptem:

— O rany, w czymś takim od razu odechciewa się być chrześcijaninem.

Wychodzimy na place St-Sulpice.

— Ben, wciąż nie wierzę w to, co się stało. Będziemy mieli własne mieszkanie!

— Nie podniecajmy się jeszcze, dopóki nie porozmawiam jutro w banku z monsieur Le Blanc. Nigdy nie wiadomo, co może wyskoczyć w ostatnim momencie.

— Ach, i tak nigdy nie zaszliśmy aż tak daleko, a poza tym to mieszkanie naprawdę mi się podoba. Bardzo blisko stąd do Ogrodu Luksemburskiego, a także do tego placu.

— Rzeczywiście, byłoby bardzo wygodnie.

Oboje staramy się zachować spokój, ale widzę, że Benowi zależy na kupnie tego mieszkania tak samo jak mnie.

Gdy wracamy do pensjonatu, usiłuję się uspokoić, żebym mogła spokojnie zjeść kolację. Myję Aarona, a Ben kładzie się na łóżku w tylnym pokoju.

— Czy to nie wspaniałe, Ben? Będiesz miał swój kąt do pracy w domu, a ja będę mogła dla nas gotować. Cudownie.

Kładę głowę na jego klatce piersiowej. Nie mogę zostać długo, bo Aaron siedzi sam w drugim pokoju. Miło jest słyszeć bicie serca Bena i czuć przez koszulę ciepło jego ciała. Patrzę na zegarek.

— Lepiej zejdźmy już na dół; dochodzi wpół do ósmej.

— Jedno ci powiem, Alice; na pewno miło będzie przestać jeść według harmonogramu.

Kiedy idę po Aarona, zauważam teczkę Bena opartą o ścianę przy drzwiach. Nie wiem, czy powinnam go zapytać. Ben niechętnie pokazuje swoje prace przed ich ukończeniem.

— Ben, masz już coś skończonego?

— Niezupełnie. Pokażę ci po kolacji, gdy Aaron będzie już w łóżku.

To niepodobne do niego. Zwykle kiedy chce coś pokazać, robi to od razu. Może jest zbyt podniecony kupnem mieszkania.

Podczas kolacji rozmawiamy o mieszkaniu. Próbuje ustalić, kiedy możemy otrzymać pieniądze, gdy niespodziewanie dociera do mnie, że za pięć dni są moje urodziny. Zastanawiam się, czy Ben nie zapomni. Zwykle jest niezastąpiony w takich sytuacjach. Pamiętał nawet o urodzinach mojej matki, a ja przypominałam sobie o nich dopiero w ostatniej chwili.

Gdy Aaron zasnął, Ben otwiera teczkę i wyjmuje niewielką litografię.

— I co myślisz?

Jestem zupełnie zaskoczona. Zwykle Ben wybiera największy z możliwych formatów, no, może nie wielkości ściany, ale na pewno nie tak mały jak ten. Podchodzę bliżej. Zaczyna opowiadać o swoich odbitkach i ustawia je w rzędzie na łóżku. Jest ich czternaście i wszystkie są tej samej wielkości. Bardzo mi się podobają, chociaż spodziewałam się zobaczyć coś bardziej wyrazistego; te są cudownie płynne i miękkie, całkowicie pozbawione agresywnej twardości

dotychczasowych prac Bena.

— Są wspaniałe, Ben, ale zupełnie nie w twoim stylu. Niby mają coś z ciebie, a jednak są inne.

Uśmiecha się i sięga do teczki. Nie chcę go urazić, ale nie potrafię też kłamać. Wyjmuje zadrukowane strony i układa je pod kolejnymi litografiami. Nachylam się i w pierwszej chwili wydaje mi się, że się rozplaczę, gdyż spada to na mnie tak niespodziewanie. Moje wiersze; te, które napisałam dla niego, zanim się pobraliśmy. Ben obejmuje mnie.

— Są inne, ponieważ pokazują nas, a nie tylko mnie. Wszystkiego najlepszego, kochanie. Składam ci życzenia trochę wcześniej, ale chciałem, żebyś przejrzała szcztotki, zanim pójdą do druku.

— Do druku? Chcesz powiedzieć, że znalazłeś kogoś, kto może je wydrukować? Mówisz poważnie?

— Jasne. Nie udawaj takiej zdziwionej. Będziesz poetką, która publikuje swoje wiersze.

Przytulam się do niego i kładę głowę na jego ramieniu, tak żeby nie widział, że płaczę. Dopiero po dłuższej chwili się opanowuję.

— Jak to zrobiłeś, Ben? Co za wspaniały prezent urodzinowy! Gdzie w ogóle znalazłeś te wiersze?

Odsuwam się i ocieram oczy. Ben siada na krześle, a ja mam ochotę podejść do niego i usiąść mu na kolanach, ale wiem, że wyglądałabym śmiesznie, więc się powstrzymuję. Nie jestem zbyt pieszczotliwym typem, ale tym razem mam na to ochotę.

— No cóż, po prostu zabrałem się do tych litografii i potrzebowałem jakiegoś tematu, który nie byłby specjalnie związany z malarstwem. A wiersze zabrałem w pudełku z ważnymi papierami. Pomyślałem, że zrobię dziesięć kopii na twoje urodziny, tylko dla nas. Kiedyś w tej pracowni, do której chodzę, zgadałem się z pewnym facetem z ambasady, który wykonywał jakieś reklamowe litografie. Ma coś wspólnego z public relations. Okazało się, że zna moje obrazy i spodobały mu się także moje litografie. Kiedyś zapytał mnie, czy zamierzam je opublikować. Najpierw myślałem, że tak tylko gada, ale on oświadczył, że może zdobyć pieniądze na niewielki nakład, coś w rodzaju promocji amerykańskiej kultury. Wreszcie dwa tygodnie temu przyszedł i powiedział, że zdobył dwa i pół tysiąca dolarów i może wydać pięćset kopii.

— Ben, to cudownie.

Wiem, że udało się to dzięki litografiom Bena, ale i tak wspaniale będzie zobaczyć swoje wiersze wydane.

— Tak więc wszystkiego najlepszego. Ostatecznie wszystko będzie skończone nie wcześniej jak pod koniec stycznia albo nawet w lutym, ale chciałem, żebyś już wiedziała.

— Jesteś niesamowity, Ben.

Pochyliłam się i całuję go, wtedy on przyciąga mnie i sadza sobie na kolanach. Całuje mnie tylko, ale ja podciągam nogi i przyciskam się do niego, i czuję go trochę.

— Nie mogłeś mi dać lepszego prezentu urodzinowego.

Po kilku minutach klękam przed łóżkiem, by dokładniej obejrzeć prace. Próbuje dopasować litografie do wierszy. Wracam myślami do czasów, gdy je pisałam; z jednej strony wydaje mi się, że od tamtej pory minęło tyle czasu, z drugiej zaś mam wrażenie, że dzieje się to w tej chwili. Jakby ktoś nagle mnie otworzył; nie, raczej zdarł ze mnie kolejne warstwy celofanu, dzięki czemu odzyskałam czucie. Przez chwilę nawet przypominam sobie, w jaki sposób odczuwałam dźwięki. Ilustracje Bena nie przypominają poematów. Nigdy nie tworzył niczego w tym stylu, ale dzięki nim moje wiersze stają się prawdziwsze, jakby ktoś zakreślił wokół nich czarne linie. Ben stoi za mną.

— I co? Udało mi się choć trochę wyrazić treść twoich wierszy? Myślę, że przynajmniej przekazałem dużo z tego, co sam chciałem powiedzieć.

— Ben, są cudowne. Nigdy nie widziałam niczego, co by w taki sposób pokazywało bliskość kobiety i mężczyzny. Współgrają ze sobą, a mimo to są inne, tak jak powinno być.

Znajduję w nich wszystko i wiem, że zawsze tak będzie.

— Przejrzyj szkotki i powiedz, jeśli będziesz chciała coś zmienić. Muszę mu dać odpowiedź do piątku.

— Ben, to jest takie podniecające; z tymi szkotkami czuję się jak prawdziwa autorka. Najpierw mieszkanie, a teraz to... czuję, że mogłabym pofrunąć.

Tej nocy ja i Ben jesteśmy jak moje wiersze i jego litografie. Chyba nigdy nie przyzwyczaję się do myśli, że jestem z kimś takim jak Ben.

ROZDZIAŁ 13

ALICE

Wyciskam trochę pasty na szczoteczkę i odkręcam wodę.

— Ben, teraz będę myła zęby.

Ben nie lubi odgłosów mycia zębów. Nie widzę go, ponieważ zasunęłam zasłonę, kiedy wstałam, ale wiem, że zatkał uszy.

Ben miał dobry pomysł z tym łóżkiem. Zamontował na słupkach coś w rodzaju zadaszenia, jakieś pięć stóp nad podłogą. Pod nie wstawił łóżko, które jest zasłonięte ze wszystkich stron i oddzielone od reszty pokoju. Sypialnia jest w tym samym pokoju co łazienka. Jest tam nawet lampa, teraz wyłączona.

Nasza malutka łazienka jest naprawdę miła. Ben tak to wymyślił, że mamy toaletę, umywalkę i prysznic. Wszystko jest małe, ale funkcjonalne. Nie chciałam wierzyć, że uda się nam tak to wszystko urządzić, i kosztowało tylko pięćset dolarów. Ben twierdzi, że człowiek, którego wynajęliśmy, jest geniuszem w swojej dziedzinie. Mamy bojler, z którego ciepła woda doprowadzona jest do kuchni.

Aaron śpi w pokoju obok; kiedy wchodzę, widzę, że już się obudził, ale jeszcze leży w łóżku.

— No, czas wstawać. Zdejmij piżamę i połóż ją na krześle, a ja pójdę po chleb. Tylko nie budź taty.

Wstaje i przechodzi przez wąskie drzwi, które Ben wybił między sypialnią z tyłu a resztą mieszkania. Jest taki słodki, kiedy jeszcze się całkiem nie obudzi, tak jak teraz.

Maluję usta i wkładam płaszcz. Wyjmuję siatkę spod kuchenki, nastawiam wodę na herbatę i wychodzę.

Sklepy są bardzo blisko. Kupuję chleb, margarynę i mleko. Potem idę po „Herald Tribune” dla Bena. Od czasu gdy kupiliśmy mieszkanie, nawet nie spojrzył na francuską gazetę. Kobieta, która je sprzedaje, zawsze się do mnie uśmiecha. Wracam, delektując się po drodze Paryżem. Zapowiada się chłodny, pochmurny dzień. Zanoszę Benowi gazetę do łóżka i pomagam Aaronowi się ubrać — siedzi w podkoszulku włożonym tył na przód. Jest dziesięć po ósmej, a zajęcia zaczynają się o wpół do dziewiątej. W *école maternelle* jest bardzo miło, jest ono czynne przez cały dzień. Zabieram Aarona na lunch o jedenastej trzydzieści, wraca o wpół do drugiej i zostaje w przedszkolu do piętnaście po czwartej. Dzięki temu Ben mógł swobodnie remontować mieszkanie.

Idę do kuchni zaparzyć herbatę. Kroję chleb i smaruję go masłem orzechowym i marmoladą. Aaron nie chce jeść płatków ani innej zdrowej żywności; trudno mu nawet wmusić trochę mleka.

Wreszcie schodzimy szybko po schodach i przecinamy place St-Sulpice, rozganiając stado gołębi. Zegar na Mairie pokazuje dopiero dwadzieścia sześć minut po ósmej. Zwalniam. Aaron drepce najszybciej jak potrafi. Dochodzimy do rue Madam, a stamtąd już tylko jedna przecznica. Matki prowadzące dzieci uśmiechają się do nas.

Przechodzimy przez westybul budynku na dziedziniec. Całuję Aarona. Normalnie rzadko żegnamy się w ten sposób, ale tak robią Francuzi, więc i Aaron już trzeciego dnia poprosił, byśmy żegnali się w podobny sposób. Idzie do dużej sali, gdzie dzieci czekają na ławkach pod ścianą, a potem rozchodzą się do swoich klas. Myślę, że podoba mu się tutaj, bo może się bawić z innymi dziećmi.

Wracam szybko do domu, ale oczywiście herbata zdążyła już wystygnąć i jest bardzo mocna, więc dolewam gorącej wody. Kroję jeszcze chleba i wkładam na tacę dżem i masło orzechowe.

Słyszę Bena w sypialni. Nigdy nie wstaje przed wyjściem Aarona, żebyśmy nie wchodzili sobie w drogę, i dopiero potem jemy razem śniadanie.

Właśnie przygotowałam wszystko na stoliku przy oknie, kiedy przychodzi. Jest w ubraniu, w którym maluje, i całuje mnie na dzień dobry, po czym wiesza w oknie klatkę z ptakiem, którego kupiliśmy w zeszłą niedzielę. Gdy kładzie na parapecie garść okruchów, natychmiast zlatują się gołębie. Od pewnego czasu stało się to jego porannym rytuałem. Nalewam mu herbaty, a on słodzi ją i smaruje chleb dżemem. Gdy pociąga łyk gorącego płynu, wydyma usta; zawsze tak robi, gdy pije pierwszy łyk. Ma bardzo wrażliwe usta.

— Dobra.

Gryząc chleb, pochyla się i wygląda przez okno.

— Mój rower jeszcze tam stoi. Chyba nikt go nie ukradnie, jeśli będę go przypinał do kościelnego ogrodzenia.

Ben kupił sobie jeden z francuskich rowerów i cieszy się jak chłopiec, który dostał nową zabawkę.

— Wiesz, Alice, założę się, że teraz wyprzedzę w Paryżu każdego kierowcę. Do Luwru jadę dziesięć minut. Ty potrzebujesz tyle, żeby dojść do metra. Która godzina?

— Pięć po dziewiątej. Masz jeszcze mnóstwo czasu, demonie szybkości.

Ben dolewa sobie herbaty. Ogranicza się do trzech kromek chleba, za to do herbaty pakuje chyba z trzysta kalorii z cukrem.

— Jak idzie praca, Ben?

— Masz na myśli Luwr?

— Uhm.

— W porządku. Mam już plan i zacząłem podkład. O tej porze roku nie ma tam zbyt wielu osób, szczególnie rano. Jest o wiele lepiej niż latem. Odbyłem miłą pogawędkę z tym czarnoskórym facetem, który wystawia co rano sztalugi. Pytał mnie, dla kogo wykonuję tę kopię. Nie chciał wierzyć, gdy mu powiedziałem, że dla siebie. Twierdzi, że większość z tych, którzy tam malują, to zawodowi kopiści, którzy robią to na zlecenie. Mówił, że przychodzi tam pewna kobieta, która kopiuje na zlecenie rządu hiszpańskiego.

— Malujesz tego Tycjana, o którym wspominałeś?

— Tak. *Mężczyzna z rękawiczką*. Wisi w głównej galerii, ale mimo to zwiedzający nie przeszkadzają zbyt. No i grzeją tam. W dalszych salach jest zimno.

Wysypuje więcej okruchów dla gołębi. — Wciąż nie mogę dojść, jak on to zrobił. Ten obraz zawsze mi się podobał ze względu na ten temat „V”, do tego jeszcze te dwa duże świetlne elementy, które łączy dzięki grubej warstwie farby na ciemnych powierzchniach z ciemnym tłem w wysokich miejscach. Dobrze. A tak przy okazji, co znaczy po francusku „truek” albo „truik”. Słyszałem wczoraj, jak ktoś z tyłu mówił, że to dobry trik.

— Nie wiem, Ben, ale Francuzi często używają tego słowa. — Wstaję.

— Nieważne, Alice. Sprawdźmy kiedy indziej; zjedźmy spokojnie śniadanie.

Spogląda na klatkę i gwizdże. Ptak przeskakuje na cienkich nóżkach z jednego drążka na drugi. Jest szary, w wąskie czarne paski, ma czarny łypek i spiczasty żółty dziób.

— Szkoda, że nic nie mówi. Facet na targu twierdził, że to *chanteur*, prawda?

— Rzeczywiście. Pewnie jeszcze się nie przyzwyczył do klatki.

— Która godzina, kochanie?

— Kwadrans po. Masz jeszcze dużo czasu.

Ben wstaje i włącza radio. On zawsze potrafi znaleźć jakąś muzykę, podczas gdy ja wciąż trafiam na te francuskie audycje rozrywkowe, w których słychać głównie śmiech. Tym razem jakaś dziewczyna śpiewa o Sekwanie: „Roule, roule, roule, quand il entre dans Paris...” Tak

cudownie jest siedzieć w spokoju we własnym mieszkaniu w środku Paryża.

— Ben, jak myślisz, co powinniśmy przygotować na wieczór, na przyjście Dudleyów?

— Przychodzą na kolację? Myślałem, że wpadną po prostu wieczorem, gdy dzieci pójną już spać.

— Pomyślałam, że przygotuję jakąś przekąskę.

— A może by tak zrobić pizzę z tego ciasta, które kupujesz w piekarni? Będzie w sam raz, a nie wymaga zbyt dużo pracy.

— Doskonale. Kupię czerwone wino i trochę precli. Wreszcie Ben zamyka okno i idzie do łazienki. Zmywam

naczynia i biorę się do sprzątnięcia mieszkania; gdy Ben znowu się pojawia, ma na sobie bluzę, którą ubiera na podróż. Kupiłam mu kask, ale jak dotąd tylko raz go założył, ponieważ twierdzi, że nic w nim nie słyszy. Martwię się o niego, kiedy jeździ po tych ruchliwych ulicach.

— W takim razie zobaczymy się około wpół do pierwszej, Alice. Zjemy razem lunch, kiedy Aaron wróci ze szkoły. Potem chyba zajmę się tym dywanem w tylnym pokoju.

— Ben, dzisiaj po południu w Alliance organizują wycieczkę do Auvers. Pojechałabym, jeśli nie jestem ci potrzebna. Wrócę przed piątą.

— Świetnie.

— A zatem do zobaczenia na lunchu.

Wieczorem mam już wszystko przygotowane na pół godziny przed przyjściem Dudleyów. Aaron leży w naszym łóżku, jest zachwycony i nazywa je królewskim namiotem. Ben rozpałił ogień w małym kominku i zaciągnął story, żeby wyciszyć hałas ulicy. Powiesiliśmy kilka kopii wykonanych przez Bena. Portret młodej żony Rubensa, Helen Forment, wygląda wspaniale nad kominkiem. Trochę zaszaleliśmy na wyprzedaży w Bon Marche i kupiliśmy gruby afrykański dywan, taki, na którym można siedzieć. Jest w ciepłych beżach i brązach, w naturalnych kolorach owiec, i wygląda wspaniale. Przygotowaliśmy kilka poduszek, miękkie krzesło i małą składaną kanapę. Myślę, że zmieścimy się we czworo. Pizza jest już przygotowana i trzeba ją tylko wstawić do piekarnika.

Ben włożył nowe spodnie i ciemnoszarą bluzę. Bardzo trudno go namówić, żeby się wystroił, a teraz robi to pewnie dlatego, że Nina jest taka ładna. Widzę, jak na niego patrzy. Wszystko to jest zupełnie niewinne, ale Ben zawsze wie i lubi, kiedy ktoś atrakcyjny zwraca na niego uwagę; to ludzka rzecz.

Dwukrotnie w czwartki spotykałam się z Niną, żeby chłopcy mogli się pobawić razem, i zauważyłam, że coś jest nie w porządku, ale nie wiem, o co chodzi. Z tą pracownią w drugim mieszkaniu to na pewno dobry pomysł, ale dziwne wydaje mi się to, że Clyde chodzi do Alliance.

Nie wiem, po co uczy się francuskiego; przychodzi tam mnóstwo młodych dziewcząt, a on jest w idealnym wieku. Nina jest trochę niezadowolona, bo nie może uczyć się francuskiego, tak jak się umówili z Clyde'em. Przy okazji ostatniego spotkania pomogłam jej zapisać Marka do *école maternelle*, więc może teraz będzie miała więcej czasu dla siebie. Może jednak nie ma nic złego w tym, że Clyde chodzi do Alliance. W końcu czy ja mam jakiś specjalny powód, żeby uczyć się francuskiego?

Słychać dzwonek u drzwi, więc idę otworzyć. Clyde od razu wręcza mi pudełko przewiązane wstążką.

— To na nowe mieszkanie

— Dziękuję, Clyde.

— Och, Alice, jakie śliczne mieszkanie!

Stoją niemal w drzwiach, ale udaje mi się je zamknąć.

— Daj mi płaszcz, Clyde.

Podaje mi swój trenicz; pod spodem ma garnitur, koszulę i krawat. Nina wygląda rewelacyjnie w ślicznym kostiumie Chanel. Nigdy wcześniej nie wyglądała tak ładnie. Szczerze mówiąc, nie znam drugiej osoby równie ładnej; ma zaróżowione policzki, oczy rozświetlone blaskiem z kominka, a jej świeżo uczesane włosy wydają się jeszcze jaśniejsze i bardziej rude niż dotychczas. Clyde spogląda na obraz nad kominkiem.

— A ty co, obrabowałeś Luwr?

Ben dokłada do ognia. Według mnie jest już ciepło w mieszkaniu, a gościom musi być gorąco w marynarce i żakiecie, ale nic nie mówię. Uchylam tylko drzwi do pokoju Aarona, żeby wpuścić trochę chłodniejszego powietrza.

— W pewnym sensie. Teraz pracuję nad Tycjanem.

— Nigdy nie próbowałem kopiować. Chyba powinienem kiedyś spróbować; z pewnością z technicznego punktu widzenia można się przy tym wiele nauczyć.

Podnosi się i podchodzi do obrazu. Ben także wstaje.

— Przy okazji kopiowania dużo nauczyłem się o laserunku i malowaniu na mokro, ale głównie interesował mnie jego sposób myślenia; nie sądzę, aby Rubens w ogóle myślał o przestrzeni inaczej niż w kategoriach pojemności. Zdaje się, że nie istnieje dla niego coś takiego jak linia w dwóch wymiarach. Widać to w sposobie jego malowania; choćby tutaj, pod krzesłem. Widać, jest nie dokończony i widać, jak sobie poradził z przestrzenią, fantastycznie.

Otwieram prezent — butelka Grand Marnier — i pokazuję Benowi. Uwielbia wszystko, co ma smak pomarańczy. Ben i Clyde wciąż stoją przed obrazem, więc dziękuję Ninie.

— Alice, cudowne mieszkanie. Trudno uwierzyć, że tak wspaniale można urządzić coś tak małego.

— Chodź, pokażę ci całe.

Wstajemy i przechodzimy do środkowego pokoju; włączam światło.

— Tutaj zwykle jemy, a Aaron śpi na małym łóżku pod ścianą. Jest trochę miejsca na ubrania.

Odsuwam zasłonkę niewielkiej szafy, którą zbił Ben. Panowie wchodzą za nami do pokoju zajęci rozmową.

— Chcę tutaj zmontować takie wysokie łóżko dla Aarona; wtedy będę miał więcej miejsca do pracy.

Ben rozpościera ramiona, pokazując, co ma na myśli. Wciąż opowiada o tym zwariowanym pomysłe, którego jakoś nie potrafię sobie wyobrazić. Nie wiem, w jaki sposób Aaron miałby spać gdzieś pod sufitem. Tak czy inaczej, trzeba będzie coś wymyślić, żeby Ben miał gdzie pracować. Otwieram drzwi do następnego pokoju.

— Ben sam wybił te drzwi; są wąskie, ale musiały być takie ze względu na łóżko.

— Kiedy się zabrałem do przecinania belek konstrukcyjnych, kazałem Alice zabrać Aarona do parku i nasłuchiwać, czy nie wali się nasz budynek.

Rzeczywiście tak było. Światło nad łóżkiem jest zapalone, więc widać wyraźnie Aarona.

Clyde odsuwa nieco zasłonę w nogach łóżka.

— Całkiem seksowne łóżko.

Pokazuję Ninie łazienkę, ale Clyde stoi przy drzwiach, więc gaszę światło i wszyscy wracamy do pokoju. Ninie chyba rzeczywiście podoba się nasze mieszkanie, ale nie wiem, co myśli Clyde. Idę do kuchni i włączam piekarnik; chwilę później przychodzi Nina.

— Mam nadzieję, że lubicie pizzę.

— Uwielbiamy, to ulubione danie w naszej rodzinie.

— Nino, wyglądasz ślicznie w tym kostiumie, pasuje do ciebie idealnie.

Nina spogląda na siebie, tak jak to robią ludzie, którzy oglądają swoje ubranie, gdy ktoś o nich mówi.

— Dziękuję, Alice. Mnie też się bardzo podoba, ale był bardzo drogi, a Clyde nic nie mówi.

Nie jestem pewna, czy chodzi jej o to, że Clyde nic nie wspominał o cenie, czy też, że nie mówił, jak wygląda w nowym ubraniu. Wstawiam pizzę.

— Powinna być gotowa za piętnaście minut.

Dochodzi dziesiąta. Clyde siedzi na podłodze oparty plecami o poręcz kanapy, wpatrzony w ogień.

— Clyde, nie chcesz usiąść na krześle?

— Och, nie, tu mi jest dobrze; lubię patrzeć w ogień.

Wszyscy milczymy przez dłuższą chwilę. Kiedy mam już zapytać, jak Markowi podoba się w przedszkolu, odzywa się Nina.

— To jest prawdziwy Paryż. Nasze mieszkanie jest w porządku, ale nie jest takie jak to.

Nikt nic nie mówi.

— Podoba mi się park Monceau, tylko że przychodzi tam dużo starych ludzi, a dzieci są jeszcze bardziej wystrojone niż w Ogrodzie Luksemburskim, i przychodzą z opiekunkami, wtedy już nie jest tak miło jak z matkami.

— Tam jest tak elegancko. Nie mają nawet pralni samoobsługowej, dlatego Clyde musiał kupić pralkę i suszarkę. Alice, teraz możesz przychodzić z praniem do nas. Będzie nam weselej razem.

Clyde wyciąga nogi przed siebie w stronę ognia.

— Tak, kupiłem Ninie pralkę i suszarkę, a teraz chcę kupić sobie porsche.

Znowu zapada cisza; powiedział to w taki sposób, że nie wiadomo, czy mówi poważnie.

— Dzisiaj byłem w salonie Porsche, w tym przy Raspail, na rogu Vaugirard, niedaleko Alliance. Za trzy dwieście można kupić samochód, który u nas kosztowałby z pięć tysięcy dolarów.

Słuchamy tylko.

— Sprzedasz volkswagena?

Nic innego nie przychodzi mi do głowy; Nina nic nie mówi.

— Nie, mielibyśmy go na dalsze wyprawy. W porsche nie ma miejsca na bagaże. Ma tylko dwa składane siedzenia z przodu i wąskie z tyłu dla dzieci.

— No, to brzmi interesująco.

Ben przygląda się Ninie, a ona uśmiecha się do niego, a potem do mnie.

— Clyde potrzebuje samochodu, którym mógłby jeździć po Paryżu. Volkswagen jest za duży i tak trudno go zaparkować.

— Byłem na jeździe próbnej na drodze do lotniska. Zanim się zorientowałem, już jechaliśmy sto czterdzieści na godzinę. Jakbym leciał samolotem.

Rozmawiamy jeszcze trochę o samochodzie; nie interesuje mnie specjalnie ten temat. Mnie wystarczy, jeśli samochód zapala rano i toczy się w ciągu dnia. Patrę na zegarek; pizza powinna być gotowa lada moment, więc idę do kuchni. Wyjmuję sałatkę, którą przyrządziłam wcześniej.

— Alice, naprawdę, nie powinnaś robić sobie tyle kłopotu. Mówiłaś, że nie będzie kolacji.

— Ale tam, pizza to żadna kolacja, a co warta pizza bez sałatki?

— W takim razie mogę ci jakoś pomóc?

— Możesz podać Benowi wino i korkociąg? Doskonale sobie z tym radzi i lubi to robić.

Ben uśmiecha się, biorąc od niej butelkę, wkręca korkociąg i powoli wyciąga korek, nie odrywając od niej wzroku. Widzę ich w małym okienku wybitym w ścianie między kuchnią i pokojem. Stoi przed nim jak mała dziewczynka. Wyjmuję pizzę i sprawdzam spód; jest brązowy, więc chyba się przypiekła. Kładę blachę na kontuarze i kroję pizzę na długie kawałki, które potem dzielę na trzy części. Zsuwam wszystko na duży talerz. Pokazuję Ninie, skąd ma wyjąć

obrus, i wkrótce jesteśmy gotowi do kolacji.

— Hej, to wygląda wspaniale. W domu Nina często piekła pizzę, ale tutaj nie może znaleźć wszystkich składników albo nie zna ich nazw po francusku.

— Jest łatwiejszy sposób, Nino. Idziesz rano do piekarni i kupujesz *pâté de pain*. Sprzedają gotowe ciasto.

— To cudownie. Ser i resztę rzeczy znajdę bez problemu; miałam kłopoty z drożdżami.

Clyde próbuje pizzy i podnosi swój kawałek, pochylony nad stołem, usiłując złapać ser, który ciągnie się długim pasmem.

— Pyszna, Alice. Wspaniała, prawda, Nino?

— Przepyszna.

Wino, pizza i ogień sprawiają, że wszystko wydaje się czerwone, ciepłe i przytulne. Cieszę się, że ich zaprosiliśmy. Gdy kończymy jeść, Ben wstaje i znika w sypialni. Po chwili wraca z niewielkim pakunkiem owiniętym w brązowy papier i patrzy na mnie.

— No cóż, Alice, mam je w końcu. Wprawdzie nie poprawione, ale złożyli dla mnie jeden egzemplarz. Sam jeszcze nie oglądałem.

Próbuje rozwiązać sznurek. Wyjmuję z szuflady nożyczki, lecz on chce to zrobić sam i wreszcie udaje mu się rozsupłać węzeł.

— To jest pierwszy egzemplarz książki Alice.

— Naprawdę?

Nina odwraca się do Clyde'a.

— Alice wydaje swoje wiersze ilustrowane litografiami Bena. Czy to nie wspaniale, Clyde? Zapomniałam ci o tym powiedzieć.

Ben rozkłada kolejne strony na podłodze przed kominkiem. Litografie wyszły idealnie, także wysoka, prosta czcionka, którą wybraliśmy, wydaje się bardzo dobra. Nie chce mi się wierzyć, że to moje wiersze. Ben uparł się, żeby dać tytuł *Wiersze od Alice*, i teraz podoba mi się strona tytułowa.

Przez dłuższą chwilę milczymy. Wszystko wygląda tak profesjonalnie. Wreszcie Clyde podnosi jedną ze stron.

— Te litografie przypominają trochę twoje obrazy, które oglądałem. Wydawało mi się, że teraz malujesz w sposób bardziej obrazowy.

— Nie potrafiłem inaczej zilustrować tych wierszy. Nie umiałem wyrazić moich odczuć w formie konkretnych obrazów czy przedmiotów. Na tym polega problem tworzenia na podstawie innego dzieła sztuki; zawsze coś się traci.

Nina spogląda ponad ramieniem Clyde'a.

— Są piękne; każdy przypomina coś wyjątego ze światła za pomocą igły. Jesteś pewnie bardzo dumna, Alice.

Uśmiecham się do niej i kiwam głową potakująco. Staram się przypomnieć sobie uczucia, pod których wpływem pisałam te wiersze. Wydaje mi się, że to było tak dawno temu, i oto teraz leżą przede mną i zostaną powielone w wielu egzemplarzach. Ben rozkłada je na podłodze.

— Oczywiście przede wszystkim uwagę przyciągają litografie, ale wiersze są wspaniałe. Tak pięknie mówią o barwach i przestrzeni, że wydały mi się naturalną treścią dla litografii. Może Alice przeczyta nam jeden.

— Nie wiem, Ben. Już tak dawno nie czytałam na głos poezji, a szczególnie własnej.

Ninie rozbłyskują oczy.

— Proszę, Alice, bardzo lubię słuchać poezji, chociaż sama nie potrafię czytać jej na głos. Zatrzymuję się, gdy tylko zobaczę dużą literę, i nie wiem, co dalej robić.

— Alice, może ten o piasku? Mam go tutaj.

Ben podnosi arkusz zilustrowany bielą i żółcią przedzielonymi w niektórych miejscach linią tak cieniutką, że niemal zanika, w innych wyglądało to jak spowijające wszystko ciemne obłoki. Biorę arkusz i szybko przebiegam tekst wzrokiem. Wiersz nie jest długi.

— Dobrze.

Chrząkam i czuję, że jest to niemal ponad moje siły; mam wrażenie, że znowu uczę pierwszaków angielskiego, czytam Coleridge'a, a oni spoglądają na mnie w charakterystyczny sposób, który mówi: „znowu coś wymyśliła”.

*Byłam piaskiem, raz usypanym w wydmy,
Kiedy indziej w ocienione grzbiety
Zagubionego wspomnienia wody; ofiara
Wiatrów; nicość miotana przez nicość.
Turlająca się po bezkresnej pustyni.*

*I przyszedłeś ty; morze ciskające
Słoną pianę, nadające postać,
Rzeźbiące w piasku.
Woda wypełniająca
Moją pozorną nieskończoność.
Aż się przelata i osunęła
Z powrotem do morza.
Morze pieści piasek i
Z łatwością zabiera go w wodną pełnię,
Ożywiając i umacniając brzegi morza.
Piaskowy pył już nie leci z wiatrem.
Pustynia chyli się ku głębinom
Coraz bardziej.*

Czekam. Nie potrafię w tej chwili nic powiedzieć, podobnie jak Ben. Spoglądam na niego, a on puszcza do mnie oko; rzadko kiedy to robi.

— Alice, to było cudowne. Możesz przeczytać jeszcze raz wolniej? Zgubiłam się w miejscu, gdzie woda wynurza się z piasku. Niemal to zobaczyłam i poczułam zapach suchego piasku nasiąkającego wodą.

Czytam jeszcze raz, wolniej, i teraz czuję się lepiej. Nina rzeczywiście mnie rozumie. Po drugiej strofie zerkam na Clyde'a. Siedzi wpatrzony w ogień. Czytam dalszą część wiersza.

— Alice, bardzo mi się podoba. Nie sądzę, żeby mógł to napisać mężczyzna. Myślę, że tak potrafi czuć tylko kobieta.

Clyde odwraca głowę w moją stronę.

— Ładnie, Alice. Ale mężczyźni także czasem czują podobnie. Może nie dokładnie tak samo, ale myślę, że trzeba odczuwać w podobny sposób, jeśli chce się coś uchwycić albo ogarnąć.

Ben klęczy na podłodze.

— Kiedy zacząłem robić te litografie, początkowo trudno mi było wniknąć w treść wierszy. Ja chyba nie myślę w ten sposób. Nie potrafiłem przyjąć perspektywy, że coś ważnego oddziałuje na mnie; to widać w moich litografiach. Po prostu położyłem żółcienie i dopiero potem zacząłem pracować nad linią. Byłem morzem, a następnie naniósłem tę cieniutką materię, aby wszystko zjednoczyć i stać się powietrzem przesyconym solą, może nie całkiem, w każdym razie miałem na myśli coś, co napiera, przenika do próżni czy innej pustej przestrzeni. Nie, ilustracja nie jest

wierną kopią wiersza. W wierszu czujesz, że jesteś piaskiem, na który oddziałuje morze, natomiast w mojej litografii ty jesteś działaniem piasku. Wszystkie mają podobny charakter.

Clyde podnosi jedną z ilustracji, oglądają i czyta wiersz. To ten o deszczu na ścianie.

— Naprawdę, Alice, są doskonałe, jak mężczyzna i kobieta. Kiedy będą gotowe? Kupię kilka.

Ben wraca na krzesło.

— Za jakiś miesiąc. Dostaniesz, Nino, podwójny egzemplarz z dedykacją.

Nie wiedziałam, że miało to nastąpić tak szybko. Przez chwilę czuję, że nie chcę, aby ktokolwiek inny poza mną i Benem miał moją książkę.

Ben składają w całość. Nina stoi za nim i patrzy, jak dopasowuje kolejne arkusze, tak by tworzyły strony. Zbieram naczynia i odnoszę je do kuchni. Nina zbiera kieliszki i podaje mi je na progu kuchni.

— Naprawdę, Alice, moim zdaniem twoje wiersze są wspaniałe. Na pewno odniesiesz sukces. Jestem z ciebie dumna.

— Nie byłyby nic warte bez litografii.

— Och, Alice, nie bądź taka skromna.

Wkładam naczynia do ciepłej wody. Mogę je zmyć później.

— Nie, Nino, naprawdę tak myślę. Szczerze mówiąc, tak naprawdę moje wiersze przemówiły do mnie dopiero w chwili, gdy ujrzałam litografię. Są takie ulotne, tak bardzo kobiece, że potrzebują tła, które pozwoli je zauważyć. — Wycieram ręce w ręcznik.

— Nie będziemy zmywać? Jestem gotowa do wycierania.

— Chciałam pozmywać później.

— Zróbmy to teraz. Nie ma ich aż tyle, a poza tym czułabym się okropnie, wiedząc, że ja siedzę sobie w domu, podczas gdy ty męczysz się tu sama. — Zerka przez ramię. — Panowie chyba nas nie potrzebują w tej chwili.

Zmywanie zajmuje nam zaledwie kilka minut. Lubię Ninę; zwykle atrakcyjne kobiety nie są takie miłe. Gdy wracamy do pokoju, Ben i Clyde rozmawiają o obrazach. Clyde mówi, że ma okres zastoju.

— Zawsze tak jest. Uważam, że ci spośród znanych mi malarzy, którzy zawsze byli zadowoleni ze swojej twórczości, nie są najlepsi.

— Nie miałbym nic przeciwko temu, żebyś wpadł któregoś dnia i zerknął na moje płótna. Może mógłbyś mi udzielić kilku rad, które by mi pozwoliły ruszyć z miejsca.

— Jasne, chętnie obejrzę twoje obrazy. Chociaż nie znam malarza, który by umiał udzielić innemu skutecznej porady. Ale chętnie obejrzę twoje prace. Ile masz tego?

— No cóż, trzy mogę uznać za skończone. W każdym razie nie wiem, co jeszcze mógłbym z nimi zrobić. Jednocześnie pracuję nad dwoma innymi.

— Kiedy mogę je obejrzeć? Alice mówi, że malujesz w poprzednim mieszkaniu, świetnie.

— W każdej chwili. Za kilka tygodni muszę pojechać odebrać samochód, ale wcześniej możesz wpaść w każdej chwili przed moim wyjazdem.

— Dobrze, w takim razie może w następny wtorek. W ten muszę iść do pracowni litograficznej, ale w przyszły będę wolny.

— Świetnie, rano czy po południu?

— Może być rano.

— Powiedzmy, o dziesiątej; nie pójdę do Alliance.

— A o której masz zajęcia?

— Od dziesiątej do dwunastej.

— W takim razie spotkajmy się o dziewiątej.

— Dobra, może do tego czasu skończę któryś z tych dwóch obrazów. One przynajmniej

pokazują trochę to, do czego zmierzam.

W mieszkaniu zrobiło się bardzo ciepło; dostrzegam kropelki potu na czole Niny.

— Ben, ale tu gorąco. Otworzę okno.

Po dusznym powietrzu pokoju wypełnionego zapachem pizzy odgłosy i zapachy samochodów, restauracji, kamieni i cementu wydają się niemal odświeżające. Księżyc dotyka szczytu dachu kościoła. W jego blasku kamienie połyskują biało. Wychylam się i spoglądam w dół; Nina staje obok mnie.

— Czy to nie piękne? Powietrze wydaje się przepelnione życiem.

Odwracam głowę i patrzę w głąb mieszkania. Clyde stoi obok Niny. Ben gasi światło, tak że teraz rozjaśnia tylko blask ognia z kominka i światło księżyca. Wydaje się, że świat zewnętrzny wdiera się do środka.

— Naprawdę, Alice, tego właśnie oczekiwałam w Paryżu. Pragnęłam poczuć, że coś się dzieje, a ja w tym uczestniczę, choćby tylko przez samą obecność tutaj. Po raz pierwszy czuję, że naprawdę jestem w Paryżu.

Milczę. Przecież ma idealne mieszkanie. Ludzie zawsze czegoś chcą, a gdy już to osiągną, nie potrafią się tym cieszyć.

— Clyde, czy to nie jest wspaniałe? Czuję się, jakbym się znalazła gdzieś na krawędzi urwiska, wysoko i bezpiecznie, w samym środku miasta. Gdybym umiała urządzić wszystko tak jak ty, Alice, moglibyśmy zostać w naszym poprzednim mieszkaniu i nie mieszkalibyśmy wśród tych snobów.

— Ach, Nino, tam też jest miło. Masz blisko do Lasku i dużych sklepów z Champs. Każda część Paryża ma inne zalety.

— Wiem, ale ja zawsze wyobrażałam sobie, że tak właśnie będzie w Paryżu.

Już nic więcej nie mówi, a ja czuję, że też nie powinnam. Ben stoi za mną. Clyde zapala fajkę.

Stoimy tak dobry kwadrans. Prawie się nie odzywamy. Ben, wsuwa nogę między moje. Potem już nie siadamy, a oni chcą już wracać. Umawiam się z Niną, że przyjdę z praniem w czwartek.

Po ich wyjściu nie czuję zmęczenia, więc zapalam lampę, żeby trochę poczytać. Minęła dopiero północ. Wiem, że Ben chce, bym już przyszła do łóżka, ale ja jeszcze nie mam ochoty.

ROZDZIAŁ 14

CLYDE

Słyszałem, jak bierze płaszcz, otwiera drzwi i zamyka je za sobą. Miałem nadzieję, że dozorczyńni nie zaczną jej o nic wypytywać; nasłuchiwałem przez chwilę, ale nie usłyszałem żadnych głosów. Położyłem się na łóżku. Nie miałem ochoty wstawać.

Rankiem następnego dnia nie wiedziałem, co zrobić. Nie miałem pojęcia, jak to się nazywa po francusku, i nie byłem pewien, czy w ogóle chcę to kupić. Jednocześnie zastanawiałem się, co będzie, jeśli znajdziemy się w podobnej sytuacji, a ja znowu nie będę niczego miał. Dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, jak małe mam doświadczenie w tych sprawach. Trudno uwierzyć, że dożyłem trzydziestki i nigdy nie kupowałem gumek. Znam wszystkie nazwy, jakich używa się w Ameryce, a nawet francuskie slangowe wyrażenie *capot*, które brzmi podobnie do *chapeau*. Próbowałem sprawdzić w słowniku francusko-angielskim, ale nic nie znalazłem. Wreszcie jednak zebrałem się na odwagę i poszedłem do *pharmacie*. Wybrałem taką dużą przy rue de Rennes, ponieważ zobaczyłem za ladą tylko dwóch mężczyzn. Spróbowałem ze środkiem profilaktycznym, wtedy jeden z nich przyniósł mi szczoteczkę do zębów. Zapytałem więc, czy mają coś „contra les babies”. Sprzedawca spojrzał na mnie, jakbym był mordercą. Wreszcie jednak dotarło do niego, o co mi chodzi, bo wysunął szufladę i wyjął paczkę bez słowa. Wziąłem je do ręki. Zrozumiałem tylko, że jest ich w opakowaniu dwadzieścia cztery. Nie miałem zamiaru pytać o nic więcej. Zapłaciłem piętnaście franków, cokolwiek to było. Zaraz po powrocie do mieszkania otworzyłem opakowanie, żeby się przekonać, co naprawdę kupiłem.

* * *

Malowałem około dwóch godzin, kiedy przyszła Marianne. Pracowałem w brązie, eksperymentując z impastem, ale ostrożnie, tak żeby nie napaćkać. Ucieszyłem się na jej widok i miałem ochotę przerwać, lecz ona powiedziała, że chce popatrzeć, jak pracuję. Próbowałem malować dalej, ale nie potrafiłem, wiedząc, że mnie obserwuje. Poza tym nie wiedziałem, co zrobić z całą tą farbą, którą nałożyłem na płótno.

Wcześniej kupiłem butelkę wina z róży, więc zaproponowałem, żebyśmy dokończyli tort.

— Na górze?

Spojrzała na mnie z ukosa. Wytarłem ręce z farby i podszedłem do niej. Objąłem ją, a ona położyła dłonie na moich plecach.

— Nie, jeśli nie chcesz, Marianne. Możemy urządzić przyjęcie tutaj. Dzisiaj jest ciepło.

Przez chwilę milczała z głową opartą na mojej piersi. Odchyliłem się nieco, by spojrzeć na nią.

— Zostań na dole i popracuj jeszcze trochę, a ja przygotuję wszystko na górze.

— Dobrze.

Wróciłem do sztalug, choć skończyłem malować. Wymyłem pędzle i zeszkrobałem nożem farbę z krawędzi. Marianne poszła najpierw do kuchni, a potem na górę. Zostawiłem tam wszystko mniej więcej tak jak było, poza tym, że pościeliłem łóżko i wylałem szampana do zlewu. W kuchni została jeszcze butelka. Pomyślałem, że muszę się jej pozbyć, na wypadek, gdyby przyszła Nina.

Domyśliłem się, że Marianne znalazła jeszcze świece, bo dostrzegłem migotanie ich światła na suficie. Zaciągnąłem zasłony, co bardzo zmieniło atmosferę w pokoju.

— Clyde, zamknąłeś drzwi?

Przygotowała stół niemal tak samo jak poprzednim razem i zapaliła nowe świece. Siedzieliśmy i rozmawialiśmy, trzymając się za ręce, a ona oznajmiła, że do jej powrotu do domu pozostał jeszcze tydzień. Bardzo mnie przybiła ta wiadomość. Zacząłem mówić o samochodzie; wspomniałem o kolorze i o terminie odbioru. Okazało się, że jej wyjazd zbiegał się z moją wyprawą po samochód.

— Marianne, a może byśmy pojechali razem?

— Och, Clyde, to niemożliwe. Co by powiedziała twoja żona?

— Jadę sam. Mielibyśmy dla siebie jeden dzień więcej.

— Nie wiem, Clyde.

— Będzie, jak zechcesz, Marianne.

— Naprawdę myślisz, że moglibyśmy jechać razem? Byłoby cudownie.

— Oczywiście. Powiedz, że pojedziemy razem.

— Och, Clyde.

Wstała, obeszła stół i usiadła mi na kolanach. Zdjąłem jej okulary i pocałowałem ją. Odpowiedziała pocałunkiem i zaczęliśmy się całować, aż poczułem, że jest mi trochę niewygodnie, bo byłem coraz bardziej podniecony. Wstałem, trzymając ją w ramionach. Splotła dłonie na mojej szyi. Zaparłem się mocno nogami; miałem nadzieję, że nie nadwerzę pleców. Byłoby okropnie, gdyby stało się to właśnie w takiej chwili. Opuściłem ją na łóżko, a ona pociągnęła mnie za sobą. Położyłem się obok niej. Przywarliśmy do siebie i tym razem zaczęło się dość gwałtownie. Inaczej niż ostatnio.

— Proszę, Clyde, zdejmij mi buty. Boję się, że pobrudzimy łóżko.

Sięgnąłem w nogi łóżka i zsunąłem jej buty. Objęła mnie ramionami i przysunęła usta do mojego ucha.

— Rozbierz mnie, Clyde. Chcę, żeby wszystko było z tobą po raz pierwszy.

Poczułem, jak coś skręca się w moim wnętrzu. Spojrzałem jej w oczy. Drżącymi dłońmi zacząłem rozpinać guziki jej swetra.

— Clyde, czy ja jestem aż taka zła? Nie wiem, o co chodzi. Tak bardzo cię pragnęłam. Nie mogłam zasnąć w nocy.

Jej ciało poddawało się moim dłoniom, więc bez trudu zdjąłem jej spódnicę. Tym razem z łatwością rozpiąłem jej stanik. Teraz był inny, miał więcej koronek i był w komplecie z majteczkami. Uniosła się trochę, gdy zsuwałem z niej halkę. Poczułem pod palcami ciepłą jedwabistość jej ciała i przycisnąłem ją mocno do siebie. Miała na szyi naszyjnik z pereł. Nigdy wcześniej nie byłem tak blisko nagiej kobiety ubranej. Jakbym ją zaskoczył. Z pewnością wyczuwała mnie nawet przez ubranie.

— Ty też, Clyde.

Wstałem i zacząłem rozpinać guziki koszuli. Miałem wrażenie, że jest jej zimno.

— Zmarzniesz, Marianne. Przykryj się.

Podniosłem narzutę, a ona przewróciła się na bok, a potem wsunęła pod przykrycie. Zdjąłem koszulę. Marianne przykryła się aż po szyję.

— Clyde?

Domyślałem się, o co chce mnie zapytać.

— Czy... masz coś?

Skinąłem głową.

— Na dole, w kieszeni marynarki.

Wiedziałem, że też jest zawstydzona, bo odwróciła głowę, ale nie było aż tak źle, jak się obawiałem.

Zszedłem na dół, wyjąłem paczuszkę z kieszeni i poszedłem do łazienki.

Gdy wróciłem na górę, odwróciła się do mnie i zaczęliśmy się całować. Wcisnąłem się między jej nogi i zacząłem całować jej szyję, piersi, biodra. Wsunąłem język w zagłębienie jej pępka i przesunąłem nim po jej gładkim brzuchu.

Przesunąłem językiem wzdłuż jej łuku. Marianne zanurzyła dłonie w moje włosy i zaciskała je mocniej, kiedy bardziej napierałem. Rozsunęła nogi; płakała.

— Tylko, nie zrób mi krzywdy, Clyde, proszę. Jesteś pewien, że wszystko jest w porządku?

— Założyłem to. Będę ostrożny.

Pocałowałem ją. Znowu byłem bardziej miękki. Takie zamartwianie się nie usposabia mnie najlepiej. W pewnym sensie chyba nie jestem dość męski. Po prostu leżałem na niej spokojnie. Nie chciałem, żeby zauważyła, że coś jest nie tak. Mogłaby to uznać za wielką zniewagę po tym, jak się zgodziła. Im więcej o tym myślałem, tym gorzej wyglądała moja sytuacja. Zacząłem się już zastanawiać, dlaczego w ogóle zacząłem to wszystko. Seks wydawał się taki podniecający, mimo to nic z tego nie wychodziło. Może to tylko moja wina.

— Clyde?

— Tak?

— Powiedz mi coś.

— Słucham?

— Po prostu powiedz mi coś. Nie wiedziałem, co ma na myśli.

— Co ci mam powiedzieć, o czym?

— O czymkolwiek. Po prostu powiedz coś.

Chciała, żebym z nią „porozmawiał”, podobnie jak Nina.

— Przepraszam.

— Nie o to mi chodziło. Nie mów tak, Clyde, proszę. To moja wina. Nie wiem, jak powinnam się zachować. Powiedz, co chcesz, żebym zrobiła.

— Nie chcę, żebyś coś robiła, Marianne. Ta przeze mnie. Byłem zbyt podniecony i trochę za bardzo się martwiłem, a poza tym nigdy wcześniej tego nie używałem; chyba jestem zbyt wrażliwy.

— Wiem, Clyde. Nie martw się.

Teraz leżeliśmy obok siebie, a ona uniosła głowę i pocałowała mnie, kładąc dłoń na mojej piersi. Miło jest być tak całowanym, kiedy samemu leży się spokojnie. Całowała moje brwi, podbródek i szyję.

— Powiedz, mi, co mogę zrobić, Clyde. Chcę robić z tobą wszystko.

— Rób to, co teraz, Marianne. Nie chcę niczego więcej. Omal nie powiedziałem: Nino.

Położyła się na mnie cała i wtedy poczułem, że twardnieję. Czułem, jak się podnoszę i dotykam jej ud. Przyciągnąłem ją do siebie i przewróciłem na plecy.

Marianne odchyliła głowę do tyłu; oczy miała zamknięte, a usta otwarte. Podniosłem się na rękach i spojrzałem na nią z góry. Poczułem się bardzo dobrze, wiedząc, że to ja patrzę na nią w ten sposób. Kilkakrotnie powtarzała chrapliwie „nie”, raz powiedziała „nein”, a potem „Clyde” i „proszę, Clyde”. Przywarłem do niej mocniej i zacząłem poruszać się szybciej. Wreszcie nasze usta zwarły się mocno, aż poczułem jej zęby. Nie miałem pewności, czy szczytowała ze mną. Z Niną też nigdy nie wiedziałem, jeśli mi nie powiedziała. Czasem wydawało mi się, że była ze mną, a potem mówiła, że nie.

Czułem, jak mocno bije mi serce, jakby zaraz miało przestać pracować. Leżeliśmy nieruchomo. Jej piersi były wilgotne od mojego potu.

— Dobrze ci było, Marianne?

— Proszę, Clyde, nic nie mów teraz.

Leżeliśmy tak jeszcze jakiś czas, aż zacząłem się bać, że jestem dla niej za ciężki, i chciałem się obrócić na bok, ale mnie powstrzymała.

— Nie odchodź.

Próbowałem się odprężyć. W końcu poszedłem na dół nie ubrany i umyłem się w kuchni; była tylko zimna woda. Gdy wróciłem na górę, Marianne wciąż leżała w łóżku. Położyłem się i przywarliśmy do siebie.

— Było mi tak dobrze, Clyde. Chyba miło jest być mężatką.

Później znowu zaczęliśmy rozmawiać o jej wyjeździe i naszej wspólnej wyprawie; postanowiliśmy, że pojedziemy razem. Zaczęła się martwić, czy starczy jej pieniędzy, by zapłacić za bilety kolejowe i za noclegi w instytucie, w którym mieszkała. Powodowana tym swoim dziwnym wyobrażeniem niezależności, nie chciała, żebym zapłacił za bilety.

— Dlaczego nie zamieszkaś tutaj, zamiast tracić pieniądze. I tak nikt tu nie mieszka poza popołudniami, kiedy przychodzę malować. Byłoby taniej.

— Ale dozorczyńni zobaczyłaby, jak wchodzę i wychodzę.

Miała rację.

— W takim razie mogłabyś siedzieć tu przez cały czas, a ja bym ci przynosił jedzenie. Byłabyś moim więźniem. Przytuliła się do mnie jeszcze mocniej.

— Och, Clyde, bardzo bym chciała. Leżeliśmy jakiś czas w milczeniu.

— Mogłabym wysłać pocztę do Niemiec z instytutu. Nigdy by się nie dowiedzieli. Po prostu bym zniknęła na tydzień.

Teraz zacząłem poważnie rozważać taką ewentualność. Tylko że mogła przyjść Nina. Teraz miała wolne popołudnia i mogła tu zajrzeć któregoś dnia. Wiedziałem, że muszę to jakoś zorganizować; już nie mogłem się wycofać.

— Clyde, naprawdę sądzisz, że moglibyśmy tak zrobić?

— Dlaczego nie.

— Mogłabym zanieść mój bagaż do przechowalni, a tutaj miałabym tylko małą torbę.

Patrzyła na mnie oparta na łokciu. Wiedziałem, że mi się przygląda badawczo, by się upewnić, czy rzeczywiście tego chcę. Cudownie byłoby móc spędzić razem ostatni wspólny tydzień.

Marianne wstała, tak jak poprzednim razem, ale teraz nie kazała mi już zamykać oczu, kiedy się ubierała.

— Clyde, już po piątej. Lepiej się ubierz.

— Marianne, chodź tu na chwilę.

Podeszła do łóżka i usiadła na brzegu. Przyciągnąłem ją do siebie i pocałowałem. Też mnie pocałowała i zaraz usiadła prosto, przeczesując dłonią włosy.

Włożyła bluzkę i sweter, a potem przysunęła krzesło przed lustro wiszące na ścianie i zaczęła się czesać. Wyglądała cudownie w blasku świecy. W pewnym momencie odwróciła się i spojrzała na mnie.

— Pójdę i będziesz mógł się ubrać.

— Kiedy znowu się zobaczymy?

— Jutro rano zaniosę bagaże na dworzec i przyjdę po południu. Dobrze?

— Nie. Przyjadę i zawiozę twoje bagaże na dworzec.

— Nie wolno ci tego robić. Ludzie z instytutu mogliby coś podejrzewać. Wezmę taksówkę na dworzec, a potem przyjadę do ciebie.

— Dobrze.

Przez chwilę przyglądała mi się uważnie.

— Czy na pewno będzie w porządku, jeśli tu zamieszkać?

— Bardziej niż w porządku, Marianne, będzie cudownie.

— Dobrze.

Schowała grzebień do torebki, po czym wyjęła malutki pędzelek z tuszem i umalowała brwi. Umalowała też usta. Nie odrywałem od niej wzroku, widziałem, że i ona patrzy na moje odbicie w lustrze.

— Clyde, teraz już znasz wszystkie moje kobiece tajemnice.

— Nie wszystkie, Marianne.

— Tak, nie wszystkie. Uśmiechnęła się do mnie w lustrze.

Gdy wyszła, wstałem i ubrałem się. Rozsunąłem zasłony i zobaczyłem, że za oknem jest już ciemno. Obliczyłem, że pewnie dochodzi szósta. Pościeliłem łóżko na górze, posprzątałem i odsunąłem stół z powrotem pod ścianę. Zniosłem na dół drugie krzesło. Wszystko wyglądało jak przedtem. Wyłączyłem grzejnik i wyszedłem.

Marianne przysłała w poniedziałek. Miała ze sobą tylko niedużą reklamówkę i powiedziała, że dozorczyńi chyba jej nie widziała. Nakupiłem mnóstwo żywności i różnych innych rzeczy, a Marianne zaczęła od sprzątania. Zamiotła całe mieszkanie, kazała mi wynieść oba chodniki i je wytrzepać. Tego dnia nie zostałem na noc, dopiero następnego.

Leżeliśmy jeszcze w łóżku drugiego dnia, gdy ktoś zapukał do drzwi. Czekaliśmy w milczeniu, aż sobie pójdzie. Dopiero później przypomniałem sobie, że właśnie wtedy miał przyjść Stein obejrzeć moje obrazy.

Ja też już nie chodziłem do Alliance. Nie zostało nam dużo czasu i wydało mi się głupotą siedzenie w klasie, podczas gdy ona była tutaj. Trochę malowałem, ale niezbyt dużo, kupiłem też sześć nowych ram i płócien. Naciągnąłem płótno na czterdziestkę. Marianne czasem przychodziła popatrzeć albo robiła herbatę; dużo rozmawialiśmy. Było naprawdę miło.

Nina martwiła się, gdy nie wróciłem na noc do domu pierwszego wieczoru, ale wyjaśniłem jej, że nie chciałem przerywać malowania. Mówiła, że po prostu bardzo się niepokoiła i że powinienem być ją zawiadomić. Obiecałem, że przyślę jej telegram, jeśli znowu zdecyduję się zostać na noc w pracowni. Nie wyraziła sprzeciwu, ale nie wiem, co naprawdę myślała.

Trzeciego dnia zacząłem dwa nowe obrazy. Wciąż nie skończyłem jeszcze obrazów z tematem parku Monceau, utknąłem jednak w martwym punkcie i uznałem, że może znajdę natchnienie, zaczynając coś nowego. Ponadto chciałem wyrazić w jakiś sposób to, co łączy mnie z Marianne. Wiedziałem, że ma to coś wspólnego z czerwienią i ciemną purpurą oraz niemal elektrycznym rodzajem żółci, ale nie widziałem tego dokładnie. Wydawało mi się, że jest w moim umyśle, jednak gdy tylko próbowałem na to spojrzeć, przesuwało się. Nie chodziło mi o portret ani nic takiego, raczej coś w stylu Chagalla, lecz bez tych wolnych pociągnięć i długich postaci. Ja czułem coś innego, coś twardszego i bardziej napiętego, ale równie rozciągniętego jak u Chagalla.

W pierwszym obrazie zacząłem przedstawiać dziwne rzeczy, świece i dłonie, jednakże wydało mi się to zbyt dosłowne, więc przerwałem malowanie. Ogólna idea była dobra, ale nie potrafiłem oddalić się od myśli wystarczająco daleko. Na drugim płótnie trzymałem się form pozostających w zmieniającej się opozycji. Właściwie to nic nie było przeciwstawione niczemu innemu, lecz było tam ciśnienie, odcienie napięcia, które odczuwałem i którego nie chciałem dusić w sobie. Przypominało to cieniutką rozciągłość podobną do powierzchni balonu tuż przed jego wybuchem, a jednocześnie grubość. To był najlepszy początek, lepszy nawet od tematów parkowych.

Marianne nie sprawiała mi kłopotów podczas malowania. Gdy tylko się zorientowała, że nie potrafię pracować, kiedy ona mnie obserwuje, przestała zaglądać mi przez ramię. Oba obrazy pokazałem jej dopiero czwartego dnia; wtedy już miałem co pokazać. Zapytałem, co ona czuje, a

wtedy od razu wskazała na drugie z płócien. Powiedziała, że ono bardziej wyraża jej odczucia.

Tego dnia znowu zostałem na noc i wysłałem telegram do Niny tuż przed zamknięciem poczty. Powiedzieli, że dostarczą go w ciągu godziny. Do domu przyszedłem dopiero po południu następnego dnia; nie zamierzałem jeszcze wracać, lecz Marianne nakłoniła mnie, bym to zrobił. Ona także chciała, żebym został, ale bardzo się niepokoiła. Przyszedłem do domu około wpół do siódmej. Nie zastałem nikogo w pokoju i myślałem, że jeszcze ich nie ma; wtedy właśnie z sypialni wyjrzał Mark. Przybiegł do mnie, a ja wziąłem go na ręce.

— Tatusz przyszedł. Mamusiu, tatusz przyszedł.

Nina wyszła z kuchni, wycierając dłonie w ścierkę do naczyń. Czułem, że coś wisi w powietrzu. Nie patrzyliśmy na siebie.

— Dostałaś telegram?

— Tak, wczoraj o wpół do ósmej.

— Pokazała na leżący na stole telegram, na którym rozpoznałem swój charakter pisma. Dziwnie jest patrzeć znowu na coś, co wysłało się komuś wcześniej.

— O rany, a mówili, że będzie za godzinę.

— Potrzebowali na to półtorej godziny.

Nie myślałem o tym, że zapisują godzinę nadania.

— Nic się nie stało poza tym, że straciłeś doskonałe spaghetti. Aha, i przyszło coś dla ciebie z salonu Porsche.

Nina minęła mnie i weszła do tego zwariowanego pokoju, przez który trzeba przejść, żeby wejść do salonu. Podała mi kopertę, nie patrząc na mnie.

— Idę do kuchni. Nie byłam pewna, czy przyjdiesz dzisiaj, i właściwie nie zaczęłam jeszcze przygotowywać kolacji.

Wyszła do kuchni. Nie wiedziałem, czy powinienem coś powiedzieć. W sztywnej brązowej kopercie znajdowały się wszystkie dokumenty, których potrzebowałem, by odebrać samochód. Termin odbioru zgadzał się z wcześniejszymi ustaleniami. Przekazałem im już czek na sumę dziesięciu procent wartości auta i teraz musiałem wysłać kolejny z resztą pieniędzy. Zgodzili się przyjąć czek z mojego banku. W cenie uwzględniono już opłatę rejestracyjną. Naprawdę niedużo zapłaciłem jak na taki samochód.

Poszedłem wziąć kąpiel. Bałem się, że może pachną perfumami. Było dużo ciepłej wody, więc napełniłem wannę do połowy. Poczułem się doskonale i siedziałem tam chyba z godzinę. Starłem się nie myśleć o tym, co robi Marianne. Ma taką krótką koszulę nocną, niebieską z koronkowym wykończeniem.

Gdy wyszedłem z łazienki, kolacja czekała już na stole. Nina przygotowała stek ze smażoną cebulą, tłuczone ziemniaki i sos. Byłem głodny. Marianne nie jadła zbyt dużo i gotowała zupełnie inaczej; na przykład coś w rodzaju omletu ze śliwkami. Właśnie to jedliśmy na kolację poprzedniego wieczoru. Zjadłem swoją porcję mięsa, a potem Marka. Niewiele rozmawialiśmy. Nina opowiadała, że pogadała sobie z Alice, kiedy ta przyszła z praniem. Dodała, że nie mówiła nic Alice o tym, że nie wróciłem na noc.

Kiedy dzieci były już w łóżkach, a Nina skończyła zmywać, czułem, że chce mi coś powiedzieć. Sam zacząłem rozmowę i opowiedziałem jej o nowych obrazach, które zacząłem malować; wcześniej mówiłem jej, że kupiłem nowe płótna. Wiedziałem, że oczekuje, żebym opowiedział jej o pracy, ale nie potrafiłem. Jak miałbym jej to powiedzieć? Wspominała, że Alice opowiadała jej o czynaniach Bena, o tym, jak próbuje znaleźć nowy wyraz, coś, co by było wystarczająco komunikatywne, a jednocześnie dość osobiste. Stwierdziła, że Alice potrafi dużo powiedzieć o pracy Bena. Może nie chciała, żeby tak to zabrzmiało, ale odniosłem wrażenie, że się skarży. Tak przynajmniej to odebrałem.

Pewnie powinienem się zachować inaczej, ale nie potrafiłem. Powiedziałem, że niektórzy malarze tworzą najlepsze dzieła w otoczeniu wielu ludzi, ponieważ nie potrafiliby malować, gdyby inni nie powtarzali im, jacy są świetni. Powiedziałem, że ja jestem inny i lubię malować w samotności, co chyba stanowi istotę naszego problemu. Muszę oddzielić pracę od wszystkiego innego i nie potrafiłbym pracować, gdyby inni wciąż zaglądali mi przez ramię, by sprawdzić, co robię. Potrzebuję prywatności. Czekałem, co mi odpowie, lecz nic nie powiedziała, a ja nie mogłem przestać mówić.

— Nie potrafię też włączać się i wyłączać jak piekarnik, w którym pieczemy chleb. Czasem mogę pracować przez trzydzieści godzin bez przerwy, tak jak wczoraj, i byłoby źle, gdybym przerwał wcześniej.

Wiedziałem, że mam rację, i wierzyłem w to, co mówię. Chyba naprawdę taki jestem. Właśnie to odkrywałem.

— Ktoś inny potrafi malować w malutkiej klitce i nie przeszkadza mu, że biegają po niej dzieciaki i nogami dziurawią jego płótna, ale nie ja. Czasem muszę być sam i kiedy maluję, nie chcę nikogo, nikogo poza mną samym. Przykro mi, może nie powinienem był się żenić albo nie powinienem brać się do malowania. Nie wiem.

Nie patrzyłem na Ninę w chwili, gdy mówiłem to wszystko. Wyrzucałem z siebie urywane zdania ze wzrokiem wbitym w podłogę. Kiedy wreszcie spojrzałem na nią, nie płakała, ale miała łzy w oczach. Wytarła je szybko dłonią.

— Przykro mi, Clyde. Ja po prostu bardzo się niepokoiłam. Telegram przyszedł tak późno. Chcę, żebyś mógł malować, ale nie przywykłam do tego. Tyle rzeczy dzieje się tak szybko i jeszcze się nie przyzwyczaiłam.

Potem się rozpłakała, a ja wiedziałem, że powinienem przyjść do niej i ją pocieszyć, lecz nie mogłem się na to zdobyć. Czułem, że sam się rozpłaczę. Nina siedziała z łokciami opartymi na kolanach i dłońmi przyciśniętymi do oczu. Łzy spływały po jej ramionach. Było mi jej żal, ale siebie także. Nie potrafiłem o tym rozmawiać. Potem poszliśmy spać, jednak coś między nami stało.

Następnego ranka Nina wstała wcześniej i przygotowała jajka na szynce. Przy śniadaniu rozmawialiśmy o mojej wycieczce. Była sobota, a samochód miałem odebrać w poniedziałek rano. Zamierzałem pojechać nocnym pociągiem w niedzielę. Tak wymyśliła Marianne, która uznała, że dzienne pociągi są zatłoczone. Nina powiedziała, że wyprasuje mi koszule, które właśnie wyprała. Chciała wiedzieć, czy ma przyjść na dworzec z dziećmi, ale ja powiedziałem, że lepiej będzie, jak pożegnamy się w domu. Nalegała, abym zrobił sobie małą wycieczkę po Niemczech i żebym wypróbował samochód; gdyby coś się zepsuło, mógłbym od razu pojechać z reklamacją do fabryki. Wciąż nie zapytała, ile ma kosztować samochód. Powiedziała, że już wspominała dzieciom, iż nie będzie mnie przez pewien czas i że Mark nie może się doczekać, kiedy zobaczy nowe auto. Wyciął obrazek z samochodem z jakiejś broszury, przypiął sobie nad łóżkiem i wciąż powtarza, że to jego „posze”.

Gdy dotarłem do pracowni, Marianne czekała już ze śniadaniem. Przygotowała naleśniki. Smakowało mi, ale nie byłem głodny. Powiedziała, że w domu wszyscy zawsze bardzo chwalili jej kuchnię. Zdołałem zjeść cztery naleśniki. Potem wróciłem do malowania obrazu ze świecami. Spróbowałem laserunku w ultramarynie ponad dłońmi, ale tylko rozmazałem wszystko, ponieważ było jeszcze zbyt mokre, więc starłem to, co namalowałem. Zniechęciło mnie to do dalszej pracy, a poza tym i tak musiałem iść kupić bilety. Marianne poprosiła, żebym kupił butelkę białego wina, niezbyt słodkiego, gdyż do mojego powrotu przygotowuje lunch.

W pracowni, gdy wróciłem, przywitał mnie przyjemny zapach. Marianne przygotowała gulasz z ryżem i sałatą. Gulasz przypominał mi wieczór, kiedy odwiedzili nas Steinowie. Ten,

przyrządzony przez Marianne, smakował wyśmienicie, choć może było w nim trochę za dużo czosnku. Przyglądała mi się uważnie, kiedy jadłem, żeby wy badać moją minę, więc poprosiłem o dokładkę.

Potem wspólnie pozmywaliśmy i poszliśmy do łóżka. Kochaliśmy się, a ona zasnęła z głową na mojej klatce piersiowej. Leżałem przez kilka godzin, rozmyślając. Patrzyłem, jak światło w szczelinie między zasłonami ciemnieje. Teraz zmierzchało już około piątej.

Kiedy się obudziła, powiedziałem jej, że nie będę mógł przyjść następnego dnia, ponieważ to niedziela. Umówiliśmy się na dworcu o siódmej. Zapytała, czy przyjdzie tam moja rodzina, ale zapewniłem ją, że nie. Marianne stwierdziła, że jej zdaniem Nina na pewno coś podejrzewa. Nic nie odpowiedziałem. Nie wiem dlaczego, ale ucieszyłem się, gdy nadeszła chwila mojego powrotu do domu. Starłem się nie pokazać tego po sobie, lecz Marianne musiała coś zauważyć, bo była bardzo milcząca. Gdy już stałem na progu, położyła mi dłoń na ramieniu i spojrzała na mnie.

— Nie martw się, Clyde. Wszystko będzie dobrze.

Nie martwiłem się zbyt. Czułem tylko, że nie mam swojego miejsca. Nie byłem z Niną i nie byłem też z Marianne. Znajdowałem się gdzieś pomiędzy.

Gdy przyszedłem do domu, na łóżku czekały już wyprasowane koszule. Powiesiłem je na pręcie, na którym wisały zasłony. Wykąpałem się, a po kolacji spróbowałem poczytać gazetę. Wydawało mi się, że Nina czeka, aż dzieci zasną. Wspomniała, że po południu miała tę irlandzką opiekunkę do dzieci, a sama poszła do Musee de Cluny, ale nie opowiadała zbyt wiele. Kupiła jeden z tych długich, zielonych przewodników Micheline'a i gdy położyła dzieci, usiadła na kanapie i zaczęła go przeglądać.

Przypomniałem sobie, że nie poczyniliśmy żadnych ustaleń co do pieniędzy, lecz nie wiedziałem, czy powinienem mówić o tym w tej chwili. Wydawało się, że żadne z nas nie ma ochoty na rozmowę. Podeszedłem do wazonu stojącego na gzymsie kominka i otworzyłem portfel. Wracając z dworca, wypłaciłem w banku pięćset dolarów. Wyjąłem jeden banknot pięćsetfrankowy i siedem stufrankowych.

— Włóż tutaj tysiąc dwieście franków, gdybyś potrzebowała pieniędzy, dobrze?

Spojrzała na mnie.

— Dobrze, Clyde.

— Myślisz, że wystarczy?

— Na pewno. Przecież nie wyjeżdżasz aż na tak długo.

Miałem wrócić na swoje miejsce, jednak rozmyśliłem się i wyszedłem na taras. Było zimno, chmury, jednostajnie szare, wisały nisko, ale nie padało.

— Nie pada, chciałabyś pójść na spacer?

— Dobry pomysł. Odłożyła przewodnik.

— Sprawdzę, czy dzieci śpią, i zaraz będę gotowa. Włożyłem na sweter marynarkę, a na to szalik i płaszcz.

Czekałem na Ninę przy drzwiach. Kiedy się pojawiła, miała na sobie zielony płaszcz zimowy. Pierwszy raz widziałem, żeby go nosiła w Paryżu. Chciałem już coś powiedzieć, ale uzmysłowiłem sobie, że pewnie chodziła w nim już wcześniej, a ja po prostu tego nie zauważyłem.

— Jestem gotowa, Clyde.

Postanowiliśmy pospacerować dookoła parku; po jego drugiej stronie stoją naprawdę ładne domy, a Nina lubiła je oglądać rozświetlone w ciemności. Przez długą chwilę szliśmy w milczeniu, w końcu Nina wzięła mnie za rękę.

— Clyde, czuję się okropnie po tym, co powiedziałeś wczoraj wieczorem.

— Przepraszam, nie powinienem był tego mówić. Po prostu byłem przygnębiony.

— Nie, Clyde, myślę, że miałeś rację. Pewnie jest ci bardzo trudno zajmować się nami i jednocześnie malować.

— Nie jest aż tak źle, tylko czasami czuję się taki przygnębiony.

Nie wiedziałem, co myśleć o tym wszystkim. Znowu szliśmy w milczeniu, ale miałem wrażenie, że ona chce mi jeszcze coś powiedzieć. Chyba oboje wyczekiwaliśmy.

— Clyde, jeśli kiedykolwiek uznasz, że nie potrafisz w ten sposób... że przeszkadza ci to w malowaniu... powiesz mi o tym, dobrze?

— Jasne. Tym razem ci powiedziałem.

— Tak, ale sprawiaasz wrażenie bardzo przygnębionego. Nie mogę tego znieść. Nie mogę znieść, że jesteś ze mną, a wydaje się, jakbyś był gdzie indziej. Jakbyś mnie w ogóle nie zauważał albo nie chciał zauważyć. Mam wrażenie, że chcesz, żeby mnie tu nie było.

Nie patrzyłem na nią i nic nie odpowiedziałem.

— Clyde, może rzeczywiście dobrze by było, gdybyś pobyl trochę sam, choćby przez pół roku, zanim poczujesz się lepiej. Ja zostałabym w Paryżu i w domu nikt nie musiałby wiedzieć. Nie mogę znieść tego, że jesteś taki nieszczęśliwy. Mam wrażenie, że ja i dzieci stoimy ci na drodze.

Zamilkła. Wyrzuciła z siebie wszystko i wiem, że nie przyszło jej to łatwo. Wiem też, że naprawdę tak myślała. Czulem pieczenie w oczach, więc milczałem przez dłuższą chwilę, by nie powiedzieć czegoś niepotrzebnego.

— Nie, Nino, nie mógłbym tego zrobić. Nie chcę, żeby tak było. — Czulem, że powinienem powiedzieć, że ją kocham, ale nie mogłem. Przypominałoby to zebranie. — Po prostu czasem tak się czuję, Nino. To chyba Paryż; będąc tutaj, pragnę wszystkiego.

— Wiem, Clyde.

Potem znowu nic nie mówiliśmy i obeszliliśmy już prawie park dookoła. Nina wciąż trzymała mnie za rękę; oboje byliśmy w rękawiczkach. Zimą ludzie są bardziej oddaleni od siebie.

— Jedź, Clyde, i zostań tam tak długo, jak uznasz za stosowne, dobrze?

— Dobrze.

— Nie martw się o mnie.

— W porządku. Myślę, że już wiem, czego chcę.

Kiedy wróciliśmy do mieszkania, Nina od razu poszła spać, lecz ja usiadłem jeszcze w fotelu. Zacząłem przeglądać przewodnik po Paryżu. Zdumiałem się, zobaczywszy, jak wiele jeszcze nie widziałem. Upłynęła co najmniej godzina, zanim sam się położyłem. Nina już zasnęła.

W niedzielę było dość ciężko. Pojechaliśmy do Lasku Bulońskiego do Jardin D'Acclimatation. Nina dowiedziała się o tym miejscu od Alice Stein i zabrała tam kiedyś dzieci. Pojechaliśmy naszym volkswagenem.

Mieli tam różnego rodzaju lustra, karuzele i stragany, przy których rzuca się strzałkami do balonów albo strzela do celu gumowymi kulami. Dzień był pochmurny, więc nie było tłoku. Zwierzęta w malutkim zoo wyglądały na zziębnięte, trawa mocno już pożółkła. Mark huśtał się na różnych huśtawkach. Nina pokazała mi coś w rodzaju namiotu, gdzie odbywały się przedstawienia. Całe to miejsce nie miało już racji bytu o tej porze roku; podobne imprezy udają się głównie wiosną i latem. Niemowlak zmarł, więc przez pewien czas trzymałem go na rękach. Potem zaczął się niecierpliwic i próbował stać samodzielnie, co mu się nawet udawało. Wyglądał zabawnie, gdy tak stał uczepiony ławki i kołysał się w przód i w tył, pijąc jednocześnie z butelki, którą mu podsuwała Nina. W domu pił już z kubka, lecz Nina twierdziła, że na dworze wygodniej jest z butelką. Rósł tak szybko. Od naszego wyjazdu z domu minęły niecałe trzy miesiące, a on zaczynał się już zmieniać z niemowlaka w małego chłopca. Tyle się wydarzyło w

tym czasie.

Nadeszła pora lunchu, więc pojechaliśmy przez Lasek Buloński i znaleźliśmy małą restaurację. Jedzenie w towarzystwie dzieci nie należy do przyjemności. Nie mieli niczego, co się nadawało dla dzieci, więc ostatecznie zamówiliśmy dla Marka frytki i kotlet wieprzowy, z którego wygryzł tylko dziurę w środku, a resztę oddał mnie; powiedział, że brzegi są tłuste. Niemowlak wylądował w końcu na kolanach u Niny i zjadał frytki. Gdy wróciliśmy do domu, około trzeciej trzydzieści, chciałem się zdrzemnąć, ale przypomniałem sobie, że nie jestem jeszcze spakowany.

Zniosłem na dół średnią walizkę i włożyłem do niej najpotrzebniejsze rzeczy. Zwykle mieliśmy tak pełne torby, że z trudem się domykały. Po raz pierwszy pakowałem walizkę tylko dla siebie. W takich chwilach zaczynam się zastanawiać nad swoim dotychczasowym życiem. Nina obiecała, że przygotuje kolację wcześniej, żebym zdążył na dworzec na siódmą. Ustaliliśmy, że pojedę taksówką. Położyłem się i od razu zasnąłem. Wydawało mi się, że minęła zaledwie chwila, gdy obudził mnie pocałunek Niny. Chyba drgnąłem gwałtownie.

— W porządku, Clyde. Pomyślałam tylko, że może powinieneś już zacząć się szykować. Dochodzi szósta. Kolacja będzie za kwadrans.

Wyszła do kuchni, a ja usiadłem na brzegu łóżka. Nie miałem ochoty w ogóle się ruszać. Włożyłem świeżą koszulę.

Kolacja minęła spokojnie. Jeszcze raz sprawdziłem, czy mam wszystkie papiery i paszport, a Nina dała mi torebkę z chusteczkami higienicznymi i czekoladą. Za dwadzieścia siódma ucałowałem wszystkich i wyszedłem. Pociąg odjeżdżał dopiero za kwadrans ósma, aleja umówiłem się z Marianne o siódmej.

Na dworzec dotarłem pięć po siódmej. Marianne już czekała. Miała na sobie oliwkowozielony dziany żakiet, ciemnozieloną spódnicę i ciepły płaszcz. Stała pod zegarem, w miejscu, w którym się umówiliśmy.

— Przepraszam za spóźnienie, Marianne. Spojrzała na zegar.

— Clyde, to tylko pięć minut. Wiem, że nie było ci łatwo.

Chciałem ją pocałować; podszedłem bliżej i nasze dłonie dotknęły się. Pochyliła się i sięgnęła po torbę.

— Lepiej chodźmy po moje bagaże i zanieśmy je do pociągu. W informacji powiedzieli mi, że już jest podstawiony.

W przeciwieństwie do mnie wiedziała dokładnie, co robić. Ponadto o wiele lepiej mówiła po francusku. Wynajęliśmy bagażowego i poszliśmy za nim na peron.

— Clyde, masz bilety?

Wyjąłem je z wewnętrznej kieszeni.

— Musisz je pokazać przy wejściu na peron.

Bagażowy czekał, aż mężczyzna sprawdzi nasze bilety. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że naprawdę jedziemy. Szliśmy długim chodnikiem między pociągami, a po obu stronach rozlegał się syk pary, z okien zaś wyglądali ludzie. Dookoła panował półmrok, a tył pociągu ginął w ciemności już poza dworcem. Scena zupełnie jak z Moneta. Gdy dotarliśmy do naszego wagonu, podałem Marianne rękę, by pomóc jej wspiąć się na wysoki stopień. Już w środku odwróciła się do mnie.

— Pokaż, sprawdzę numery miejsc.

Szybko odszukała wzrokiem nasz przedział. Mieliśmy miejsca przy oknie. Kiedy bagażowy ułożył torby na półce, Marianne powiedziała, żebym dał mu franka za każdą. Dałem mu pięć franków. Zamknąłem drzwi i usiedliśmy naprzeciwko siebie. Wreszcie byliśmy sami. Przez moment patrzyliśmy sobie prosto w oczy, a potem Marianne odwróciła szybko wzrok i spojrzała

za okno.

— Clyde, to wszystko jest takie dziwne. Gdy czekałam na ciebie, wydawało mi się, że jestem kimś innym i że nie powinnam tego robić.

— Dlaczego, Marianne?

— Nie wiem. Czułam się okropnie, jakbyśmy byli kochankami, jakbyśmy uciekali.

Zaczęła powoli ściągać rękawiczki. Patrząc, jak bardzo jest opanowana, nie mogłem uwierzyć w to, co się dzieje. W ostatniej chwili powstrzymałem się, by jej nie powiedzieć, że jest mi przykro.

— Nie powinnaś się tak czuć, Marianne. Wcale tak nie jest.

— Wiem, Clyde. To było tylko przelotne wrażenie.

— Marianne, nie myśl tak.

— Po prostu czasami wybiegam myślami za daleko w przyszłość i wszystko wydaje mi się takie nieprawdopodobne. Nic nie możemy na to poradzić.

Siedzieliśmy w milczeniu. Spojrzałem za okno. Wzdłuż pociągu szło dwóch mężczyzn z lampą, którzy sprawdzali koła, uderzając w nie długim kluczem. Zupełnie jak w filmie o szpiegach: siedzę w przedziale sam z niemiecką dziewczyną — kochamy się i jesteśmy nieszczęśliwi. Nie wiem, dlaczego przychodzą mi do głowy podobne rzeczy. Pewnie naoglądałem się za dużo filmów. Czasem trudno zobaczyć coś takim, jakie jest naprawdę.

— Clyde, nie myślmy o niczym poza chwilą bieżącą, dobrze?

— Dobrze. Umowa stoi: zakaz myślenia.

Niebawem pociąg szarpnął delikatnie i ruszyliśmy. Najpierw zobaczyłem światła dworca: białe, malutkie zielone i czerwone w jednym miejscu, potem krzykliwie pomarańczowe. Później pojawiły się miejskie światła; głównie światła mieszkań widoczne przez zasłony, jasnoczerwone lub pomarańczowe, czasem błysnęła sama żarówka. Miałem wrażenie, że opuszczam Paryż. Patrzyłem, jak zostaje z tyłu, podczas gdy ja jadę do Niemiec, do miejsca zupełnie mi nie znanego. Wiedziałem, że nie jestem jeszcze gotowy. Spojrzałem na Marianne; na jej bladej twarzy migały przesuwające się w oknie światła. Uśmiechnęła się do mnie

— Clyde, możesz zgasić światło? Będzie o wiele milej. Tam nad drzwiami. I zamknij też drzwi, dobrze?

Pociąg opuszczał przedmieścia Paryża, nabierając szybkości. Tutaj przeważnie widać był dwu — lub trzypiętrowe domy i tylko gdzieśgdzie wyrastała większa nowa kamienica. Dość przygnębiające miejsce.

Marianne pokazała mi, jak rozciągnąć siedzenia, tak że utworzyły niemal łóżko. Leżeliśmy obok siebie, trzymając się za ręce i pocierając stopami. Wreszcie zasnąłem.

Była druga, gdy się obudziłem. Pociąg stał na jasno oświetlonej stacji. Marianne usiadła i sięgnęła po torebkę.

— Clyde, teraz musisz pokazać paszport.

Kilka minut później do przedziału weszło trzech mężczyzn i jeden z nich zapalił światło. Miał na sobie niebieski mundur, pozostali dwaj ubrani byli na szarozielone. Zasalutowali i poprosili o paszporty. Zerknęli na paszport Marianne, potem na mój, uśmiechnęli się, zasalutowali i wyszli. Niedługo potem zjawił się inny, żeby sprawdzić bilety. Gdy wyszedł, wstałem i wyłączyłem światło. Wszystko to wydawało mi się jakieś straszne i niesamowite, może dlatego, że byłem zaspany.

— Marianne, już po wszystkim?

— Tak. Jesteśmy w Niemczech.

Wreszcie pociąg ruszył. Leżałem i czułem, jak przyspiesza, starając się o niczym nie myśleć. Nasz przedział na przemian ginął w ciemności i wypełniał się blaskiem mijanych światła.

Marianne obudziła mnie i powiedziała, że za kwadrans będziemy w Stuttgarcie. Sięgnęła po torebkę i wyszła się odświeżyć, a ja wyjrzałem za okno. Na zewnątrz było jeszcze zupełnie ciemno i wszystko wyglądało zimno i nieprzytulnie. W przedziale ochłodziło się nieco, a z boku torów leżały tu i ówdzie łachy śniegu. Przekręciłem rączkę ogrzewania na maksimum. Wciąż nie obudziłem się na dobre. Trudno było uwierzyć, że jeszcze poprzedniego wieczoru byłem w Paryżu, w sypialni z kopią Botticellego na ścianie.

Wysiedliśmy z pociągu kilka minut po szóstej. Podejrzywałem, że nie mam co jechać do fabryki przed ósmą. Zostawiliśmy bagaże w przechowalni i poszliśmy do dworcowej restauracji. Pociąg Marianne odjeżdżał za godzinę, ze Stuttgartu miała jeszcze pół godziny jazdy. Gdy pojawił się kelner, poprosiła o kakao i bułki. Poczułem się dziwnie, słysząc, jak mówi po niemiecku. Po raz kolejny odniosłem wrażenie, że to inna osoba. Nie mogłem uwierzyć, że niebawem się rozstaniemy. Wziąłem ją za rękę.

— Marianne, musisz jechać prosto do domu? Spojrzała na mnie.

— Nie, Clyde. Nikt nie wie, że przyjeżdżam. Ale ty musisz wracać do domu.

— Wybierzmy się na kilkudniową wycieczkę nowym samochodem, tylko ty i ja?

— Ale jak, Clyde?

— Ja mogę, a ty?

Milczała wpatrzona w swoje dłonie. W jednej ścisnęła rękawiczki.

— Nic dobrego by z tego nie wyszło. To by tylko pogorszyło naszą sytuację.

Siedzieliśmy w milczeniu, gdy kelner przyniósł śniadanie. Postawił na stole filiżanki, koszyk z pieczywem, talerzyki z małymi pojemnikami z dżemem i masłem i dwie złożone serwetki. Poczułem mocny zapach kakao.

— Chcę jechać z tobą, ale powinieneś powiedzieć mi o tym w Paryżu. Teraz jest mi bardzo ciężko. Przygotowałam się na pożegnanie i... sama nie wiem. Clyde, jesteś okrutny.

Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć. Nie zastanawiałem się nad tym wcześniej. Wiedziałem, że nie mogę tak po prostu pożegnać się z nią, ale nie myślałem o wspólnej wycieczce. Nie byłem nawet pewny, czy w ogóle chcę ją odbyć.

— Mogłabym zostawić bagaż tutaj, w przechowalni, prawda?

— Pojedziesz, Marianne?

— Dokąd byśmy pojechali?

— Nie wiem. Pomyślałem, że może do Heidelbergu, ale tylko dlatego, że żadne inne miasto nie przyszło mi do głowy.

Milczała przez chwilę.

— Na ile dni?

— Powiedzmy, że na trzy, ale może być dłużej, jeśli zmienimy zdanie.

— Clyde, to brzmi tak cudownie, tylko ty i ja. Moglibyśmy pojechać na Schwarzwaldhochstrasse. Czy samochód będzie miał *schnee Reifen*?

— Nie wiem. A co to takiego?

— Opony zimowe.

— Mogę kazać je założyć.

— Pojechalibyśmy przez góry. Spadł pierwszy śnieg; teraz pewnie jest tam pięknie.

— Pojedziesz, Marianne?

— Wiesz, że chcę pojechać.

— Dziękuję.

— Nie dziękuj, Clyde. To brzmi jak przeprosiny.

— Dobrze, a zatem nie dziękuję.

Uśmiechnęła się. Wreszcie poczułem się lepiej. Pomimo tak wczesnej pory wokół dworca

panował ogromny ruch, a na ulicy było mnóstwo ludzi. Wydawało się też, że trwają tam jakieś gigantyczne roboty drogowe. Marianne bała się, że ktoś ją rozpozna. Byliśmy na ulicy, przy której znajdował się jeden ze sklepów jej ojca.

— Mój ojciec może tam być albo będzie tędy przechodził.

— W takim razie chętnie go poznam.

— Nic nie rozumiesz.

Wreszcie udało nam się złapać taksówkę. Skraj miasta okalały wzgórza, ale my pojechaliśmy w przeciwnym kierunku. Niedługo potem zatrzymaliśmy się przed ogromnym nowym budynkiem. Powiedziano mi, że samochód już czeka, i wysłali kogoś, by go przyprowadził. W Paryżu nie miałem okazji obejrzeć tego właśnie modelu, który zamówiłem. Samochód wyglądał wspaniale.

Dzięki masywnym zimowym oponom wydawał się jeszcze mocniejszy. Czarna tapicerka idealnie harmonizowała z drewnianym, ciemnym odcieniem deski rozdzielczej. Na koniec poleciłem jeszcze, aby zatankowali do pełna.

Marianne powiedziała, że wąska droga, którą wyjechaliśmy z miasta i która pięła się w górę zbocza, zaprowadzi nas do innej, wiodącej do Schwarzwaldu. Chciała też, żebyśmy na lunch zatrzymali się w Baden–Baden.

Góry rzeczywiście wyglądały cudownie, częściowo ośnieżone. Włączyliśmy ogrzewanie; w ogóle nie czuć było zapachu i doskonale osuszało szyby. Na lunch jednak zatrzymaliśmy się w małej górskiej miejscowości, przez którą płynął strumień, tak pięknej, że nie mieliśmy ochoty jechać dalej do Baden–Baden. Marianne wreszcie się rozluźniła, podobnie jak ja, i znowu rozmawialiśmy tak jak w Paryżu. Wszystko wydawało się takie nowe. Marianne roześmiała, gdy jej oświadczyłem, że chcę sprawić sobie nowy garnitur: ciemnopopielaty, żeby harmonizował z kolorem samochodu.

Do Baden–Baden dotarliśmy tuż przed czwartą. Miejsce to zrobiło na mnie wrażenie. Marianne zdziwiła się, że nie słyszałem o wspaniałej orkiestrze z Baden–Baden. Opowiadała też, że jej rodzice przyjeżdżali tam dwa razy do roku na kurację, i pokazała nawet hotel, w którym się zatrzymywali. Ponoć to miejsce szczególnie ładnie wygląda latem. Wtedy jest tam bardzo zielono i wszędzie wystawia się stoliki. Jakoś nie potrafiłem sobie tego wyobrazić, ponieważ teraz trawę pokrywała pierzynka śniegu, na którą zachodzące słońce rzucało wesołe refleksy. Poszliśmy na spacer wzdłuż zamarznętego strumienia. Później przeszliśmy się do centrum i Marianne zaprowadziła mnie do sklepu z odzieżą męską. Wyglądał na elegancki, ale nikt z obsługi nie mówił po angielsku. Wybraliśmy flanelowy garnitur w ładnym ciemnoszarym kolorze. Marynarka leżała idealnie, ale spodnie wymagały skrócenia i zwężenia w pasie, w dodatku nie chciałem mankietów. Poprawki mogły być wykonane na rano następnego dnia, dlatego postanowiliśmy zostać w Baden–Baden na noc. Kupiłem też dwie koszule, parę szarych skarpet i cienki czarny krawat. Marianne dobrała też małą spinkę do krawata. Gdy opuszczaliśmy sklep, dochodziła siódma i zdążyliśmy już zgłodnieć. Marianne wsparła się na moim ramieniu.

— Ktoś może mnie tu rozpoznać. Wtedy przedstawię cię jako przyjaciela ze szkoły w Paryżu. Podam fałszywe nazwisko. Jakie byś chciał?

— Może być Ben Stein.

Nie wiem, dlaczego tak powiedziałem.

— Clyde, nie mogłabym tego zrobić. Nie mam nic przeciwko Żydom, a Niemcy i tak by się zorientowali, że kłamię. Potrafią poznać Żyda.

Sprawiła wrażenie zażenowanej, a ja nie miałem na myśli nic złego. Po prostu było to pierwsze nazwisko, jakie mi przyszło do głowy. Człowiek łatwo zapomina różne rzeczy.

— Podaj dowolne nazwisko. Powiedz, że nazywam się Adolf Hitler.

— Clyde, nie bądź podły.

— W takim razie niech będzie Ben Franklin.

— Czy to jest żydowskie nazwisko?

— Nie sądzę. Spojrzała na mnie.

— Clyde, nie drażnij się ze mną. To zbyt poważna sprawa. Chyba nigdy nie słyszała o Benie Franklinie. Naturalnie jest wielu Niemców, o których ja także nigdy nie słyszałem.

— Marianne, Ben Franklin to dobre nazwisko.

Marianne знаła restaurację, do której poszliśmy. W bursztynowym świetle połyskiwały sztuce i śnieżnobiałe obrusy. Wybraliśmy stół pod oknem. Żałowałem, że nie jestem w nowym garniturze, ponieważ goście byli bardzo wytwornie ubrani.

Kelner przyniósł dwie karty, tak duże, że Marianna zniknęła za swoją, gdy ją rozłożyła. Nie rozumiałem ani słowa, więc szybko odłożyłem menu. Marianne wyjrzała zza swojej płachty.

— Och, Clyde, mają *Reh*.

— Świetnie, a co to takiego? Zastanawiała się przez chwilę.

— Nie znam angielskiego odpowiednika. Chodzi o mięso z sarny.

— Aha, masz na myśli dziczyznę. Doskonale.

— Na pewno chcesz spróbować? Możemy wybrać coś innego.

— Nigdy tego nie jadłem, ale teraz chętnie spróbuję. Chcę skosztować wszystkiego, co nowe. Odłożyła menu i spojrzała na stół.

— Także i nowej kobiety?

Nie lubiłem, gdy mówiła w ten sposób.

— Marianne, to nie tak.

— Przepraszam, nie powinnam tego mówić. To chyba dlatego, że z tym miejscem wiąże się wiele innych, podobnych spraw. Mój ojciec przyjeżdża tu czasem ze swoją dziewczyną. To jest właśnie takie miejsce i dlatego czuję się okropnie.

— Przepraszam.

— Już tak jest. Wiedziałam o tym, zanim tu przyjechaliśmy.

Zaczęła studiować drugą stronę menu. Przypomniało mi się nasze pierwsze spotkanie w Alliance. Chyba zaintrygowały mnie jej usta. Nigdy nie wiadomo, dokąd mogą nas zaprowadzić podobne szczegóły.

— Clyde, jakiego wina się napijemy?

— Nie wiem; sama wybierz.

— W takim razie zamówmy beaujolais. Myślę, że będzie najlepsze. *Reh* jest raczej ciężko strawna. — Zmarszczyła lekko nos i pogłaskała się po brzuchu.

— Dobrze.

Ja myślałem już o hotelu. Pragnąłem zostać razem z Marianne, ale nie wiedziałem, co ona o tym myśli i czy nie będzie kłopotów z zameldowaniem.

— Marianne, znasz tu jakiś dobry hotel? Spojrzała mi prosto w oczy.

— Tak, a co będziemy robić wieczorem?

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

— Nie możemy wziąć dwuosobowego pokoju, Clyde. W porządnych hotelach chcą zobaczyć paszport, a mój ojciec jest tutaj zbyt znany.

— Wiem, Marianne.

— Chcesz, żebym się dowiedziała? Tutaj nad restauracją mają pokoje. Mogę zapytać.

— Byłbym ci wdzięczny.

Wtedy przyszedł kelner. Marianne zamówiła jedzenie i musiała chyba też zapytać o pokoje, ponieważ kelner pokazał na boczne drzwi restauracji, zanim odszedł.

— Powiedział, żeby zapytać w recepcji. Zaraz wrócę.

Kiedy wyszła, rozejrzałem się po sali. Większość stolików była zajęta. Kelner przyniósł butelkę wina i otworzył ją. Trzymał wino owinięte w białą ściereczkę. Nalał trochę do mojego kieliszka i stanął z boku. Skosztowałem wina i odpowiedziałem uśmiechem, wtedy on napełnił oba kieliszki i postawił butelkę na stole, wciąż owiniętą białą serwetką, w wiklinowym koszyczku o płaskim dnie.

Marianne wróciła po kilku minutach. Podała mi jakiś klucz.

— Dostałam dwa sąsiadujące ze sobą pokoje na trzecim piętrze. Trzydzieści marek za każdy; mam nadzieję, że cena nie jest zbyt wysoka.

Trochę to kosztowało; dolar był wart mniej więcej cztery marki.

— W porządku.

Żałowałem, że nie wstałem i nie podsunąłem jej krzesła, kiedy ponownie siadała. Tak łatwo człowiek zapomina o podobnych drobiazgach.

— Powiedziałam im, że jesteś kuzynem z Ameryki, ale chyba i tak nie uwierzyli. Nie oglądałam jeszcze pokoi, ale ten lokal cieszy się dobrą reputacją.

— Prosilili o paszporty?

— Dałam im mój i powiedziałam, że swój przyniesiesz później.

— Dobrze. W takim razie wypijmy toast, Marianne. Podnieśliśmy kieliszki.

— Za wszystko, co najlepsze dla nas. — Nie, Clyde.

Spuściła oczy, a ja dostrzegłem w nich łzy.

— Clyde, powiedz coś. Uśmiechnij się. Nie mogę tak siedzieć i płakać.

Wyjęła chusteczkę, wytarła nos i szybko przetarła oczy pod okularami. Nie potrafiłem wydobyć z siebie ani słowa ani się uśmiechnąć.

— Przepraszam. Po prostu przez pewien czas jest dobrze i zapominam o wszystkim, a potem ty mówisz coś takiego i już jest inaczej. Poza tym mam okres, a w tym czasie jestem szczególnie wrażliwa.

— Dobrze. W takim razie ty wzniesz toast.

Podniosłem kieliszek. Miałem ochotę napić się czegoś, ponieważ nadmiar uczuć ścisnął mi gardło. Czułem nawet, że mógłbym pić aż do utraty przytomności.

— Za twoją rodzinę, Clyde, za twoją żonę i dzieci.

Nie byłem pewien, o co jej chodzi. Patrzyła mi prosto w oczy, bardzo poważna, i trąciliśmy się kieliszkami. Nic nie odpowiedziałem.

Dzicyzna była trochę twarda i dziwnie smakowała; wszędzie poupychane były kawałki tłuszczu. Mięso podawali w gęstym sosie z kluskami i czymś, co smakiem i wyglądem przypominało żurawinę. Po kolacji poszedłem do recepcji oddać paszport. Wymieniłem trochę pieniędzy i dowiedziałem się, gdzie jest garaż. Zaparkowałem samochód i przyniosłem bagaże. Marianne czekała w holu.

Bagażowy zabrał nasze torby i poprowadził nas do windy, a potem długim korytarzem. Najpierw otworzył drzwi pokoju Marianne i wstawił do środka jej torbę, a potem podszedł do moich drzwi i je otworzył. Położył moją walizkę na stojaku na bagaż i rozsunał story. Pokazał na łazienkę i zapalił światło. Potem uśmiechnął się i skinął głową w kierunku drzwi prowadzących do sąsiedniego pokoju. Dałem mu markę i wyszedł.

Zapaliłem lampkę przy łóżku i zgasilem górne światło. Położyłem się na łóżku, ponieważ sądziłem, że Marianne będzie potrzebowała trochę czasu. Czułem się cudownie, leżąc w ciszy po całym dniu za kierownicą. Po kwadransie wstałem, umyłem twarz, przeczesałem włosy, wyłączyłem światło i zapukałem do drzwi pokoju Marianne.

— Wejdz, Clyde. Tak cicho było u ciebie. Myślałam, że zasnąłeś. Stała na progu pokoju

pograżonego w ciemności. Objąłem ją, po raz pierwszy tak naprawdę od czasu naszego wyjazdu z Paryża. Pocałowałem ją i zacząłem zdejmować okulary.

— Nie, Clyde, nie teraz. Boję się, że ktoś może przyjść. Jeszcze nie przynieśli ręczników, a mogą to zrobić właśnie teraz, żeby nas przyłapać razem.

Odsunąłem się. To, co powiedziała, zabrzmiało okropnie: ludzie zakradający się, żeby kogoś przyłapać.

— Co chcesz robić, Marianne?

— Chciałbyś pójść potańczyć?

— Wspaniale.

W rzeczywistości byłem trochę zmęczony, ale mimo wszystko miałem ochotę potańczyć z Marianne. Wcześniej obiecaliśmy sobie, że to zrobimy, jeśli nadarzy się okazja.

Znaleźliśmy lokal z orkiestrą, która okazała się okropna. Muzycy grali jakoś sztywno i nawet perkusista czytał chyba z nut. Tańczący, głównie starsze pary, posuwali się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, często wpadając na siebie. Poczulem się bardzo mały w tym tłumie. Marianne tańczyła wspaniale i czasem udawało nam się znaleźć większy kawałek przestrzeni. Wyszliśmy przed północą, pożegnałem się z nią przed jej drzwiami i poszedłem do siebie. Gdy zobaczyłem w pokoju ręczniki, pomyślałem, że ktoś musiał być rozczarowany.

Teraz już naprawdę miałem ochotę się położyć. Właśnie zasypiałem, a może już zdążyłem zasnąć, gdy poczułem, że obok mnie leży Marianne. Objąłem ją. Miała na sobie długą koszulę nocną.

— Klucz do wewnętrznych drzwi był po mojej stronie. Nie mówiłam ci tego wcześniej. Chcę spać z tobą dzisiaj, ale nie dotykaj mnie. Nie jestem jeszcze gotowa.

Przytuliła się do mnie i nie za bardzo mogłem się wyciągnąć, ale wreszcie udało mi się zasnąć. W nocy budziłem się kilkakrotnie, nie wiedząc w pierwszej chwili, gdzie jestem. Prawie przez cały czas obejmowałem Marianne, a ona spała spokojnie.

Rano zjedliśmy śniadanie w pokoju, potem się spakowaliśmy i zeszliśmy na dół. Zapłaciłem i oddali nam paszporty.

Pojechałem odebrać garnitur; leżał idealnie. W węższych spodniach wyglądałem na młodszego i wyższego. W hotelu włożyłem nową koszulę, krawat i nową parę skarpet. Kazałem zapakować stary garnitur i zapłaciłem. Gdy wróciłem do hotelu, Marianne czekała gotowa do podróży. Pochwaliła mój nowy garnitur.

Pogrzałem trochę silnik w garażu i wyruszyliśmy. Jechaliśmy przez góry w kierunku Freiburga, wybierając mniej uczęszczane drogi, których nie zasypał śnieg. Idealnie błękitne niebo, lasy i doliny przedstawiały krajobrazy żywcem wyjęte z bożonarodzeniowych kartek. Zbocza gór urozmaicały ustrojone domostwa; ogromne zabudowania ze wspólnym dachem dla domu i stodoły.

Lunch zjedliśmy we Freiburgu, gdzie także zwiedziliśmy uniwersytet i kościół. Tamtejsze budynki wzniesiono z różowawego kamienia, który według mnie sprawiał wrażenie twardego i zimnego. Nawet ozdobione rzeźbą i małymi witrażami wyglądały nago. Może to z powodu zimy. Marianne próbowała opowiedzieć mi trochę historię tego miasta, ale niezbyt mnie to ciekawiło.

Zatankowałem; jak dotąd samochód sprawował się bardzo dobrze. Czułem się naprawdę wspaniale, prowadząc nowy samochód, ubrany w nowy garnitur, z Marianne u boku.

Po południu, gdy zaczęło się już ściemniać, zatrzymaliśmy się na wzgórzu przed dużym wiejskim budynkiem z tabliczką „Gasthaus”. Weszliśmy razem, nie rozmawiając wcześniej o tym, jaki pokój mamy wynająć. Czekaliśmy chwilę w dużym pomieszczeniu z drewnianymi stołami i boazerią na ścianach ozdobionych pięknymi porożami. W drzwiach za barem ukazała się przysadzista kobieta w kostiumie. Marianne zamówiła pokój i właścicielka poprowadziła nas

schodami do góry.

— I co myślisz, Clyde?

— Wygląda w porządku.

Pokój był duży i stały w nim dwa łóżka. Znajdowaliśmy się na samej górze, dlatego ściany biegły ukośnie, a przez małe okienko widać było stromy dach. Pokój, o białym wystroju, lśnił czystością; na ścianie naprzeciwko łóżek wisiało lustro, i umywalka nie była niczym oddzielona od reszty pokoju. Marianne spojrzała na mnie, a ja skinąłem głową. Wreszcie kobieta zeszła na dół, a my wróciliśmy do pokoju.

— Podoba ci się tutaj, Clyde?

— Wygląda miło. Możemy tu spać razem?

— A nie chcesz? Przyciągnąłem ją do siebie.

— Wiesz, że chcę. Pocałowałem ją.

— Tak naprawdę to nie byłam pewna. Przez cały czas nic nie mówiłeś na ten temat.

— Marianne, przestań. Wiesz, że cię kocham. Zawsze chcę być z tobą.

— W takim razie mów mi to.

Odsunęła delikatnie moje ręce i podeszła do okna. Stałem za nią i objąłem ją w pól. Przykryła moje dłonie swoimi.

Z okna roztaczał się wspaniały widok jednostajnie białych pól. W oddali majaczyły sosny. Dopiero gdy Mariannę się odwróciła, zobaczyłem, że płacze.

— O co chodzi, kochanie? Poczułem, jak się naprężyła.

— Nie nazywaj mnie tak, Clyde. Gdy tak mówisz do mnie, przypominasz typowego męża z amerykańskiego filmu.

Przytuliła się do mnie mocniej.

— Nie płacz, Marianne.

— To jest takie okropne.

— Wiem.

Podniosłem ją i zaniósłem na łóżko. Potem klęknąłem obok niej i patrzyłem na nią z góry, czekając, aż na mnie spojrzy.

— Clyde, zamknij drzwi, proszę.

Podszedłem do drzwi, przekręciłem gałkę i położyłem się obok niej. Leżeliśmy tak z godzinę, patrząc, jak błękitne niebo powoli gaśnie. Zwisające z dachu sople lodu stawały się coraz ciemniejsze.

— Clyde?

— Tak?

— Jesteś głodny?

— Nieszczerólnie.

— Właścicielka mówiła, że możemy zjeść kolację w pokoju, o siódmej.

Spojrzałem na zegarek; była za dziesięć siódma. Podparłem się na łokciu i przesunąłem palcem po jej rzesach, nosie i ustach. Pocałowała mnie lekko. Potem dotknąłem kącików jej oczu, by sprawdzić, czy znajdę tam łzy, ale nic nie poczułem.

— Wszystko w porządku, Clyde. Pochyliłem się i pocałowałem ją.

— Bardzo cię kocham, Clyde, i wiem, że nie postępujemy źle, jednak ci tutaj tego nie wiedzą. Myślą pewnie, że jesteś amerykańskim żołnierzem, który mnie poderwał.

— Kto by się nimi przejmował.

— Kobieta zawsze musi myśleć o takich rzeczach.

Wcale nie chciałem o tym myśleć. Nie lubię wciąż się zamartwiać tym, co inni myślą o mnie, i nie chciałem schodzić na dół tylko z tego powodu.

— Myślisz, że poproszą nas o paszporty?

— Powinna była to zrobić, kiedy pokazywała nam pokój. O to mi chodziło, Clyde.

— Aha.

Kolacja była wyśmienita. Jedliśmy przy świecach w kącie sali. Popijaliśmy piwo z dużych kufli, które smakowało wybornie. W drugim końcu sali siedziała inna para z dwoma chłopcami. Dzieci zachowywały się spokojnie i wszyscy się wciąż uśmiechali.

Marianne zapytała właścicielkę, gdzie można zaparkować samochód. Po kolacji wyszliśmy na zewnątrz i wprowadziłem samochód w róg stodoły, za ogromny traktor. Potem poszliśmy na spacer do końca podjazdu i dalej drogą, jakieś ćwierć mili. Gęstą czerń nieba mąciły gwiazdy i skrawek księżyca. Śnieg iskrzył się niemal równie mocno jak gwiazdy. Poczułem dreszcz, patrząc, jak odbija się od niego księżycowy blask. Postanowiłem kupić ciepły płaszcz. Chciałem taki z owczej wełny, z włosom od środka. Gdy wróciliśmy do zajazdu, właścicielka popijała piwo zajęta układaniem kart z kolorowymi obrazkami. „Gute Nacht”, pożegnała nas, uśmiechając się.

W pokoju robiło się coraz chłodniej, więc szybko się rozebraliśmy. Marianne pierwsza wskoczyła do łóżka. Wybrała to bliżej okna, na którym wcześniej leżeliśmy. Nie mając pewności, czy Marianne chce, żebym przyszedł do niej, położyłem się do drugiego łóżka. Po chwili wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej dłoni. Obróciła się na bok i przysunęła do mnie rękę.

— Chodź do mnie, Clyde.

Wstałem i wsunąłem się pod jej przykrycie. Nasze usta dotknęły się w ciemności. Czuję się podekscytowany, gdy tak leżeliśmy po ciemku, mając jeszcze przed oczyma roziskrzoną noc. Przesunąłem dłoń w dół pleców Marianne, ale nic nie wyczułem.

— Clyde, wszystko w porządku. Na wszelki wypadek podłożyłam ręcznik. I jest bezpiecznie.

Po raz pierwszy byliśmy naprawdę razem. Nie sprawiłem jej bólu; gdy już było po wszystkim, wydawała się trochę nieobecna. Gdy już się umyliśmy, zapytała:

— Chcesz, żebym spała z tobą? Wczoraj chyba się nie wyspałeś.

Nie wiedziałem, że zauważyła.

— Chodź do mnie, Marianne. Jeszcze się naśpimy osobno.

Zaraz pożałowałem, że powiedziałem to tak od razu. Marianne położyła się odwrócona do mnie plecami i nic nie odpowiedziała. Objąłem ją ramieniem i spróbowałem zasnąć.

Następnego dnia zjedliśmy śniadanie i ruszyliśmy w kierunku Ulm. Jechaliśmy przez bardziej płaskie okolice i kilkakrotnie miałem okazję trochę się rozpędzić na odcinkach prostej drogi. Marianne milczała, a gdy spojrzałem na nią, uśmiechnęła się tylko. Oddalała się ode mnie; znowu byliśmy osobno.

Lunch zjedliśmy w Tubingen; kolejne uniwersyteckie miasteczko, przyjemniejsze od Freiburga. Na placu w centrum sprzedawano różne smakołyki i kwiaty, widziałem nawet kilka choinek. Wariactwem wydawało się kupowanie choinek, gdy tyle ich rosło na okolicznych wzgórzach. Poszliśmy zjeść do małej restauracji i zabraliśmy ze sobą mapę, by omówić dalszą trasę.

— Marianne, dokąd prowadzi autostrada w tę stronę? — Pokazałem na krawędź mapy.

— Ta droga prowadzi do Monachium, a dalej do Salzburga i Wiednia.

— Jedziemy?

Spojrzała na mnie. Światło wpadające przez okno zaślniło w jej okularach. Wnętrze sali za nią wypełniał półmrok.

— Nie mów takich rzeczy, Clyde. Wtedy wydaje mi się, że nie traktujesz mnie poważnie.

— Traktuję cię poważnie, Marianne.

— Wiesz, że nie mógłbyś zostawić żony i dzieci. Kiedy tak mówisz, aż mnie coś ściska w środku.

— Marianne, nie wiesz, co mógłbym zrobić.

Znowu spojrzałem na nią. Nie lubię, kiedy ludzie mówią mi, że wiedzą, co zrobić.

Po południu dojechaliśmy do Ulm i poszliśmy zwiedzać katedrę. Zbudowano ją z szarego kamienia, w stylu gotyckim, ale inaczej niż te we Francji. Bardziej przypominała budowlę z klocków. Musieliśmy wyjść o piątej, ponieważ już zamykali. To samo jest w Paryżu. Nie rozumiem, dlaczego zamykają kościoły na noc, kiedy ludzie najbardziej ich potrzebują.

Znaleźliśmy przyjemny hotel w centrum. Niezbyt drogi, ale sprawiający miłe wrażenie. Wzięli od nas paszporty i dali nam pokoje obok siebie, tak samo jak w Baden–Baden. Nie podobały mi się tylko ich uśmiechy i to, że unikali naszego spojrzenia. Przez całe popołudnie w samochodzie i później w czasie kolacji atmosfera między nami była dość napięta. Miałem wrażenie, że jesteśmy dwojgiem ludzi na tonącym statku, którzy nie chcą o tym mówić. Wciąż się śmiałyśmy i żartowaliśmy z Niemców, których spotykaliśmy po drodze, ona zaś żartowała z moich amerykańskich przyzwyczajęń, jednak nie było w tym zbyt wiele radości. Wciąż jeszcze nie podjąłem decyzji. Gdy myślałem o tym trzeźwo, nie miałem wątpliwości. Potem jednak poddawałem się uczuciom i już wiedziałem, co chcę zrobić. Pamiętałem, co powiedziała Nina.

W łóżku początkowo tylko leżeliśmy obok siebie i tuliliśmy się. Było mi zbyt smutno, by chcieć czegoś więcej. Ale potem Marianne sama zrobiła pierwszy krok. Nic nie mówiła, a ja przytuliłem ją mocno. Zsunęła się nieco i zaczęła mnie całować po szyi i po całym ciele. Chciałem ująć jej twarz w dłonie i przyciągnąć ją do siebie, ale nie chciała. Nina nigdy tak się nie zachowywała. Płakała, a potem wpiła usta w moją szyję, mocno, aż mnie ugryzła.

Leżeliśmy potem jeszcze długo. Wreszcie Marianne rozluźniła się nieco i wtedy sięgnąłem po kódrę i przykryłem nas. Wydawało się, że wcale jej to nie obchodzi; wciąż milczała. Jej twarz była mokra, kiedy ją pocałowałem.

— Marianne.

— Nie, Clyde.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Może tylko to, że czułem się kochany. W tej chwili nic mnie nie obchodziło i pragnąłem tylko, żeby to trwało wiecznie.

W środku nocy znowu się obudziłem i dotknąłem jej ciała. Po chwili odwróciła się do mnie i zaczęliśmy się całować. Kochaliśmy się długo, powoli, sennie, aż Marianne zaczęła się prężyć, a ja z nią, i zamarliśmy w bezruchu. Oboje płakaliśmy, ale nic nie mówiliśmy. Leżeliśmy przytuleni do siebie, aż nadszedł dzień. Czułem się dziwnie, myśląc o tym, gdzie jestem, bo jednocześnie myślałem o matce, o Ninie i przyjaciółach w kraju. Jakby tkwiły we mnie dwie różne osoby; czułem, że dokonuje się we mnie jakaś zmiana.

Później zeszliśmy na śniadanie. Niebo zasnuły chmury. Zapłaciłem w recepcji i zniósłem nasze bagaże do auta.

Zajechałem przed wejście. Marianne już czekała. Pojechaliśmy w kierunku autostrady. Według mapy powinna się znajdować jakieś dziesięć mil na północ od miasta. W zasadzie już wiedziałem, co chcę zrobić. Mogłem napisać do domu, że zostaję jeszcze na tydzień, i pojechać do Wiednia. Nina sama mówiła, że bym został tak długo, jak zechcę. Zostawiłem jej dość pieniędzy. Marianne obserwowała drogę, nawet wtedy, gdy spojrzałem na nią w lusterku wstecznym. Czekałem na znak, który miał nas skierować na lewo, w stronę Stuttgartu, albo na prawo, w kierunku Monachium lub Wiednia. Na drodze panował duży ruch, a samochody jechały szybko. Domyśliłem się, że dojeżdżamy do autostrady, ponieważ ulica rozszerzyła się na cztery pasy. Trzymałem się prawej strony.

Gdy wreszcie zobaczyłem znak, było już za późno. Po mojej stronie był zjazd na kierunek Stuttgart, po drugiej stronie na Monachium. Musiałem skrócić z innymi autami w prawo. Zanim się zorientowałem, byłem już na dużym rozgałęzieniu kierującym mnie na autostradę. Jechaliśmy

szybko i nie miałem nawet czasu, żeby zerknąć na Marianne. Zastanawiałem się, czy w ogóle zauważyła, że jestem na niewłaściwej stronie jezdni.

Pędziliśmy po zewnętrznym pasie. Sam nie wiedziałem, co myśleć. Chciałem coś do niej powiedzieć, zapytać, czy mam zawrócić, wystarczyło jej jedno słowo. Czułem obezwładniający ból, widmo utraty, wobec którego byłem bezradny. Miałem wrażenie, że coś zostało mi odebrane wbrew mojej woli.

— Proszę, Clyde, nie jedź tak szybko. Boję się.

Nie patrzyła na mnie, a jej twarz była blada, podobnie jak jej usta. Zwolniłem i położyłem rękę na jej kolanach. Przykryła ją dłońmi. Wiedziałem, że nie będziemy o tym rozmawiali. Oboje wiedzieliśmy, że decyzja zapadła.

— Najlepiej skrócić na zjeździe Stuttgart południe. Tak będzie prościej.

Wreszcie pojawiła się tablica z napisem „Stuttgart południe” i włączyłem kierunkowskaz. Marianne spojrzała do tyłu, żeby sprawdzić drogę, i wtedy nasze spojrzenia spotkały się na moment.

— Wszystko będzie dobrze, Clyde, nie martw się.

— Kocham cię, Marianne. — Wiem, ja też cię kocham.

Musiałem cofnąć dłoń, by zmienić biegi. Dopiero przy zjeździe z autostrady człowiek uprzytamnia sobie, jak szybko jechał.

Gdy dotarliśmy do centrum miasta, musiałem objechać dworzec dwukrotnie, zanim znalazłem miejsce do parkowania.

— Lepiej będzie, jeśli rozstaniemy się tutaj, przed wejściem.

— Pomogę ci zanieść bagaż.

— Dam sobie radę.

— Marianne, nie chcę się żegnać w taki sposób.

— Tak będzie najlepiej, Clyde.

Panował tam ogromny ścisk, a ja zaparkowałem tuż przy tramwajach stojących na końcowym przystanku. Kierowca za mną zatrąbił i zaczął się stukać palcem w czoło. Marianne przerzuciła płaszcz przez ramię i sięgnęła po bagaż z tylnego siedzenia. W jej oczach lśniły łzy. Nachyliła się i pocałowała mnie w policzek.

— Do widzenia, Clyde.

Nawet nie zdążyłem jej pocałować. Otworzyła szybko drzwi, wysiadła i zamknęła je za sobą. Popatrzyłem za nią, ale od razu ruszyła do wejścia, nie oglądając się za siebie. Kierowca za mną zaczął trąbić. Musiałem odjechać. Nawet nie widziałem, jak wchodzi na dworzec.

Jechałem po prostu przed siebie i nie wiedziałem, dokąd zmierzam. Wreszcie udało mi się wyjechać z miasta i znalazłem się na szczycie wzgórza pośród lasów. Zjechałem na bok, żeby zerknąć na mapę. Dobrze, że nikt na mnie nie patrzył, bo nie potrafiłem się opanować. Przez chwilę myślałem, żeby wrócić i ją zatrzymać, wiedziałem jednak, że tego nie zrobię, zbyt wiele by mnie to kosztowało. Minęło chyba pół godziny, nim wreszcie spojrzałem na mapę. Czułem, że mam podpuchnięte oczy, i bolało mnie gardło od ciągłego przełykania.

Znowu wjechałem na autostradę i przez jakiś czas musiałem jechać na północ, by skierować się na Strasburg. Byłem cały obolały w środku i wydawało mi się, że już nigdy nie poczuję się lepiej. Nie chciałem nawet myśleć o tym, co sądzi o mnie Marianne. Zapragnąłem napisać do niej, spróbować wyjaśnić wszystko, ale nie miałem jej adresu. Nie mogłem jej odszukać w żaden sposób.

Nie zatrzymałem się ani razu w drodze do Paryża; nie chciałem zostać sam nocą w hotelowym pokoju. Dochodziła dziewiąta, gdy wreszcie zaparkowałem porsche niedaleko naszego volkswagena. Stałem na chodniku, ale wiedziałem, że jeszcze nie jestem gotowy, żeby wrócić

do domu. Nie mogłem się uspokoić, ponieważ w jednej chwili wróciły wspomnienia ostatnich dni. Poszedłem w stronę parku, wstąpiłem do kawiarenki na jednej z bocznych ulic i zamówiłem kawę. Czułem, że wyglądam okropnie; od rana nic nie jadłem. Przyszło mi do głowy, że mogę napisać do firmy jej ojca. Na pewno można ją znaleźć w książce telefonicznej Stuttgartu. Żałowałem, że nie wziąłem od niej adresu, a ona nie powiedziała nawet, że napisze. Wszystko skończyło się zbyt szybko.

Wróciłem do samochodu i wyjąłem torbę. Spojrzałem w okna naszego mieszkania; zasłony były zaciągnięte, ale w pokoju paliło się światło. Wszedłem po schodach zamiast jechać windą.

Nina przywitała mnie serdecznie, Mark także bardzo się ucieszył. Oczywiście od razu chcieli zejść na dół i obejrzeć samochód. Mark powinien już spać, ale Nina usprawiedliwiła go, tłumacząc, że wciąż powtarzał, iż tatuś na pewno zaraz przyjedzie. Potem dodała, że nie spodziewała się mnie tak szybko.

Samochód bardzo im się spodobał i pojechaliśmy na krótką przejażdżkę. Przez cały czas Mark stał za moim siedzeniem i obejmował mnie za szyję. Bałem się, że Marianne zostawiła coś w samochodzie i że nie pomyślałem o tym wcześniej, na szczęście wszystko było w porządku.

Gdy wróciliśmy, niemowlak spał, a Mark poszedł prosto do łóżka. Obserwowałem Ninę, jak parzy kawę; wydała mi się blada i onieśmielona. To był mój pierwszy taki wyjazd od czasu naszego ślubu. Rozmawialiśmy głównie o dzieciach, a ja opowiedziałem jej o samochodzie i mojej wycieczce, wspomniałem także o Freiburgu i Ulm. Musiałem się pilnować, żeby nie powiedzieć „my”. Wspomnienia były bardzo bolesne. Potem położyliśmy się i tylko leżeliśmy obok siebie. Chyba nie mógłbym się zdobyć na nic więcej. Nina masowała trochę moje plecy, a potem przewróciła się na bok.

Następne tygodnie były dość trudne. Nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Przestałem chodzić na zajęcia do Alliance. Poszedłem do pracowni, posprzątałem na górze, odwróciłem obrazy i usiadłem w fotelu; widziałem je teraz wyraźnie w świetle całkowicie odsłoniętych okien. W pierwszy dzień przesiedziałem tak całe popołudnie, zatopiony w myślach i wpatrzony w płótna. Paliłem fajkę i sączyłem wino prosto z butelki.

Patrząc na moje obrazy, miałem wrażenie, że jest w nich coś nie skończonego, coś, co sięga zbyt daleko i cofa się, co zdąża donikąd, podobnie jak to, co było między mną i Marianne czy nawet między mną a Niną. Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że takie właśnie jest moje życie: wiele się zaczęło i wreszcie stanęło. Myśląc o swoim życiu, nie znajdowałem nic, co by mi dało satysfakcję, której oczekiwałem. Najlepsze, co mi się przydarzyło, to pieniądze po ojcu, tylko że to nie miało ze mną nic wspólnego, a i tak przestawało mieć jakiegokolwiek znaczenie, jak wszystko inne. Nawet z dziećmi było podobnie. Przez całe życie czekałem na coś, a gdy to nadchodziło, okazywało się niewarte czekania.

Co by się stało, gdybym został z Marianne? Czy ten jeden raz nie mogłem przestać udawać i zrobić tego, co chciałem? Za dużo czasu spędziłem na zajmowaniu się różnymi sprawami tylko dlatego, że są trudne albo że oczekiwali tego ode mnie inni. Co by się stało, gdybym przestał malować, przestał robić cokolwiek i po prostu zaczął cieszyć się życiem? Przynajmniej tak byłoby uczciwie. Może zraniłbym kilka osób, za to jedna coś by zyskała. Gdybym tylko pozbył się myśli, że muszę coś robić. Czułem się niemal winny, że się urodziłem, może nie całkiem winny, ale jakbym miał dług do spłacenia. Kiedy nie miałem nic do zrobienia, zawsze się czułem, jakbym zapomniał o czymś ważnym albo jakbym próbował zapomnieć o czymś złym. Nie mogłem powstrzymać łez na myśl o Marianne. Wydawała mi się taka bliska i cudowna; może później byłoby inaczej, lecz wszystko działo się zbyt szybko, a ja miałem wrażenie, że jest we mnie coś, co przypomina podcięty korzeń. Próbowałem obłożyć to coś myślami jak poduszkami, ale wciąż bolało. Wciąż powracały wspomnienia; słyszałem jej słowa, jej głos, widziałem jej

oczy i usta, gdy je wypowiadała. Nie chciałem iść do domu. Tamtego pierwszego dnia zostałem w pracowni aż do wieczora, a gdy już wróciłem, powiedziałem, że jestem skonany, i poszedłem od razu do łóżka, bez kolacji. Potem przyszła Nina i rozmasowała mi plecy.

Przez resztę tygodnia większość czasu spędzałem w pracowni. Próbowałem malować, najczęściej jednak po prostu siedziałem i rozmyślałem albo szedłem na Montparnasse, piłem grzane wino lub kawę w kawiarni i obserwowałem ludzi. Nie chciałem iść do domu. A tam działo się coraz gorzej. Nina wydawała się coraz bardziej przestraszona, ale nie rozmawialiśmy o tym. Którejś nocy chcieliśmy się kochać, a ja naprawdę próbowałem, jednak nie mogłem. Znowu nic nie mówiliśmy. Wiedziałem, że wszystko by się skończyło, gdybym powiedział cokolwiek. Byłem niemal gotów wrócić do Stuttgartu i zacząć szukać Marianne. W tych pierwszych dniach nic się nie zmieniło na lepsze, wręcz przeciwnie.

W niedzielę Nina spytała, czy moglibyśmy pojechać na wycieczkę nowym samochodem. Wciąż stał w tym samym miejscu, gdzie zostawiłem go po powrocie. Postanowiliśmy pojechać do doliny Chevreuse; Alice opowiadała Ninie, jakie to ładne miejsce. Sprawdziłem na mapie, że jedzie się tam w tym samym kierunku co na Wersal. Nina zapakowała lunch i wyruszyliśmy około jedenastej. Był to pierwszy słoneczny dzień od tygodnia.

Drogi nie były zatłoczone, więc szybko wyjechaliśmy z Paryża. Liście na drzewach już opadły i lasy sprawiały wrażenie bardziej ogołoconych niż w czasie naszej wycieczki z Marianne. Znaleźliśmy miejsce na piknik i zwiedziliśmy ruiny z wieżą; znajdowały się na wzgórzu, skąd roztaczał się wspaniały widok. Czułem się dobrze, mając jakieś zajęcie. W czasie lunchu Nina zapytała, czy w drodze powrotnej możemy się zatrzymać w Wersalu. Nie mogłem jej odmówić, zwiedzanie ruin jednak zajęło nam trochę czasu, a ja nie chciałem prowadzić po ciemku, ostatecznie więc pojechaliśmy prosto do domu. Dzieci zasnęły, niemowlak na kolanach u Niny, Mark na tylnym siedzeniu. Nina nic nie mówiła, gdy rozpędziłem się do siedemdziesięciu pięciu mil na godzinę. Chyba podobało jej się, że jedziemy tak szybko. Między nami zaczęło się trochę układać i kilkakrotnie w ciągu dnia uśmiechnęliśmy się do siebie.

W sobotę na adres pracowni przyszedł list: z uczelni, od dziekana. Proponował mi pensję profesorską, tysiąc dolarów podwyżki i dwa seminaria malarskie. Zawsze tego chciałem. Nie powiedziałem Ninie o liście. Zastanawiałem się, czy w ogóle chcę jej o tym powiedzieć, ponieważ nie miałem pewności, co by mi odpowiedziała. Nie musiałem już uczyć i powrót wydawał mi się bezsensowny; trudno zmienić sposób myślenia, gdy tak długo podążało się jednym torem.

Dzieci poszły spać zaraz po kolacji. Wykańcza je już samo dłuższe siedzenie w samochodzie. Dochodziła dopiero ósma. Nie chciało mi się jeszcze spać. Najpierw pomyślałem, że moglibyśmy z Niną pójść na spacer, potem jednak przypomniałem sobie, że byliśmy poza domem cały dzień i może ma już dość chodzenia. Przez cały czas od mojego powrotu wydawała się bardzo blada i nieobecna, jakby robiła wszystko automatycznie. Miałem wrażenie, że wcale nie cieszy jej pobyt w Paryżu. Spojrzałem na nią, siedzącą samotnie na kanapie, i nagle zrobiło mi się jej bardzo żal. Pomyślałem, że musi się czuć okropnie, gdy wciąż wychodzę do pracowni, a nawet jeśli zostaje w domu, prawie ze sobą nie rozmawiamy. Zorientowała się, że patrzę na nią, i spojrzała mi prosto w oczy — żadne z nas się nie uśmiechnęło.

— O co chodzi, Clyde?

— Nie wiem; chyba o wszystko.

Czułem, że łzy napływają mi do oczu, i nie byłem zdolny wydusić ani słowa. Gdy znowu podniosłem wzrok, zobaczyłem też łzy w oczach Niny.

— Wiem, że coś się dzieje, ale nie mam pojęcia co. Czy chodzi o malowanie?

— Och, to także, ale właściwie chodzi o wszystko. Nie wiem, gdzie jestem ani co robię.

Myslałem, że znowu zakryje oczy dłońmi, lecz nie zrobiła tego; patrzyła na mnie, a po jej policzkach popłynęły łzy.

— Co możemy zrobić, Clyde?

— Nie wiem.

— Chcesz zostać w Paryżu?

— Nie wiem. Po prostu nie wiem.

Wstałem i poszedłem do sypialni po list, który zostawiłem w kieszeni marynarki.

— Dostałem to z uczelni.

Otarła oczy wierzchem dłoni i rozłożyła arkusz sztywnego papieru. Usiadłem, nie patrząc na nią.

— Cudownie, Clyde. Zawsze tego chciałeś.

— Wiem.

— Dostałbyś ten duży gabinet na końcu korytarza, prawda?

— Chyba tak.

— Cudownie.

— Chcesz wracać, Nino?

— Nie, jeśli ty nie chcesz.

— Nie robię tu nic wielkiego.

Wciąż nie patrzyłem na nią. Słyszałem, jak wstaje i podchodzi do mnie. Usiadła na podłodze przede mną i rozłożyła list na kolanach.

— Jesteśmy tu dopiero od trzech miesięcy, Clyde. Sam mówiłeś, że będziesz potrzebował trochę czasu, zanim zaczniesz malować.

— Tak. Czegoś się nauczyłem.

Nie mogłem jej powiedzieć, że doszedłem do wniosku, iż nie jestem malarzem, bo wciąż nie miałem pewności co do tego. Czekałem, co powie Nina.

— Nie mówiłam ci, ale w czasie twojej nieobecności dostałam list od taty. — Zamilkła na moment. — Pisze, że mama ma iść na operację. Nie pisze, o co chodzi. Znasz tatę.

— Czy to coś poważnego?

— Pisze tylko, że ma być operowana.

— Aha.

Milczeliśmy przez dłuższą chwilę.

— Może powinnaś polecieć do domu i zorientować się w sytuacji.

— Och, Clyde, nie mogłabym zostawić cię z dziećmi.

— Dałoby się jakoś urządzić. — Nie powinienem był tego mówić. — Nino, może wszyscy powinniśmy pojechać tam na święta. Stać nas na to.

— Byłoby cudownie, Clyde, ale to tyle pieniędzy...

— Moglibyśmy wrócić na jakieś sześć miesięcy. Mógłbym nawet wrócić na uniwersytet. Dwa seminaRIA to już coś. Właściwie mógłbym malować w tym czasie, to tylko pięć godzin więcej.

— Naprawdę chcesz, Clyde?

— Może tak byłoby lepiej, przynajmniej miałbym kontakt z ludźmi, którzy malują.

— Jesteś takim dobrym nauczycielem, Clyde.

— Za to mieszkanie płacimy miesięczny czynsz, więc nie byłoby kłopotu, a do pracowni wpuścilibyśmy Steinów do końca roku. Mógłbym sprzedać volkswagena, lecz porsche zabralibyśmy do domu. Ale zrobiliby oczy, gdybym zajechał przed wydział czymś takim!

— Och, Clyde, naprawdę myślisz, że moglibyśmy pojechać? Bałam się myśleć nawet o Bożym Narodzeniu spędzonym tutaj. Wszystko tutaj jest takie inne. Pere Noel wcale nie przypomina Świętego Mikołaja, co bardzo martwi Marka. I wszystko jest takie zimne, te ich

ciasteczka i wymyślne świąteczne niebieskie kulki... to wcale nie przypomina świąt.

— No to postanowione... jedziemy.

Nina zerwała się z podłogi i wskoczyła mi na kolana.

Objąłem ją i pocałowałem w policzek, jeszcze mokry od łez, a potem w usta. Wcale nie czułem się źle. Dobrze było zobaczyć Ninę trochę weselszą. Jeszcze długo tak siedzieliśmy, planując pakowanie i inne rzeczy. Rozmawialiśmy o tym, jak trudny okazał się nasz pobyt w Paryżu, ale stwierdziliśmy, że oboje chcemy tu wrócić któregoś dnia, może gdy dzieci trochę podrosną. Postanowiliśmy, że w domu będziemy się uczyć francuskiego. Położyliśmy się dopiero po północy i kochaliśmy się. Było nam dobrze, a Nina chciała robić różne rzeczy. Była bardziej otwarta niż kiedykolwiek.

ROZDZIAŁ 15

NINA

Tak bardzo drżały mi ręce, że z trudem wsunęłam klucz do zamka. Była dopiero czwarta, a opiekunka powiedziała, że przyprowadzi dzieci o piątej. W lustrze zobaczyłam, że jestem czerwona na twarzy. Nie mogłabym się pokazać Clyde'owi w takim stanie. Dobrze, że nie wrócił jeszcze do domu. Właściwie przypuszczałam, że go jeszcze nie będzie, ale nigdy nie wiadomo. Wiedziałam, że muszę wziąć kąpiel i spróbować się pozbierać. Nie byłam pewna, czy potrafiłabym powiedzieć, jak do tego wszystkiego doszło.

Rozłożyłam na łóżku mój nowy kostium; ani trochę się nie pogniótł, pewnie dlatego, że jest z dzianiny. Nie chciało mi się płakać, po prostu byłam cała roztrzęsiona, jak w chwilach, kiedy zbiera mi się na płacz. Zdjęłam halkę; biustonosz miałam tylko częściowo zapięty. Postanowiłam sprawdzić, czy mam jakieś ślady. Poszłam do pokoju, by obejrzeć się w dużym lustrze. Zauważyłam tylko czerwone ślady wokół szyi; wydawało mi się też, że mam opuchnięte usta, ale w lustrze wyglądały normalnie.

Nalałam prawie pełną wannę wody tak gorącej, jak tylko mogłam wytrzymać. Zamknęłam się od wewnątrz w łazience, na wypadek gdyby wrócił Clyde, i zanurzyłam się w wodzie, aż poczułam, jak moje piersi stają się lekkie. Zamknęłam oczy i spróbowałam zebrać myśli, powrócić do tamtych chwil. Nie chciałam zapomnieć, a zarazem bałam się.

Wszystko zaczęło się wtedy, gdy powiedziałam Clyde'owi, że kupiłam sobie nowy kostium, a on nie poprosił nawet, żebym mu go pokazała. W ogóle nic nie powiedział. Nawet gdy wspomniałam, że był bardzo drogi; wzruszył tylko ramionami, jakby w ogóle go to nie dotyczyło. Poczulałam się okropnie, jakbym była dla niego niewidzialna. Czasem tak się czuję i jest mi wtedy bardzo źle. A potem zaraz wyszedł i nawet nie pocałował mnie na pożegnanie. Może absorbują go bardzo jego obrazy, ale nic mi o nich nie mówi, ani nie prosił, żebym przyszła je zobaczyć, tak jak to robił w domu. I jeszcze ten fiołkowy zapach, który przynosi. Sprawdzałam w apteczce i nie zauważyłam, żeby miał jakąś nową wodę kolońską. Okropnie jest czuć się w ten sposób i robić takie potworne rzeczy. A wiem, że to nie wszystko.

Rano, kiedy dzwoniłam do Alliance w sprawie opiekunki do dzieci na wieczór, przyszło mi do głowy, że mogłabym wynająć też kogoś na popołudnie, a oni powiedzieli, że mają kogoś, kto mógłby przyjść o dwunastej. Mark poszedł do przedszkola, a niemowlak był już wykąpany i nakarmiony i rączkował po podłodze w sypialni. Wyjęłam z szafy nowy kostium, najlepsze pończochy i bieliznę. Wykąpałam się i uczesałam. Clyde nawet nie zauważył, że rozjaśniłam włosy. Zaczesałam je wysoko, trochę zalotnie, tak jak pokazała mi fryzjerka, i umalowałam oczy. Wciąż nie miałam pojęcia, co zamierzam zrobić, wiedziałam tylko, że chcę się wystroić. Pragnęłam poczuć się kimś, nawet gdybym miała iść tylko do kina.

Czułam się wspaniale, gdy szłam po Marka, a kiedy wróciliśmy do domu, opiekunka już czekała. Była Irlandką; wyczułam, że mogę jej zaufać. Powiedziała, że nakarmi dzieci, odprowadzi Marka z powrotem do przedszkola i zajmie się niemowlakiem, a potem przyprowadzi Marka i pójdzie z dziećmi do parku, gdzie zostaną do piątej. Tak więc miałam całe popołudnie dla siebie. Zostawiłam jej drugi klucz i wyszłam o wpół do pierwszej. Chciałam zjeść lunch sama, bez dzieci. Nie musiałam się martwić o pieniądze. Tyle przynajmniej miałam pożytku z Clyde'a, że ostatnio nie liczył ich już tak bardzo.

Nie chciałam zostać w naszej, spokojnej części Paryża. Pragnęłam znaleźć się gdzieś, gdzie chodzą studenci, gdzie tętni życie. Pojechałam metrem aż do St-Germain-des-Pres. Jest bardzo

wygodne, jeśli już człowiek nauczy się nim podróżować. Pojechałam pierwszą klasą i zauważyłam, że przygląda mi się co najmniej jeden mężczyzna, lecz nie miałam tyle odwagi, by spojrzeć mu w oczy.

Potem znalazłam małą restaurację przy rue des Ciseaux. Dość ciemna, z czerwonymi obrusami — to, czego szukałam. Po raz pierwszy jadłam *escargot* i *shish-kabob*, do tego wypiliśmy małą butelkę czerwonego wina; nie sądziłam, że ślimaki są tak pyszne z winem. Siedziałam przy oknie i mogłam obserwować przechodniów, wiedząc, że oni mnie nie widzą. Było bardzo miło. W pewnej chwili przysiadł się do mnie jakiś mężczyzna, ale zaraz pojawił się kelner i skierował go do wolnego stolika. Nawet żałowałam, że tak się stało, bo miałam ochotę z kimś porozmawiać. Kłopot tylko w tym, że tak słabo mówię po francusku. Rachunek z napiwkiem wyniósł zaledwie dwadzieścia siedem franków, całkiem znośnie.

Później poszłam do Ogrodu Luksemburskiego. Spacerowałam trochę, oglądałam rzeźby i wreszcie wypożyczyłam leżak i rozłożyłam go między drzewami. Świeciło słońce, mimo to było dość chłodno, a lekki wiatr strącał z drzew ostatnie liście. Naprawdę miałam nadzieję, że zaczepi mnie jakiś mężczyzna i zechce ze mną porozmawiać. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby rzeczywiście tak się stało, ale wiedziałam, że tym razem przynajmniej spojrzę na niego. Czułam się taka samotna i wyobcowana. Bardzo chciałam z kimś porozmawiać, z kimkolwiek.

Robiło się coraz chłodniej; pomyślałam, że wstąpię do nowego mieszkania Alice i zapytam, czy mogłabym w czymś pomóc przed naszym przyjęciem. Ona na pewno zwróci uwagę na mój nowy kostium i fryzurę. Pamiętałam, że mam ich adres w notatniku, a z parku widziałam wieże kościoła St-Sulpice.

Gdy nacisnęłam domofon i weszłam do środka, w pierwszej chwili myślałam, że to nie ten adres. Na klatce schodowej nie paliło się światło, schody były bardzo wąskie i zniszczone, a ściany brudne i upstrzone łatami po odrapanej farbie. Nawet poręcz mocno się zatrzęsała, gdy się o nią oparłam. Na drzwiach na czwartym piętrze jednak widniała wizytówka: Ben Stein, Filadelfia, USA. Zadzwoiłam.

Drzwi otworzył Ben. Był w granatowej bluzie, niebieskich džinsach i tenisówkach. Gdy mnie zobaczył, przecesał dłonią zmierzwiłone włosy. Zaraz na wstępie powiedział mi, że ładnie wyglądam. Nie musiał mi tego mówić, ponieważ wyczytałam to w jego oczach. Przetarł dłonią spocone czoło.

— Usiądź, proszę, Nino. Przepraszam za ten nieład, ale kładłem dywan w sypialni.

Usiadłam w fotelu pod oknem, a on na małej kanapie. Pokój wyglądał ładnie, ale był strasznie mały. Spojrzał na moje nogi, a potem na mnie.

— Wpadłam, żeby spytać, czy mogłabym w czymś pomóc Alice, może coś kupić?

Patrzył mu prosto w oczy, a on wytrzymał moje spojrzenie. Wcale się nie bałam i czułam się dobrze. Wiedziałam, że ktoś mnie podziwia, i tego właśnie potrzebowałam. Czułam, że on wie, po co przyszedłam. Wreszcie odwrócił wzrok.

— O rany, Nino, Alice pojechała na wycieczkę z Alliance. Zwiedzają jakiś kościół. Mówiła, że zdąży wrócić, żeby odebrać Aarona ze szkoły.

— A to pech.

— Chyba już wszystko przygotowała. Wiesz, jaka jest Alice.

— Tak. Nie znam bardziej pozbieranej kobiety.

— To właśnie jest w niej cudowne.

Zamilkliśmy. Nie wiedziałam, czy chce, żebym sobie poszła, czy nie. Może czuł się nieswojo, będąc ze mną sam na sam pod nieobecność Alice. Ale nie miałam zamiaru wychodzić, chciałam jeszcze z nim porozmawiać.

— Pokażę ci mieszkanie?

Wstał, zanim zdążyłam powiedzieć cokolwiek. Bardzo szybko się poruszał. Clyde twierdził, że Ben musi mieć około czterdziestu pięciu lat. Pamiętam też, że Alice wspominała o znacznej różnicy wieku między nimi. Wstałam.

— Mieszkanie jest małe, ale w porządku, moim zdaniem. Tutaj mamy kąpielownię.

Zapalił światło w wydzielonym kącie, w którym umieszczono zlew i staromodną kuchenkę. Nie widziałam nigdzie lodówki.

— Kuchenkę kupiliśmy na targu za piętnaście dolarów. Ma piekarnik i wszystko, co trzeba.

Minął mnie i wszedł do innego pomieszczenia. Na wysokich obcasach niemal dorównywałam mu wzrostem.

— Tutaj śpi Aaron, a tu trzyma swoje ubrania. Ja pracuję tam, przy oknie. Kiedyś zainstaluję tam coś w rodzaju łóżka piętrowego.

Pokazał w stronę sufitu. Wspaniale było mieć przez chwilę kogoś, kto rozmawiał tylko ze mną, kto opowiadał mi o swoich planach. Chyba to właśnie sprawiło, że ogarnął mnie wtedy smutek. A przecież raczej powinnam była się cieszyć, tymczasem miałam ochotę się rozpłakać. Ben chyba nic nie zauważył, a nawet jeśli tak, to nie zareagował. Przeszedł przez kolejne wąskie drzwi.

— Sam je wybiłem. Muszą być takie wąskie, bo inaczej nie zmieściłoby się łóżko. Mówię ci, bałem się, że całe mieszkanie zwali mi się na głowę, gdy to robiłem.

Znaleźliśmy się w kolejnym pokoiku. Na podłodze leżały skrawki wykładziny. Przy oknie urządzono małą kąpielownię z prysznicem, jednak najlepsze z tego wszystkiego było łóżko. Stało w kącie przy kominku i miało zadaszenie, dość wysoko, by można było swobodnie usiąść. Nad nim zainstalowano lampę ze ślicznym jasnoniebieskim abażurem. Był to taki kącik, w którym można się zaszyć i zapomnieć o wszystkim. Nigdy nie zazdrościłam innej kobiecie, ale wtedy poczułam się zazdrosna o Alice i nie mogłam już dłużej powstrzymać łez. Ben odwrócił się i spojrzał na mnie. Wyciągnął ramiona, by wziąć mnie za ręce, a ja dosłownie rzuciłam się w jego ramiona. Objął mnie. Drżałam cała od płaczu i czułam pot, którym przesiąknęła moja bluzka.

Wziął w dłonie moją głowę i odchylił ją do tyłu. Nie otworzyłam oczu; chciałam, żeby mnie pocałował, i poczułam, że jego wargi dotykają moich powiek, ale tam zostały. I zaraz poczułam coś ciepłego — jego język zbierający moje łzy. Było to dla mnie zupełnie nowe przeżycie i popłynęły mi jeszcze gorętsze łzy, a on nie przestawał. Wreszcie się uspokoiłam, a wtedy jego usta otworzyły się nad moim nosem i oddychałam do ich wnętrza; przedziwne uczucie. Jakbyśmy mieli się stać jedną osobą. Nasze oddechy zjednoczyły się, bardziej niż przy pocałunku. Jeszcze mocniej odchyliłam głowę, nie otwierając oczu, aż wreszcie nasze usta się spotkały. Dotknęliśmy się nimi i poczułam siłę i kształt jego warg, mocniejszych i większych od moich, i szorstkość jego twarzy. Spróbowałam objąć go mocniej, wtedy on przytulił mnie jeszcze bardziej i szerzej otworzyliśmy usta, napierając wargami. Wydawało mi się, że już nigdy nie będę potrafiła oddychać samodzielnie. Nie wiem, jak długo to trwało, jak długo staliśmy w tym pokoiku obok łóżka, jakbyśmy byli zupełnie w innym miejscu, aż wreszcie powróciliśmy do rzeczywistości. Znowu tylko staliśmy, dotykając się stopami, i nasze usta się rozłączyły. Wciąż tulił mnie mocno do siebie i poczułam dotyk jego zimnego ucha na moim.

— Przepraszam, Nino. Nie chciałem, żeby to się wydarzyło.

Mówił niskim, cichym głosem. Nie wiedziałam, czy zdołam powiedzieć cokolwiek. Odchylił nieco głowę. Spojrzeliśmy na siebie i znowu stało się to samo. Chciałam tego. Wiem, że chciałam. Pragnęłam wszystkiego. Usiadłam, on obok mnie i oboje opadliśmy na łóżko. Położył się na mnie, a ja rozchyliłam nogi, żeby mógł się do mnie przycisnąć. Wtulił mocno twarz w moją, aż moja skóra zaśpiewała boleśnie. Gdy zaczął odpinać górny guzik mojej bluzki,

pomogłam mu. Jego usta powędrowały w dół mojej szyi, a dłonie przybierały kształty mojego ciała. Przytrzymałam zębami jego język. Nigdy przedtem tego nie robiłam. Chciałam, żeby jego smak był moim smakiem. Odpiął mój stanik szybkim ruchem i wypchnął do przodu moje piersi. Spojrzał na nie, a ja spojrzałam mu w oczy. Dostrzegł bliznę po operacji i pocałował to miejsce, a potem zaczął mnie pieścić wargami i językiem, aż poczułam, że moje piersi stają się coraz twardsze; myślałam, że zemdleję. Ledwie pamiętam, że zrzuciliśmy z siebie resztę ubrań.

Był duży i ciemny, a jego klatkę piersiową pokrywały czarne włosy przetkane siwizną.

A potem spojrzał na mnie, tak naprawdę. Dotknął mnie językiem, aż poczułam, jak języki zielonego ognia popęzły w górę mojego ciała. Czułam, że jednocześnie jestem miękka i twarda, twardością, której kontury wnikały głęboko do mojego miękkiego wnętrza, z którego tryskały moje soki, wszędzie, nawet z ust i oczu. Gdy wszedł we mnie, czułam, że wspinam się po górskim zboczu, i początkowo nie chciałam tam iść, a potem wydało mi się, że on wsuwa się na górę, coraz wyżej, i już nie mogłam się powstrzymać, a on ciągnął mnie za sobą i oboje wznieśliśmy się w powietrze; nic już mnie nie obchodziło i nawet nie spojrzałam w dół. Za to popatrzyłam w górę, na błękitne niebo i zamknęłam oczy; widziałam tylko ciemną purpurę i poczułam, jakbym cała wywracała się na drugą stronę i stała się zbyt wrażliwa, by można mnie dotknąć. Wtedy Ben znieruchomiał; trzymał mnie tylko. Wiedział, jak to jest, i pozostał nieruchomy. Dla mnie to był pierwszy raz. Z Clyde'em zawsze znajdowałam się na szczycie góry i wiedziałam, że muszę tylko skoczyć, wtedy jednak patrzyłam w dół i góra topniała. Teraz jeszcze długo byłam nieobecna. Trzymałam się go mocno i chyba płakałam.

Poczułam, że żal mi Clyde'a. Może niedorzecznością było myśleć o tym w takim momencie, ale to właśnie przyszło mi na myśl. Ben podniósł głowę i ujął w dłonie moją, tak jak wcześniej.

— Nie płacz. Przepraszam, Nino.

— To nie przez ciebie, Ben. To... Nie mogłam mu tego powiedzieć.

— Nie chciałem cię zranić, Nino.

— Och, Ben, nie zraniłeś mnie; byłeś cudowny. Nigdy wcześniej nie przeżyłam czegoś takiego.

Przytulił mnie mocniej i leżeliśmy jeszcze tak przez jakiś czas.

A potem pomyślałam o Alice. Naprawdę dopiero wtedy pomyślałam o niej po raz pierwszy. Nie chciało mi się wierzyć w to, co zrobiłam, i zaczęłam się zastanawiać, jak spojrzę jej w oczy? Rozpłakałam się. Ben tak długo zbierał językiem moje łzy, aż przestałam.

— Och, Ben, czuję się okropnie wobec Alice.

Milczał przez dłuższą chwilę, ale wyczułam zmianę w jego oddechu. Żałowałam, że to powiedziałam.

— Wiesz, Nino, kocham Alice, naprawdę. Nigdy bym jej nie zranił.

— Wiem, Ben.

Znowu zaczęłam płakać. Nie mogłam się powstrzymać. Wiedziałam, że kocha Alice, a ja nie chciałam, żeby ją kochał. Pragnęłam, żeby mnie kochał. Bardzo tego chciałam, chociaż zdawałam sobie sprawę, że nie może. Wiedziałam też, że kocham Clyde'a, którego także nie potrafiłabym zranić. Znowu poczułam, że drzę w środku. Ben tulił mnie długo, szepcząc mi do ucha:

— Nie płacz, Nino. Oboje wiemy, że się kochamy, bo inaczej to by się nie zdarzyło. Ludzie nie mogą być razem, jeśli nie ma między nimi choć trochę miłości. Rzecz w tym, że ty kochasz swojego męża, a ja moją żonę. To nie powinno się wydarzyć. Nie powinienem dopuścić do tego.

Przestał mówić i poczułam, jak jego oddech porusza moje włosy nad uchem. Było mi bardzo dobrze, gdy słyszałam jego głos tuż przy mnie, gdy wiedziałam, że mówi tylko do mnie. Poczułam, że znowu zaczynam go pragnąć, ale leżałam nieruchomo i słuchałam.

Leżeliśmy w łóżku i rozmawialiśmy jeszcze trochę o Alice i Clydzie, a on opowiedział mi o swojej pierwszej żonie. Powiedział, że musimy uważać, aby nic podobnego już się nie powtórzyło, bo Alice z pewnością by to wyczuła. Ale zaraz potem znowu zaczęliśmy się całować, a ja go dotknęłam, i znowu było tak jak przedtem, tylko że jeszcze lepiej, wolniej, bardziej przypominało to ruchy zwiniętych, grubych, ogromnych węży, jakie pokazują w zoo. Żadne z nas nie chciało, żeby to się skończyło, wreszcie jednak musieliśmy już przestać i byliśmy jak dwa ptaki, które spotkały się w powietrzu, trzepocząc skrzydłami, dotykając się, i pomknęły w dół zgodnym lotem. Leżeliśmy jeszcze długo, niewiele mówiąc. Wiedziałam, że robi się późno, więc w końcu wstałam. Nie byłam pewna, czy Ben nie zasnął. Leżał w łóżku nieruchomo i nie spojrział na mnie ani razu, kiedy się ubierałam. Przed lustrem w malutkiej łazience poprawiłam włosy, włożyłam żakiet i gdy się obejrzałam, zobaczyłam, że patrzy na mnie.

— Jesteś naprawdę piękna, Nino. Zawsze o tym pamiętaj. Jesteś jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie widziałem.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Pochyliłam się, żeby go pocałować, tylko ustami, tylko chłodny dotyk, ale od razu poczułam ciepło jego warg, ich miękkość. Chciał coś powiedzieć, lecz przykryłam dłonią jego usta. Bałam się tego, co zamierzał powiedzieć. Wyszedł, zanim wstał.

Zdażyłam się ogarnąć po kąpiel, zanim drobniutka opiekunka wróciła do domu z dziećmi. Wyglądały na zadowolone. Była to miła dziewczyna o niewinnym wyglądzie. Aż trudno uwierzyć, że można znaleźć takie cudowne młode dziewczęta same w Paryżu. Powiedziała, że mieszka w akademiku Alliance Française. Zapłaciłam jej dwa franki więcej i zapytałam, czy mogłaby przyjść jeszcze kiedyś. Odpowiedziała, że dzieci są bardzo miłe i wystarczy, żebym zadzwoniła do Alliance i spytała o pannę O'Connor. Nauczyła mnie, jak wymówić nazwisko po francusku, bo inaczej mogliby nie zrozumieć, o kogo chodzi.

Na szczęście starczyło ciepłej wody na kąpiel chłopców. Gdy kąpią się razem, wtedy przynajmniej przez pół godziny zajmują się sobą. Zaczęłam kroić ziemniaki w plasterki na kolację; kupiłam też wieprzowe kotlety, żeby je przyrządzić tak, jak zaraz po naszym ślubie nauczyła mnie matka Clyde'a. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że wróciłam znowu do zwykłych codziennych zajęć i nie czuję już tego wewnętrznego drżenia. Czułam się o wiele bardziej dorosła i tak bardzo odmieniona, że wydawało mi się, iż Clyde na pewno coś dostrzeże.

Dochodziła szósta, gdy nakryłam do stołu i wsadziłam ziemniaki i mięso do piekarnika. Wyciągnęłam chłopców z wanny i ubrałam w piżamy. Clyde mógł przyjść w każdej chwili. Poszłam do pokoju i poprawiłam usta. Nie chciałam wyglądać inaczej niż przedtem.

Minęła szósta, a Clyde wciąż nie przychodził, ale przypomniałam sobie, że prosiłam go, żeby kupił coś dla Bena i Alice. Pewnie utknął gdzieś w korku. Sprawdziłam piekarnik i okazało się, że nie jest nawet włączony. Wiedziałam, że spóźnię się z kolacją. Potrzebowałam co najmniej godziny, a opiekunka przychodziła o ósmej.

Zaraz potem przybiegł Mark, wołając, że w łazience na podłodze jest woda. Początkowo sądziłam, że po prostu pochłapali podłogę, gdy wyciągałam ich z kąpiel, lecz gdy weszłam, od razu się zorientowałam, że woda leci z pralki. Zapomniałam włożyć do wanny wąż spustu wody, tak jak powinnam. Strasznie to wyglądało i pewnie bym się rozplakała, gdybym nie była w tak dobrym nastroju. Zbierałam wodę ręcznikami, gdy zadzwonił dzwonek. Myślałam, że to Clyde, i zastanawiałam się, dlaczego sam sobie nie otworzył. Okazało się, że to dozorczyńni. Przyszła dowiedzieć się, co się dzieje, bo woda zalała mieszkanie pod nami. Pokazałam jej, co się stało. Spojrzała tylko na mnie, wzruszyła ramionami i wyszła bez słowa. Wciąż daleko mi było do płaczu. Kiedy jednak spojrzałam w lustro po jej wyjściu, zobaczyłam, jak bardzo jestem zarumieniona. Nie pamiętam, żebym kiedyś wyglądała tak ładnie. Na podłodze leżało mnóstwo

porozrzucanych zabawek, a w umywalce moczyły się jeszcze pieluchy, które czekały na dodatkowe płukanie ,w pralce. Jeszcze raz poszłam sprawdzić piekarnik, ale wszystko było w porządku. Wtedy usłyszałam, że przyszedł Clyde.

Zupełnie odruchowo wyszłam do niego i w ogóle się nie denerwowałam. Zapomniał kupić prezent, a ja od razu opowiedziałam mu o wodzie i wizycie dozorczyńni. Sprawiał wrażenie zmęczonego, ale powiedział, że pójdzie poszukać czegoś. Pocałowałam go, on jednak jakby tego nie zauważył. Powiedziałam mu, że zamówiłam opiekunkę na wieczór, lecz nie wspomniałam o tamtej, która zajmowała się dziećmi po południu. Wiedziałam, że jeszcze nie umiałabym wyjaśnić mu czegokolwiek. Włożył z powrotem płaszcz, unikając mojego spojrzenia. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że domyśla się czegoś i dlatego nie chce na mnie patrzeć. Był jakiś inny. Odetchnęłam, kiedy znowu wyszedł. Pozbierałam zabawki i sprawdziłam piekarnik. Jedzenie mogło być gotowe nie wcześniej niż za pół godziny. Przejrzałam się w lustrze. Jako siedemnastoletnia dziewczyna szczypałam się w policzki, żeby pojawiły się rumieńce. Teraz żałowałam, że nie znam sposobu, żeby je zatuszować.

Clyde wrócił około siódmej i oznajmił, że kupił jakiś trunek. Według mnie nie jest to najlepszy prezent, ale nic nie powiedziałam. Starłam się być miła. Czułam się okropnie, widząc, jaki jest smutny. Wsadziłam niemowlaka do wysokiego krzeselka i podałam kolację. Myślałam, że umrę, gdy zobaczyłam, że ziemniaki są jeszcze twarde. Clyde nic nie powiedział, ale Mark nie chciał ich tknąć; także i niemowlak musiał coś wyczuć, bo zaczął stroić fochy. Czułam się strasznie, patrząc na twarz Clyde'a. Starł się być miły, ale powiedział coś Markowi i Mark się rozplakał, wtedy Clyde wstał, chociaż jeszcze nie zjadł wszystkiego. Powiedział, że kolacja mu smakuje, tylko nie czuje się najlepiej i chce odpocząć. Zaproponowałam, żeby się trochę położył, a wtedy on popatrzył na mnie uważnie, pokręcił głową i wyszedł z pokoju. Nie miałam pojęcia, o czym myśli.

Zostałam przy stole z niemowlakiem. Dziwne, ale odczuwałam straszny głód. Zjadłam duży lunch, a mimo to byłam głodna. Zjadłam swoją porcję mięsa, a potem porcję Clyde'a. Nie poznawałam samej siebie. Powinnam czuć się przygnębiona, ale byłam głodna. Wybrałam kilka bardziej miękkich ziemniaków dla niemowlaka, nakarmiłam go i zapakowałam do łóżka. Po jakimś czasie usłyszałam, jak Clyde idzie do łazienki i puszcza wodę do wanny. Domyślałam się, że po praniu i dwóch kąpielach nie zostało zbyt dużo ciepłej wody, ale nic mu nie powiedziałam. Nie mogłabym spojrzeć mu w oczy. Poszłam na górę i włożyłam kostium; odniosłam wrażenie, że czuję go całym swoim ciałem, jakbym zamieniała się w inną osobę, mając go na sobie. Zapięłam żakiet i przesunęłam dłońmi w dół po biodrach i brzuchu — czułam się cudownie.

Opiekunka przyszła dokładnie o ósmej, ale zdziwiłam się, gdy zobaczyłam, że to Francuzka. Mówiła po angielsku; wyjaśniła, że jej koleżanka zachorowała i poprosiła ją o zastępstwo. Mnie to nie przeszkadzało. Była ładna, miała jakieś dwadzieścia dwa lub trzy lata i zbyt mocno pomalowane oczy. Przyniosła ze sobą książkę. Przyszedł Clyde i gdy podali sobie ręce, spojrzała na niego wymownie. Francuzki chyba uważają, że tego się od nich oczekuje, podobnie jak od mężczyzn w naszym kraju, by ustępowali miejsca w autobusie. Poszłam do łazienki poprawić włosy i zrobić makijaż. Gdy wróciłam, Clyde pochwalił mój kostium, a gdy po raz kolejny próbowałam mu powiedzieć, jaki był drogi, odparł tylko, że powinnam częściej kupować sobie ubrania, żeby ładnie wyglądać. Szkoda, że nie powiedział tego wcześniej, zamiast zachowywać się, jakby mu na niczym nie zależało.

Chłód na dworze mógł dotknąć tylko mojego ciała na zewnątrz, bo w środku było mi bardzo ciepło. Przepeniało mnie cudowne uczucie, że tak naprawdę nic nie może mnie zranić.

W samochodzie poczułam nagle, że mam ochotę rozmawiać z Clyde'em o Benie; nie wiem dlaczego. Nie podobało mi się, że Clyde, mówiąc o Benie, używa jego nazwiska. Wydawało mi

się to takie zimne, a przecież mówiąc o Alice, używał jej imienia. Clyde zapytał mnie, czy moim zdaniem Alice jest Żydówką. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam i nie miałam pojęcia, dlaczego mnie o to pyta. Wydało mi się to bardzo dziwne. Próbowałam sprowokować Clyde'a, żeby powiedział, co jego zdaniem, łączy Bena i Alice, ale nie chciał o tym mówić. Chyba nic go to nie obchodziło. W końcu dałam za wygraną i spróbowałam przygotować się psychicznie do ponownego spotkania z Benem, a także z Alice. Gdy spoglądałam na Clyde'a, sprawiał wrażenie tak bardzo nieszczęśliwego, że zapytałam, czy wszystko w porządku.

— Clyde, jesteś szczęśliwy w Paryżu?

Zapytałam go o to niespodziewanie, nie przestając obserwować jego twarzy.

— Chyba tak. Życie tutaj jest dość trudne i nie mogę zacząć malować tak, jak bym chciał, ale jest w porządku.

Potem on zapytał, czy ja jestem szczęśliwa, a ja skłamałam. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego skłamałam, ale nie chciałam, żeby wiedział, jak bardzo jestem szczęśliwa w środku. Wiedziałam, że powinnam być nieszczęśliwa, i czułam nawet, że to moje zmartwienie czai się gdzieś głęboko w moim wnętrzu. Zapytał mnie, czy chcę wracać do domu.

— Och, nie, chcę zostać. Wiem, że moje zachowanie jest głupie i na pewno mi to przejdzie, tylko czasem po prostu jest mi ciężko.

— Och, będzie, jak zechcesz.

Zastanawiałam się, czy rzeczywiście chce wracać do domu. To pierwsze, co przyszło mi do głowy. Dotąd sądziłam, że jest szczęśliwy w Paryżu, ale teraz już sama nie wiem. Trudno odgadnąć uczucia innych.

Clyde od razu znalazł miejsce do parkowania.

Większość sklepów była już zamknięta, ale w niektórych paliły się światła. Po drugiej stronie ulicy znajdowały się, oświetlone na żółto, restauracja i pralnia. Na czarnym niebie iskrzyły się gwiazdy. Po raz pierwszy zauważyłam je w Paryżu. Clyde stanął obok mnie; z naszych ust ulatywały małe obłoczki oddechów. Tył kościoła, który mieliśmy przed sobą, wyglądał tajemniczo. Po raz pierwszy poczułam strach przed spotkaniem z Benem, bardziej niż przed rozmową z Alice. Wydawało mi się, że wszystko wydarzyło się dawno temu, a potem nagle uzmysłowiłam sobie, że to było tego samego dnia po południu.

Poszliśmy na górę po schodach, które nocą nie wyglądały tak źle jak w ciągu dnia. Zastanawiałam się, o czym myśli Clyde, i nie wiedziałam, czy powinnam coś powiedzieć. Zdumiewające, jak trudno wybrać właściwy sposób działania, gdy wszystko jest inne, niż się wydaje.

Clyde zapukał; serce zabiło mi mocniej już na widok małej wizytówki. Drzwi otworzyła Alice. Clyde wręczył jej prezent i życzył pomyślności na nowym mieszkaniu. Wszedł pierwszy. Gdy wchodziłam za nim, z drugiego pokoju wyszedł Ben. Clyde stał odwrócony do mnie plecami, a Alice rozpakowywała prezent, więc mieliśmy chwilkę, by spojrzeć na siebie. Popatrzył na mnie tak, jakby chciał sprawdzić, czy u mnie wszystko w porządku. Poczułam ciepło rozlewające się po wewnętrznej stronie moich nóg aż do kolan, ale uśmiechnęłam się, a zaraz potem spojrzała na mnie Alice. Poprosiła, żebym weszła dalej, tak by mogła zamknąć drzwi. Podała prezent Benowi i wyciągnęła rękę w stronę Clyde'a.

— Daj płaszcz, Clyde.

Clyde posunął się do przodu, by mieć trochę więcej miejsca na zdjęcie płaszcza, a Ben stanął za mną i zamknął drzwi. Gdy poczułam, że ociera się o mnie, miałam ochotę oprzeć się na nim, ale nie zrobiłam tego. Niesamowite, że byliśmy tam wszyscy razem. Widziałam, że Alice patrzy na mnie. Najpierw bardzo się przeraziłam, zaraz jednak się zorientowałam, że patrzy z podziwem na mój kostium i fryzurę. Poczułam się bardzo dobrze, wiedząc, że Alice zauważa moją urodę.

Ben posadził mnie na krześle przy oknie. Obaj z Clyde'em zaczęli rozmowę o obrazie zawieszonym nad kominkiem. Czułam, że powinnam porozmawiać z Alice.

— Alice, to mieszkanie jest cudowne; czuje się, że jest zamieszkane. Aż trudno uwierzyć, że udało wam się wykroić taki wspaniały salonik na tak małej powierzchni.

Alice zaproponowała, że pokaże nam resztę mieszkania. Przeraziłam się. Wcześniej ani przez chwilę nie pomyślałam o łóżku i o ewentualnych śladach. Przeszliśmy do środkowego pokoju. Gospodyni pokazała nam szafę wykonaną przez Bena, on zaś opowiedział o łóżku, które miał zamiar zamontować wysoko pod sufitem. Po raz kolejny usłyszałam, jak Ben opowiada o tym, jak wybijał drzwi. Jakbym znowu oglądała ulubiony film, oczekując na kolejne wydarzenia. W tylnej sypialni zastaliśmy Aarona w dużym łóżku, nad którym paliło się światło. Nie spał jeszcze i wyglądał ślicznie w świeżej piżamie. Leżał grzecznie z małym pluszowym misiem. Mark z pewnością zacząłby się popisywać w takiej chwili. Clyde wsadził głowę do pokoju i spojrzał na łóżko.

— O rany, całkiem seksowne łóżko.

Myślałam, że umrę. Jakby czytał w moich myślach. Dobrze, że w pokoju nie paliło się górne światło.

Alice udała się prosto do malutkiej kuchni, a ja poszłam za nią. Gdy oświadczyła, że będziemy jedli pizzę, zapewniłam ją, że jest to ulubione danie moje i Clyde'a. Potem powiedziała, że wyglądam bardzo ładnie w kostiumie. Obejrzała go bardzo uważnie w kuchennym świetle. Odpowiedziałam dość głupio, wyjaśniając, jaki był drogi, i wspomniałam też o tym, że Clyde początkowo nie zwrócił na niego uwagi. Miałam ochotę ugryźć się w język. Nie musiałam mówić jej tego wszystkiego, a tak to wyglądało trochę, jakbym próbowała coś wyjaśnić. Alice nic nie powiedziała; jest naprawdę miła. Miała na sobie plisowaną spódnicę i szary sweter z odrobiną białego wokół szyi. Podobne rzeczy nosiliśmy często w college'u; jakby Alice nie zauważyła, że jest już starsza.

Alice powiedziała, że pizza będzie gotowa za jakiś kwadrans — była dziesiąta — i wróciliśmy do pokoju. Właściwie to bardziej odwróciliśmy się w tamtą stronę i słuchaliśmy rozmowy mężczyzn. Ben siedział w bujanym fotelu przy oknie, w którym ja siedziałam po południu, Clyde zaś usadowił się na podłodze; siedział oparty plecami o kanapę ze stopami tuż przy kominku. Domyślałam się, że dokuczają mu plecy, ponieważ zwykle siadał w taki sposób, kiedy go bolały. Wciąż rozmawiali o obrazie wiszącym nad kominkiem, kopii, którą Ben wykonał w Luwrze; teraz opowiadał o tym, co trzeba zrobić, żeby można było tam kopiować. Nigdy nie widziałam, żeby Clyde zajmował się czymś takim, po prostu nie ma tyle cierpliwości.

Powiedziałam, że o wiele bardziej podoba mi się ta część Paryża niż okolica, w której mieszkamy. Dodałam, że lubię nasze mieszkanie, ale okolica nie stwarza atmosfery prawdziwego Paryża. Zaraz potem poczułam, że nie powinnam była tego mówić. Clyde spojrzał na mnie, a potem wbił wzrok w płomień. Moje słowa zabrzmiały pewnie niegodziwie po tym, ile włożył wysiłku i pieniędzy, by zdobyć dla nas nowe mieszkanie. Do tego tak naprawdę to znalazła je dla nas Alice. Czasem daję się ponieść uczuciom i mówię bez zastanowienia. Próbowałam wyjaśnić, co miałam na myśli, że w porównaniu z Ogiem Luksemburskim park Monceau jest taki cichy i snobistyczny, ale wyszło jeszcze gorzej. Opowiedziałam Alice o tym, że Clyde kupił mi pralkę i suszarkę i zaprosił ją, żeby przyszła z praniem. Byłoby miło, gdyby zechciała przyjść, bo czasem czułam się taka samotna, a dla niej nie byłoby to specjalnie trudne, gdyby przyjechała metrem.

I wtedy Clyde oznajmił, że zamierza kupić drogi samochód. Wcześniej nie wspomniał o tym ani słowem. Przez chwilę zaczęłam się zastanawiać, czy może właśnie z tego powodu był taki przygnębiony. Gdy spojrzał na mnie, widziałam, że nie jest pewny mojej reakcji. A ja chciałam,

żeby miał to, czego pragnie, żeby był tak samo szczęśliwy jak ja. Alice zapytała, co zrobimy z volkswagenem, a Clyde odpowiedział, że go zatrzymamy, ponieważ samochód, który zamierza kupić, a który nazwał „posz” czy jakoś tak, nie jest zbyt duży. Uznałam to za doskonały pomysł, gdyż nasz samochód jest strasznie duży, i miałam nadzieję, że Clyde wierzy w szczerość moich słów. Opowiadał, że w czasie jazdy próbnej jechał nim sto czterdzieści na godzinę na autostradzie. Pomyślałam o tym, co ja robiłam w tym czasie. Żadne z nas nie miało pojęcia o tym, co robiło drugie. Nie przyszłoby mi do głowy, że Clyde pędził właśnie sportowym samochodem. Mógłby się zabić, a ja nic bym nie wiedziała.

Gdy zobaczyłam, że Alice zerka na zegarek i wraca do kuchni, poszłam za nią. Miała już przygotowaną sałatkę. Byłam głodna, a Clyde przecież ledwo tknął jedzenie. Alice dała mi butelkę wina i korkociąg i poprosiła, żebym zaniósła je Benowi.

I wtedy zdarzyło się coś bardzo dziwnego. Gdy podałam mu butelkę i korkociąg, Ben spojrzał na mnie, a potem zaczął obracać korkociąg w korku, powoli i ostrożnie, jakby wiedział, że go obserwuję. A ja nie mogłam oderwać od niego oczu. Patrzyłam jak zahipnotyzowana, jak srebrzysty metal zanurza się w miękkim korku coraz głębiej. Potem Ben spojrzał mi w oczy i przytrzymując szyjkę butelki drugą ręką, wyciągnął ostrożnie korek. Wszystko to trwało pewnie nie dłużej niż minutę, lecz mnie się wydawało, że minęło bardzo dużo czasu. Zupełnie zapomniałam o Clydzie. Spojrzałam na niego, ale on chyba nic nie zauważył. Ben podał mi butelkę i zaczął wykręcać korkociąg z korka, lecz ja wróciłam już do kuchni. Czułam, że nie mogę już dłużej patrzeć na niego, jakby zaczynało mi brakować oddechu. W środku rzeczywiście byłam mocno poruszona.

Pizza udała się i Clyde zjadł cztery kawałki. Alice przyznała, że kupiła ciasto w piekarni. Nietrudno byłoby upiec taką pizzę i Mark bardzo by się ucieszył, jeśli nie byłoby w niej sardeli czy czegoś takiego. Było naprawdę miło, gdy tak siedzieliśmy przy kominku, jedząc pizzę i popijając wino. Ja piłam bardzo mało, ponieważ bałam się, że uderzy mi do głowy i powiem coś niewłaściwego. I tak czułam już, że trochę kręci mi się w głowie.

Po skończonej kolacji Ben wyszedł z pokoju i wrócił z jakimś zawiniątkiem. Przyniósł litografie, nad którymi pracował. Rozwinął papier i rozłożył prace na podłodze. Okazało się, że są to ilustracje do tomiku poezji Alice. Były naprawdę piękne. Tak bardzo wyrażały jego osobę, że nawet nie chciałam myśleć o tym, iż mają także coś wspólnego z Alice. Ben poprosił ją, aby przeczytała jeden ze swoich wierszy, ponieważ, jak powiedział, ilustracje mówią tak głośno, że nie słyhać poezji; powiedział też coś o tym, że wiersze są ważne. Mówiąc to, spojrzał na mnie, a ja domyśliłam się, że chce, bym tego posłuchała. Początkowo Alice wzbraniała się. Potem przeczytała jeden z wierszy i już wszystko zrozumiałam. Były to wiersze miłosne, niezwykle sugestywnie opisujące, jak bardzo kocha Bena i jak bardzo go potrzebuje. Nie było mi łatwo w tamtej chwili. Wiersz mówił o piasku, który przenika woda; doskonale rozumiałam, co chce wyrazić. Powiedziałam, że moim zdaniem żaden mężczyzna nie zrozumie podobnego uczucia, ponieważ widziałam, że Alice patrzy na Clyde'a. Byłam cała roztrzęsiona w środku, ale chciałam, żeby było miło. Clyde odparł wtedy, że jego zdaniem mężczyźni także potrafią podobnie odczuwać. Nie wydawało mi się, aby potrzebował czegoś takiego; czasem lubi coś mieć, ale nigdy nie potrzebuje niczego tak bardzo, że aż chce mu się płakać.

Potem Ben zaczął wyjaśniać, w jaki sposób jego litografie różnią się od wierszy. Jakby zupełnie nie rozumiał słów Clyde'a albo tylko udawał, że go nie rozumie. Mówił o tym, że w litografiach to on był siłą sprawczą, podczas gdy w wierszach ta siła działała na Alice. Moim zdaniem to doskonała ilustracja tego, co dzieje się między mężczyzną i kobietą. Bardzo starałam się pohamować zazdrość o Alice; nie umiałabym napisać podobnych wierszy. Owszem, potrafię odczuwać wiele rzeczy, ale nie umiem wyrazić tego w taki sposób. Tak samo jak nie udało mi się

to, gdy próbowałam malować. Nie umiem uzewnętrznić swoich uczuć, by pokazać ludziom, co chcę wyrazić. Zawsze wszystko jest u mnie takie niejasne.

Ben obiecał, że da mi egzemplarz tomiku, gdy już będzie gotowy. Nie poprosiłam Alice, by przeczytała więcej wierszy, a bałam się, że tego bym nie zniosła, ale widziałam, że Clyde przeglądał niektóre. Stałam za Benem i patrzyłam na grzbiety jego dłoni, gdy składał kolejne strony. Miał takie małe dłonie, jeszcze mniejsze niż Clyde, który ma przecież bardzo małe ręce.

Potem ja i Alice poszłyśmy do kuchni pozmywać po kolacji. Jeszcze raz wyraziłam swój podziw dla jej poezji, a wtedy ona odparła, że bez litografii byłaby niczym. W pewnym sensie miała rację, lecz nie powiedziałam jej tego.

Gdy wróciliśmy do pokoju, panowie umawiali się, że Ben odwiedzi Clyde'a w pracowni i obejrzy jego prace. Pomyślałam, że to dobry pomysł, że Clyde poczułby się lepiej, gdyby usłyszał słowo zachęty z ust Bena. Nie chciałam myśleć o tym, co by się stało, gdyby Benowi nie spodobały się obrazy Clyde'a; z pewnością by mu o tym powiedział.

Potem Alice otworzyła okno i wszyscy podeszliśmy bliżej. Ben zgasił światło i miałam wrażenie, że się unosimy. Clyde stanął za mną, a Ben za Alice. Clyde zapalił fajkę i na chwilę płomień zapałki oświetlił nasze twarze. Zapach tytoniu wydał mi się przyjemny na tle zimnej ciemności nocy. Odwróciłam głowę, gdy Ben przywarł do pleców Alice; czułam, że muszę coś powiedzieć.

— Naprawdę, Alice, tego właśnie szukałam w Paryżu. Uczucia, że coś się dzieje, a ty w tym uczestniczysz, poprzez samą swoją obecność. Po raz pierwszy czuję, że naprawdę jestem w Paryżu.

Alice nic nie odpowiedziała. Zastanawiałam się, o czym myśli. Czy chce, żebyśmy już sobie poszli, żeby mogła pójść do łóżka z Benem? Ja bym tego chciała.

Nie mogłam się powstrzymać. Znowu zaczęłam mówić o tym, że ich okolica jest o wiele miłsza niż dzielnica, w której mieszkamy. Wiedziałam, że ranie Clyde'a, a mimo to nie mogłam przestać mówić. W pewnym sensie mówiłam to wszystko do Bena.

Gdy Alice zamknęła okno, Clyde oświadczył, że musimy już wracać. Rzeczywiście zrobiło się późno, minęła północ, a ja obiecałam opiekunce, że wrócimy przed północą, jednak nie chciałam jeszcze wychodzić. Umówiłam się z Alice, że przyjdzie w czwartek z praniem. Clyde ubrał płaszcz i zanim się obejrzałam, już schodziliśmy po schodach i gdy wyszliśmy na ulicę, wzięłam go pod rękę. Wydawał mi się jakiś dziwny, jakbym go przestraszyła albo jakby nie chciał, żeby ktoś nas zobaczył. Już w samochodzie miałam ochotę usiąść blisko niego, ale byłam skrupowana. Znowu poczułam się okropnie. Chciałam być miła dla niego; gdyby tylko okazał, że mnie kocha. Wiem, że mnie kocha, pragnęłam tylko, żeby mi to okazał.

Gdy wróciliśmy do domu, opiekunka czuwała, lecz chyba wcześniej spała. Poszłam od razu do sypialni zerknąć na dzieci, wszystko było w porządku. Zapłaciłam dziewczynie piętnaście franków. Powiedziała, że ostatni pociąg metra już odjechał, więc Clyde zaproponował, że odwiezie ją do domu. Wiedziałam, że jest bardzo zmęczony, i sama bym ją odwiozła, gdybym tak bardzo nie bała się jeździć naszym samochodem. Ja w ogóle nie czułam zmęczenia. Obiecałam, że naparzę herbaty, lecz Clyde powiedział, żebym poszła spać.

Po wyjściu Clyde'a nastawiłam wodę i poszłam się rozebrać. Przejrzałam się w lustrze. Rozbierając się, przejrzałam się w lustrze, potargałam sobie włosy, mimo to wciąż wyglądałam ładnie. Tak bardzo chciałam być kochana, że zaczęłam się dotykać i zaraz odwróciłam się od lustra.

Wypełniał mnie niepokój, a wspomnienia jeszcze go potęgowały. Spróbowałam pomyśleć o Alice, potem o Clydzie, wreszcie o niemowlaku, ale nic nie pomagało. Wszystko było takie wyraźne. Pamiętałam każdy szczegół. Starłam się ogarnąć myślami wydarzenia wieczoru.

Przyniósł książkę i poprosił Alice, by przeczytała wiersze. Czy chciał mi tym samym pokazać, jak bardzo się kochają z Alice? Rozmyślałam nad tym ze ściśniętym gardłem. A może pokazując mi litografie, chciał powiedzieć, co czuje do mnie. Raz czy dwa spojrzął tak jakoś na mnie, ale nie wiem. Nie powiedział, że mnie kocha czy choćby lubi, tylko że jest mu mnie żal. Nie chciałam już, żeby mi współczuł. Nalałam sobie herbaty, czując, że zbiera mi się na płacz. Była mocna, ciemnoczerwona. Piłam gorzką, pragnąc poczuć jej smak. Nalewałam sobie drugą filiżankę, gdy wrócił Clyde. Sprawiał wrażenie okropnie zmęczonego, jednak usiadł w kuchni, żeby napić się ze mną. Zapytałam go, co sądzi o wierszach Alice. Chciałam poznać jego zdanie.

— Wiesz, Nino, że nie jestem wielbicielem poezji. Dla mnie jej wiersze są jak Emily Dickinson odgrzana z tłuczonymi ziemniakami.

Sama się sobie dziwiłam, ale ucieszyły mnie jego słowa. Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Człowiekowi wydaje się, że zna siebie i swoje myśli, tymczasem z naszego wnętrza wynurzają się odczucia, których istnienia wcale się nie spodziewamy. Chciałam wiedzieć więcej.

— Wiesz, Clyde, myślę, że Alice naprawdę kocha Bena, nie uważasz tak?

Patrzył na mnie tak, że nie potrafiłam odgadnąć jego myśli. Zdałam sobie sprawę, że nie powinnam była zadawać mu tego pytania.

— Są małżeństwem.

Wciąż było mi mało.

— Nie wierzysz, że Alice potrafi kochać tak, jak pisze w swoich wierszach, prawda, Clyde?

Napił się herbaty. Zastanawiałam się, co myśli. Aon powiedział:

— Dla mnie ona jest jakaś bepcłciowa. Nie wiem, co Ben w niej widzi.

Odpowiedziałam, że moim zdaniem Ben naprawdę ją kocha, ale w głębi serca ucieszyły mnie jego słowa. Jest bardzo wrażliwy, jeśli chodzi o kobiety. Czułam się okropnie, gdy tak rozmawialiśmy o innych, bo nigdy tego nie robimy, jednakże tym razem bardzo chciałam poznać jego myśli.

Clyde popijał herbatę, a drugą ręką zaczął rozpinąć koszulę. Powiedział, że idzie się położyć. Nic nie powiedział, ale wiedziałam, że się zastanawia, dlaczego jeszcze nie idę spać. Nie mam zwyczaju siedzieć długo w noc; gdy wracamy skądś późno, to ja jestem bardziej zmęczona i kładę się pierwsza.

Wstawiłam naczynia do zlewu. Jeszcze raz spojrzałam na swoje odbicie w lustrze. Cofnęłam się na środek pokoju, tak bym mogła ogarnąć wzrokiem całą siebie. Potem zrzuciłam szlafrok i zdjęłam koszulę. Po prostu chciałam przyjrzeć się sobie. Ben powiedział, że jestem piękna; odwróciłam się bokiem i spojrzałam na profil piersi. Wciąż były jędrne, a skórę miałam czystą, bez pieprzyków czy innych plamek. Nie było mi zimno, mimo to poczułam, jak podnoszą mi się brodawki. Odwróciłam się w drugą stronę, tak by światło padło na łuk moich pleców. Ani odrobiny tłuszczu na biodrach. Po raz pierwszy od lat przyglądałam się sobie tak dokładnie. Przesunęłam dłońmi po brzuchu. Skórę wciąż miałam napiętą i, nie licząc dwóch malutkich rozstępów, nikt by nie powiedział, że rodziłam już dzieci. Stałam nieruchomo na czerwonym dywanie z rozpuszczonymi włosami. Zanurzona w świetle jedynej zapalanej lampy przy oknie czułam się cudownie samotna i wolna. Nie było mi zimno, nawet w nogi, wręcz przeciwnie poczułam ciepło rozchodzące się po moim ciele.

Zerknąwszy znowu w lustro, pomyślałam, że przypominam postać z obrazów Degasa. Poczułam się zawstydzona, patrząc na siebie w ten sposób, dlatego odwróciłam się od lustra i wyłączyłam lampę. Potem zgasiłam światło w kuchni i poszłam do sypialni. Przez chwilę nasłuchiwałam w ciemności i wydawało mi się, że Clyde już zasnął.

Wsunęłam się pod przykrycie; w zetknięciu z jego rozgrzanym ciałem moja skóra wydawała się zimna, lecz w środku wypełniało mnie ciepło. Objęłam go ramieniem i przywarłam do niego

całym ciałem, ale się nie poruszył. Wsunęłam palce między guziki jego pizamy. Czułam się okropnie, ponieważ wiedziałam, że chce spać, nie potrafiłam się jednak powstrzymać. Zrobiłam to co Ben, wsunęłam język do ucha Clyde'a. Gdy Ben mi to zrobił, miałam wrażenie, że po plecach przeleciał mi prąd. Clyde od razu się obudził. Odwrócił się do mnie, a ja mu wyznałam, że go pragnę, zanim zdążył powiedzieć cokolwiek. Nie wiem, co w takiej chwili powinna powiedzieć kobieta. Nigdy wcześniej nie zwracałam się do niego w ten sposób i poczułam się jak Ava Gardner czy ktoś taki. Bałam się, że zapyta skąd ten pomysł z językiem w uchu.

Położyłam się na nim i zaczęłam go całować; tym razem jego usta były inne niż zwykle, cieńsze, bardziej miękkie. Rozpięłam mu pizamę, a on przycisnął mnie mocniej do siebie i też zaczął całować. Wszedł we mnie i zaczęłam się poruszać razem z nim, aż poczułam, że zaczynam się wznosić, lecz wtedy on przestał; trzymał mnie mocno i czułam lekkie pulsowanie jego ciała, ale wiedziałam, że już po wszystkim. Nie mogłam powstrzymać łez. Odwróciłam głowę, żeby się nie zorientował, ale płakało całe moje ciało. Bałam się, że zacznie mnie wypytywać, a ja nie umiałabym powiedzieć mu czegokolwiek, nie odstawiając choć trochę prawdy.

Poczułam, jak wysuwa się ze mnie, miękkie, malutki, zwiotczały, podczas gdy moje wnętrze wciąż wypełniało pulsujące ciepło. Gdy zsunęłam się na łóżko, wciąż trzymał mnie w ramionach. Wreszcie zasnął. Wydostałam się z jego uścisku i przesunęłam na brzeg łóżka, gdzie było chłodniej. Jeszcze długo nie mogłam zasnąć. Pamiętam, że zegar na wieży kościoła wybił czwartą.

ROZDZIAŁ 16

ALICE

Właśnie udało mi się wyrzucić z mieszkania mężczyzn mojego życia, żebym mogła spokojnie pozmywać i posprzątać, gdy zadzwonił nasz nowo zainstalowany telefon, pierwszy raz. Byłam w łazience i początkowo się nie zorientowałam, że to u nas, bo nie znam jeszcze sygnału. Gdy wreszcie dotarło do mnie, że to nasz telefon, popędziłam, przeciskając się przez superwąskie drzwi Bena, i zdyszana dopadłam aparatu po jakichś pięciu dzwonekach.

— Halo?

Podnosząc słuchawkę, miałam już w głowie gotowe wyjaśnienie, że to pomyłka, no bo kto mógłby do nas dzwonić?

To była Nina.

— Cześć, Nino. Hura, nadchodzą nowe czasy! Tak się cieszę, że cię słyszę. Jesteś pierwszą osobą, która do nas zatelefonowała. Chyba trzeba to jakoś uczcić.

— Wszystko w porządku, Alice? Mogę coś dla ciebie zrobić?

— Wielkie nieba, nie mogę uwierzyć, że rozmawiamy przez telefon. Jak tam dzieciaki, Mark jest już w przedszkolu?

Minęły ponad dwa tygodnie od ich wizyty u nas tamtego wieczoru. Ben ukończył wszystkie swoje projekty; działają bez zarzutu, także platforma z łóżkiem pod sufitem, którą Aaron nazywa „orlim gniazdem”.

Myślę o tym wszystkim, podczas gdy Nina aranżuje nasze spotkanie u nich, bym mogła zrobić pranie.

— To cudownie, Nino. Akurat Ben kończy wszystkie te brudne prace. Zaczyna mi brakować miejsca na rozwieszanie prania. Bielizniane sznurki ciągną się nad całą łazienką i drugą sypialnią.

Bardzo nalega, choć jej tłumaczę, że mam zajęcia w Alliance o dziewiątej, więc w końcu kapituluję. Umawiamy się, że zabiorę pranie ze sobą do Alliance i przyjdę do niej prosto z kursu. Przychodzi mi do głowy, że pewnie będę pierwszą osobą w historii Francji, która przynosi brudne majtki, dzinsy i podkoszulki dziecięce na zajęcia do Alliance Français.

Nina nie przestaje mówić i jednocześnie płacze. To do niej niepodobne.

Przerywam jej, gdyż moja nauczycielka z Alliance nie jest zbyt tolerancyjna, szczególnie wobec tych, którzy się spóźniają i przeszkadzają jej w prowadzeniu zajęć. Rozumiem ją, ponieważ sama uczyłam.

— Dobrze, Nino. Obiecuję, że będę u ciebie najpóźniej pięć po dziesiątej. Przygotuj swoje mechaniczne smoki na gigantyczne pranie. Nie jestem nawet pewna, czy uda nam się wyprać wszystko za jednym razem. Ostrzegam cię tylko, że nie mam dużo czasu.

Wreszcie kończymy rozmowę. Wrzucam książki do skórzanej torby, w której zwykle je noszę, a bieliznę z kosza przekładam do powłoczki i wychodzę. W domu zostawiam bałagan, ale zdążę zrobić porządek, zanim Ben wróci na kolację. Strasznie się denerwuje, gdy w miejscu, w którym mieszkamy, panuje bałagan, obojętnie czy jest to nasz dom, wynajmowane mieszkanie czy tylko pokój w pensjonacie. To pewnie moja wina. Lubię, kiedy jest zadowolony, gdy wraca do domu, i jestem szczęśliwa, kiedy on jest szczęśliwy.

Przecinam place Saint Sulpice, idę w górę, Bonaparte, do rue Fleurus, potem skręcam w lewo, w Raspail. Torba z praniem jest ciężka, więc wciąż przekładam ją z jednego ramienia na drugie.

Wpadam do szkoły zdyszana. Na korytarzu jest jeszcze tłoczno, więc chyba się nie spóźniłam.

Oczywiście, mamy długie *dictée*. Wciąż dyszę, próbując się skupić, jednak nie za bardzo mi to wychodzi. Kiedy sprawdzamy tekst, okazuje się, że mam czternaście *fautes*. Cholera! Wszystkie te małe Niemki i Austriaczki, które sprawiają wrażenie zupełnie nie zainteresowanych lekcją, mają po trzy, cztery błędy! Nie chce mi się wierzyć. Jeszcze raz przeglądam *dictée*. Głupie, proste błędy! Może jestem już za stara na naukę nowego języka. Nie ja pierwsza dochodzę do takich wniosków.

Potem czytamy kolejną część sagi Le Familie Thibault, na koniec zaś, o zgrozo, każdy z nas czyta po kilka zdań. Na szczęście lekcja dobiega końca, zanim przychodzi moja kolej.

Wypadam z klasy pierwsza, bym nie musiała przeciskać się w tłoku, i już zmierzam w kierunku metra — wcześniej powtórzyłam sobie trasę w myślach, więc teraz nie mam problemów ze znalezieniem drogi. W najlepszym razie dotrę tam kwadrans po dziesiątej. Nigdy nie potrafię należycie ocenić czasu, szczególnie w takich sytuacjach. To jeszcze jedna rzecz, której nie lubi Ben.

Nina czeka na mnie na parterze ich kamienicy.

— Nino, nie musiałaś schodzić na dół.

— Zeszłam, bo i tak chciałam kupić coś w piekarni. Alice, wyglądasz, jakbyś przebiegła maraton.

— Prawie że tak. Niestety, przeceniłam swoje możliwości. Nie mam wycucia czasu.

— Och, daj spokój, Alice. Nie znam bardziej zorganizowanej osoby. Nie wiem, jak ty to robisz.

Ruszamy na górę. Nina niesie bagietkę i paczuszkę w takim charakterystycznym papierze, w który Francuzi zwykle zawijają ciasto w piekarniach.

Widzę, że Nina nosi klucze zawieszane na sznurku przywiązany do paska sukienki.

— Już dwa razy wyszłam bez kluczy, więc w końcu znalazłam takie rozwiązanie.

Mieszkanie wydaje mi się jeszcze ładniejsze. Idziemy od razu do kuchni, gdzie ustawili pralkę i suszarkę. Nastawiam programator, nasypuję proszku, dodaję wybielacza, a potem z przyjemnością siadam na krześle w kuchni, by wreszcie złapać oddech. Zaczynam pranie od białych rzeczy. Potem pójdą kolory i robocze ubrania Bena.

Niemowlak raczkuje po podłodze, podczas gdy Nina przygotowuje naszą „herbatkę”. Zaparzyła moją ulubioną, earl greya. Skąd wiedziała? Już sam zapach dodaje mi energii. Zabieram tacę do pokoju i siadamy. Nina w stylowym fotelu, chyba Ludwik XVII, a ja na kanapie. Wyciągam się wygodnie. Takie pranie to rozumiem.

Właśnie biorę z tacy jednego z czekoladowych ptysiów, gdy widzę, że Nina płacze. Nie szlocha ani nic takiego, po prostu z jej oczu płyną łzy. O Boże, tego akurat nie potrzebuję.

Pochyliłam się do przodu z ciastkiem w dłoni. Postanawiam, że pozwolę jej mówić pierwszej; w końcu to jej problem, jej mieszkanie, a ja należę do tych osób, które potrafią słuchać innych.

— O co chodzi, Nino? Chcesz o tym pomówić?

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Ale chyba powinnam z kimś o tym porozmawiać.

— Spróbuj ze mną.

Bierze kilka głębszych wdechów, jakby miała rozpląkać się na dobre, nawet wyjmuję chusteczkę, którą wyciera nos i oczy.

— Chyba już nie kocham Clyde’a. Nie kocham swojego męża.

Wydaję jakieś pocieszające pomruki. Jest mi jej naprawdę żal, ale może słyszałam zbyt wiele podobnych historii.

— Chodź, usiądź przy mnie, Nino. Wyrzuć to z siebie, wypłacz się. Nawet nie wiesz, jak bardzo to pomaga.

Gdy siada przy mnie, obejmuję ją ramieniem i przytulam. Teraz naprawdę płacze. Zaczyna

mówić z głową opartą na mojej piersi.

— Kochałam go przez wszystkie te lata, urodziłam mu dwójkę dzieci, przepisałam na maszynie jego pracę magisterską, a teraz nie chcę nawet być blisko niego. Chyba zwariowałam.

Kolejna fala szlochu i chusteczka na twarz, teraz już mocno czerwoną.

— Co się stało? Jest jakaś kobieta? Potrafisz powiedzieć, skąd ta zmiana uczuć wobec niego?

Słyszę, jak pralka rozpoczyna cykl drugiego płukania. Zerkam na zegarek.

— Nic z tych rzeczy. Czuję, że w jego życiu dzieje się coś, czego nie chce dzielić ze mną, ale nie mam pojęcia co. Myślę, że chodzi o malowanie. Problem w tym, że tak naprawdę wcale nie chcę nic o tym wiedzieć. Bardzo długo sądziłam, że wszystko bierze się z jego twórczej niemocy, ale teraz sama już nie wiem.

— Musi być jakaś przyczyna. Masz okres? Czy jest możliwe, żebyś była w ciąży, tak szybko po drugim dziecku?

— To nie to.

Trochę się uspokoiła. Czasem wystarczy zacząć o czymś rozmawiać, żeby pomogło. Słyszę odgłosy ulicy, a także odgłosy prania, charakterystyczne dudnienie bębna obracającego się w drugą stronę. Współczuję jej, ale nie wiem, co mogłabym innego zrobić, jak tylko cierpliwie czekać.

— Nie rozumiem samej siebie. Jesteśmy w Paryżu, mamy pieniądze, Clyde ma kupić nowy samochód, dzieci są zdrowe i szczęśliwe. Muszę z kimś porozmawiać.

— Myślałaś o wizycie u psychologa albo psychiatry? Czasem to pomaga, pozwala spojrzeć na wszystko z innego punktu widzenia.

— Mnie by nie pomogło. Ja już nie chcę być z Clyde'em i nie wiem nawet, dlaczego tak jest. Moim zdaniem nie chodzi o inną kobietę. Clyde nie należy do tego typu mężczyzn; owszem, lubi, gdy któraś ze studentek zaczyna się do niego umizgiwać, ale nigdy tego nie wykorzystuje. Nigdy nie byłam o niego zazdrosna. Po prostu seks i te sprawy nie pociągają go aż tak bardzo. Rozumiesz, co mam na myśli?

Odpowiadam jej skinieniem głowy, ale nie jest to szczerą odpowiedzią. To nie mój problem, chociaż dobrze wiem, o co jej chodzi.

— A zatem, jak myślisz, w czym problem? Jeśli to tylko kłopoty związane z niemożnością malowania, to z pewnością miną. Bycie malarzem jest o wiele trudniejsze, niż się ludziom wydaje. Ben wciąż przechodzi kolejne załamania, ale zawsze wychodzi z tego. Kiedyś starałam się mu pomóc w takich chwilach, lecz już przestałam. Moim zdaniem, jeśli jesteś żoną utalentowanego, energicznego i wesołego mężczyzny, to bierzesz wasze wspólne życie takim, jakie jest, ze wszystkim, co niesie dobre i złe. Nie można mieć wszystkiego.

Czuję, jak sztywnieje nieco, podczas gdy pralka zaczyna ostatnie wirowanie. Trzymam się mocno. Czuję, że nie powiedziała mi wszystkiego.

— Widzisz, Alice, ja kocham innego mężczyznę. Wreszcie. Mamy coś, co nie jest mi obce, przynajmniej jeśli chodzi o doradzanie. Ale ona już nie płacze. Jest równie odwirowana jak pranie w kuchni.

Nie pozostaje mi nic innego, jak zadać oczywiste pytanie.

— Czy jest to ktoś, kogo poznałaś w Paryżu? Kiwa głową.

— Inny malarz?

Kolejne skinienie. Zaczynam się wzuwać w rolę, jak za dawnych czasów, teraz jednak jest trochę inaczej.

— Ktoś, kogo znam?

Tym razem odpowiada z pewnym opóźnieniem i widzę, że — jak to zwykle bywa — zanosí się na kolejny atak płaczu. Boże, chyba wszystko może człowiekowi spowszednieć, jeśli tylko

pojawia się wystarczająco często. Szykuję się do rytualnego błogosławieństwa, zarówno dla niej, jak i dla samej siebie.

— Alice, tak mi wstyd. Chodzi o Bena, o twojego męża. Kocham go do szaleństwa. Trudno mi uwierzyć, że przeszło mi to przez usta, że w ogóle pomyślałam o tym.

Wirowanie dobiegło końca. Trzeba przerzucić pranie do suszarki. Spoglądam na Ninę, kręcąc głową. Idealne mięso do starej maszyny do mielenia mięsa Bena, jeszcze z Filadelfii. Rzecz w tym, że on pewnie ją kocha na swój sposób.

Wstaję.

— Przerzucę pranie do suszarki i przygotuję drugie. Zostań tu, Nino, i zastanów się nad tym wszystkim. Zaraz wrócę.

Mimo wszystko to boli. Pewnie wszyscy pragniemy wyłączności na osobę, którą kochamy, nawet jeśli wiemy, że to niemożliwe. Już nawet mi się nie chce płakać.

Wyciągam z pralki splątane rzeczy. Zdumiewające, w jaki sposób wszystkie te ubrania, dzinsy, bluzy, skarpety, majtki i szorty zbijają się, tworząc jedną kulę. Wyciągam je kolejno, rozprostowuję i wrzucam do suszarki. Nastawiam ją na sześćdziesiąt minut. To będzie długa godzina. Staram się rozprostować poszczególne rzeczy, żeby znowu się nie splątały.

Teraz wkładam do pralki najbrudniejsze pranie, łącznie z tenisówkami Aarona. Rozkładam wszystko w pralce, ponieważ ubrania są bardzo ciężkie i trudno byłoby je rozplatać. Sypię dużą porcją specjalnego proszku. Nastawiam regulator na zimne i najdłuższe pranie. Wyciągam przełącznik i pralka zaczyna nabierać wody. Przez kilka minut przyglądam się praniu. Jeszcze nie jestem gotowa na spotkanie z Niną i całą sytuacją. Czasem życie wiele od nas wymaga; wreszcie zbieram się w sobie, sędzę, że już mogę iść. Niestety, tak często się mylę.

Wracam do pokoju. Nina stoi przy oknie. Nie chcę jej zaskoczyć, ale widzę, że nie zauważyła mojego powrotu. Pewnie równie niechętnie jak ja brnie w to stare bagienko.

Siadam na krześle, uzbrajam się w najlepszy uśmiech, na jaki mnie stać, i czekam, aż się odwróci. Wykonuję ruch ręką, wskazując niewyraźnie na kanapę. Co innego mogłabym zrobić? Oto jesteśmy w gabinecie psychologa.

— Nino, nie chcę, żebyś cierpiała bardziej, niż już cierpisz. Pamiętaj tylko, że dla mnie to też jest trudne. Kocham mojego męża i zawsze go kochałam. Jest ogromnie utalentowanym malarzem i cudowną osobą, a także, ogólnie rzecz biorąc, świetnym mężem. Ben jest bardzo sympatyczny i większość kobiet, które mają okazję poznać go bliżej, zakochuje się w nim. Jest to równie naturalne jak to, że dzieci lubią słodycze. Można by to nazwać osobistym urokiem, ale myślę, że chodzi o coś więcej. Rzadko on sam stara się kogoś oczarować. Lubią go nawet mężczyźni. Generalnie nie lubią go malarze, a on ich. Obserwuję go od ponad pięciu lat i wiem, że unika artystów. Kiedyś powiedział mi, że malarze przynoszą kłopoty, tak jak szczury przenoszą pchły, i zawsze ciągnie się za nimi jakaś zaraza. Dlatego przeważnie unika ich jak zarazy. Na szczęście, dla niego i dla mnie, jest kilka wyjątków. Z tymi ludźmi łączą go bardzo silne, niemal intymne związki, które są powodem mojej zazdrości i zniechęcenia, ponieważ nie jestem artystką. Niektórzy z nich to odnoszący sukcesy artyści, ale nie tylko, więc nie jest to kwestia konkurencji. Niektórzy dawno już zmarli, inni mają się doskonale. Tymi zmarłymi potrafi dzielić się ze wszystkimi: należą do nich Chardin, jego nieżyjący już przyjaciel z Filadelfii Tom Eakins, a także inny znajomy, Morris Berd, który jeszcze żyje. Przez długie lata malował w jednej pracowni ze swoim najlepszym przyjacielem, cudownym człowiekiem i malarzem, Jo Lancasterem. Twierdzi, że wszyscy ci ludzie tworzą krajobraz jego artystycznego życia.

A teraz ta część, którą trudniej ci będzie przyjąć; dla mnie też czasem jest to trudne. Ben przeżył niejedną miłość w swoim życiu, wiele z nich to bardzo bliskie związki, i prawdopodobnie

przeżyje inne, jeszcze bardziej intymne. Jestem pewna, że darzy cię szczerą i głęboką miłością. On tak właśnie kocha, tak maluje, tak żyje. Nic, co ma z nim związek, nie jest Jakoś tam”. Rzuca się w związek, jakby stał na pokładzie tonącego statku i nie miał już więcej czasu. Podobnie maluje. A najdziwniejsze jest to, że choć postępując tak, rani nasze ego i nasze zaborcze pragnienia, to właśnie czyni go dla nas tak bardzo atrakcyjnym. Pragniemy stać się częścią tej wszechogarniającej miłości, którą uosabia. Rozumiesz mnie?

Leży wyciągnięta na kanapie zupełnie jak żona Moneta na jego obrazie. Prawie jak nieżywa. Nie mam siły na nią patrzeć. Chciałabym podejść do niej, objąć ramieniem, pocieszyć, ale nie mogę.

Nie ruszam się z miejsca, czekam. Nina wciąż patrzy przez okno. Pewnie niewiele widzi. A jednak się myślę.

— A zatem, Alice, twoim zdaniem wszyscy tworzymy coś w rodzaju tła dla jego prawdziwego życia, jego życia artystycznego, i niewiele dla niego znaczymy.

— Nie. Jesteśmy częścią jego życia. Można by to nazwać egoizmem, ale ja nie patrzę na to w ten sposób. Jest artystą, który żyje w pewnym sensie poza granicami normalnej ludzkiej egzystencji. Może nawet kocha mocniej niż większość z nas. Jeśli nie chcemy, aby porwał nas wir jego uczuć i emocji; powinniśmy zostawić go w spokoju, zejść mu z drogi. Nie sądzę, aby kiedykolwiek zranił kogoś celowo, tak samo jak nie robi tego tornado czy huragan. On przypomina niezwykle zjawisko naturalne, którego nie dotyczą, jak większości z nas, prawa zwykłych sił.

Teraz patrzy mi prosto w oczy i już nie płacze.

— Rozumiem. Nie podoba mi się to, co powiedziałaś, ale rozumiem i chciałabym ci podziękować za pomoc, teraz, kiedy wciąż jesteśmy przyjaciółkami. Proszę, nie mów Benowi ani Clyde’owi, o czym dzisiaj rozmawialiśmy. Sama chcę się z tym uporać.

Wstajemy, zbliżamy się do siebie i obejmujemy. Poradziła sobie o wiele lepiej niż większość z kobiet, z którymi przechodziłam przez to wcześniej.

Suszarka zwalnia i przestaje pracować. Idziemy do kuchni i wspólnie rozdzielamy splątane ubrania. W tym czasie kończy się pranie, więc wyjmujemy także mokre rzeczy.

Prawie się nie odzywamy, zajęte wyjmowaniem wysuszonych ubrań i rozprostowywaniem ich w rękach.

Gdy kończymy wkładać do suszarki drugie pranie, Nina wychodzi do kuchni i wraca z butelką Poire William. Czuję wspaniały zapach dojrzałych gruszek. Siedzimy wygodnie, popijając, i nie wspominamy ani słowem o Benie ani o innych mężczyznach. Ta część naszego życia jeszcze się suszy i czeka, aż wyciągniemy splątane ubrania i je rozprostujemy. Cieszę się, że jestem kobietą.

ROZDZIAŁ 17

BEN

Jak Boga kocham, gdy zobaczyłem w drzwiach Dudleya, o mało nie narobiłem w gacie. Alice nie było w domu i przez chwilę pomyślałem nawet, że to może być Nina. Od razu sprawdziłem dyskretnie, czy nie ma broni. Sądząc po zachowaniu Niny ostatnim razem, można było się spodziewać, że mu wszystko powiedziała. Właściwie to nie podejrzewałem, by to zrobiła, ale mogła; tak entuzjastycznie podchodzi do wszystkiego. Wpuściłem go, lecz od razu poszedłem do kuchni po nóż. Zwykły nóż kuchenny, który na wszelki wypadek wsunąłem do kieszeni.

Gdy wróciłem do niego, stał na środku pokoju, z rękoma w kieszeniach nowego garnituru. Jak mu się przyjrzeć, to właściwie nic mu nie brakuje; dziwię się, że mu nie wychodzi z taką dziewczyną jak Nina. Wyglądał na zdenerwowanego, ale nie panikował specjalnie, więc uznałem, że może nie będzie tak źle.

Podszedł do okna, wyjrzał na zewnątrz i wrócił do drzwi. Chrząknął tylko, nic nie mówiąc, i znowu się przestraszyłem. Chyba do tego momentu żaden z nas nic jeszcze nie powiedział. Może się myślę, ale byłem tak cholernie zaskoczony, że nie śledziłem dokładnie całej sytuacji.

— Postanowiliśmy z Niną wrócić do domu na Boże Narodzenie i pomyślałem, że może chciałbyś malować w pracowni na Montparnasse.

Usiadłem w bujanym fotelu i wykonałem enigmatyczny gest, wskazując na kanapę. Nie umiem kłamać i trudno mi było udawać, że słyszę o tym po raz pierwszy. Podciągnął spodnie i usiadł; były dość obcisłe.

— A zatem jedziecie do domu, a to dopiero.

— Tak, matka Niny jest chora. Jesteś zainteresowany pracownią?

— Cholera, jasne. Oczywiście to zależy od wysokości czynszu. Ostatnio nie śmierdzimy groszem.

— Ach, to by nic nie kosztowało, żadnego czynszu. Po prostu zamieniłem się na mieszkania z tamtym facetem z mojej szkoły.

— Poważnie? Chryste, to wspaniale. Dzięki. Ale gdzie będziecie mieszkać po powrocie do domu?

— Zatrzymamy się u mojej matki, dopóki nie znajdę czegoś w pobliżu szkoły.

— Chcesz znowu uczyć?

— Chyba tak. Dostałem propozycję, wiesz, awans i bardziej zaawansowani studenci. Spróbuję. I tak musimy wrócić, bo mama Niny jest poważnie chora.

— To fatalnie... mam na myśli matkę Niny. Nigdy nie wiadomo z tymi pieprzonymi kobietami; przecież rozmawiałem z Niną, opowiadała mi wszystkie swoje sekrety, o matce jednak nie wspomniała ani słowem. O tatusiu opowiadała z takimi szczegółami, że zacząłem się czuć nieswojo, lecz ani słowa o matce. Sam nie wiedziałem, w co wierzyć. I nie rozumiałem, dlaczego on chce znowu uczyć; Alice wspominała coś, że mają mnóstwo forsy.

— Pewnie niedługo wrócimy. Podoba nam się w Paryżu, tylko że z niemowlakiem jest dość trudno. Nina nie ma zbyt wiele czasu dla siebie, przeważnie siedzi w domu. Chcielibyśmy też zobaczyć inne miejsca; może następnym razem pojedziemy na jakiś czas do Rzymu.

— Kiedyś wybrałem się na trzy miesiące do Perugii. Było wspaniale, ale przez cały czas człowiek musi walczyć z tymi cholernymi Włochami. Najmilsze określenie, jakim mogą cię obdarzyć, to *furbo*, to znaczy spryciarz. Za to kraj jest wspaniały.

— Nie wiem jeszcze, co będziemy robili. Postanowimy coś, gdy już się zainstalujemy. Paryż

jest zbyt dużym obciążeniem dla Niny.

Przez chwilę wydawało mi się, że wie. Chciałem spojrzeć mu w oczy, ale on spuścił wzrok i patrzył na swoje stopy. Nie można powiedzieć, że należy do tych, którzy mają rozbiegany wzrok, ale nigdy nie patrzył na nic dłużej.

— Kiedy zamierzacie wyjechać?

— Myślę, że za kilka dni. Dałem ogłoszenie do „Herald Tribune” z ofertą sprzedaży volkswagena. Nawet jeśli nie znajdę kupca, sprzedam go w komisie. Pewnie nie znasz nikogo, kto by chciał kupić taki samochód, co? Dałem za niego dwa trzysta, ale sprzedam za tysiąc osiemset. Ma nieduży przebieg, jakieś dwa tysiące mil.

— Popytam. Niezła cena. Nie dostałbyś za niego więcej?

— Pewnie tak, ale musiałbym pochodzić koło tego, a mnie zależy na czasie. Nie chcę dłużej zwlekać, skoro podjęliśmy decyzję.

— Rozumiem.

Rozmowa wyraźnie nam się nie kleiła. W mojej głowie kłębiło się mnóstwo myśli. Zastanawiałem się, czy to Nina namówiła go do powrotu z mojego powodu. Z niepokojem myślałem o tym, że jej namieszałem. Dlaczego zawsze musi kończyć się w ten sam sposób? Zawsze coś w końcu musi się spieprzyć. Dudley też był podejrzany. Alice wspomniała kiedyś, że jej zdaniem Clyde ma kogoś. Sprawiał wrażenie zasmuconego i błędzącego myślami gdzieś daleko.

— Będzie ci się dobrze malowało w pracowni. A poza tym nie jest zbyt daleko od waszego mieszkania.

— Byłoby fantastycznie. Tutaj nie mam miejsca do pracy. Zamierzałem przenieść się do Grand Chaumiere, ale biorą siedem franków za dzień, do tego ciągle zaglądają ci przez ramię studenci. Byłoby wspaniale, gdybym miał własny kąpiel. Nie wiem, jak ci dziękować.

— Nie ma o czym mówić. Mieszkanie i tak by stało puste. Możesz używać wszystkiego, co tam zostawiłem. Nie mam czasu na pakowanie, a poza tym lecimy samolotem, więc nie chcę targać ze sobą zbyt dużo.

— Alice mogłaby wszystko spakować po waszym wyjeździe.

— Dzięki, ale wolę zostawić ci te rzeczy. W domu mam jeszcze mnóstwo materiałów. Zastanawiałem się, czy mógłbyś pójść tam ze mną dzisiaj. Przedstawiłbym cię dozorczyńcy i wszystko jej wyjaśnię.

— Jasne, daj mi minutkę. Chcesz iść od razu? Odpowiedział mi skinieniem głowy.

— Byłoby świetnie, gdybyśmy mogli tam pójść teraz. Przepraszam, że tak cię popędzam, ale chcę to już mieć za sobą.

Podniosłem się.

— Zaraz będę gotowy.

Poszedłem do tylnego pokoju i zdjąłem bluzę — ponieważ okropnie się spociłem ze zdenerwowania. Chyba przestraszyłem się bardziej, niż mi się wydawało. Zrzuciłem też podkoszulek i szybko umyłem się w umywalce, jak dziwka przed numerem. Zanim ubrałem świeży podkoszulek, użyłem trochę dezodorantu Alice. Włożyłem też koszulę i sweter. Wyciągnąłem z szafki buty i zdjąłem grube skarpety. Przez cały czas zastanawiałem się, o co mu naprawdę chodzi. Sprawiał wrażenie okropnie zdenerwowanego. Opryskałem twarz zimną wodą i wytarłem ją mocno ręcznikiem. Nóż zostawiłem w kieszeni spodni.

Gdy wróciłem do pokoju, Dudley stał już przy drzwiach. Po wyjściu zostawiłem klucz dla Alice w naszej skrytce. Zastanawiałem się nawet, czy nie zostawić jej wiadomości, tak na wszelki wypadek, ale ostatecznie uznałem, że byłoby to absurdałne. Tylko bym ją zmartwił. Ona doskonale potrafi wyczuć takie sprawy.

Przyjechał nowym samochodem. Wyglądał odjazdowo, ale Dudley nic nie powiedział. Pewnie czekał, aż się pierwszy odezwę, lecz nie zrobiłem tego. Czasem potrafię być takim sukinsynem. Wsiadłem i od razu wepchnąłem nogi przed siebie, praktycznie prosto w cholerny silnik, jakbym nigdy nie jeździł żadnym innym pieprzonym samochodem. Miałem wrażenie, że gdybym wystawił rękę przez okno, mógłbym dotknąć ziemi palcami. Beznadziejne uczucie. Dźwignia biegów była bardzo krótka, zakończona dużą gałką.

Dudley przygazował kilka razy, spojrział w lusterko, po czym włączył się szybko do ruchu. Nie wiem, czy zawsze tak jeździ, czy tylko się popisывał, ale napędził mi niezłego stracha. Nie lubię szybkiej jazdy, obojętnie co to jest, a szczególnie gdy chodzi o samochody. Przez cały czas nie odezwałem się ani słowem i patrzyłem tylko przed siebie. Na rogu St-Sulpice wziął zakręt tak ostro, że aż zapiszczwały opony. Po drugiej stronie placu znajdował się komisariat i czekałem tylko, aż ktoś z niego wyskoczy i nas zatrzyma. Przez cały czas jechał na dwójce i tak dojechaliśmy aż do końca Bonaparte. Myślałem, że przy Vaugirard zatrzymamy się na czerwonym świetle, ale zapaliło się zielone, więc przejechał, nawet nie spojrzawszy na bok. Na Garanciere wrzucił trójkę i teraz jechaliśmy naprawdę szybko. Próbowałem choć trochę rozprostować nogi i za Boga nie chciałem spojrzeć na licznik. Na szczęście przy rue d'Assas trafiliśmy na czerwone światło. Staliśmy tam, a on gazował mocno.

— Potrzeba trochę czasu, zanim się rozgrzeje.

— Zabierasz go do domu?

— Aha. Za dwa dni wyślą go z Hawru.

— Świetnie.

Zmieniło się światło i od razu wystartowaliśmy, tak szybko, że nawet nie zdążył się zapalić lewoskręt na Vavin. Na następnym skrzyżowaniu stał *gendarme*, więc znowu musieliśmy się zatrzymać.

— Ładne auto.

— Ninie też się podoba.

Gendarme odwrócił się i ruszyliśmy w górę Raspail. Nie zdążyłem się zastanowić, czy miał coś konkretnego na myśli, gdy wspomniał o Ninie, ponieważ przejechał na żółtym przy Raspail, przeciął jeden pas ruchu i wcisnął się na drugi. W pewnym momencie znaleźliśmy się tuż przed citroenem, który także postanowił przeskoczyć na żółtym. Przy Montparnasse musieliśmy się zatrzymać.

— Płótna też możesz wykorzystać. Wszystko ci pokażę.

— Świetnie. Dzięki.

Przemknął przez skrzyżowanie z taką prędkością, że aż mnie wcisnęło w fotel. Pozostał nam jeszcze tylko jeden zakręt i kilka przecznic, aż wreszcie dotarliśmy na miejsce. Zaparkował niedaleko wejścia i pokazał mi, jak otworzyć drzwi. Przy tak wysokim krawężniku wyglądało to, jakbym wysiadał z czółna.

Nie mieliśmy żadnych kłopotów z dozorczynią. Była to malutka starowinka, przygarbiona i lekko kulejąca. Kiedy jej wyjaśniłem, że będę tam malował, przygarbiła się jeszcze bardziej i skrzywiła twarz, wysuwając dolną wargę i opuszczając kąciki oczu. Miała bardzo smutne oczy, brązowe z zażółcony — mi białkami. Dudley poprosił, żebym jej wyjaśnił, iż napisał do właściciela i zawiadomił go o zmianie. Chyba mnie zrozumiała, jednak wciąż milczała. Dudley dał jej dwadzieścia franków. Włożyła je do kieszeni fartucha, uśmiechnęła się i dopiero wtedy zapytała, czy poradzę sobie ze światłem i gazem. Odpowiedziałem jej, że *monsieur* Dudley wszystko mi pokaże. Wyjęła pieniądze, zwinęła je w rulonik i po chwili znowu schowała do kieszeni. Odniosłem wrażenie, że nie 'darzy Dudleya wielką sympatią, ale nie miałem pewności. Pożegnaliśmy się, uśmiechając się do siebie, po czym poszliśmy z Dudleyem wąską ścieżką na

tył domu. Wyjaśnił mi, że aby otworzyć drzwi, trzeba dwukrotnie przekręcić klucz w odwrotną stronę. Jak w większości cholernych francuskich zamków.

Teraz mieszkanie wydawało się puste, bardziej przypominało pracownię. Zniknęły okropne obrazy ze ściany. Sądząc po śladach, jakie po nich zostały, wisiały tam ze dwadzieścia lat. Wszystkie meble stały sfłoczone pod balkonem. Kiedy rozsunął zasłony, mieszkanie wydało się jeszcze bardziej opustoszałe. Tamtego dnia, kiedy przyszedłem tam i nie zastałem Dudleya, zasłony też były zaciągnięte. Nigdy o tym nie wspomniał. Nina mówiła mi, że miał być w pracowni. Uznałem, że sam nie będę poruszał tej sprawy.

Pokazał mi pudło pełne farb, dobrą paletę mocno pomazaną farbą i szafki, w których było jeszcze więcej farb, terpentyny, werniksu i chyba ze sto pędzli wszystkich rozmiarów. Większość rzeczy była używana, ale jeszcze w bardzo dobrym stanie. Same farby musiały kosztować z trzysta dolców.

— Jezu, zamierzasz mi to wszystko zostawić? To jest warte z pięćset dolarów. Zwariowałaś?

— Nie chcę tego zabierać. Nie wiem nawet, czy jeszcze będę malował. Zatrzymaj to.

Milczałem. Znam to uczucie i wiem, że w takiej chwili nic nie pomogą zapewnienia innych. Zachowywałem się, jakbym nie słyszał, co powiedział.

— Płótna są w większości czyste. Na kilku coś malowałem, ale możesz je wykorzystać. Wszystkie są lekko chłonne. Mam nadzieję, że ci się nadadzą.

— Jasne. Mogę zerknąć na to, co namalowałeś?

— Pewnie, jeśli chcesz. Nie jestem z nich zbyt dumny. Sam nie wiem, co to ma być. Może odszedłem od siebie zbyt daleko i już nie potrafię dostrzec tego, co złe, i dlatego nic mnie nie cieszy.

Odwrócił płótna. Było ich sześć. Obok stało jeszcze chyba z dziesięć czystych. Sześć prac w ciągu trzech miesięcy to niezły wynik, jeśli się solidnie nad nimi pracowało. Bałem się spojrzeć na obrazy; zawsze jest tak, gdy stoi przy tobie ich autor. Kiedy coś jest dobre, lepsze niż to, na co mnie stać, nie chcę o tym mówić, gdy zaś praca nie jest specjalnie rewelacyjna, z kolei trudno mi o tym rozmawiać. Nie lubię ranić uczuć innej osoby bez powodu. Dlatego pewnie nie starałem się odwiedzić go jeszcze raz. Gdy już przychodzi co do czego, po prostu brakuje mi odwagi.

Abstrakcyjne prace; czego innego można było się spodziewać? To znaczy, należy się spodziewać jakiejś abstrakcji po kimś w jego wieku, kto uczy na uniwersytecie. Dwa z nich nie miały wyraźnego podmiotu, nic wielkiego, ale dobrze skomponowane. Za to następne zaskoczyły mnie. Wyglądało na to, że jest dość wrażliwym i utalentowanym malarzem. Bardzo dobrze współgrały kolor i forma i świetnie się komponowały, jak u dobrego Tycjana czy Giorgionego; miał doskonałe wyczucie natężenia barw, nie silił się na dramatyzm, ale umiał stworzyć idealną całość. Zaskoczył mnie.

— Cholera, Clyde. Tych nie mogę zamalować.

— Możesz; dałem sobie już z nimi spokój.

— Cholera, są dobre.

Spojrzał na mnie — chyba podejrzewał, że z niego żartuję — i usiadł w fotelu. Podeszedłem bliżej, by się przyjrzeć obrazom. Światło na jednym z nich, na tym zielonym, dawało doskonały efekt luminescencji, doskonałe zgranie koloru i jego natężenia. Trudno nie pogubić się w czymś takim, ale tutaj subtelna barwa doskonale rozlewała się po całym płótnie.

— Dzięki, Ben. Wiem, że są lepsze od większości obrazów studentów. W tych ostatnich udało mi się przynajmniej wyrazić barwą jakąś myśl, ale wciąż nie mogę się skupić, nie potrafię zanurzyć się w malowanie na dłużej niż kilka minut. Po prostu nie potrafię się wyluzować. Wszystkie te obrazy są jakieś nie dokończone, piękne, ale tylko dla oka, i nie wydają się zbyt przemyślane. Nigdy nie udaje mi się przeniknąć do samego środka. Tworząc, dotykam ich od

zewnątrz.

Miał rację, dostrzegałem to, o czym mówił. Rzeczywiście, obrazy były jakieś bez charakteru, czego wcześniej nie zauważyłem. Trudno to wyjaśnić. Należały do tego rodzaju malarstwa, które od razu się zauważa. Były cholernie dobre i sugerowały, że ich autor ma o wiele więcej pieprzonego talentu, niż ja go mam, do tego jest cholernie wrażliwy. Niestety, musiałem przyznać, że w tym względzie znacznie mnie przewyższa, co mnie cholernie zawstydziło. Po chwili znowu zaczął mówić.

— Wydaje mi się zresztą, że jestem niezłym malarzem, tylko wciąż nie chcę pozwolić sobie żyć pełnią życia. Skoro tak, to jak, do cholery, miałbym wyrazić cokolwiek w malarstwie? Moje prace wyrażają jedynie pragnienia albo żal, nigdy nie wyrażam tego, co znam. — Znowu przerwał. — Ale co ciebie miałyby to wszystko obchodzić. Maluj na nich. Ja już ich nie chcę.

Wstał i podszedł do obrazów ustawionych pod ścianą. Stał z rękoma w kieszeniach i wydawało mi się, że w każdej chwili może kopnąć któreś z płócien. Oczy miał zaczerwienione i wilgotne.

— Cholera, jesteś młody. W tym wieku człowiek nie może jeszcze wiedzieć wszystkiego o życiu. Ile ty masz lat, Clyde?

— Trzydzieści jeden. Już nie taki młody.

— Kiedy byłem w twoim wieku, ty miałeś piętnaście lat.

Nie wiedziałem, czy to ma dla niego jakieś znaczenie. Dla mnie miało. Za każdym razem, gdy przeprowadzam podobne porównanie, jak choćby z Niną, mam ochotę poderżnąć sobie gardło.

— Tak, może i o to chodzi. W każdym razie jak na trzydziestojednolatka jestem strasznie młody, ale wiele się nauczyłem w ciągu ostatnich trzech miesięcy.

Wiedziałem, że zamierza jeszcze coś powiedzieć.

— Kłopot w tym, że nie chcę już kolejnych takich trzech miesięcy; po prostu nie chcę.

— Tak, nie jest łatwo w Paryżu.

— Nie chodzi tylko o Paryż.

Znowu się odwrócił. Zbliżyłem się do obrazów, by jeszcze im się przyjrzeć. Wprawdzie sam już nie malowałem abstrakcji, ale nie miałem wątpliwości, że te są cholernie dobre. Wiedziałem, że nigdy nie mógłbym ich zamalować.

— Zdjąłem ze ściany wszystkie tamte obrazy. Za dużo tego było. Możesz je powiesić, jeśli chcesz. Możecie też pomieszkać tutaj z Alice, gdyby przyszła wam ochota. Miła okolica.

— Chyba zostaniemy na St-Sulpice; wiesz, Aaron ma blisko do przedszkola.

— Zrobisz, jak zechcesz.

Wciąż przyglądałem się obrazom, żeby nie musiał patrzeć na niego. Wiedziałem też, że i on tego nie chce.

— W takim razie, Ben, będę już leciał. Podrzucić cię do domu?

— Nie, zostanę tu jeszcze trochę, żeby się nacieszyć łupem, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Wyciągnął rękę w moją stronę.

— No, to bywaj, miło było cię poznać. Nie zwracaj uwagi na to, co powiedziałem; po prostu użalam się nad sobą.

Wreszcie spojrzeliśmy na siebie.

— Już was nie zobaczymy?

— Może, ale nie sądzę. Może Ninie uda się jeszcze odwiedzić Alice, ale nie wiem. Mamy dużo roboty z pakowaniem.

— Cholera. Szkoda, że już wyjeżdżacie. Nie sądziłem, że nastąpi to tak szybko.

— Pozdrów ode mnie Alice, dobrze?

— Pewnie, a ty pożegnaj Ninę.

— Dobrze.

Chciał już pójść, a ja nie miałem ochoty go zatrzymywać. Uznałem, że jeśli bardzo będziemy chcieli, zawsze możemy wpaść do nich za dzień lub dwa. Miałem nadzieję, że uda mi się jeszcze zobaczyć Ninę, ale chyba nie było takiej możliwości.

— Gdybyście kiedyś wrócili i przejeżdżali przez Baltimore, to odwiedźcie nas. Przyślemy wam kartkę, gdy tylko się urządzimy. A może zobaczymy się tutaj w przyszłym roku.

— Miejmy nadzieję.

— W takim razie do zobaczenia. Potem wyszedł i zamknął drzwi.

Przez chwilę czułem się samotny. Dawno już nie siedziałem sam w dużym pokoju. Siedziałem, nasłuchując, i czekałem, aż moje serce się uspokoi. Naprawdę mnie zaskoczył. Jeszcze raz spojrzałem na jego obrazy, a potem odwróciłem je do ściany. Wiedziałem, że nigdy ich nie zamaluję, lecz nie chciałem też, żeby mi się gapiły prosto w oczy, ponieważ bardzo mnie to przygnębiało.

Przez jakieś pół godziny grzebałem w farbach i innych materiałach. Było tego na dobry rok pracy. Należało tylko znaleźć temat. Pomyślałem, że pierwsze, co zrobię, to portret Alice. Minęło już chyba z dziesięć lat, kiedy robiłem coś takiego po raz ostatni. Wiedziałem, że spodoba jej się ten pomysł, ponadto miała w sobie tyle cierpliwości. Dobry pomysł na początek. Właściwie to nie chodziło mi o portret, zamierzałem raczej namalować jej twarz; to było coś, co naprawdę czułem. Chciałem też namalować twarz Niny; wyrazić tę wiarę, którą w niej widziałem, tę beztroskę. Przy niej czułem się naprawdę stary. Ona należy do tego rodzaju kobiet, o których się marzy, i jeszcze to ciało. Zastanawiałem się, czy uda jej się przyjść jeszcze raz. Wiedziałem, że lepiej byłoby dla wszystkich, gdybyśmy zostawili sprawy tak jak teraz.

Nie mogłbym przeżyć czegoś takiego po raz kolejny, a mimo to cholernie chciałem zobaczyć ją jeszcze raz. Kobieta taka jak ona wnika do twojego wnętrza i nigdy już nie czujesz się swobodny. Gdyby nie Alice, uciekłbym z nią. Jezu, już na samo wspomnienie tamtego razu z Niną poczułem podniecenie. Czuło się, że przeżywa to całą sobą. Chyba jestem już za stary na taką kobietę; to nie mogłoby trwać długo. Zastanawiałem się, czy Dudley zrozumie kiedykolwiek, jaką kobietę ma za żonę.

Usiadłem w tym ogromnym fotelu i mimowolnie zacząłem rozmyślać o tym, że jestem tam z Niną. Wiedziałem, że nie powinienem tak myśleć, bo nigdy niczego nie zrobię. Dudley zostawił klucz na stole. Zasunąłem story i wyszedłem. Było chłodno i pochmurno, wiatr niósł pojedyncze krople deszczu, ale właściwie jeszcze nie padało. Przeszedłem pod gałęziami krzewów, które zwisały się nad ścieżką. Na ich liściach drżały krople wody, nabrzmiałe, gotowe się zsunąć w chwili dotknięcia. Ziemia wokół ścieżki była miękka. Przechodząc obok drzwi dozorczyńni, spojrzałem w tamtą stronę, ale jej nie zobaczyłem. Nie miałem wątpliwości, że Dudley mieszkał tam z jakąś kobietą. Wyczuwałem to, podobnie chyba jak i dozorczyńni. To chyba najlepsze, co mogło mu się przytrafić. Jestem pewien, że Nina także o tym wiedziała. Początkowo myślałem nawet, że właśnie o to chodzi, że chce się z tego otrząsnąć, ale tak nie było. Nie cierpię podobnych sytuacji — pieprzenia się w celach terapeutycznych. Facet czuje się wtedy jak wykwalifikowany masażysta dla zranionych pind. Ale w naszym wypadku tak nie było; nas naprawdę coś łączyło.

Jeśli Dudley rzeczywiście z kimś kręcił, to mogło mu to pomóc w jego stosunkach z Niną. Moim zdaniem Nina musi czuć, że ma mężczyznę, a nie tylko męża. Gdzieś to zgubili. Może stracił ją przez to uczenie, a może jeszcze wcześniej. Prawdziwa kobieta musi czuć zwierzę w swoim mężczyźnie. Pewnie miał to coś, skoro złapał taką dziewczynę, może tylko byli za młodzi. W młodości ludzie popełniają wiele głupot.

Doszedłem do rogu i skręciłem w Montparnasse. Z naprzeciwka nadchodziła dziwka w krótkiej, czarnej skórzanej kurtce; miała ładne nogi. Patrzyła na mnie znacząco, gdy ją mijalem, ale nie odpowiedziałem spojrzeniem. To jest chyba najlepsze w Paryżu. Tutaj facet czuje, że istnieje. Z wyjątkiem Niny nigdy w nic się nie zaangażowałem, ale dobrze jest wiedzieć, czuć, że zawsze coś wisi w powietrzu; że mijając się, jesteśmy żywymi zwierzętami, które wysuwają ku sobie macki, wysyłają wibracje. Zawsze wyczuwam, kiedy dziewczyna ma coś na myśli. Czułbym to zawsze, nawet gdybym był głuchy i ślepy. Po prostu w takiej chwili coś porusza się w ciele, coś, co czuję. Czasem wyczuwam to w metrze i gdy się rozejrzę, zawsze kogoś znajduję. Nawet jeśli jest to jakiś pieprzony pedzio. Tak właśnie było, kiedy po raz pierwszy spotkałem Ninę w parku tamtego dnia. Alice też tam była, a mimo to przyciągaliśmy się jak dwa magnesy. Alice chyba tego nie czuje. Dobra z niej kobieta i cudownie jest być zauważonym przez kogoś takiego jak ona, ale to nie to samo. Niewiele kobiet spośród tych, które znam, sygnalizuje to w sposób bardzo wyraźny; może potrafią, tylko nauczyły się to maskować. To nie wrażliwość, lecz raczej jeszcze jeden zmysł, podobny do wzroku, choć może bardziej przypomina węch. Może właśnie tego brakuje w obrazach Dudleya; za mało w nich tego zwierzęcego zmysłu. On chyba tak naprawdę nie ufa samemu sobie.

Postanowiłem pójść na skróty przez park. Wspaniały dzień na spacer po parku; liście już opadły, ale Ogród Luksemburski zawsze ma w sobie coś wyjątkowego. Przy wejściu minąłem kilka dziwek. Całkowicie mnie zignorowały; zawsze wyczuwają, czy facet chce czegoś. Mógłbym przysiąc, że pachniałem inaczej, kiedy nikogo nie miałem; wtedy pachniałem starcem i synagogą, już w dzieciństwie.

Temu Dudleyowi chyba zupełnie odbiło, żeby tak po prostu oddawać mi tyle materiałów. Wyglądał na mocno przybitego, kiedy wychodził, do tego prowadził tak, że mógł się zabić. Chyba powinienem był zaprosić go do domu, poczęstować kawą, czy coś w tym rodzaju. Starzeję się. Zawsze potrafiłem być wrażliwy na kłopoty innych i próbowałem im pomóc, ale tak naprawdę nie można pomóc komuś takiemu.

Przeszedłem na drugą stronę rue d'Assas i wszedłem do parku. Tuż przy wejściu stoi tam mały budynek; zanim kupiliśmy mieszkanie, oboje z Alice mówiliśmy często, jak wspaniale byłoby w nim mieszkać albo chociaż mieć tam pracownię. Z obu stron miał okna wykuszowe i cały był oszklony. Nigdy nikogo w nim nie widziałem i nie miałem pojęcia, po co tam stoi.

W parku było pustawo. Długie trawniki porastała jeszcze zielona trawa, ale drzewa były czarnobrzowe od wilgoci. Większość krzeseł zniknęła i nikt nie siedział na ławkach. Popatrzyłem przed siebie przez gałęzie drzew. Zimą Ogród Luksemburski nawet w połowie nie wydaje się tak duży jak latem. Gdy drzewa są już nagie, z jednego końca ogrodu można zobaczyć drugi koniec. Praktycznie z miejsca, w którym stałem, widziałem nawet wieże St-Sulpice.

Wróciłem myślami do Dudleya. W tym moim cholernym życiu zbyt długo byłem miły dla innych. Ludzie uznają, że mam czułe ramię, i od razu chcą się na mnie oprzeć. To pewnie ta rosyjska krew, która płynie w moich żyłach. Matka mawiała, że tylko rosyjscy Żydzi naprawdę w życiu kierują się uczuciem. Mówiła też, że dobry człowiek płacze, gdy jest szczęśliwy, i potrafi wzbudzić w sobie łyzy, obojętnie o czym mówi, jeśli tylko czuje z tym jakieś powinowactwo. Na tym właśnie zawsze polegał mój kłopot; ludzie zawsze wyczuwają, że się przejmuję, i od razu przytulają się do mnie. Cholera, straciłem pół życia, próbując pomagać ludziom, którym nie można było pomóc. Tak było z Gretą; po prostu nie mogłem zostawić jej samej. Od początku wiedziałem, że jest chora. Mówił mi nawet o tym lekarz, i jeszcze to, w jaki sposób potrzebowała mojej pomocy... po prostu nie mogłem jej zostawić. Przez cały ten pieprzony czas musiałem odgrywać pieprzonego Boga. Chyba tak samo jest z Alice, a także z Niną. Jest we mnie coś takiego, czego inni potrzebują, ale nie pragną. Swojego rodzaju choroba. Pewnie to właśnie nie

pozwała mi stać się naprawdę dobrym malarzem. Jakbym nie potrafił robić czegoś dla samej tej rzeczy; ciągle ktoś musi się na mnie opierać, powtarzać mi, jaki jestem wspaniały. Tylko że, cokolwiek powiem, to w rzeczywistości lubię odgrywać przed nimi takiego pieprzonego tańczącego misia. Dlatego na tak długo wessały mnie te abstrakcyjne bzdury; nie potrafiłem się oprzeć i marnowałem całą swoją zwierzęcą siłę dla wszystkich tych nieudaczników. Nie zrobić czegoś, co było dla mnie ważne, tylko dlatego że było moje. Zawsze próbowałem robić rzeczy mocne, wyrażające starą uniwersalną siłę, dające złudzenie niezłomności. Oczywiście natychmiast zlatywali się wszyscy ci emocjonalni kalecy, a mnie wydawało się, że robię coś wielkiego. Tymczasem ja malowałem tylko pieprzone życiowe pigułki. Ale już z tym skończyłem...

Poszedłem w dół rue Ferou. Alice mówiła, że pod numerem szóstym mieszkał któregoś lata Hemingway. Podoba mi się sposób jego pisania, ale to jeszcze jeden facet, który zawsze próbował uczynić życie czymś więcej, niż jest. Życie nigdy nie jest tak cholernie przejrzyste i dobre, jak pisał. Jeśli już był w górach w Szwajcarii, to widział tylko błękitne niebo, oślepiające burze śniegowe, sople lodu, nagie drzewa widoczne na tle nieba; była też dobra kobieta, która nigdy nie narzekała, nie krwawiła i nie nudziła go. A przecież każdy czasem staje się nudny, jeśli siedzi się z nim przez długie miesiące. Nikt nigdy nie złamał nogi, jeżdżąc na nartach, i nie ma ani słowa o tym, co naprawdę czuje człowiek, mieszkając w tak zimnym miejscu. Wszystko było takie duże, żywe, monumentalne. Pisarz pewnie jest bardzo zadowolony, gdy pisze w taki sposób. Pewnie dobrze jest trochę tak pożyć, choćby tylko w opowiadaniach. Może właśnie po to mamy pisarzy i malarzy, żeby nam się lepiej żyło.

Wyszedłem na plac. Kościół wyglądał wspaniale, szary na tle szarego nieba. Spomiędzy kolumn wystrzeliło stado niebieskoszarych gołębi, i zaraz znowu się schowały. Zimą drzewa w tym miejscu wydają się o wiele mniejsze niż latem. Chyba wszystko zimą wydaje się mniejsze, nawet niebo.

Przystanąłem na jezdni, szukając śladów opon, jakie mógł zostawić samochód Dudleya. Nic nie zauważyłem. Pewnie starły je inne samochody.

Chwilę później rozległ się dźwięk dzwonów St-Sulpice. Boże, jakie smutne dźwięki.